Ernest Haycox

Pograniczna trąbka

(The Border Trumpet)

Pierwsze wydanie: Collier's, 29 Apr - 1 Jul, 1939
Pierwsze wydanie książkowe: P.F. Collier & Son, 1939

© Public Domain
Książka znajduje się w domenie publicznej na podstawie reguły „Życie+70”

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Rozdział I

Dwa tygodnie po wyruszeniu z San Francisco, *Newbern* rzucił kotwicę w plątaninie piaszczystych łach i wierzbowych ławic u ujścia Colorado, przeładowując swój ładunek i jedyną pasażerkę, Eleanor Warren, na parowiec *Cocopah* pod dowództwem kapitana Jacka Mellona. Trzy dni później, w złotym słońcu środka lata, dotarli do Fort Yuma, zatrzymali się na krótko i popłynęli dalej.

— Zwykle — powiedział jej kapitan Mellon — wojskowa eskorta czekałaby na panią w Yumie. Najkrótsza droga do Camp Grant wiedzie wzdłuż Gila, obok wiosek Pimów i przez pustynię do San Pedro. Ale wzdłuż tej trasy nie ma żadnych posterunków wojskowych, a Indianie są bardzo wojowniczy, będzie więc pani podróżować po linii zaopatrzenia.

Stała w bezużytecznym cieniu nadbudówki *Cocopaha*, z parasolem pochylonym w osłonie przed pulsującym blaskiem białej ziemi i metalicznie żółtego nieba, i obserwowała, jak zarys niskich, zbudowanych z cegieł adobe zabudowań Fort Yuma, rozpływa się w pulsującej, opalizującej mgiełce. Niewielki kapelusz na jej kasztanowej głowie był zawadiacko przekrzywiony, a brązowawo-szara sukienka, przeznaczona do bardziej eleganckich podróży niż ta, ciasno przylegała do szyi, ramion i talii. Była smukłą dziewczyną, dosyć prostą, i nosiła na sobie niemożliwe do pomylenia znamię wojska — urodziła się bowiem na wozie, dziesięć mil od Fort Snelling w Minnesocie, wbrew przepisom wojskowym i prawom natury, oraz spędziła wszystkie dwadzieścia jeden lat swego życia, z wyjątkiem ostatnich trzech, podążając za sztandarem. Teraz, mając za sobą eleganckie wykształcenie w Boston School for Young Ladies pani De Launcey, dołączała ponownie do regimentu w jego aktualnym miejscu stacjonowania na jednej z granic. Dwadzieścia lat temu granicą tą była Minnesota i Kansas. Dziesięć lat temu była to wojna secesyjna i Teksas, teraz była Arizona.

Szare oczy pod linią jej brwi błyszczały bezpośrednio i dociekliwie. Miała długie, opanowane usta i temperament, który mógł od razu oczarować mężczyznę lub zmrozić go do szpiku kości; to była cecha nabyta na pograniczu, to był sposób zachowania charakterystyczny dla dziewczyny wychowanej przez mężczyzn i uczącej się od nich. Była nieco wyższa niż przeciętna kobieta, a struktura kostna jej twarzy tworzyła wyraźne, mocne i przyjemne rysy. Dwa jadeitowe kolczyki poruszały się, gdy kręciła głową, a do sukni na linii piersi przypięta była broszka z kamei, niegdyś należąca do jej matki. Skórę miała gładką i jasną, a teraz zarumienioną od nieustannego upału.

— Prawdę mówiąc — przyznał kapitan Mellon — jest średnio ciepło. Sto dziewiętnaście w sterówce. W kanionie będzie jeszcze goręcej, ale do tego czasu nie będzie pani już to przeszkadzać.

W miarę jak płynęli dalej, ściany kanionu robiły się coraz wyższe i coraz bardziej się zwężały. Rzeka miała kolor czekolady, a ponieważ było to późne lato, jej poziom był dość niski. W nocy przywiązywali się do każdego znalezionego dogodnego głazu, a w dzień mieli kłopoty z pokonywaniem trudnych, żwirowych mielizn.

— Pewnego razu — opowiadał kapitan Mellon, — wisiałem na mieliźnie przez pięćdziesiąt siedem dni.

Od czasu do czasu squaw Yumów wysuwały spośród nadbrzeżnych wierzb swoje niskie ciała w kolorze miedzi i wpatrywały się w statek poprzez zasłony rozczochranych włosów. Spanie w taką pogodę było niemożliwe. W czasie posiłków masło na talerzu zmieniało się w oleistą ciecz, zaś ani fasola, ani gotowane ziemniaki nie były smaczne. Jedenastego dnia *Cocopah* zagwizdał na powitanie przystani w Ehrenburgu i oparł swój dziób o żwir.

— Panie kapitanie — oznajmiła Eleanor Warren, — to była naprawdę miła podróż.

Kapitan Mellon był na tyle młody, by pozwolić ciągnąć się za wąsy i na tyle stary, by się o nią martwić. Eleanor była wysoką, modnie ubraną młodą kobietą, która w czasie całej podróży nie ani razu się nie skarżyła, a teraz najwyraźniej chciała tylko wrócić do swojego regimentu. Lecz Mellon myślał o pustyni, jej upale, kłujących chmurach alkalicznego pyłu, niewygodzie i niebezpieczeństwie... Zostawiała za sobą ostatnie resztki komfortu.

— Kobiety związane z wojskiem zawsze mają coś w sobie — powiedział jej. — Niech mnie diabli, jeśli nie mam racji. Czy w tym oddziale, do którego tak bardzo chce się pani dostać, jest jakiś młody porucznik?

Jej uśmiech był długi i delikatny:

— Panie kapitanie — odparła — ma pan bystre oko.

— Życzę powodzenia — pożegnał się, zawrócił *Cocopaha* od żwirowiska i popłynął pełną parą w górę rzeki. Pożegnalny gwizd statku rozebrzmiał między ścianami kanionu.

Ehrenburg był grupą porozrzucanych nędznych domów z cegły adobe, położoną na porośniętym drzewami urwisku, jedynym punktem handlowym i rządowym magazynem, który przyjmował zaopatrzenie wojskowe ze statków rzecznych i wysyłał je zaprzęgami transportowymi do posterunków wojskowych rozsianych w głębi Terytorium. Eleanor Warren powitał młody porucznik o policzkach koloru czerwonego homara i jego niezwykle samotna żona.

— Jest pani — stwierdziła żona porucznika — jedyną białą kobietą, jaką widziałam od ośmiu tygodni. Proszę zostać przez chwilę. Nie ma chyba bardziej beznadziejnego obozu i czasami myślę, że stracę rozum.

Ale oddział z Szóstego już czekał, by ją eskortować. Miała nadzieję, że zobaczy ludzi z Trzeciego, jej własnego ukochanego regimentu, aby mogła szybciej poznać wspólne ploteczki, tak jej drogie; niemniej jednak była wyjątkowo szczęśliwa, gdy następnego ranka wyruszyła na zachód w

ambulansie wojskowym ciągniętym przez cztery muły służbowe, otoczona przez ośmiu pociemniałych od słońca, kościstych irlandzkich żołnierzy i porucznika o niebieskich oczach i płowożółtych wąsach jak u Custera. Znów była wśród swoich i nic innego się nie liczyło; nie było na świecie takiego uczucia, jak to, gdy kobieta wraca do swojego oddziału.

Na zachodzie rozciągała się szczera pustynia, przełamywana sylwetkami kaktusów i błękitną plamą gór Arizony wyrastających nagle z równiny. Ambulans podskakiwał na kamienistej ziemi, a drobny pył alkaliczny kurzył się wszędzie jak mąka, szczypiąc ją w oczy i skórę. Przez płócienne ściany swojego małego namiotu, nasłuchiwała nocą sennych rozmów żołnierzy przy ognisku, słuchając o Geronimo, Casadorze i Antone, Crooku, zmasakrowanych karawanach wozów i zniszczonych ranczach. Krawędź szczytu San Francisco była stałym punktem orientacyjnym na tym głębokim wschodzie. Trzeciego dnia pokonali Date Creek, a czwartego dotarli do Fort Whipple, w pobliżu małego górniczego miasteczka Prescott. Ta kwatera główna okręgu wojskowego położona była na chłodniejszych wzgórzach. Dwa dni później przeprawili się przez wzgórza do Camp Verde, a stamtąd została zabrana przez kolejny oddział eskortujący, wysoko w zalesione pasmo Mogollon, z którego szczytów miała widok na Tonto Basin, dzikie, ciemne i surowe tereny. Podróż przebiegała wolniej, a wysokość przyniosła wieczorem powiew słodkiego wiatru; zauważyła jednak, że eskorta jechała z podwójną czujnością, wystawiając flanki w dzień i warty w nocy. Pięć dni drogi od Verde oddział eskortujący wjechał na plac apelowy Camp Apache. Wysiadając z ambulansu, stanęła twarzą w twarz z żoną majora McClure'a, napotykając pierwszą znajomą twarz ze starego Trzeciego Regimentu Kawalerii.

— Przecież ty — oznajmiła żona majora, — jesteś dorosłą damą! — I nie zważając na konwenanse zawołała, obejmując Eleanor Warren. — Czy minęło aż tyle czasu, odkąd pakowałam twój kufer w Fort Stanton i patrzyłam, jak odjeżdżasz? Trzy lata! Chyba jestem już tylko kolejną wysuszoną, skórzaną, starą wojskową babą. Jaka ładna sukienka. Czy to teraz wschodni styl? Jak długo jechałaś z Ehrenburga?

— Dwanaście dni.

— No cóż, do twojego ojca w Grant pozostały jeszcze trzy. Jeśli myślisz, że dotychczasowa droga była zła, poczekaj, aż zobaczysz, co cię czeka teraz. Oddział z Grant jeszcze nie przyjechał. Na razie więc dziś wieczorem urządzimy przyjęcie i porozmawiamy o Wschodzie. Minęły trzy lata, odkąd po raz ostatni widziałem koronkowe zasłony lub pokój hotelowy. Mam nadzieję, że zostaniesz tutaj z tydzień.

Lecz tej nocy, jakiś czas przed capstrzykiem, grupa jeźdźców przejechała przez twardo ubity plac apelowy z nagłym stukotem kopyt, a z ganku kwatery McClure'ów odezwał się męski głos.

— Czy panna Warren przybyła?

Wszyscy oficerowie i damy z posterunku znajdowali się w jednym pokoju; nagle uśmiechnęli się do Eleanor Warren, gdy wstała i na wpół odwróciła się do drzwi. W holu rozległy się szybkie kroki i major McClure wycedził:

— Jest tutaj, Phil.

Eleanor Warren odwróciła się, poważnie zaniepokojona i przestraszona tym, co mogło w tej chwili pojawić się na jej twarzy. Powiedziała niskim, niepewnym głosem:

— Jak się masz, Phil?

Przed nią stał Philip Castleton, jego spodnie i koszula poszarzały od jazdy konnej, a naturalnie ciemna twarz została pokryta dodatkową warstwą brązu przez intensywne słońce Arizony. Był wysokim, czarnookim mężczyzną, szybkim i solidnym, z energią, która wylewała się wręcz z niego, mimo że stał zupełnie nieruchomo. Miał proste plecy i fizycznie był twardy. W jego oczach płonęło uczucie, a na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Miał na tyle trzeźwą głowę, by ukłonić się grupie dam, ale powiedział "Eleanor", gdy podchodził do niej. Jej rezerwa zniknęła i nie zważając na przyzwoitość, rzuciła mu się w ramiona. To był mężczyzna, którego kochała jako osiemnastoletnia dziewczyna w Fort Stanton. Teraz wróciła do niego jako kobieta, a wszystkie jej obawy zniknęły i wiedziała, że nic się nie zmieniło. W tej chwili była szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Trąbki zabrzmiały na poranną pobudkę, słońce świeciło żółto i mocno nad światem, a ambulans i dziesięciu żołnierzy ze starego oddziału K czekało na placu apelowym, gdy wyszła z kwatery majora McClure'a. Czekali przed swoimi końmi, ci opaleni, szorstcy ludzie z oddziału jej ojca. Większość z nich to starzy znajomi - sierżant Tim Hanna, na którego twardych irlandzkich wargach gościł szeroki uśmiech, pochodzący z Holandii sierżant Conrad Reichert i kapral Oldbuck, który wiózł ją na swoim siodle, gdy jako dziewczynka odwiedzała szańce pod Bull Run. Szła wzdłuż szeregu, ściskając im dłonie.

— Hanna — powiedziała, — co się stało z tą meksykańską dziewczyną ze Stanton?

Hanna podniósł rękawicę do końców swoich dragońskich wąsów:

— Ach, pamiętasz ją jeszcze? Ja też, ale pewnego dnia muszę opowiedzieć ci o tym na osobności. Nie wszyscy mężczyźni w starym oddziale K są takimi dżentelmenami, na jakich wyglądają.

W szeregu rozeszły się ciche odgłosy rozbawienia i zadowolonej aprobaty. Ostatni z szeregowców przeszedł przez plac i dołączył do oddziału. Głos porucznika Castletona przywitał go z surowością, która zaskoczyła Eleanor.

— Jackson, zameldujesz się u mnie, jak tylko dotrzemy do Grant. Eleanor, jeśli jesteś gotowa — powiedział.

Eleanor Warren złożyła wyrazy szacunku zgromadzonym oficerom i damom i przyjęła dłoń Castletona w ambulansie. Żona majora McClure'a zawołała:

— Pozdrów Harriet Mixler i powiedz jej, żeby przyjechała tu jak najszybciej!

Castleton wydał szybkie komendy, żołnierze wsiedli na konie i ruszyli dwójkami, ambulans przetoczył się przez plac apelowy, zjechał w dół do wąwozu i wkrótce pozostawił Camp Apache w tyle.

Na wschodzie wznosił się wysoki wał skalny White Mountains; we wszystkich innych kierunkach kopuły, iglice i poszarpane krawędzie wzgórz leżały poniżej jaskrawego dysku słońca. Ambulans pomknął drogą, przemierzył wąską dolinę i ponownie wjechał w surowe wąwozy.

Minął ich oddział kawalerii zmierzający do domu; dowodzący nim oficer uchylił kapelusza, ukazując Eleanor twarz otępiałą z braku snu. Jej oddział kołysał się w siodłach, każdy z żołnierzy ubrany był w niebieskie spodnie, wysokie buty i szarą koszulę rozpiętą na spalonej słońcem skórze. Tim Hanna, starszy sierżant K, jechał na czele kolumny, a jego przekrzywiony kapelusz obracał się nieustannie w lewo i w prawo w poszukiwaniu kłopotów, które mogły kryć się wśród tych otaczających ich sosnowych szczytów. Ich zbocza porastały niskie kaktusy, bylice, kocimiętka i bursztynowa trawa pastewna. Droga prowadziła w dół, w bardziej surowy teren, niż kiedykolwiek widziała, zmierzając na południowy zachód przez parne gorąco do odległego o sto dziesięć mil Camp Grant nad San Pedro.

Phil Castleton jechał obok ambulansu, od czasu do czasu coś do niej mówiąc, ale nieustannie odrywał się od niej, aby obserwować szlak. Było to zachowanie podobne do tej samej czujności, jaką zauważyła w poprzednich oddziałach eskortowych. Wszyscy ich dowódcy jechali z podniesionymi głowami, każdy omiatał wzrokiem nierówne kontury i terasy okolicznych wzgórz, a jej udzieliło się to pełne napięcia, uczucie niepewności, aż w końcu i ona zaczęła przyglądać się kępom roślin i porozrzucanym skałom.

Phil Castleton powiedział:

— Oddział, który mijaliśmy, był ze szwadronu A, na nocnym zwiadzie. Tam dalej w górach, ci Apacze Coyotero są dość podstępni. Ale w Grant jest jeszcze gorzej. Chiricahua spływają z Dragoon Mountains, a część Aravaipa jest niezadowolona. Od sześciu miesięcy ścigamy wodza o imieniu Antone.

— Phil — powiedziała — dziękuję za twoje listy. Były pocieszające.

Powiedział:

— Czasami miałem nadzieję, że sprawią, iż będziesz na tyle samotna, by wrócić. Trzy lata to długi okres oczekiwania, Eleanor.

Siedziała z rękami kurczowo trzymającymi się siedzenia ambulansu, gdy ten kołysał się na nierównej drodze, obserwując go z uroczystą słodyczą. Był człowiekiem, który rzadko się uśmiechał, był surowy dla siebie z powodu ambicji, a czasami surowy dla innych z powodu rozmyślnej energii, która go przepełniała. Widać to było w bezkompromisowej czerni jego oczu i zmarszczkach wokół ust. Przez całą drogę na zachód nową linią kolejową Pacific, statkami i przez pustkowia Arizony, bała się tego spotkania, bała się tego, co trzyletnia rozłąka mogła zrobić zarówno z nią, jak i z nim. Lecz teraz, widząc go, już się nie bała, a lekkie podniecenie unosiło jej serce. Nic się nie zmieniło od tamtego dnia, kiedy jako siedemnastoletnia dziewczyna po raz pierwszy zobaczyła go w Forcie Stanton, świeżo po ukończeniu West Point i przydzieleniu do oddziału K jej ojca.

— Phil — mruknęła, — zastanawiałam się, czy będzie tak samo — i spuściła wzrok na swoje dłonie w rękawiczkach.

Odparł szybko i pewnie.

— Nigdy nie mógłbym się zmienić, Eleanor. Ale ty się zmieniłaś.

Była zaskoczona tonem jego słów.

— W jaki sposób, Phil?

Sierżant Hanna zawołał do tyłu:

— Panie poruczniku.

Castleton ruszył do przodu i przez chwilę obaj mężczyźni jechali obok siebie, badając ślady wcześniejszych podróżników na szlaku. Wyjechali z niskiego wąwozu, do prostej, wąskiej doliny i podążali nią żwawo, otoczeni srebrnoszarymi tumanami drobnego pyłu. Upał mocno dawał się we znaki, a wokół niej unosił się fetor wysuszonej ziemi i spoconych końskich ciał. W południe zatrzymali się w cieniu wąskiego kanionu na kanapki z bekonem i zimną wodę ze źródła, po czym ruszyli dalej w ciemną plątaninę górskich dolin. Tej nocy rozbili obóz koło płytkiego strumyka San Carlos, głęboko w surowym pustkowiu górskim, niedaleko Natane's Butte.

Siedząc przed swoim małym namiotem, Eleanor patrzyła, jak czerń arizońskiej nocy zamyka się wokół nich, gęsta, nieprzenikniona i tajemnicza. Na jej tle żółty płomień ogniska płonął nieruchomym blaskiem, szczyty pasma wzgórz piętrzyły się wysoko nad głowami niewyraźnymi kształtami, a niebo pokryło się chmurą gwiazd. Gdzieś w tych ciemnościach część żołnierzy pełniła wartę, pozostali leżeli w cieniu, poza blaskiem ogniska, zawinięci w koce, rozmawiali sennymi, zmęczonymi głosami. Phil Castleton siedział koło niej.

— Phil — spytała — w jaki sposób się zmieniłam?

Odparł suchym, niechętnym głosem.

— Trudno mi to wyjaśnić. Nigdy nie byłem zbytnio sentymentalny, czyż nie? Ale ty dorosłaś. Wiedziałem, że tak będzie - i bałem się, że nie będziesz już taka sama. Kiedy wczoraj wieczorem wszedłem do kwatery majora McClure'a i zobaczyłem, jak tam stoisz, uderzyło mnie to mocno. Byłaś wysoka i pełna opanowania. Zmieniłaś się w damę, Eleanor. Nawet więcej, stałaś się kobietą, o której mężczyzna może myśleć, gdy jest sam nocą na tych wzgórzach. Dla mnie to było trudne oczekiwanie.

— Phil — wyszeptała — przecież wróciłam, i bardzo się z tego cieszę.

Wstała i przyglądała się, jak on również się zrywa i staje przed nią bez ruchu; była leciutko rozczarowana, że pozwolił, by dystans między nimi pozostał nienaruszony. Słyszała w jego głosie napięcie i zastanawiała się, dlaczego Phil wydaje się walczyć z tą chwilą, ze wszystkim, co może ona dla niego oznaczać; zawsze był człowiekiem, który utrzymywał się mocno pod kontrolą, ale dziwnym jej się wydawało, że pozwolił sobie na to teraz, kiedy jej reakcja na jego wątpliwości, była chyba wystarczająco jasna.

Powiedział:

— No cóż, dla mnie to zmienia dosyć ponury świat w całkiem przyjemne miejsce, choć powinienem cię ostrzec, że Camp Grant to piekielna dziura dla białej kobiety. Harriet Mixler jest tam jedyną kobietą, która pojawiła się tam w ostatnich sześciu miesiącach i myślę, że postarzyło to ją o pięć lat. Nie wydaje mi się, żebyś ją znała. Przyjechała z Baltimore rok temu, by poślubić George'a Mixlera. Nigdy nie lubiła tego

kraju, a teraz ma urodzić dziecko i gdybyś nie przyjechała, by dotrzymać jej towarzystwa, myślę, że by oszalała.

— Nie może być tu aż tak źle, Phil. Jestem bardziej szczęśliwa na posterunku wojskowym, bez względu na to, jak bardzo jest on ponury, niż gdziekolwiek indziej na świecie - to wchodzi ci w krew, Phil!

— No cóż — stwierdził — w Grant jest naprawdę kiepsko.

Potem siedział w milczeniu. Wydawało jej się, że nasłuchiwał trzasków i szmerów przebiegających przez otaczającą ich czerń. Gdzieś wysoko na grzbiecie zawył kojot, bliżej pohukiwała sowa, która raptowne ucichła. Sierżant Hanna podszedł do ogniska, wsłuchując się w te dźwięki, a później wycofał się z plamy blasku ognia.

— To może być sygnał Apaczów — wyjaśnił Castleton. — To jeden z ich ulubionych sposobów porozumiewania się. — Po czym natychmiast dodał: — Ale nie ma się czego obawiać. Nie zaatakują w nocy. — Lecz cisza w obozie była głęboka i przenikająca; wiedziała, że każdy z zawiniętych w swych kocach żołnierzy obudził się, czekając na powtórzenie wezwania. — Eleanor — powiedział Castleton bardzo gwałtownie — mam nadzieję, że nie będziemy musieli czekać zbyt długo.

Wiedziała, co miał na myśli. Lecz jego gwałtowność zaskoczyła ją, podobnie jak zaskoczyły ją inne oznaki jego rozchwianego temperamentu. Kontynuował tym samym napiętym i na wpół niezręcznym głosem.

— Nigdy cię o to nie pytałem. Myślałem, że to coś zrozumiałego samo przez się. Nie odwlekajmy tego zbyt długo, Eleanor. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdybyśmy się pobrali w ciągu miesiąca.

W połowie słuchała, a w połowie kontrolowała bieg własnych myśli. Potem odparła:

— Tak, Phil. Tak.

Podszedł do niej, przyciągnął do siebie jej ramiona, pocałował ją i natychmiast się odsunął.

— Przepraszam za to. Nie powinienem był zakładać…

Jej pytanie było pełne zdziwienia i nieco smutne; słodycz tej chwili została utracona.

— Ale dlaczego nie, Phil?

— Jesteś tu sama. Powinienem był poczekać, aż dotrzemy do obozu. Dobranoc, Eleanor.

Leżąc później na swoim posłaniu, rozmyślała o nim przepełniona szczęściem, przerywanym jedynie leciutkim zdumieniem z powodu jego nieugiętej postawy. Zawsze był człowiekiem, który rygorystycznie pilnował swoich emocji, lecz dziwne było, że w chwili, w której musiał czuć ten sam wir burzliwego szczęścia, jakiego doświadczała ona, wciąż nie potrafił przełamać swojej rezerwy. Myślała o tym przez długie, spokojne minuty. Nic nie przerywało ciszy panującej w obozie, lecz stopniowo, gdy tak leżała, wrażenia dzikości, gwałtowności i nieprzewidywalności tej krainy zaczęły przesączać się do jej myśli, aż z ulgą przypomniała sobie o żołnierzach przycupniętych w tej czerni, czekających i nasłuchujących. Była to chwila, w której zdała sobie sprawę, że bezpieczny świat ostatnich trzech lat zniknął na zawsze, a głęboki, bezpieczny sen tamtych chwil

również uleciał. Tak długo, dokąd pozostanie na tej granicy, będzie nieustannie wsłuchiwać się w tajemnice nocy. W dzień będzie obserwowała szlak, tak samo jak robili to żołnierze, czujna i nigdy niepewna tego, co może się wydarzyć.

W środkowych godzinach następnego poranka Castleton wrócił do ambulansu i pokazał jej wysoki, czarny słup w oddali. Ponad słupem, jeden po drugim, wzbijały się w powietrze małe obłoczki dymu.

— To sygnały Indian. Wiedzą, że jedziemy tą drogą. Prawdopodobnie to banda Antone.

Zmierzali dalej na południe przez wzgórza, a rosnący upał wskazywał na obniżający się teren. W pewnej chwili dotarli do wyschniętego koryta potoku i podążali wzdłuż niego, aż zamknął się wokół nich jakiś wąwóz, słońce zniknęło, zaś odgłosy ich jazdy odbijały się echem od ściany do ściany. Podróżowali w ten sposób, jednostajnym tempem, z krótkimi postojami, pozostawiając za sobą szarą chmurę pyłu. Zdarzyło się, że z wysokiego szczytu wąskiego kanionu, oderwała się i spadła wielka skała. Eleanor słyszała, jak uderza ona, spada i znów spada, aż wreszcie odgłosy ucichły, choć skała wciąż leciała w dół. Tego popołudnia wjechali na górską łąkę i natknęli się na dom, którego drzwi i pokryte naoliwionym papierem okna, były powyrywane i stały otworem. Na podwórzu leżał martwy koń, a w powietrzu wciąż unosił się zapach dymu. Castleton i Hanna weszli do budynku i wkrótce wrócili. Oczy Castletona były zupełnie czarne; w ten sposób okazywał swój gniew.

— Bóg jeden wie, co stało się z Billem Layem. To wydarzyło się niecałe dwie godziny temu. Hanna, wyślij kogoś na flanki na te zbocza.

Krótko po zapadnięciu zmroku ponownie podjechał do ambulansu, wskazując na wysoką kolumnę kaktusa sahuaro, wyżej na zboczu. Tkwiła w nim indiańska strzała, wbita aż po pierzasty koniec.

Tego wieczora obozowali na wysokim wzniesieniu terenu, a w ostatnich chwilach szarówki zmierzchu, na żwirze przyległego wąwozu zazgrzytały końskie kopyta i z przodu zawołał jakiś człowiek. Żołnierze nagle poderwali się i stanęli ze swymi karabinami w ręku, stojąc tak, dopóki z kanionu nie wyłonił się rząd kawalerzystów. Castleton wyszedł na spotkanie oddziału kilka metrów od ognia. Usłyszała, jak mówi półgłosem:

— Jak tam leci, Benteen?

Wysoki, szczupły oficer, którego Castleton nazwał Benteen, siedział w siodle rozluźniony ze znużenia. Nie miał naramiennika, który określałby go jako podporucznika; insygnia na skrzyżowanych mieczach jego kapelusza wskazywały na oddział I jej regimentu. Eleanor, jako dziewczyna związana z wojskiem, najpierw dostrzegła te szczegóły, a potem z rosnącym zainteresowaniem przyjrzała się samemu mężczyźnie. Kurz jazdy konnej pokrywał jego błękitny mundur, a pot osiadł na głęboko opalonych słońcem policzkach. Miał wyjątkowo długie nogi, zaś jego włosy miały piaskowo rudy kolor, co zauważyła, gdy podnosił kapelusz, by uwolnić zebrany pod nim pot. Jego mocno zaciśnięte dłonie, spoczywały na łęku siodła, zaś para szarych, zaspanych oczu uniosła się znad Castletona i

posłała jedno bezpośrednie spojrzenie w jej stronę. Potem przemówił głosem, który był dosyć stanowczy i dosyć łagodny:

— Jak na razie, to tylko przejażdżka. Banda Antone zjechała tędy z gór i rozproszyła się.

— Właśnie niedawno spalili ranczo Billa Laya — poinformował go Castleton. Eleanor, słuchając głosu Castletona, miała wrażenie, że usłyszała w nim ton wrogości i potępienia.

— Rzucimy tam okiem — odpowiedział Benteen.

Odwrócił się w siodle i popatrzył na pół tuzina zmęczonych żołnierzy, a Eleanor wiedziała, że szacuje ich wytrzymałość, tak jak powinien to robić dobry oficer. Uniósł dłoń na znak odjazdu, szybko przeszedł w kłus i ruszył z luźnym wymachem ręki, mijając ją w odległości paru metrów. Przejeżdżając koło niej, uniósł kapelusz, rzucił jej bezpośrednie, pozbawione uśmiechu spojrzenie i wkrótce zniknął w mroku.

Kiedy Castleton wrócił do niej, zapytała:

— Kto to był? — i obserwowała, jak jego twarz pozostaje nadal pełna napięcia.

— Tom Benteen, podporucznik oddziału I. Przyszedł do nas około roku temu. — Castleton pozwolił by ta informacja na chwilę zawisła w powietrzu, po czym dodał z pewną niechęcią: — Spotkasz się z nim w Grant, kiedy wróci ze zwiadu.

Dla Eleanor Warren było całkiem jasne, że Castleton nie darzył Toma Benteena sympatią, a ponieważ była mądrą dziewczyną, jeśli chodzi o zawodową zawiść między żołnierzami, zarejestrowała tę informację w głowie, nie odzywając się. Ciemność zapadła niemal natychmiast, czarna i kompletna, pod zachmurzoną poświatą gwiazd arizońskiego nieba. Ognisko świeciło jasno żółtym blaskiem na tle ciemności. Młody żołnierz Jackson wszedł w światło i stał ze spuszczoną głową, dopóki Castleton nie zawołał:

— Wyjdź z tego światła!

Chłopak rozpłynął się w ciemności. Castleton dodał przyciszonym głosem:

— Kręci się wokół jednej dziewczyny, mieszkającej za San Pedro. Niezbyt dobry z niego żołnierz. Myślę, że musisz być zmęczona. To była długa podróż, a jutro będzie równie ciężki dzień. Dobranoc.

Leżąc w namiocie, Eleanor Warren wsłuchiwała się w długie, odległe zawodzenie kojotów na grzbietach wzgórz, aż poczuła narastające napięcie, na wpół czekając na niespodziewany atak. Miała przed oczyma obraz porucznika Benteena, który kołysał się w siodle jak stary żołnierz, jakby był jednością z koniem, uchylającego kapelusza, gdy przejeżdżał koło niej; nie uśmiechnął się, lecz jego przydymione szare oczy żywo na nią spoglądały.

To było wszystko, co zapamiętała, zanim zasnęła. O szarym świcie znów byli w drodze, skręcając w jeden kanion i kolejny, podczas ostatniego fragmentu szlaku w dół. Dotarli do rzeki San Pedro i podążali jej wyschniętym na kamień korytem przez płaską, ciasną dolinę, dymiącą gorącem suchego jak hubka lasu, a o zmierzchu dotarli do ujścia pozbawionego obecnie wody Aravaipa Creek, w miejscu gdzie domki i

namioty Camp Grant tworzyły coś w rodzaju kwadratu na spieczonej ziemi. Światła przebijały się przez błękitną mgiełkę zmroku, a ludzie wychodzili z kwater, gdy przybył oddział. Phil Castleton zatrzymał się przed gankiem obrośniętym pnączami - ramadą - najdłuższego domu z adobe, zasalutował i oznajmił:

— Panie majorze, porucznik Castleton melduje swój powrót z Fort Apache. Pańska córka jest tutaj.

Eleanor zeskoczyła z siedzenia ambulansu, zbyt niecierpliwa, by czekać na pomoc, i ujrzała ciężką postać ojca w gęstym cieniu pod ramadą. Nie ruszył się i nie odezwał. Gdy podeszła do niego, zobaczyła linie biegnące po jego pulchnych policzkach, pod białymi wąsami. Zdjął kapelusz i zauważyła, że w ciągu trzech lat jej nieobecności całkowicie posiwiał. Powiedział tylko:

— No cóż, córko... — i wyciągnął ręce.

Nie do końca płakała, gdy go całowała, lecz emocje, tak silne i pełne, nie pozwoliły jej nic powiedzieć; było to uczucie, jakiego doświadczała dawno temu jako mała dziewczynka, biegnąca do niego po schronienie i pocieszenie, gdy jej własne siły ją zawiodły. Właśnie to uczucie dominowało w niej teraz, jego wspomnienie niosące ją daleko z powrotem do czasów dzieciństwa. Trwało to tylko chwilę, po czym opuściło ją całkowicie, a ona odsunęła się, by uśmiechnąć się do niego przez łzy, ze smutkiem zdając sobie sprawę, że jej dzieciństwo i dziewczęce słodkie, pozbawione odpowiedzialności szczęście, przeminęły na zawsze. Już nigdy nie będzie mogła pójść do niego by znaleźć schronienie przed kłopotami.

Powiedziała tonem, który musiał szybko zacząć wyglądać na pewny:

— Nic się nie zmieniłeś, tato.

Był pulchnym starszym człowiekiem obserwującym ją z łagodnym uśmiechem.

— Wyglądasz zupełnie jak twoja matka w wieku dwudziestu jeden lat. Muszę przyznać, że stałaś się cholernie ładną kobietą, Eleanor.

Rozdział II

Jakaś kobieta podeszła do niej powoli, pod czarnymi cieniami rzucanymi przez ramadę. Major Warren pośpieszył z prezentacją.

— Eleanor, to jest Harriet, żona pana Mixlera. Była do tej pory jedyną białą kobietą na posterunku.

Oczy Harriet Mixler były szeroko otwarte i okrągłe, a na jej twarzy malował się niepokój. Powiedziała cichym głosem:

— Miło że tu jesteś, Eleanor.

— Gdybyś była tak uprzejma i pokazała Eleanor jej kwaterę — powiedział major Warren i, zgodnie ze odwiecznym zwyczajem, wyszedł, aby zlustrować powracający oddział.

Dwie kobiety przeszły przez niskie drzwi kwatery majora, zanurzając się w dusznym, aż gęstym gorącu wnętrza. Światło lampy pokazało podłogę z ubitej ziemi i cienkie przegrody oddzielające inne małe pokoje. Harriet Mixler poprowadziła ją do jednego z nich i stanęła koło wejścia. Jej dłoń wykonała zrezygnowany gest w stronę żelaznego łóżka polowego, krzesła i szafy zrobionej z desek ze skrzyni pakunkowej. Dwa kawałki świeżego chintzu wisiały obok pojedynczego wąskiego okna.

— Twój ojciec prosił, żebym to jakoś ładnie urządziła, Eleanor. To najlepsze, co zdołałam wymyślić.

— Musisz pamiętać — powiedziała Eleanor Warren, — że urodziłam się i wychowałam w takich miejscach. Uwielbiam to.

— Ja tego nie cierpię — stwierdziła Harriet Mixler. Jej akcent brzmiał nieco na południowy. Była szczupłą, czarnowłosą dziewczyną o ostrych, wrażliwych rysach twarzy, najwyraźniej córką jakiegoś dawnego właściciela plantacji, kiedyś pełną życia, bardzo wesołą i niesamowicie porywczą. Wszystko to, jak zauważyła Eleanor Warren z głębokim współczuciem, było już przeszłością. — George jest poza obozem, pojechał z oddziałem zwiadowczym. Chyba go znasz.

— Tak — odparła Eleanor. — Był w Stanton, zanim wyjechałam, całkiem niezły kawaler. — Uśmiechnęła się do Harriet. — Zdaje się, że był jednym z moich pierwszych sekretnych związków.

Harriet Mixler dotknęła podróżnej sukni Eleanor. Kąciki jej ust opadły, a na twarzy pojawił się wyraz goryczy.

— Jaki to piękny materiał. W Norfolk zwykle tańczyłam przez całe noce. Wracaliśmy do domu o świcie i jedliśmy podpłomyki i smażone ostrygi. Czy ty nie umarłaś, kiedy musiałaś opuścić Wschód?

— Nie. Liczyłam każdy dzień, kiedy będę mogła tu wrócić. Spodoba ci się tutaj. Naprawdę.

— Nigdy — oznajmiła Harriet Mixler, uparcie opierając się tej myśli. — Nienawidzę wszystkiego, co związane jest z wojskiem. Za rok będę starą kobietą ze pomarszczoną skórą i zniszczoną cerą. Siedzę w tej nieznośnej norze na końcu świata i nienawidzę widoku samej siebie. Powinnam była stąd wyjechać. Teraz jest już za późno. Do Tucson jest pięćdziesiąt pięć mil, a tam nie ma niczego poza chatami z gliny. Ponad sto mil do Fort Apache, który wcale nie jest lepszy niż to miejsce. To tak, jakby dać się pogrzebać za życia. — Spojrzała na Eleanor Warren tymi wielkimi, ciemnymi oczami pełnymi nieszczęścia. — Wiesz, czego najbardziej się boję? Doktor Shiraz przez trzy czwarte czasu jeździ z żołnierzami. Kiedy przyjdzie czas narodzin mojego dziecka, pewnie znów go nie będzie. Umrę bez niego. Moja matka umarła przy moich narodzinach. Nawet Hindusi traktują swoje kobiety lepiej niż rząd traktuje żony swoich oficerów. — Nagle położyła obie ręce na Eleanor Warren i opuściła głowę. Jej ciało zadrżało i zawołała zduszonym szeptem: — To błogosławieństwo, że tu jesteś. Tak się boję — tak się boję.

Eleanor Warren objęła dziewczynę ramionami. Wymamrotała:

— Nic się nie stanie, Harriet.

Głosy żołnierzy rozbrzmiewały w spokojnej, głębokiej nocy, a buty tupały po twardej ziemi. Harriet Mixler odsunęła się, wygładzając włosy. Stwierdziła z rozpaczą:

— Niezły ze mnie widok — i wróciła z Eleanor do głównego pokoju.

Major Warren wszedł z kapitanem Harrisonem z oddziału I. Harrison był kościstym mężczyzną o długim, czerwonym nosie i z czarną, krótko przyciętą bródką. Jego małomówne oczy rozbłysły, co było dla niego rzadkością. Oznajmił:

— Do diabła, Eleanor, może teraz w końcu będziemy mieć tu nieco rozrywki.

Głos z drugiego rogu pokoju przemówił.

— Mamy krokiety wołowe, panno Eleanor.

— Cowen!

Cowen miał na sobie czarny sukienny garnitur i białą, wykrochmaloną koszulę. Na jego kamizelce delikatnie poruszały się ogromne ogniwa łańcuszka zegarka. Włosy miał starannie natłuszczone, wąsy wypolerowane, a twarz przyjęła najbliższy przyjemności wyraz, na jaki pozwalała jego poważna mina. Cowen, kucharz Warrenów od 1963 roku, przypisywał sobie większość zasług za wychowanie Eleanor w czasach etapu długich nóg i kiepskiej gramatyki. Cowen uścisnął jej dłoń z precyzyjną formalnością, która odpowiadała jego wyobrażeniom o dobrych manierach w miejscach publicznych.

— Mam panience parę rzeczy do opowiedzenia o tym regimencie — powiedział pod nosem i opuścił pokój.

Wchodzili pozostali oficerowie obu kompanii, Ray Lankerwell, Howell Ford i doktor Shiraz, który nosił ognistoczerwone bokobrody. Shiraz oznajmił kategorycznie:

— Jesteś wciąż dzieckiem armii, Eleanor — i domagał się pocałunku.

Natychmiast zwrócił się do Harriet Mixler, delikatnie pociągając ją w stronę krzesła.

— Harriet, chcę, żebyś dziś wieczorem wypiła odrobinę wina.
Złapała za rękaw jego płaszcza.
— Czy na pewno będzie pan tu przez następne dwa lub trzy tygodnie?
Miał głęboki, cierpliwy głos.
— Będę tutaj. Na miejscu.
Cowen przyniósł kolację, i grupa usiadła przy stole. Twarz majora Warrena była okrągła, rumiana i pogodna, gdy uniósł kielich wina, i przez chwilę wszyscy poczuli emocje kryjące się za jego milczeniem. Wzniósł kielich w stronę córki i powiedział:
— Za naszą damę.
— Za damę — powtórzył Shiraz.
— I — dorzucił major Warren łagodniejszym tonem — za Harriet.
Wypili i nagle rozmowa stała się intensywna oraz przyjemna, mimo że w pokoju panował ciężki upał. Shiraz zastukał w stół, po czym wskazał palcem na Eleonor.
— Zobaczmy teraz, ile pamiętasz. Kolumna jedzie czwórkami, zbliża się do wąskiego wąwozu. Co robisz?
— Rozkaz brzmi „Dwójki w prawo, twórz". Numery jeden i dwa z pierwszej czwórki jadą bez zmiany. Numer trzy i cztery w prawo skos i wjeżdżają za nich. Pozostałe szeregi powtarzają ten manewr.
— Kto niesie proporzec?
— Wyznaczony kapral, panie doktorze. Jego miejsce jest w lewym rzędzie pierwszego plutonu.
— Bardzo dobrze — oznajmił Shiraz. — Jutro wypróbuję cię na koniu.
— Panie doktorze — odparła słodko Eleanor, — czy pamięta pan, jak spadł pan z tego wielkiego deresza, w Stanton?
Pozostali oficerowie, z wyjątkiem Castletona, wydali z siebie gromkie pohukiwania, i nawet Harriet Mixler się uśmiechnęła. Eleanor zauważyła, że Castleton ją obserwował i wydawał się niewzruszony tym wybuchem rozbawienia. Siedział przy stole z wyprostowanymi ramionami, chociaż pozostali mężczyźni byli przygarbieni i swobodni, jakby nawet teraz nie był w stanie całkowicie się wyzwolić, jakby jego ognista energia utrzymywała go w surowym, ponurym i niecierpliwym nastroju. Kampania go wyszczupliła i przyciemniła, ale nie zmieniła ostrych, na wpół przystojnych szczegółów rysów jego twarzy. Był taki sam jak w Stanton, surowy i ambitny oficer, który mocno trzymał w ryzach swoich ludzi i siebie samego.
— Mam nadzieję — powiedział Shiraz, — że nie dojdą do ciebie wieści o kolejnych katastrofach, jakie mi się przydarzyły z końmi.
— Cowen — zauważyła Eleanor, — jutro mi o tym opowie.
— Ach — jęknął Shiraz, — zawsze wiedziałaś więcej o tym regimencie, niż ktokolwiek inny.
Spytała:
— Czy pojedzie pan ze mną rano na wzgórza?
Major Warren odłożył nóż i jasno oznajmił:
— To nie Stanton, Eleanor. To pierwsza rzecz, którą musisz zrozumieć. Nikt nie opuszcza terenu tego posterunku ani na chwilę, chyba że pod eskortą. Nawet w tym momencie, w odległości dziesięciu stóp od

wartowników, są Apacze. Jutro, gdy spojrzysz poza linię pikiet i zobaczysz kępę juki, szanse że pod nią będzie głowa Apacza, są dokładnie pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Dwa dni temu straciliśmy woźnicę. Odjechał zaledwie czterdzieści jardów od stajni. Znaleźliśmy go ze strzałą w piersi. Żadnych przejażdżek, Eleanor.

Badawcze spojrzenie Castletona przyciągnęło uwagę Eleanor Warren. Na jego twarzy malowało się pytanie, wyraźne i ponaglające. W żółtym świetle lampy widać było na jego policzkach silne, intensywne kolory. Opuściła wzrok, słysząc, jak mówi głosem podszytym ekscytacją:

— Majorze Warren, chciałbym…

Z nocnych ciemności doleciało obwołanie wartownika, a po chwili nadeszła powolna, jakby senna odpowiedź. Wartownik zawołał:

— Kapral dowódca warty, posterunek numer jeden!

Major Warren przeprosił i opuścił pokój, a na placu apelowym rozległ się tętent przybywających koni. Zapadła chwila ciszy, podczas gdy pozostali oficerowie z ciekawością przyglądali się Philowi Castletonowi.

— O co chodzi? — spytał kapitan Harrison w swoim bezpośrednim stylu.

— Myślę, że powinienem poczekać na powrót majora Warrena — odparł Castleton.

Spokojna i bystra Eleanor Warren zauważyła sposób, w jaki inni obserwowali Castletona. Z zainteresowaniem, ale także z rezerwą, jakby coś ich powstrzymywało. Miał w sobie tak niewiele luźnej swobody ich mięśni, przepełniały go takie ogromne ambicje, by robić postępy w swoim zawodzie. To była cecha, która go napędzała, to była jego siła. Jednak - i pomyślała to powoli, oraz przyznała to z pewną niechęcią - była to również i słabość. Garnizon był zżytą społecznością; trzeba było dużo dawać i można było dużo brać. Pomyślała: „Będę musiała go przed tym ostrzec".

Głos jej ojca w ciemności zabrzmiał serdecznie i radośnie. Ktoś mówił do niego łagodnymi, rozwlekłymi słowami; zwolnieni żołnierze przeszli przez plac apelowy. Major Warren wrócił do pokoju z długonogim porucznikiem, którego widziała poprzedniej nocy na wzgórzach.

— Eleanor — powiedział Warren — przedstawiam ci pana Benteena z oddziału I. Moja córka, Eleanor, panie Benteen.

Benteen ściągnął kapelusz z głowy o piaskowo-rudych włosach. Był wyższy od wszystkich oficerów w pokoju. Jego twarz pokryta była świecącym na rudo jednodniowym zarostem, przypudrowana alkalicznym pyłem i poznaczona suchymi śladami po pocie. Oczy aż po szare głębiny zdradzały zmęczenie, a ramiona okazywały je, opadając pod szarą bluzą munduru. Miał wydatne kości policzkowe, z niewielką blizną, która przecinała białym śladem prawy policzek, oraz długie wargi, które w końcu się stykały w kącikach ust.

Eleanor Warren wyciągnęła dłoń.

— Cieszę się, że wrócił pan szczęśliwie do regimentu. Panie Benteen.

Shiraz szepnął teatralnie do Benteena:

— Ostrzegam cię, Tom. Służy w tej armii już przez długi czas i zna regulamin lepiej niż większość oficerów.

Jego dłoń była niezwykle szeroka i ciężka w knykciach. Była w nim widoczna rozwaga i wiedziała, kiedy przedłużała się cisza, że nie śpieszy się z niczym. Stał tak, uważnie ją obserwując, jakby chciał dobrze się jej przyjrzeć i dowiedzieć się, jaka ona jest; i z jakiegoś dziwnego powodu czuła, że za tymi szarymi i leniwymi oczami zestawiał ją z innymi kobietami, które znał, i porównywał ją z nimi. W pewien sposób ustawiało ją to w defensywie, niepokoiło ją. Kiedy się uśmiechnął, jego usta rozchyliły się, odsłaniając ciężkie, białe zęby. Jego głos był w niewymuszony sposób powolny.

— Wspominano mi o pani wielokrotnie. Chciałbym być w Stanton. W obecnej sytuacji, zaczynam z opóźnieniem.

Była to uprzejma odpowiedź mężczyzny, a jednak swobodna artykulacja jego głosu wzbudziła jej silną ciekawość.

Kapitan Harrison spytał:

— Czy natknąłeś się na ślady Antone?

— Jest już dobre osiemdziesiąt mil z powrotem w paśmie Pinal. Ale dowiedziałem się trochę o jego nawykach, i przyda się to podczas następnego pościgu. — Podszedł do Harriet Mixler, jego długie ciało lekko się nachyliło. Eleanor zauważyła, że jego twarz zrobiła się łagodna. W głosie Benteena wyraźnie było słychać przyjazne uczucia. — Wczoraj minąłem się z oddziałem George'a. Wróci jutro.

Dostrzegła lekką aurę przyjemności, jaką ten człowiek wywołał na twarzy Harriet Mixler. Jej pojawienie spowodował jego sposób bycia, jego wiedza o kobietach. Phil Castleton, jak zauważyła od razu, wydawał się kompletnie niezainteresowany tą sceną. Jego spojrzenie obiegło Benteena i uleciało gdzieś w bok; i ponownie zdała sobie sprawę, Phil że nie lubi Benteena.

Ta świadomość dziwnie ją zaniepokoiła. Phil Castleton odwrócił się do niej, znów z pytaniem w oczach; stanął obok niej.

— Panie majorze — oznajmił z wyraźną nerwowością w głosie, — Eleanor i ja chcielibyśmy prosić pana o zgodę.

Warren miał właśnie w ustach czarne meksykańskie cygaro. Jego czubek poszedł do góry, wyciągnął po nie rękę i cofnął ją, szczerze zdziwiony. Doktor Shiraz głęboko odetchnął i mruknął:

— No cóż, niech mnie diabli.

Cisza, która potem zapanowała, sprawiała niesamowicie dziwne wrażenie. Eleanor Warren wzięła Castletona pod ramię, zawstydzona powszechną badawczą reakcją tych wszystkich ludzi. Poczuła sztywność ciała Castletona, jakby stawiało opór pomieszczeniu, jakby był przygotowany na kłopoty. Coś tu było bardzo dziwnego, coś w tej ciszy. Benteen przeszedł dookoła grupy, jego głowa przesunęła się nad nimi wszystkimi. Jego spojrzenie przykuło jej uwagę i znów, jak kiedyś, wiedziała, że zabrał ją gdzieś daleko, w swe najgłębiej skrywane myśli.

Jej ojciec oznajmił refleksyjnym tonem:

— Miło mi to słyszeć. Oczywiście, macie moją zgodę. — Podał rękę Castletonowi i popatrzył na młodszego oficera w sposób, jakiego nigdy nie mogła zapomnieć - w sposób, jakiego nigdy nie była sobie w stanie opisać.

Podeszła Harriet Mixler.

— Eleanor — powiedziała. — Eleanor.

W ciemności rozległo się wołanie wartownika i wzdłuż linii przebiegło wezwanie kaprala warty; przez plac apelowy przebiegł tupot szybkich kroków. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak kluczowe znaczenie miał ten posterunek dla mrocznej tajemnicy, która spływała ze wzgórz. Wszyscy oficerowie poruszyli się, jakby wyczuli zapach kłopotów. Howell Ford wymknął się z drzwi, ale wkrótce powrócił.

— Jest tutaj Nachee, z czymś.

Warren skierował się na zewnątrz, a za nim natychmiast podążyli inni oficerowie. Eleanor Warren też ruszyła ich śladem, lecz została powstrzymana nagle przez wyciągniętą rękę Harriet Mixler. Kobieta w widoczny sposób się trzęsła.

— Nie idź tam! — powiedziała. — Zostań tutaj!

Z drzwi budynku obie kobiety obserwowały scenę na placu apelowym. Podbiegł tam człowiek z latarnią, trzymając ją wysoko nad głową. W jej świetle Eleanor zobaczyła Indianina z plemienia Apaczów na wpół otoczonego przez oficerów. Był niski i chudy, ubrany w koszulę, przepaskę biodrową i mokasyny, ze zrolowanymi do dołu legginsami. Opaska na głowę utrzymywała grzywę czarnych włosów, a w jego oczach, oświetlonych blaskiem latarni, widać było wyraźny błysk. Na plecach niósł worek.

Jej ojciec zawołał:

— Gdzie jest Manuel Dura?

Przez cienie parady przecisnął się jakiś cywil i podszedł do grupy. Jej ojciec powiedział:

— Dowiedz się, czego on chce, Manuelu.

Manuel Dura powiedział coś w miękkim, rozciągniętym, skręconym języku, przesuwając tam i z powrotem palcem przed Apaczem. Twarz Indianina była obojętna, niewzruszona. Odpowiedział szybko.

Manuel Dura przekazał:

— Nie będzie mówił, dopóki nie przyjdzie Nantan z Długimi Nogami. Pana Benteena zna najlepiej.

Eleonora nie zauważyła do tej pory, że Benteen stał koło rogu domu, z dala od rozmów. Wystąpił naprzód.

Indianin zaczął mówić, a Manuel Dura tłumaczył.

— Panie majorze, powiedział, że chcieć pan Indianina, który zabić wodza. Nachee jest dobrym Indianinem, ale ten drugi być zły. Więc Nachee przyniósł ci tego złego.

Benteen powiedział coś w języku Apaczów. Apacz uniósł brodę, mruknął „Enju” i zrzucił z ramienia torbę. Jakiś przedmiot głucho uderzył o ziemię, po czym Castleton szybko zrobił krok do przodu, by zasłonić go przed kobietami. Nie był jednak dostatecznie szybki. Eleanor odwróciła się w stronę Harriet Mixler, próbując zasłonić Harriet widok, zrobiła się blada i zbierało jej się na mdłości. Z worka wytoczyła się odcięta głowa Apacza.

— Niech to diabli… — mruknął Warren, mimowolnie zawieszając głos.

— Co to było? — wyszeptała Harriet Mixler.

— Nie widziałam — odparła Eleanor.

Indianin wyślizgnął się w ciemności bez żadnego szmeru. Doktor Shiraz schylił się, wepchnął głowę do worka i podniósł go. Stwierdził chłodno:

— Całkiem niezły okaz — i odszedł przez plac apelowy w stronę swojej kwatery.

Pozostali oficerowie rozeszli się. Major Warren wrócił z bardzo krzywym wyrazem twarzy. Popatrzył na Harriet Mixler i od razu skłamał:

— Przyniósł mi rozbity dzban. To indiański znak kary dla jednego z ich ludzi.

Wszedł do pokoju i nalał sobie kieliszka wina. Castleton stał w drzwiach, przez chwilę obserwując Eleanor. Powiedział:

— Zobaczymy się jutro — i przeszedł przez paradę.

— Wróć ze mną do mojego adobe — poprosiła Harriet Mixler.

Przeszły wzdłuż szeregu oficerów. Sygnał wezwania do kwater na nocny spoczynek przebił rozgrzane gorącem ciemności nocy, każda nuta dźwięczała czystym, długim echem nad placem apelowym, nad przyległą doliną. Następnie wartownicy przekazali sobie od posterunku do posterunku cogodzinny sygnał, ten rytuał przebiegał od numeru jeden przy wartowni aż do samotnego numeru dziesięć w gąszczu szałwii u ujścia Aravaipa Creek. Po prawej stronie chodnika, wzdłuż placu apelowego, widać było sylwetki wystawionych dla względnego chłodu na dwór, żelaznych prycz oficerskich. Z okien nieregularnego czworoboku koszarowego mrugały światła, a ktoś wewnątrz zaśpiewał:

— Canreen… Canreen.

Harriet Mixler zatrzymała się przy drzwiach, opierając się ramieniem o framugę. Powiedziała:

— Chciałabym, żeby George wrócił. To taki okrutny kraj. Kiedy dziecko się urodzi — zaraz jak tylko będzie w stanie podróżować — jadę na wschód. Nigdy już nie wrócę do wojska.

— Jak długo jesteś w jednostce wojskowej, Harriet?

— Rok.

— Poczekaj jeszcze rok, a już nigdy inne życie nie będzie ci się podobać.

— Nie mnie — oznajmiła Harriet Mixler tym samym martwym, pełnym oporu głosem. — Ja tu nie zostanę. Dobranoc.

Niepewnie weszła do domu. Eleanor poszła dalej, jej kroki odbijały się echem w coraz głębszej ciszy. Dokładnie na wschodzie leżała czarna bryła gór Galiuro, ich szczyty rysowały się wysokie i niewyraźne na tle szaro-czarnego nieba. Nie było wiatru i gorąco ledwie co osłabło w oddechu tego palącego powietrza. Światła na czworoboku tu i ówdzie gasły.

Zapach kurzu i pobliskich stajni, szałwii i świeżo upieczonego chleba, skóry, płótna — wszystkie te stare, znajome zapachy posterunku wojskowego były tutaj, pocieszając ją, zapadając w jej świadomość, witając ją w domu.

Skręciła za róg rzędu łóżek oficerskich, gdy usłyszała pełen niesmaku głos kapitana Harrisona dochodzący z drzwi ostatniego domu z adobe.

— Trzy asy — a ty masz kolor. Pewnego dnia, Benteen, złamiesz sobie kark, próbując wykręcić te przeklęte rzeczy.

Ton Benteena był taki sam jak wcześniej wieczorem, senny i przygnębiający:

— Całkiem przyjemny sposób na śmierć.

Odwróciła się i popatrzyła na nich przez chwilę, przez otwarte drzwi. Wokół małego stolika siedzieli Harrison, Shiraz, Benteen, Howell Ford i jakiś cywil, w połowie skryci za mgłą ciężkiego dymu tytoniowego. To Benteena obserwowała, z wyraźnym zaciekawieniem, które znów wzrosło. Odchylił się na krześle całkowicie rozluźniony, jakby wszystkie jego mięśnie kompletnie obumarły. Jego nogi rozłożone były pod stołem, a długie ramiona leżały na blacie, jedną dłonią dotykając szklanki whisky. Czarne meksykańskie cygaro wystawało z kącika jego długich ust. Tylko częściowo widziała jego twarz, ponownie zauważając, że chociaż się nie uśmiechał, w głębi jego twarzy krył się cień jakiejś uśmiechniętej świadomości. Zgadywała, że nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat, co sprawiało, że wydawało się dziwne, iż widać było u niego coś w rodzaju pełnej doświadczenia kompletności i cień innych podobnie dojrzałych uczuć, skrytych za kiepską maską sceptycyzmu jego solidnych rysów.

Kapitan Harrison powiedział:

— Co zamierzasz zrobić z tą przeklętą, makabryczną głową, Shiraz?

Doktor Shiraz odparł:

— Niech suche powietrze ją zmumifikuje. Chyba wyślę ją do Smithsonian. To rzadki okaz.

— Tylko lekarz wojskowy mógłby mieć takie makabryczne zainteresowania — skomentował to Harrison. — Wezmę trzy karty.

Eleanor zawróciła, idąc szybciej, i zobaczyła ciemną postać czekającą w pobliżu kwatery jej ojca. Jej serce trochę przyspieszyło, gdy Castleton odezwał się.

— Eleanor — powiedział i podszedł do niej. W jego słowach była zręczność, słodka, a jednak dziwna. — Eleanor, Bóg wie, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś. Byłem taki samotny. — W tej ciemności jego opanowanie zniknęło. Wziął ją i pocałował, a przez chwilę nie myślała o niczym innym; po trzech latach czekania, tego właśnie chciała, tak właśnie powinno być.

Odsunęła się od niego, bez tchu i bliska śmiechu.

— Czemu miałbyś być samotny, Phil?

Powiedział:

— Nie należę do miłośników gry w pokera, Eleanor.

Wychwyciła pośredni komentarz do gry na końcu rzędu łóżek oficerskich. Przyznała, że niektóre opinie tego człowieka były podyktowane zazdrością lub ciasnotą, wynikającą z jego zbyt intensywnej dumy, którą tak bardzo podziwiała. Nigdy nie pozwolił sobie na luksus bezczynności lub głupoty, w sposób typowy dla przeciętnego oficera. Była dziewczyną z wojska, w pełni rozumiejącą tych energicznych, szczodrych i niezwykle prostych mężczyzn, którzy jeździli przez pył pustyni; i zdawała sobie sprawę z tego, że w cygarze, w szklaneczce whisky, w partii pokera, znajdowali pocieszenie po rutynie ciężkiej pracy. Pomyślała sobie, że to kwestia, którą będzie musiała pokazać Philowi Castletonowi, zanim

nieprzerwane napięcie życia w garnizonie na pograniczu doprowadzi go do krańcowego zgorzknienia. Powiedziała łagodnie:

— To byłoby dla ciebie dobre, Phil. Dlaczego do nich nie dołączysz?

W jednym krótkim zdaniu odpowiedział jej dlaczego — choć nie zdawał sobie z tego sprawy:

— Nie zostałem poproszony, żeby do nich dołączyć.

Oznajmiła: „Och, mój drogi!" Ale mruknęła to tylko pod nosem. To było odkrycie, które ją zaszokowało, obudziło jej opiekuńczość i przyciągnęło ją bliżej niego. Jakiś czyn, jakieś zdanie lub sposób jego wypowiedzi wywołały ich cichą niechęć, a to była strasznie poważna sprawa w tak zwartej rodzinie jak regiment. Ludzie potrafili być okrutni w osądzie innych ludzi; okrutni i realistyczni, a czasem nieprzejednani. Cokolwiek zrobił, żeby ich od siebie odrzucić, musiało to zostać zniwelowane. Trzeba było znaleźć przyczynę i wyjaśnić mu to.

— Musisz zacząć traktować to tak jak oni, żeby cię o to poprosili — powiedziała.

Krótka odpowiedź pokazała jego nieustanie odświeżającą się niechęć.

— Nie mam czasu, by uczyć się posterunkowej polityki, Eleanor.

— Będziesz pracować z ludźmi przez całe życie. To nie jest polityka. To twoja kariera. — Ale pomyślała: „Będę musiała jakoś lepiej do tego podejść". Był kwadratowym, pełnym napięcia kształtem w ciemności; milczał, pogrążony we własnych żalach. Położyła mu rękę na ramieniu, lekko go uspokajając. — Poczekaj, aż się pobierzemy, panie Castleton. Długo służyłam w wojsku i znam wszystko co jest drobnym druczkiem na dole regulaminu.

Powiedział:

— To było bardzo długie oczekiwanie, Eleanor — i przyciągnął ją do siebie ponownie.

I wtedy wszystkie kłopoty się rozwiały, pozostawiając ją pełną nadziei i podekscytowaną. Jednak dziwne było to, że jakaś część jej umysłu pozostała chłodna i krytyczna. Nawet gdy ją trzymał w ramionach, nie myślał o niej, czuła to. Był zamknięty w sobie, pogrążony we własnym rozumowaniu. Cofnęła się, mrucząc:

— Dobranoc, Phil — i patrzyła, jak zmierza wzdłuż rzędu łóżek oficerskich do swojego pudełkowatego adobe. Poszła prosto do kwatery ojca i zastała go czekającego na nią.

Rozpoczął:

— Przyszło mi do głowy — powiedział bardzo ostrożnie, — że może nie wyraziłem się zbyt dobrze, kiedy Castleton przekazał nam tę wiadomość. To staremu człowiekowi odebrało dech w piersiach, córeczko. Ale wiesz, co czuję. To cholernie miłe wiedzieć, że będziesz w pułku—

Spytała:

— Jak trafił do nas pan Benteen?

Popatrzył na nią przez chwilę zdziwiony, próbując zrozumieć pytanie.

— No cóż — odparł, — Benteen służył jako szeregowy w czasie wojny secesyjnej i otrzymał nominację prezydencką do West Point. Miał niezłą przeszłość wojenną. Przydzielili go do korpusu inżynieryjnego, ale

najbardziej spodobał mu się nasz korpus i dostał przeniesienie. Ten człowiek to żołnierz do szpiku kości.

— Czy ma stopień Phila?

— Tak.

Powiedziała:

— Dlaczego oficerowie... — i ugryzła się w język, wiedząc, że nigdy nie otrzyma pomocy od ojca. Nie był człowiekiem, który faworyzowałby jednego oficera kosztem drugiego, ani wyrażał opinie na ich temat. Więc poszła do swojego pokoju, słysząc, jak mruczy:

— Już siedzi po szyję w plotkach.

Rozebrała się, założyła szlafrok i wyszła do swojego łóżka wystawionego na placu apelowym. Leżąc na nim z twarzą zwróconą ku dalekim, chmurom punkcików gwiazd, słuchała cichnących odgłosów obozu. Wkrótce jej ojciec także przyszedł w ciemnościach i padł na swoje łóżko z długim, zadowolonym westchnieniem. Chłód w końcu lekko przytępił ostrze gorąca, stając się niezwykle kojący. W odległym zakątku placu apelowego trębacz nieśmiało tchnął dźwięki w swój instrument, wygrywając smutne, mocne nuty capstrzyku, niosące się daleko przez nocne cienie.

Światła w oknach wokół czworoboku zgasły, a wokół niej słychać było tylko stłumione kroki wartowników. Leżąc w łóżku, podniesiona na duchu powrotem do wszystkich tych znajomych rzeczy, Eleanor pomyślała: „Muszę dowiedzieć się, dlaczego oni go tak nie lubią", a potem przypomniała sobie sposób, w jaki spokojne oczy Benteena obserwowały ją i zapisywały w jego pamięci. I w ten sposób zasnęła.

— Majorze Warren! — krzyknął jakiś głos, ciężko dysząc z podniecenia, i obudziła się, siadając na łóżku.

Po placu apelowym przemykały jakieś cienie. Ktoś zawołał:

— Kolumna wozów Summertona - w kanionie!

Trąbka wyskrzeczała głośne wezwanie „Do koni", cienie nocy rozświetliły światła, a ludzie na całym terenie koszar i wzdłuż linii pikiet, zaczęli wykrzykiwać.

— Mnie udało się przedostać — poinformował wyczerpany głos — Reszta... nie wiem...

Nie mogła pomylić długiego, mocnego głosu porucznika Benteena. Zawołał:

— McSween, wyprowadź ludzi!

Rozdział III

Długa, biała koszula nocna jej ojca kołysała się wśród kłębiących się cieni. Benteen przejechał przez plac apelowy kłusem. Jej ojciec powiedział:

— Weź pierwszych dwudziestu ludzi, jakich znajdziesz i wyruszajcie. Znasz to miejsce?

Benteen odpowiedział:

— Tak jest. W kanionie — i odwrócił się. Jego głos rozległ się w mroku, mocno przebijając się przez tło tłumu ludzi na planu apelowym. — Sierżancie McSween, dwadzieścia osób z dowolnego oddziału. Oldbuck, napełnij dodatkowe bukłaki.

Major Warren krzyknął:

— Doktorze Shiraz, proszę towarzyszyć temu oddziałowi.

Żołnierze już sformowali się w centrum placu apelowego, popychani przez spiżowy głos McSweena. Phil Castleton podszedł do Warrena. Eleanor usłyszała w jego słowach podekscytowanie:

— Panie majorze, czy mogę też jechać?

— Oczywiście — odparł Warren. Poszedł w kierunku kwatery i zaklął z pasją, gdy jego bose stopy zahaczyły o deski werandy. Howell Ford przebiegł obok niego i rzucił do nikogo w szczególności:

— To znowu Antone!

Siedząc wyprostowana na swojej pryczy, zmrożona pomimo nocnego gorąca, zobaczyła żołnierzy formujących szeregi. Stali koło koni.

— Przygotować się do wsiadania! Na koń!

Usłyszała, jak klapią w siodła. Kurz wzbił się wzdłuż placu apelowego.

— Dwójki w prawo, marsz!

Kolumna przejechała obok niej. Głos Benteena brzmiał pewnie i chłodno.

— Galopem!

Oddział wyjechał z placu apelowego, mocno uderzając kopytami. Harriet Mixler zawołała ją: „Eleanor… Eleanor”, ale Eleanor Warren czekała jeszcze chwilę, łowiąc uchem, jak oddział dociera do koryta San Pedro, pędzi po żwirze i zmierza na południowy zachód. Wkrótce potem, gdy łoskot i tętent ucichły, podeszła do pryczy Harriet Mixler i pochyliła się nad nią. Ciało Harriet było roztrzęsione. Chwyciła Eleanor za ramiona. Wydyszała:

— Nie odchodź. Zostań tutaj – ze mną.

Benteen poprowadził swój oddział na południe, w górę wyschniętego koryta rzeki San Pedro, podążając wyboistą drogą dostawczą do Tucson. Dopóki droga stała otworem, pędził galopem, mijając światła rancza Valley i podążając dalej przez tę noc, w której smugi paloverde oraz pitahaya o wysokich łodygach, tworzyły upiorne widowisko. Dojechali do żwirowego dna strumienia i przeszli do stępa. Doktor Shiraz jechał z tyłu kolumny. Castleton podjechał do Benteena.

— Kto tam był?

— Dwa wozy wiozące zaopatrzenie na ranczo Summertona. Było już po zmroku. Było tam czterech ludzi. Wozy zostały spalone, a muły zabite. Nie wiem, co z ludźmi.

— Nie rozumiem, jak tacy starzy wyjadacze mogli wjechać w zasadzkę — stwierdził Castleton z niechęcią. — Ci ludzie są zbyt nieostrożni. To oczywiście znowu Antone. Myślałem, że wytropiłeś go w górach Pinal.

— Może się myliłem — powiedział Benteen.

— Być może — odpowiedział Castleton. Obecność Benteena zawsze działała na niego w ten sposób, budząc urazę, której nie potrafił do końca ukryć. Sposób bycia tego wysokiego, człowieka o piaskowych włosach, swobodnego do granic indolencji, silnie naruszał jego własne wyobrażenie o zachowaniu oficera. Dla niego Benteen był luźny i niechlujny, bardziej jak jakiś student, a nie ktoś narzucający sobie twardą dyscyplinę, nie zachowywał tego ścisłego i samotnego dystansu, ani nie posiadał tego nieustannie napędzającego poczucia obowiązku, którym Phil Castleton kierował się w życiu. A jednak człowiek ten był uważany za najlepszego żołnierza w walkach z Indianami w regimencie.

Światła fortu zniknęły za horyzontem i niewielka dolina skręciła na zachód, zbliżając się do krawędzi Tortillas. Osiem mil dalej grupa wjechała w wąwóz między Santa Catalinas a Tortillas i pogrążyła się w kompletnych ciemnościach:

Benteen przerwał długie jeździeckie milczenie, by zadać Castletonowi pytanie, które go zaskoczyło.

— Podoba ci się ta kraina, Phil?

Castleton odparł:

— Pełnię służbę na każdym posterunku, niezależnie od tego czy mi się podoba, czy nie.

— Nie — powiedział cicho Benteen, - nie to miałem na myśli.

— Trochę późna pora na filozofię.

— Im późniejsza noc, tym lepsza filozofia — zauważył Benteen. — Im mocniejsze cygaro, im głębszy drink, im piękniejsze kobiety - tym lepsze myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Nigdzie nie ma nocy takich jak w Arizonie, nie ma dźwięków, zapachów ani kolorów tak ostrych jak tutaj. To kraina, która robi wszystko na pełnych obrotach, opala człowieka na czarno, wysusza go na coś tak kruchego jak wybielona kość, zbliża go do nieba bardziej, niż kiedykolwiek chciałby dotrzeć.

— Poetyckie fantazje — stwierdził Castleton.

Głęboki chichot Benteena zabrzmiał luźno i swobodnie.

— Coś ci umyka, Phil. Nie znajdziesz tego w Taktyce kawalerii Cooke'a.

Podłoże, o które stukały kopyta koni, było kamieniste i twarde, a z przodu dobiegały ostre odgłosy. Każdy dźwięk wydawał się coraz głośniejszy - pisk skóry, słaby brzęk i stukot przedmiotów z metalu. Kiedy zatrzymali się na krótki odpoczynek, cisza opadła na nich jak jakiś ogromny ciężar. Kanion był może dwa razy szerszy niż szerokość wozu, a jego ściany wydawały się gładkimi skałami sięgającymi na pięciuset stóp wysokości. Nad nimi niebo mieniło się blaskiem odległych gwiazd.

Sierżant McSween mruknął:

— Meksykanin powiedział, że będzie w pierwszym otwartym miejscu. To pół mili przed nami, panie poruczniku.

Ruszyli dalej. Benteen rzucił przez ramię:

— Zmniejszyć odległości.

To było samo jądro nocy, intensywne ciemności godziny drugiej, które oślepiały człowieka gęstością swojego mroku. Gdzieś ze skalnej szczeliny tryskała woda, a powolny prąd powietrza owiewał okolicę słabym chłodem; w powietrzu unosił się zapach dymu. W miarę posuwania się do przodu ściany nieco się obniżyły. Castleton, jadący jako drugi w jednorzędowej kolumnie, widział, jak ramiona Benteena podskakują i zdają się unosić do góry. Benteen zatrzymał się nie wydając rozkazu, a reszta ludzi delikatnie zderzała się ze sobą. Przed nimi niewyraźnie widać było czerwone oko ognia; zapach spalonego drewna, tkanin i kawy był bardzo silny. Benteen zawołał:

— Halo, wozy.

Zawołanie przetoczyło się po małej polanie i odbiło echem od ścian kanionu. Zapach prochu ciągle unosił się w powietrzu. Gdy Benteen ponownie ruszył naprzód, Castleton wyciągnął z kabury rewolwer i znalazł się obok niego. Obaj podjechali w kierunku samotnego oka ognia. Benteen mruknął „McSween” i zsiadł, potykając się przy pierwszym kroku. Castleton zobaczył, jak jego cień pada na ziemię i usłyszał gderliwe przekleństwo Benteena.

— To jeden z nich - martwy jak kamień.

Żołnierze rozeszli się po polanie. Idąc naprzód, Castleton natknął się na jakąś twardą skrzynię wyrzuconą z wagonu. Wokół porozrzucane były zapasy. Gorąco z niedawnego pożaru uderzyło go w twarz i, bliżej pojedynczego czerwonego oka światła, dotknął wciąż gorącego metalu obręczy koła wozu.

Z drugiej strony polany dobiegł głos McSweena.

— Nic tu nie ma, panie poruczniku.

Benteen przedostał się przez ciepłe popioły spalonych wozów, dokładnie badając teren. Wrócił do martwego mężczyzny i zapalił siarkową zapałkę. Był to Meksykanin, leżał z twarzą skierowaną ku górze i rozłożonymi ramionami. Zapałka zabłysła odbijając się pomarańczowym blaskiem na długiej szczęce Benteena i zgasła, a czerń nocy stała się jeszcze gęstsza niż wcześniej.

McSween powiedział, nieco głębiej w kanionie:

— Te diabły były całą bandą. Przeklęte dzikusy podprowadziły ich tutaj i pozabijały.

Benteen stwierdził:

— Jeden nie żyje. Pozostali trzej uciekli w ciemnościach. Mieli dużo szczęścia. McSween, zostaw tu pięciu ludzi. Rano przyślemy ambulans po tego człowieka.

— Benteen — wtrącił Castleton — zostały dwie godziny do świtu. Chciałbym prosić o pozwolenie na pozostanie tutaj i odnalezienie śladów Indian. Zaoszczędzi to sporo czasu.

— To — zauważył Benteen — wydarzyło się po zmierzchu. Sześć godzin temu. Indianie są już czterdzieści mil stąd.

— Czy mam twoje pozwolenie? — nalegał Castleton.

— Nie — odparł Benteen.

Castleton wrócił do konia, a jego buty zgrzytały głośno w luźnym żwirze.

Benteen rozpoczął: „McSween…” i urwał. Z jakiegoś ciemnego zakątka dobiegł chłodny głos - kobiecy głos.

— Zabierze mnie pan do Camp Grant, panie poruczniku?

Benteen mruknął zdumiony:

— Na miłość boską — i pobiegł szybko w kierunku źródła tego dźwięku. — Gdzie pani jest?

Zapalił kolejną zapałkę, kierując jej pierwszy jasny płomień na nagle wstającą postać dziewczyny w szarej sukience. Leżała na ziemi, bez ruchu i nie odzywając się, przez cały ten czas, kierowana ostrożnością, która powstrzymywała ją od ujawnienia się aż do ostatniej chwili.

Miała okrągłą, ciemną twarz. Na jej czarnych włosach widać było smugi kurzu. Usta miała zaciśnięte, lecz w ostatnim błysku światła zapałki nie dostrzegł w jej oczach strachu. Szedł dalej przez opadające ciemności i chwycił ją za ramię.

— Meksykanin nic nie wspominał o kobiecie jadącej w tym wozie.

— Nie — powiedziała.

— Była pani w wozie?

— Tak.

— Jak udało się pani uciec przed Indianami?

Wyjaśniła krótko:

— Wyczołgałam się i uciekłam.

W jej głosie nie było słychać podniecenia; był bierny, całkowicie obojętny, Podtrzymywał ją za ramię, wracając po żwirze. Nie wydawała się potrzebować jego pomocy, szła równie pewnie, jak on. Powiedział:

— Wezmę konia od jednego z ludzi, którzy tu zostają.

McSween zawołał:

— Noreen, twój koń.

Noreen podszedł ze swoim wierzchowcem i stanął obok. Dziewczyna odsunęła się od Benteena i zanim ten zdążył jej pomóc, była już w siodle, a jej głos docierał do niego spokojnie.

— Poradzę sobie.

Benteen dosiadł konia i ruszył z powrotem przez kanion. Reszta oddziału w milczeniu podążała za nim.

Jechała obok niego. Pochyliła się, aż poczuł, że jej ręka dotyka jego ramienia, jej głos zmienił się w cichy szept, a jej słowa docierały tylko do niego.

— W tym wozie było 3000 dolarów w złocie, panie poruczniku. Zabrali je.

— Antone?

Jej ręka zsunęła się z jego ramienia; nie odpowiedziała.

Po wschodzie słońca Eleanor Warren stała w drzwiach domu komendanta posterunku i patrzyła, jak z koryta potoku Aravaipa wyłania się powracający oddział. Ludzie zebrali się ze wszystkich stron posterunku, a major Warren, wychodząc z domu, powiedział:

— Na Dzwony Godfreya, kobieta!

Oddział zatrzymał się, Benteen opuścił siodło i podał kobiecie rękę by zsiadła. Stała przez chwilę w mocnym słońcu, rozglądając się po czworoboku ze spokojną obojętnością - a potem zwróciła uwagę na Benteena. Miała około dwudziestu pięciu lat, jak oceniła Eleanor, silne ciało, prześwitujące przez obcisły materiał sukni, gładką, ciemną skórę i głębokie czarne włosy zaczesane surowo na tył głowy. To jej oczy przyciągnęły uwagę Eleanor. Były zacienione, skryte i powściągliwe - jakby tkwił w nich twardy charakter tej ziemi i nic nie zdradzały. Lecz nieustannie obserwowała Benteena, ta krzepka dziewczyna w wyplamionej pyłem sukience; Eleanor, bystra obserwatorka, zauważyła sposób, w jaki Benteen na nią patrzył i ewidentnie uznał ją za interesującą.

Benteen zameldował Warrenowi:

— Jeden człowiek - Meksykanin - nie żyje, panie majorze. Pozostali uciekli. Wozy zostały spalone, a muły zabite. Znalazłem tę kobietę. Zostawiłem tam niewielki oddział.

Warren zwrócił się do Howella Forda.

— Proszę zabrać tam ambulans i sześciu ludzi, panie Ford.

Benteen przyprowadził dziewczynę do ramady, powiedział do niej:

— Nie znam pani nazwiska.

Zdawała się przez chwilę zastanawiać nad tym pytaniem, a potem wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

— Lily Marr.

— To jest panna Warren. To jest major Warren.

Eleanor wzięła dziewczynę za rękę i wprowadziła ją do kwatery komendanta, a Warren i Benteen podążyli za nimi. Widać było różnicę między tymi dwiema kobietami - różnicę w opanowaniu, w milczeniu Lily Marr i lekkim, przyjemnym głosie Eleanor Warren.

— Będzie pani chciała się umyć i odpocząć. Najprawdopodobniej też, umiera pani z głodu. Czy to było bardzo straszne?

— Nie — odparła Lily Marr. — Nie było aż tak źle. Nic nie jest złe, jeśli się o tym nie myśli.

— Jak może pani o tym nie myśleć? — spytała Eleanor Warren zdumionym głosem.

Dziewczyna spojrzała na Eleanor, jej oczy były czujne, a wyraz twarzy wciąż powściągliwy.

— Można nie myśleć o wszystkim.

Benteen powiedział:

— Meksykanin, który podniósł alarm zeszłej nocy, nie wspomniał o kobiecie w wozie.

Lily Marr uniosła ramiona i pozwoliła im opaść.

— Nie wiedział, że tam się znajduję. Nikt nie wiedział, z wyjątkiem Summertona. Wkradłam się do wozu w Tucson i ukryłam pod plandeką, Summerton uważał, że tak będzie bezpieczniej. Kiedy nastąpił atak, było już zupełnie ciemno. Ludzie wyskoczyli na zewnątrz, w ciemności, przez cały czas strzelając. To dało mi szansę na ucieczkę. Nie trwało to długo.

Major Warren zapytał:

— Jak to się stało, że pani się tam znalazła?

Dziewczyna, tak jak poprzednio, zastanawiała się nad tym pytaniem przez dłuższą chwilę. Odpowiedź jakiej udzieliła była sucha i krótka.

— Jechałam na ranczo Summertona, by zostać tam kucharką i gospodynią.

Eleanor Warren wtrąciła:

— Niech pani nie odpowiada już na żadne pytania, Lily. Ci mężczyźni są tacy ciekawscy. Powiem Cowenowi, żeby przygotował dla pani śniadanie.

Poszła do kuchni. Major Warren wyszedł z pokoju, mówiąc:

— Proszę spotkać się ze mną w biurze, panie Benteen.

Benteen oparł się plecami o framugę drzwi. Głowę miał opuszczoną, a jego oczy z uwagą wpatrywały się w twarz dziewczyny. Stała na środku pokoju, odpowiadając na jego spojrzenie. Jej usta lekko się rozchyliły, a powaga delikatnie opadła; nagle podeszła do niego i popatrzyła w górę z ciepłym wyrazem oczu.

— Panie poruczniku — szepnęła — czy mogłabym tu chwilę pozostać?

— Tak — odpowiedział. — Czy zeszłej nocy, to był Antone?

Pozwoliła mu czekać na odpowiedź, dopóki za drzwiami kuchni nie rozległy się kroki Eleanor. Wtedy zbliżyła się do niego, a jej głos przycichł:

— To nie był Antone. To w ogóle nie byli Indianie. Indianom nie zależy na złocie.

Wchodząc do pokoju, Eleanor Warren zobaczyła ich tak blisko siebie, z głową dziewczyny uniesioną do góry i wyrazem twarzy łatwym do określenia. Benteen wyszeptał:

— Dziękuję — i wyszedł z pokoju, schylając głowę, by uniknąć uderzenia w drzwi.

Zastał majora Warrena i innych oficerów zebranych w kwaterze głównej posterunku. Manuel Dura i Al Hazel, dwaj przewodnicy posterunku, byli również w pomieszczeniu.

Al Hazel kucał na podłodze, rysując patykiem uproszczoną mapę na ubitej ziemi. Był człowiekiem w średnim wieku, z mocno przystrzyżoną brodą i parą oczu, które nigdy nie otwierały się do końca, a które niespokojnie wędrowały z miejsca na miejsce. Nosił wyblakły czarny garnitur, luźną kamizelkę i czarny kapelusz z wąskim rondem; miał reputację najlepszego zwiadowcy w Arizonie.

— Trzeba udać się w górę potoku aż tutaj. Macie tu kałuże wody zebranej w skałach i trochę trawy dla koni. Następnie trzeba jechać na północ, trochę na zachód, między Pinal Mountains i White Mountains,

przekroczyć Salt tutaj i rozbić obóz na Sierra Anchas. To ulubione tereny Antone.

Benteen przysiadł na piętach i patrzył, jak mapa się powiększa. Phil Castleton zauważył:

— Antone był w Pinals przedwczoraj. Jak mógłby tak szybko dotrzeć do wozów Summertona? Uważam, że jeśli będziemy podążać jego śladami prowadzącymi od tych wozów, to znajdziemy go z powrotem w górach Galiuro.

Grupa pozostawiła tę uwagę bez odpowiedzi. Al Hazel uniósł głowę i zmierzył Castletona pustym, uprzejmym spojrzeniem.

— Może tak być — stwierdził cicho. — I może nie być. Ślady Indianina nic nie znaczą. To, gdzie był, nic nie znaczy i to, gdzie będzie, też nic nie znaczy. W przypadku Apaczów tylko jedno ma znaczenie - to, gdzie jest, kiedy się go widzi.

— Te ślady muszą dokądś prowadzić — upierał się Castleton.

Al Hazel odparł:

— Nigdy nie dotarłem do końca powiewu wiatru, podążając za nim, i nigdy nie złapałem Apacza, ścigając go po śladach z miejsca, w którym dokonał napadu.

— W takim razie — zasugerował Castleton, nieco zdenerwowany — jak ich pan znajduje?

Hazel wstał z klęczek. Sięgnął po nóż i bryłę tytoniu, po czym odciął dogodny kawałek do żucia. Trzask ostrza noża, gdy go zamknął, zabrzmiał w ciszy ostrym dźwiękiem.

— Może za dużo gadam — zasugerował z gładkością, która nikogo nie zmyliła. — Chyba lepiej żebym po prostu słuchał. — Lecz jego niechęć do pytania Castletona była oczywista.

Kapitan Harrison zauważył:

— To mógł być jakiś Chiricahua z południa, a nie Antone.

— Możliwe — zgodził się major Warren. — Ale faktem jest, że Antone jest źródłem większości tych najazdów i przyczyną większej części niezadowolenia Apaczów w tym okręgu. Uważam, że moim obowiązkiem jest sprowadzenie go tutaj lub zabicie. Gdyby to się udało, myślę, że zadanie spacyfikowania reszty plemion będzie o wiele łatwiejsze. Nachee może dowodzić większością swoich ludzi i mógłby dowodzić większą ich liczbą, gdyby nie banda buntowników Antone.

Castleton dorzucił:

— Pozwolę sobie powiedzieć, panie majorze, że nie ufam tym tak zwanym pokojowo nastawionym Indianom, zgromadzonym wokół posterunku. Nachee jest Apaczem, a wszyscy Apacze rodzą się, aby oszukiwać.

Benteen wyprostował się ze swojej przykucniętej pozycji na podłodze.

— Nie zgadzam się.

Castletona naskoczył na Benteena.

— Jak to się dzieje, że za każdym razem, gdy wyruszamy tropem Antone, wieści o tym rozchodzą się wcześniej? Nigdy nie znajdujemy Antone. Jego obozy są zawsze opustoszałe, kiedy do nich docieramy.

Uważam, że Nachee obserwuje, jak nasze oddziały opuszczają posterunek i natychmiast wysyła gońców, aby ostrzegli Antone.

— Co więc by pan zaproponował? — spytał major Warren.

— Ostrzejsze środki — odparł Castleton. — Należy zabrać Nachee wraz z jego ludźmi, oraz umieścić ich zamkniętych w obrębie palisady lub całkowicie odsunąć ich od tego posterunku. Trzeba traktować każdego Indianina, który pojawi się w pobliżu tego posterunku, jak wroga. Kula za kulę - podstęp za podstęp.

Major Warren ostrożnie dotknął białych końcówek swoich wąsów.

— W ciągu ostatnich trzech lat Apacze zabili w tej części Arizony mniej więcej siedemdziesięciu pięciu ludzi. Większość bydła została wyrżnięta, praktycznie wszystkie rancza zostały zaatakowane i spalone. W tej części terytorium nie ma żadnej bezpiecznej drogi. Człowiek wyruszający samotnie z Tucson nie ma żadnych szans na dotarcie tutaj żywy. Dwa tygodnie temu pasterz został zabity w odległości mniejszej od zasięgu głosu dzwonów kościelnych w Tucson. Kopalnie zostały opuszczone. Pod każdym względem jest gorzej niż podczas meksykańskiej okupacji.

— Na całej długości San Pedro pozostały tylko dwa rancza — wtrącił Harrison.

— Do tej pory — kontynuował Warren — wysyłałem panów na patrole przede wszystkim po to, by poznali panowie teren i przyzwyczaili się do prowadzenia tego rodzaju kampanii. Teraz proponuję zabrać się do pracy. Będziemy nieustannie wysyłać za Antone oddziały, zmuszając go do ciągłego ruchu, rozbijając jego ranczerie i wypychając go z wybranych przez niego miejsc obozowych. Chcę, byście docisnęli go tak mocno, żeby nie miał czasu zatrzymać się na ugotowanie mescalu ani na odpoczynek. Spodziewam się, że poniesiemy straty, lecz oczekuję też, że nauczymy się tej gry tak dobrze, jak grają w nią Apacze. Nie możemy mieć nadziei, że będziemy poruszać się równie lekko i szybko, jak on, ale możemy mieć nadzieję, że w końcu uda nam się zepchnąć go na złe pozycje, a następnie zbliżyć się do niego. Mam nadzieję, że w tym czasie w jakiś sposób schwytamy paru z jego ludzi i zdobędziemy informacje, które go zdradzą. Jeszcze jedno. Kiedy zastawiamy pułapki, musimy liczyć się z tym, że ktoś będzie zastawiał je także na nas. To stałe zagrożenie. Mamy do czynienia z najbardziej przebiegłymi wojownikami na świecie. To są rzeczy, o których chciałbym, abyście wszyscy pamiętali. Jak dotąd mieliśmy okres szkoleniowy. Ludzie zostali zahartowani, nasze konie są w dobrej formie. Teraz zabieramy się do pracy.

Castleton wyszedł z kąta pokoju. Powiedział swoim pośpiesznym, stłumionym głosem:

— Panie majorze, proszę o pozwolenie na zabranie oddziału do wozów Summertona i ruszenie stamtąd śladem Apaczów.

— Pańska kolej jeszcze nadejdzie — odparł Warren. — Panie Benteen, proszę zabrać oddział dwudziestu ludzi z racjami żywnościowymi na trzy dni. Pojedzie z panem Hazel. Ma pan odnaleźć trop Antone i podążać za nim.

Benteen zaproponował:

— Jeśli pan major pozwoli, chciałbym zostawić ten trop i spróbować czegoś innego. Nauczyłem się paru rzeczy o zwyczajach Antone podczas ostatniego pościgu.

Major Warren przez dłuższą chwilę przyglądał się Benteenowi, a potem przeniósł wzrok na Ala Hazela. Warren był pulchnym, rumianym i wyluzowanym mężczyzną, zwodniczo bystrym w ocenie innych ludzi. Teraz, patrząc na Hazela i Benteena, wyciągnął wnioski głównie na podstawie postawy Hazela wobec Benteena. Cywilny zwiadowca poświęcał Benteenowi pełną i wnikliwą uwagę. Widać było tu zainteresowanie, którego przewodnik, ze swoją lekką nietolerancją wobec młodych oficerów, nawet nie zadał sobie trudu, aby okazać Castletonowi.

Benteen dodał:

— Nie sądzę, by tropy wczorajszego napadu prowadziły do Antone.

Oczy Ala Hazela, nigdy nie w pełni otwarte, jeszcze się zwęziły.

— W tej kwestii, panie poruczniku, chyba ma pan rację.

Natychmiast odezwał się Castleton.

— Może masz jakieś dodatkowe informacje, Benteen.

— Nie zawsze tak jest — wtrącił sprytnie Al Hazel. — Niektórzy ludzie są tacy dobrzy, że wyczuwają, co jest dobre, a co złe w indiańskich śladach.

— Ma pan moje pozwolenie — zdecydował Warren. — Jaki jest pański plan?

— W górę Aravaipa Creek i do Gili, okrążając góry Mescal. Jeśli Antone udał się na tamte wzgórza, powinniśmy znaleźć jego ślady. Chciałbym też wyruszyć dziś wieczorem, dobrze po zmroku.

— Zgoda — oświadczył major Warren i wyszedł z pomieszczenia.

Benteen wyszedł razem z Alem Hazelem. Al Hazel przesunął kapelusz do przodu, by osłonić oczy przed ogromnym blaskiem słońca; jego szczęki delikatnie pracowały nad żutym tytoniem, a przymknięte oczy obserwowały zamglone odległością San Pedro.

— Panie poruczniku, jak nazywa się ta kobieta, którą pan zgarnął?

— Lily Marr.

— Właśnie tak — mruknął Al Hazel i odszedł, chowając dłonie głęboko w kieszeniach spodni.

Rozdział IV

Światło słoneczne rozlewało się po ziemi, wywołując cienkie i ostre błyski cząstek miki w glebie, zaś upał opadał na posterunek, rosnąc stopień po stopniu, aż stał się niemalże namacalną przeszkodą, powoli rozstępującą się pod naporem ciężaru ludzkiego ciała. Flaga zwisała bezwładnie na maszcie, a po placu apelowym jeździł wóz ze zraszaczem, zwilżając piach i pozostawiając za sobą woń pary wodnej. Kilku Indian przyszło ze swojego obozowiska na teren posterunku i przykucnęło w kiepskim cieniu budynku komisarza. Żona Ala Hazela przeszła przez plac apelowy, by zażyć fundowanej przez majora kąpieli, a jej oliwkowe meksykańskie policzki umazane były białą mazią z mąki. Lily Marr spała w łóżku Eleanor Warren snem wyczerpanego człowieka. Na wezwanie do musztry dwa szkieletowe oddziały, I oraz K, wyszły na plac apelowy, gdzie kapitan Harrison, z policzkami poczerwieniałymi od słońca, przeprowadził z nimi krótki trening.

W południe porucznik George Mixler przyprowadził swój oddział wzdłuż koryta Aravaipa Creek i złożył meldunek. Był ciężko zbudowanym, młodym mężczyzną, którego naturalnie pogodną twarz przysłaniało zmartwienie; po powitaniu Eleanor, udał się prosto do swojej kwatery. Z zajmowanego miejsca pod ramadą domu komendanta, Eleanor słyszała, jak rozmawiał z Harriet, i słyszała, jak głos Harriet wznosi się nieracjonalnie i przeradza w płacz.

Dzień wlókł się w nieskończoność, straszliwy letni upał napierał na ogołocony z życia plac apelowy. Eleanor zamoczyła ręce i twarz w letniej wodzie i napędzana niezaspokojoną jeszcze ciekawością, pomimo fatalnej aury, podążyła ścieżką wokół czworoboku koszarowego, mijając kwaterę główną, pocztę, piekarnię, wartownię i sklep dla żołnierzy - oraz wzdłuż szeregu męskich baraków koszarowych. Za magazynem zobaczyła kilku żołnierzy pod otwartą szopą kuźni. Tom Benteen, rozebrany do pasa, trzymał między udami tylną nogę jednego z koni, dopasowując podkowę. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, jak tłumaczy żołnierzom.

— Dopasujcie ją dokładnie, i mocno umocujcie. Weźmiemy kilka dodatkowych podków. Nie chcę, by w tym patrolu brały udział kulejące konie.

Pot lał mu się po skórze, spływał z piaskowych włosów i ściekał po policzkach. Żołnierze wyprowadzali konie ze stajni i odprowadzali je z powrotem, a Benteen stał obok nich.

— Ten zerwie sobie ścięgna po dziesięciu milach. Weź świeżego wierzchowca z corralu, Levi. To wszystko. Sprawdźcie wszystkie sprzączki i klamry. Jeśli macie kiepskie derki, idźcie do kwatermistrza. Po kolacji

napełnijcie manierki. Wtedy dostaniecie też racje żywnościowe. Dodatkowe dwadzieścia naboi do karabinków oraz dziesięć do rewolwerów.

Kiedy się ocknął, zobaczył, jak gorąca zrobiła mu się twarz. Podniósł koszulę z ziemi i założył ją na siebie; podszedł, zdejmując kapelusz; i znów w jego oczach pojawił się uśmiech i ta sama silna ciekawość.

Powiedziała:

— Proszę pójść ze mną. Mamy kilka cytryn z Sonory.

Jego skóra pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli była dosyć ciemna; dłonie miał długie i szerokie w porównaniu z ciężkimi nadgarstkami. Pas spodni opinał typowe dla kawalerzystów smukłe boki, zaś żółty lampas na spodniach sprawiał, że wyglądał na wyższego niż był w rzeczywistości. Chciała, żeby się odezwał, ciekawa, w jaki sposób mógłby przełamać ten dziwny impas między nimi, lecz zachowywał dużą dozę obojętności. Jedyne, co powiedział w odpowiedzi na jej zaproszenie, to rzeczowe: „To cholernie miły pomysł", a jego przekleństwo było tak naturalne i nieszkodliwe, jak tylko mogło być. W pewnej chwili, gdy wracali w poprzek placu apelowego, jej stopa obsunęła się na śliskim żwirze; jego ramię natychmiast ją podtrzymało, a potem, patrząc na niego, zauważyła, jak żywe było zainteresowanie jego szarych oczu.

Poszedł za nią do kuchni w adobe i wrócił na chwilę do umywalki na ganku, aby się obmyć, podczas gdy ona mieliła cytryny i miażdżyła grube grudki cukru. Przyniósł dzbanki wiszące na belkach ganku i nalał z nich letniej wody do szklanek. Usiadł na skraju stołu, wznosząc do niej szklankę.

— Za panią — powiedział i napił się z pożądliwą, słyszalną przyjemnością spragnionego mężczyzny.

— Dobrze byłoby mieć trochę lodu — stwierdziła.

— Sztuka radzenia sobie w tym klimacie — powiedział jej — polega na tym, aby człowiek niczym się nie przejmował. Proszę popatrzeć na Indian lub Meksykanów. Uginają się, ale nigdy się nie łamią. Śpią, kiedy nadchodzi pora snu i pracują, kiedy nadchodzi pora pracy. To godni podziwu ludzie i wiedzą coś, czego większość Amerykanów nie wie, czyli jak czerpać radość z życia.

Był kompletnie rozluźniony, jego mięśnie luźno obwisły, nogi miał rozłożone. Nie było w nim żadnego napięcia, pośpiechu ani zmartwień. Powiedziała:

— Pan też taki jest, ale nie nauczył się pan tego od Meksykanów. Taki się pan urodził.

— Eleanor — oznajmił, — jest pani mądrą kobietą.

— Nie — odparła, — wychowałam się wśród mężczyzn.

Nalała powtórnie do szklanki i usiadła w kącie, coraz bardziej nim zainteresowana. W pomieszczeniu panował głęboki cień i żadne dźwięki nie zakłócały życia posterunku. Nawet w półmroku jej kasztanowe włosy lśniły. Długie usta trzymała łagodnie zaciśnięte, okazując powagę, okazując wolę. Ramiona miała kwadratowe i zdecydowane przyciśnięte do oparcia krzesła; były silne. W wydłużającej się ciszy świadoma była jego ciągłej, ostrożnej uwagi. Pod wieloma względami był dziwnym

człowiekiem, miał bystrzejszy wzrok niż inni mężczyźni, bardziej uważał na szczegóły niż inni mężczyźni. Tkwiło w nim pewne oszustwo - oszustwo bystrego umysłu kryjącego się za pozorną obojętnością. Przeżyła w wojsku wystarczająco długo, by wiedzieć, że wszyscy mężczyźni mają w sobie odrobinę próżności i fałszywej dumy, co czyni ich łatwymi celami dla pochlebstw; te cechy widać było również i u Benteena, jako że był mężczyzną, ale była pewna, że dosyć trudno jest do niego dotrzeć przez pochlebstwo, z powodu widocznej w jego oczach ironii — ironii, która wskazywała na kontrolę osądów zarówno na swój własny temat, jak i na temat innych ludzi. Wrażenie, jakie odniosła w tym względzie, było wyraźne.

Spytała pod wpływem impulsu.

— Tom, czy mógłby pan mi wyrządzić przysługę? Następnym razem, gdy będzie pan grał w pokera, proszę poprosić Phila, by do pana dołączył.

Zawsze niebezpiecznie było ingerować w to, co mężczyźni lubią i czego nie lubią, ale czuła, że między nią a Benteenem szybko nawiązuje się nić porozumienia. Pod pewnymi względami byli ludźmi podobnymi do siebie, oboje potrafili stać z boku i obserwować, jak świat pędzi koło nich. Czuła to w jego przypadku. Pochylił głowę. Jego długi palec wskazujący delikatnie pocierał brzeg szklanki. Odparł:

— Oczywiście — ale brak zainteresowania w jego głosie zdradził jej więcej, niż zamierzał Benteen.

Powiedziała:

— Co się stało?

Uniósł głowę.

— Co?

— Nie — powiedziała. — Nic. To było głupie pytanie.

Pokręcił głową.

— Bezużyteczne, może. Ale nie głupie. Na niektóre pytania nie ma dobrych odpowiedzi. To jedno z nich.

Wstał i podszedł blisko, aż zobaczyła szarość jego oczu i całą ich powagę. Gdzieś w nim, głęboko, nastąpiła jakaś zmiana, na tyle szybka i gwałtowna, że poczuła przypływ tej siły. Zdała sobie sprawę, że próbował jej coś powiedzieć na swój powściągliwy sposób.

— Może pani zmienić kolor sukienki lub sposób, w jaki układa pani włosy. Nie może pani zmienić rodzaju kobiety, jaką pani jest, i nie może pani zmienić mężczyzny w coś, czym pani chce, żeby był. Niech pani nie próbuje tego robić, Eleanor.

Wymamrotała:

— Skąd pan to wie?

— Próbowałam kiedyś.

— Zabrzmiało to, jakby był pan bardzo stary — zauważyła, a jej kobieca ciekawość rosła coraz bardziej.

Miał okazję się uśmiechnąć. To był długi, szczery uśmiech, który ukazywał białe powierzchnie jego zębów.

— W pierwszej mojej bitwie, pod Bull Run, wziąłem udział mając piętnaście lat i dotarłem aż do Appomattox. Dwie rzeczy sprawiają, że

mężczyzna szybko się uczy, jeśli w ogóle jest człowiekiem, który potrafi się uczyć – to wojna i kobiety.

Była praktyczną kobietą, która widziała zbyt wielu żołnierzy, żeby ich nie poznać. Więc powiedziała:

— Kiedy pojawiła się pana pierwsza kobieta, Tom?

— Pierwsza i ostatnia — poprawił ją. — Kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. Była niereformowalną rebeliantką w Nowym Orleanie. Jeśli kiedykolwiek panią zaniesie na głębokie Południe. Eleanor, nigdy proszę nie dać się zwieść magnoliom i letnim zmierzchom.

Od razu zgadła.

— Dlatego się pan przeniósł, prawda? Żeby się od niej uwolnić. Czy ona jest teraz mężatką?

— Nie wiem.

— Myślę — stwierdziła Eleanor, uważnie go obserwując, — że żałowała tego tak samo, jak nadal żałuje pan. Tak to zwykle jest u kobiet.

Rzucił:

— Czy widzi pani u mnie jakiś żal?

Od strony drzwi wejściowych dobiegł głos Phila Castletona.

— Eleanor.

Wszedł do kuchni. Widok Benteena sprawił, że stanął i wyprostował ramiona — na jego twarzy pojawił się wiele zdradzający wyraz; i od razu pomieszczenie zrobiło się za małe dla tych dwóch wielkich mężczyzn. Nie było wątpliwości, że Castleton żywił niechęć do swego kolegi, ale chociaż Eleanor przyglądała się Benteenowi z autentycznym zaniepokojeniem, nie mogła dostrzec u niego żadnej widocznej reakcji.

Przerwała niewygodną ciszę, nalewając Castletonowi szklankę lemoniady.

— Ciepła, ale mokra, Phil.

Wziął szklankę i powiedział „Dzięki", ale nie napił się od razu. Jego zachowanie było dość jasne; chciał, żeby Benteen wyszedł z kuchni.

Benteen zapytał:

— A gdzie jest ta dziewczyna?

— Śpi — odpowiedziała Eleanor. — Chciał ją pan zobaczyć?

— Może — wtrącił Castleton — będzie mogła dodać coś do tego, co powiedziała ci wczoraj wieczorem.

— Co to takiego? — zapytał Benteen, cicho i pasywnie.

Castleton odparł krótko:

— Ona szeptała coś tobie, nie mnie. Moim zdaniem masz szczęście do zbłąkanych charakterów i zepsutych Indian.

Benteen odwrócił się, stając twarzą do Castletona; w tym gorącym pokoju panowała burza i kłopoty. Benteen zauważył:

— Określenie zbłąkany charakter niezbyt pasuje do damy, panie Castleton.

Castleton zarumienił się. Jego krótki śmiech nie skrywał niczego z gwałtownego gniewu, który w nim kipiał.

— Nie znam jej. Do czasu bliższego poznania wycofuję tę uwagę.

Benteen popatrzył na Eleanor.

— Dzięki za drinka — powiedział i wyszedł z pokoju.

Castleton powiedział:

— Jeśli to twój dzień otwarty, Eleanor, czy nie powinnaś zaprosić więcej niż jednego mężczyzny?

Powiedziała łagodnie.

— To była głupia uwaga, Phil.

— Zakochany mężczyzna ma tendencje do zachowywania się jak głupiec — stwierdził i uniósł szklankę. Znów się uśmiechnął. — Za ciebie. — Ale jego oczy, ponad krawędzią szklanki, były okrągłe i gorące od prawdziwego gniewu.

Sierżant McSween zawołał:

— Oddział wyruszy zaraz po capstrzyku, w międzyczasie lepiej trochę odpocznijcie. Porucznik Benteen to człowiek, który lubi jechać do upadłego.

Światło słoneczne przeświecało przez rozciągnięte jutowe zasłony w oknach pokoju koszarowego. W tym gorącym półmroku żołnierze oddziałów K oraz I odpoczywali leżąc na ciasno rozstawionych pryczach. Harry Jackson leżał bez koszuli na słomianym sienniku i czuł jak pot zbiera się pod nim. Na ścianie u wezgłowia łóżka wisiała jego szabla, bluza i czapka koszarowa. Jasna smuga światła przebijała się w rogu zasłoniętego okna i wpadała do środka pomieszczenia. Tuż nad oknem, w szczelinie między cegłami, wisiała nieruchomo tarantula, kula o czarnym futrze, o połowę mniejsza od pięści Harry'ego Jacksona.

Przez półmrok przebijały się leniwie i zmęczone głosy. Harry Jackson kątem oka dostrzegł van Rhyna siedzącego na łóżku i pochylającego się nad książką. Van Rhyn był starszym mężczyzną, w okolicy czterdziestki, z długą, skurczoną twarzą i kościstą sylwetką, której nie dało się zaokrąglić żadną ilością jedzenia. Podobnie jak reszta ludzi, był rozebrany do pasa. Mały złoty medalionik na łańcuszku kołysał się na jego płaskiej piersi. Van Rhyn był dziwnym człowiekiem, który zawsze dbał o czystość paznokci, polerował buty i czasami używał słów, których żaden z pozostałych żołnierzy nie rozumiał. Dla młodego Harry'ego Jacksona, który miał dopiero dwadzieścia jeden lat, wszystko to było bardzo zagadkowe.

Łóżka oddziału I kończyły się na van Rhynie; dalej znajdowała się połówka koszar należąca do oddziału K. Nieco dalej ludzie z K kłócili się o religię i z zadowoleniem kontemplowali fakt, że tego wieczoru nie była ich kolej na służbę. Wielki Mitch Canreen podszedł do okna, odsunął płótno, aby mrużąc oko spojrzeć przez lufę swojego karabinu.

— W każdym razie, chłopcy — oznajmił, – mamy nadzieję, że przynajmniej dobrze się wyśpicie na skałach. Kiedy zobaczycie Indiańców, przywieźcie mi butlę mescalu.

Sierżant McSween nigdy nie pozostawiał obelg bez odpowiedzi.

— Z całą pewnością zobaczymy Indiańców. W oddziale I nie zajmujemy się zrywaniem stokrotek przy drodze. Czy ktokolwiek słyszał, żeby któryś z was wspominał coś o jakichś cholernych dzikusach, których zastrzeliliście?

Na to pytanie odpowiedział kapral Oldbuck.

— No cóż, Benteen ma do tego szczęście – co przyznaję. Castleton, nie.

— Castleton — powiedział inny z żołnierzy. — Ja…

Ale McSween przerwał ten komentarz, zanim się jeszcze na dobre pojawił.

— Nie chcę słyszeć żadnych komentarzy odnośnie oficerów.

Z przeciwległego końca linii I, odezwał się Mitch Canreen:

— Zajmiemy się waszymi obowiązkami, chłopcy — i zaśmiał się długim, jednostajnym śmiechem.

Młody Harry Jackson leżał zupełnie bez ruchu, z nogami wysuniętymi poza krawędź łóżka. Zamknął usta i obrócił dłonie, przyciskając je do łóżka. Jego serce przyspieszyło bicie; gardło sucho szeleściło, gdy przełykał ślinę.

McSween rzucił w odpowiedzi pytanie:

— Co masz na myśli?

— Jeśli chodzi o pana, sierżancie to nic — zawołał Canreen. — Ale może któryś z pańskich chłopaków się dowie.

Znów się zaśmiał. Harry Jackson, z głową na wpół odwróconą, obserwował, jak Canreen kroczy przed siebie. Canreen był ciężkim, paskudnym Irlandczykiem; nawet w półmroku Harry Jackson widział czerń jego brwi i duży zarys jego ust. Canreen był awanturnikiem i stoczył wiele brutalnych walk; widać to było po bliznach na jego twarzy.

— Gdyby to dla mnie cokolwiek znaczyło — stwierdził cierpko McSween — obciąłbym ci uszy.

— Jasne, sierżancie, ale skąd miałby pan coś wiedzieć o miłości, co?

Senna rozmowa ucichła, a Harry Jackson, leżąc płasko na łóżku, wiedział dlaczego. Nawet w tym duszącym upale chłód spływał mu po ramionach, a dołek żołądka zaciskał się na pustce i czuł stary, mdlący strach. McSween przewracał się na pryczy, a jego ciche słowa docierały tylko do Harry'ego Jacksona.

— Lepiej spróbuj go teraz załatwić, synu, albo sprawi, że reszta twojego życia zmieni się w piekło. Nie będziesz miał życia z tym małpiszonem, jeśli uwierzy, że cię wystraszył.

Canreen przeszedł na stronę oddziału I. Zatrzymał się przy oknie i odwrócił, kulista tarantula unosiła się stopę nad jego czarną głową. Jego usta nieustannie się zmieniały, rozluźniały się i zaciskały; miał małe oczka osadzone głęboko w głowie. Trzymał obie ręce za sobą. Powiedział:

— Canreen się tym zajmie. Stary żołnierz pokaże nowicjuszom z oddziału I, co?

Stał u stóp łóżka Harry'ego Jacksona. Na wpół się odwrócił i wyciągnął ręce do przodu, przejeżdżając kijem skrywanej za plecami miotły po podeszwach stóp Jacksona. W martwym powietrzu rozbrzmiał głośny trzask, a gorący ból przeszył nogi Jacksona i sprawił, że stoczył się z łóżka. Po pokoju przetoczył się szaleńczy śmiech Canreena, ale kiedy Harry Jackson zerwał się z łóżka i stanął z nim twarzą w twarz, zobaczył w oczach Canreena zły błysk. Młody Harry Jackson stał na rozstawionych posiniaczonych stopach, z bezwładnymi i luźnymi rękoma. Nie potrafił znaleźć w sobie ani krztyny siły.

Canreen oznajmił:

— Ona nawet za tobą nie zatęskni; Harry. Ja sam spędzę tam noc…

Wciąż się bał, ten młody Harry Jackson; śmiertelnie bał się bicia, które z pewnością dostanie. Lecz Canreen powiedział coś, co wywróciło Harry'ego Jacksona na nice, a strach dzięki temu stał się mniej straszny. Jackson uniósł głowę, wiedząc, że nigdy nie będzie w stanie pobić tego wielkiego brutala, a potem zobaczył wiszącą przy oknie swoją szablę. Wyrzucił rękę, chwycił rękojeść szabli, wyszarpnął ją z pochwy i wykonał jedno szalone, cięcie do zewnątrz, które musnęło powierzchnię klatki piersiowej Canreena, pozostawiając tam słaby czerwony ślad.

Canreen wrzasnął na cały głos. „Hej…!" i uskoczył do tyłu. ludzie wyskoczyli z prycz. McSween zawołał:

— Nic z tych rzeczy, chłopcze! Nic z tych rzeczy!

Harry Jackson tego nie słyszał. Strach i zazdrość w jego wnętrzu zmieniły się w płomień, palący mu płuca. Canreen cofnął się momentalnie, poza zasięg śmigającej szabli; opanował się z przekleństwem na ustach, odwrócił się i chwycił ze ściany szablę van Rhyna. Nagle wszyscy ludzie w koszarach zaczęli głośno krzyczeć.

— Dobrze, chłopcze… Dobrze… Zbij go na kwaśne jabłko! Załatw go na amen!

McSween krzyknął:

— Przestańcie - chcecie, żeby któryś z was zawisł za morderstwo!

Canreen przerwał walkę i czekał, ze ściągniętymi razem ramionami i opuszczoną okrągłą, krótko ostrzyżoną głową. Młody Harry Jackson, zamarł bez ruchu i na wpół ślepy, dostrzegł czerwony błysk w oczach Canreena i mięsisty skręt jego warg. Dotarł do niego szept Van Rhyna.

— Dokończ to, co zacząłeś, Harry.

To właśnie te ciche słowa pchnęły młodego Harry'ego Jacksona do przodu tak gwałtownie, że zaskoczył Canreena. Czubek szabli Jacksona złapał i odrzucił w dół broń Canreena. Canreen natychmiast odskoczył i machnął swoją szablą do przodu; gdy jej klinga uderzyła w rękojeść szabli Jacksona, silny skurcz przebiegł w górę ramienia Jacksona, jakby zostało złamane. Harry Jackson widział tylko kształt okrągłej głowy Canreena i jego niewyraźną, rozmytą, nagą pierś; wszystko inne zrobiło się szare oraz bezkształtne, a podniesione głosy zmieniły się w zmieszany gwar. Nadal atakował, uderzając w Canreena szablą, zadawanymi z wyskoku, poprzecznymi, pełnymi cięciami. Canreen krzyknął: „Hej!" i ustąpił nieco pola, a w koszarach rozbrzmiał brzęk uderzeń stali o stal. Młody Harry Jackson zobaczył, jak czubek ostrza Canreena przemknął mu przed oczyma i nagle poczuł wilgoć na ustach. Usłyszał, jak jego oddech robi się głęboki i urywany, sięgał coraz głębiej do płuc; naciskał jednak dalej, chcąc zabić Canreena, próbując zabić Canreena. Zobaczył, jak szabla Canreena odsunęła się by zadać krzyżowe cięcie, i z pełnym zamachem, uderzył Canreena płaską częścią klingi w bok twarzy. Canreen osunął się, kolana, biodra i ramiona rozjechały mu się; padł na podłogę i przetoczył się z boku na bok, unosząc buty, aby osłonić brzuch. Młody Harry Jackson uderzył Canreena w kolana, słysząc, jak Canreen krzyczy, a potem ktoś złapał go od tyłu i odciągnął dalej, a wreszcie całkowicie odrzucił na jedno

z łóżek. McSween chwycił jego szablę. Sierżant oznajmił spokojnym głosem:

— Wystarczy, chłopcze.

Ktoś krzyknął:

— Baczność!

W pomieszczeniu zapadła cisza. McSween sięgnął do łóżka i poderwał Harry'ego Jacksona na nogi, w chwili gdy porucznik Benteen wszedł do koszar.

— McSween — powiedział — co to ma znaczyć?

Głos McSweena był pewny i uprzejmy – głos starego żołnierza, który wiedział co robi, po latach służby.

— Mały wypadek, panie poruczniku. Canreen potknął się o swoją szablę i uderzyła go w głowę, dziwacznie. Dziwny wypadek, panie poruczniku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Młody Harry Jackson cofnął się do tylnej ściany koszar, aby znaleźć w niej oparcie dla swoich drżących nóg. Gorąco prawie go dusiło. Nie mógł złapać wystarczająco dużo powietrza, a odgłos jego urywanych oddechów opowiedział Benteenowi całą historię. Benteen zauważył czerwono-fioletową twarz chłopca i szybko polecił.

— Połóż się. Van Rhyn, przynieś wiadro wody. Pospiesz się - chłopak zaraz dostanie udaru cieplnego. Czy on też potknął się o swoją szablę, McSween?

— Biegał na słońcu, panie poruczniku. Wielokrotnie go przed tym ostrzegałem.

Canreen pozbierał się z podłogi. Oparł obie ręce o ścianę i opuścił na nie głowę. Krew kapała mu z nosa. McSween popchnął Harry'ego Jacksona do łóżka, a van Rhyn wrócił z wiadrem wody. Nikt nic nie mówił. Benteen przez chwilę obserwował Canreena i odwrócił się, przenosząc swoją uwagę na Jacksona. Serce Jacksona ciężko poruszało jego klatką piersiową; wysiłek ten był na tyle głośny, że Benteen mógł go usłyszeć. McSween mruknął:

— Czy pan porucznik czegoś sobie życzy?

Pochwycił spojrzenie Benteena, jego własna pomarszczona twarz była poważna i mądra; ci dwaj mężczyźni rozumieli się i grali zgodnie z zasadami. Benteen stwierdził:

— Lepiej schowajcie szablę Canreena gdzieś poza jego zasięgiem, McSween — i opuścił koszary.

Sierżant Hanna wyszedł z cienia na końcu pomieszczenia.

— Canreen, wracaj do cholery na swoją pryczę, gdyby to był Castleton, szorowałbyś kible przez miesiąc.

Młody Harry Jackson leżał wyciągnięty na łóżku, czując ciepłą wilgoć wody, którą powoli wylewał na niego van Rhyn. Twarz Van Rhyna była rozmazana w mglistej szarości, która otaczała wszystko. Jackson ciągle z trudem łapał powietrze, czując jego głód i dusząc się z jego braku, czując, szaleńcze łomotanie serca. Kolana mu się trzęsły, a wszystkie mięśnie dygotały. Ukazała się mgliście twarz McSweena. Twarz Van Rhyna przysunęła się bliżej i wyraźnie zobaczył powściągliwe, dziwne oczy starszego mężczyzny.

— Dobry chłopak. Nigdy przed niczym nie uciekaj, bo będziesz uciekał przez całe życie. Lepiej już być martwym, mówię ci, synu. Wiem to.

Ale Harry Jackson, w dziwnym półmroku swego umysłu, myślał:

— Muszę uważać na Canreena. Będzie próbował mnie zabić.

Oddział z ambulansem wrócił około trzeciej z martwym Meksykaninem. O piątej major Warren stanął nad jego grobem na cmentarzu posterunku i wygłosił krótką mowę pogrzebową zaczynającą się od słów: „Człowiek, który zrodzony jest z kobiety,” w świetle ostatnich upalnych promieni słonecznych tego dnia. Nie było żadnych dalszych ceremonii. Oficerowie i niewielki oddział tworzący asystę pogrzebową zwrócili się ku placowi apelowemu, towarzyszyły im także Lily Marr i Eleanor Warren. W pierwszych błękitnych cieniach wieczoru zabrzmiał sygnał wezwania na kolację; w wkrótce potem, nagle i całkowicie, nad górami i nad wąską doliną San Pedro zapadła kompletna ciemność, zaś zarys gór Santa Catalina znów zmienił się w czarną, poszarpaną masę na tle migotliwego blasku świecących z wysoka gwiazd. Wąski rogal Księżyca, przewrócony na jeden ze swoich rogów, pojawił się na bezświetlnym łuku niskiego horyzontu. Z ziemi pulsowało gorącem, intensywnym zapachem kurzu i szałwii.

McSween zawołał w słabym świetle koszarowej latarni:

— Wyruszamy po sygnale capstrzyku.

Stojąc w gęstym cieniu przy ścianach corralu, Harry Jackson usłyszał echo głosu sierżanta i odgłosy zmiany warty o ósmej, zbliżające się do posterunku numer pięć, w pobliżu krawędzi Aravaipa Creek. Zmiana zatrzymała się. Ciszę przerwał głos wartownika numer pięć, z irlandzkim akcentem:

— Stój - kto idzie?

— Kapral, dowódca warty.

— Proszę odpowiedzieć, panie kapralu, podając odzew.

W tej właśnie chwili, gdy wartownik stał na drugim końcu swojego odcinka, gdy Harry Jackson okrążył corral, wślizgnął się w koryto wyschniętego potoku i pokonał je, znajdując się tym samym poza liniami wartowniczymi. Przez chwilę leżał na brzuchu, na szorstkiej piaszczysto-żwirowej ziemi, z jedną ręką na kolbie rewolweru, wpatrując się w otaczającą go mglistą ciemność. Światła posterunku migotały z tyłu. Niewielkie ognisko obozu pokojowych Indian Nachee świeciło kręgiem pół mili dalej. Na prawo od tego ogniska i kolejne pół mili dalej, czerń nocy rozjaśniały światła Valley Ranch. Te światła nic nie znaczyły, ponieważ ludzie z bandy Antone mieli w zwyczaju pojedynczo schodzić ze wzgórz i czyhać w zasadzce na samym skraju posterunku, z lancą i strzałą. Wiedząc o tym, Harry Jackson mimo wszystko podjął ryzyko; popychany do tego przez swoje pragnienia. Wstał, ruszył naprzód cichym krokiem, aż odgłosy jego butów nie mógł już dotrzeć do wartownika; następnie pobiegł truchtem, każdy mięsień jego ciała był napięty i sztywny po popołudniowej walce. Piętnaście minut później, mocno zdyszany, zatrzymał się przy pierwszym z małych domków z adobe tworzących Valley Ranch i zapukał do zamkniętych drzwi.

Po chwili zwłoki, rozległo się szuranie, uważnym uszom Harry'ego Jacksona wydawało się, że więcej niż jednej pary stóp; po czym drzwi się otworzyły i szybko wszedł do środka, stając twarzą w twarz z Rose Smith.

Zapach dymu tytoniowego we wnętrzu, wzmógł jeszcze męczarnie jego pełnych zazdrości obaw. Przez chwilę nie patrzył na nią. Stał obrócony, wpatrzony w przeciwległą ścianę — wysoki, szczupły chłopak, którego twarz była jeszcze wciąż czysta, wciąż nieskażona twardymi trudami życia. Miał głęboko niebieskie oczy, a niezgrabność i trzeźwa intensywność młodości, nadal odciskały na nim swoje znamię. Powiedział:

— Jeśli nie jesteś sama, idę z powrotem…

Odparła natychmiast:

— To tylko mój wujek. Wyszedł minutę temu.

— Och — stwierdził, rozluźniony i z ulgą. — No cóż…

Była ciemnowłosą, krępą dziewczyną, pełną w biodrach i piersiach, z czerwonymi ustami, które drżały na jego widok. Była starsza od Harry'ego Jacksona, choć tego nie wiedział. Starsza licząc w latach i starsza spoglądając w jej oczy. Spoglądając na niego, jej twarz zmiękła, przechodząc zagadkową przemianę, jakby nie do końca go rozumiała. Dotknęła jego ramienia, pozwalając, by jej dłoń tam pozostała.

— Może usiądziesz.

— Nie — odparł — muszę wracać. Wyjeżdżam z oddziałem zwiadowczym zaraz po capstrzyku. Przyszedłem tylko zobaczyć, jak się masz.

— No cóż, w porządku, Harry.

— Po prostu chciałem wiedzieć — powiedział powoli.

Oznajmiła:

— Ja będę o tobie myślała, Harry.

— Boże — odparł — ja robię właśnie to, przez cały czas. To prawdziwe piekło, gdy muszę wyruszyć i myśleć o tobie tutaj. Chciałbym, żebyś była w Tucson albo na posterunku. I trudno mi nawet pomyśleć, że mój oddział może opuścić Arizonę w każdej chwili. Często o tym rozmyślam. Mam rok do zakończenia okresu służby. Gdzie ty będziesz w przyszłym roku, Rose?

— No cóż — stwierdziła — tutaj, jak przypuszczam. Nie wiem.

Oświadczył:

— Nie powinnaś przebywać w pobliżu posterunku wojskowego, ani w ogóle żołnierzy.

— Ty jesteś żołnierzem, Harry.

— Wiesz, o co mi chodzi… co takiego, mam na myśli.

— Tak… wiem.

Powiedział:

— No dobrze, muszę wracać.

Wyprostował się przed nią na pełną wysokość. Zdjęła mu rękę z ramienia i stała przed nim z miękkimi ustami i lekkim, słabo widocznym uśmiechem na ustach. Miała w sobie giętkość, wyczekującą ciszę, zamglone z oczekiwania oczy. Ale on tego nie dostrzegał. To, co przed sobą widział, było obrazem zbudowanym z pragnienia, żądz i marzeń chłopca, całego pięknego i czystego. Trzymał kapelusz, jego uczucia

płonęły silnym i surowym blaskiem w oczach. Pożegnał się całkiem formalnie:

— Wkrótce się zobaczymy — otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

Dziewczyna przyłożyła rękę do drzwi, nasłuchując słabnącego odgłosu jego butów. Potem, gdy zapadła cisza, otworzyły się tylne drzwi i wszedł Mitch Canreen.

— Kto to był, Rose?

Jej ramiona uniosły się i opadły w odpowiedzi. Canreen roześmiał się, jego zranione przez szablę usta rozchyliły się, i swobodnie usiadł na krześle.

— No pewnie — powiedział, — pewnie. Dzieciak. On niewiele wie, Rose. Chodź tutaj.

Lecz ona stała przy drzwiach jeszcze przez dłuższy czas, na jej twarzy wciąż malowało się coś dziwnego — dziwne myśli, które młody Harry Jackson pozostawił po sobie. Po chwili westchnęła, a jej ekspresyjne ramiona uniosły się i opadły, jakby to było coś, co trzeba odłożyć na bok, i ruszyła przez pokój.

Sygnał capstrzyku przetoczył się przez plac apelowy mocnymi, powolnymi dźwiękami, zatapiając się w aksamitnej tajemnicy nocy. Dwudziestu ludzi z oddziału I, obwieszonych sprzętem do służby w polu, stało przy koniach na placu apelowym, tworząc w ciemności długą plamę. Głos sierżanta McSweena ogłosił ostrym tonem rozkaz, a inne głosy odpowiedziały mu, odliczając. Stojąc na skraju placu apelowego, Eleanor patrzyła, jak Benteen i Howell Ford przechodzą przez mrok i pojawiają się przed innymi oficerami zebranymi wokół majora Warrena. Zawsze przechodzili przez ten rytuał, ściskając dłonie i wymieniając najlepsze życzenia. Lecz Phil Castleton trzymał się z dala, obojętny i milczący. Major Warren powiedział:

— Chciałbym, żeby pan pamiętał, panie Benteen, że na polu walki zawsze musi zwyciężyć pański zdrowy rozsądek. Ma pan złapać Antone, jeśli to możliwe, albo napierać na niego nieustannie, jeśli nie będzie pan mógł go złapać. Jeśli pan na niego trafi, koniecznie proszę dokładnie oszacować swoje szanse. Proszę podjąć walkę przy wszelkich przyzwoitych szansach. Jeśli będzie pan musiał ponieść straty, aby rozbić siły Antone, proszę to zrobić. Ale pod żadnym pozorem nie wolno panu głupio marnować ludzkiego życia. Ta pokusa będzie stale przed panem. Antone już się o to zatroszczy. Mam wielki szacunek dla żołnierzy służących w tym oddziale. To najlepsi żołnierze na ziemi i są teraz w pańskich rękach. Proszę się upewnić, że daje im pan odpowiednie przywództwo. Życzę panu powodzenia.

Głos Benteena był powolny i chłodny. Oznajmił:

— Tak jest, panie majorze — i ruszył dalej, aż stanął przed Eleanor Warren, której smukła postać rysowała się na tle nocy. Powiedziała „Powodzenia” i uścisnęła mu dłoń Potem oddalił się razem z Howellem Fordem.

Uroczysty głos sierżanta McSweena przeciął plac apelowy.

— Oddział gotów, panie poruczniku.

— Przygotować się do wsiadania. Na koń!

Rozległ się trzask dwudziestu ludzi klapiących o skórę siodeł, tupot koni i brzęk karabinów, manierek oraz przytroczonych u pasa saperek do okopywania się.

— Dwójkami, marsz!

Kolumna ruszyła, szara i niewyraźna; skóry siodeł piszczały cicho na tle zmieszanego tupotu kroczących koni. Eleanor szła wzdłuż krawędzi placu, aż do końca szeregu oficerów, podążając za kolumną, aż do czasu gdy ta minęła wartownię oraz corral, po czym rozmyła się w cieniach zalegających nad San Pedro. Stojąc tam, słuchała z wolna cichnących dźwięków. Na prawo od siebie, przez otwarte drzwi znajdującego się w sąsiedztwie sklepu dla żołnierzy, dostrzegła na tle światła wyprostowaną sylwetkę Cowena. Przed nim siedziało pół tuzina żołnierzy, a suchy głos Cowena zwracał się do nich.

— Chciałbym teraz przeczytać list człowieka ze Szwajcarii, który stoczył się w otchłań picia i złożył zobowiązanie trzeźwości. „Szanowny panie i drogi przyjacielu…" Tak samo było w Stanton, gdzie Cowen zorganizował swój Związek Trzeźwości Żołnierzy. W końcu wszelkie odgłosy oddziału Benteena ucichły za San Pedro i słychać było jedynie uporczywy pomruk głosu Cowena oraz cichszy szmer rozchodzących się oficerów.

Rozdział V

Benteen poprowadził oddział w górę wyschniętego koryta potoku Aravaipa, wkrótce przechodząc z w miarę równego terenu do płytkiego wejścia kanionu, a stąd dalej przez mroczną plątaninę wzgórz, wąwozów i wznoszących się stromo górskich zboczy. Około północy dotarli do wody i zatrzymali się na długi odpoczynek, wszyscy żołnierze rozłożyli się na kamienistej ziemi. Leżąc na wznak, z jedną ręką opartą na głowie, Benteen wsłuchiwał się w dziki zaśpiew kojota na pobliskim wzgórzu. Docierał do niego cichy szmer rozmawiających ludzi, szuranie końskich kopyt na żwirze i chrzęst ich zębów na żelaznych wędzidłach. Z wyżej położonych regionów dolatywał słaby wietrzyk; zapach wilgotnej końskiej skóry i spoconych siodeł był dość silny. Wysoko na tle najczarniejszych rejonów nieba dostrzegł nawet spadającą gwiazdę, która utworzyła krótką, rozpływającą się rysę na nieskończoności wszechświata. Howell Ford siedział obok, nic nie mówiąc. Al Hazel także rozsiadł się w pobliżu Benteena.

— Za jakąś milę wyjdziemy z kanionu. To główny szlak Indiańców. Chce pan kierować się w stronę Gila?

— Al — wyjaśnił Benteen — dzisiejszej nocy zapolujemy na drobną zwierzynę. Nachee powiedział mi dziś po południu, że część z ludzi Antone zwykle wraca do małej ranczerii na szczycie jednej z gór po tej stronie Saddle Mountain. Zajrzymy tam.

Al Hazel pozbył się żutego tytoniu z ostrym „pfwutt". Zaszurał butami po żwirze.

— To wcale nie jest taki zły pomysł. Jak na tak młodego człowieka, nie musiał pan zbyt długo uczyć się indiańskich zwyczajów. Białych ludzi w tym kraju zabija lekkomyślność. Indianiec ma tyle czasu ile tylko zechce. Jako zegar służy mu tylko brzuch, a każdy krzak mescalu lub kępa mesquite przynosi mu pożywienie. Dom to miejsce, w którym rozpala ogień, a w ciągu jednego dnia przejdzie, niczego ze sobą nie wożąc, więcej, niż ten oddział w ciągu tygodnia.

— McSween — polecił cicho Benteen i wsiadł na konia.

Oddział skręcił na północ od Aravaipa Creek i nagle zanurzył się w aksamitnie ciemnych kawałkach ziemi, które łączyły się ze sobą pod krętymi, zdradliwymi kątami. Al Hazel, który znał ten kraj lepiej niż własny dom, zniknął gdzieś z przodu. Od czasu do czasu kopyta jego konia, uderzające o skały podkowami, wywoływały słabe iskry. Na wschodzie wznosił się niewyraźny rysujący się szczyt góry Turnbull. Na północy, w kierunku, w którym jechali, widniała poszarpana sylwetka kamienistych szczytów na tle nieba. O drugiej Al Hazel cofnął się do nich.

— Tam na górze — powiedział. — Ten krzywy garb po lewej stronie.
— Jak daleko?
— Godzina jazdy.
Benteen odwrócił się i mruknął do jadącej za nim kolumny żołnierzy.
— Nie gadać.
Wspinali się coraz wyżej, od jednego wzgórza do drugiego, przez czarny jak smoła świat. Była to najchłodniejsza godzina nocy, słaby wiatr owiewał policzki Benteena i przynosił ze sobą ostry zapach pustynnej roślinności. Jakiś koń wyrwał się gwałtownie z szeregu, wywołując zirytowany pomruk McSweena.
— Sullivan, co tam do cholery?
— Śmierdzi wężami.
W miarę zbliżania się do niego znajdujący się przed nimi masyw górski stawał się coraz wyższy i bardziej czarny; ziemia znów zaczęła się wypiętrzać, Benteen zatrzymał się.
— Półtorej godziny do świtu. Howell, przejmij dowodzenie. Idę z Hazelem, żeby się temu przyjrzeć. Siedźcie spokojnie. Wrócimy za trzydzieści minut.
— Wziąłby pan może jeszcze jednego człowieka, panie poruczniku? — zasugerował McSween.
— Za dużo hałasu — odparł Benteen i zostawiając konia ruszył z Hazelem na piechotę, omijając kępy kocich pazurów, nopalu i krzewy mesquite.
Dotarli do wysokiej do ramion osłony z ogromnych głazów, które spadły z rozpadających się skał szczytu i zaczęli się po nich wspinać, małpim sposobem, od skały do skały, od punktu do punktu, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Al Hazel chrząkał i robił przerwy na oddech, a w międzyczasie Benteen wsłuchiwał się w słaby stukot, szelest i drapanie tutejszych żywych stworzeń. Gdzieś w tych skałach zagnieździły się węże; czuł ich zapach. Al Hazel przyłożył usta do ucha Benteena.
— Dwieście metrów, prosto w górę.
Szli dalej, Benteen stawiał za każdym razem nogę tak by opierać się na solidnym podłożu, po czym przenosił na nią ciężar ciała. Ostre nachylenie utrzymywało się, skały tworzyły rodzaj chropowatych schodów, Benteen oparł dłoń w rękawicy o kaktusa i zacisnął szczęki, tłumiąc jęk. Wyżej zaczepił ramieniem o leżącą na ziemi gałąź krzewu kocich pazurów. Natychmiast zrobił krok na bok, obawiając się, że będzie musiał wyrywać się z ostrych kolców, podobnych do haczyków na ryby. Na tej wysokości powietrze było zdecydowanie rzadsze. Hazel dotknął jego ramienia, aby go ostrzec, i w ciszy wspięli się na ostatnie podejście na zboczu. Stojąc prawie wyprostowany, z butami na niżej leżącym głazie i łokciami zaczepionymi o krawędź grani szczytu wzgórza, Benteen popatrzył przed siebie i przez pierwszą chwilę widział tylko jakby niewielką łąkę zatopioną w skałach i otaczających ją mesquite. Wszystko to rysowało się na tle jaśniejszego światła nieba i chociaż bardzo uważnie przeczesywał pusty teren, nie mógł dostrzec żadnych śladów obozu. Lecz Al Hazel ponownie dotknął jego ramienia i obaj cofnęli się o dobre sto stóp w dół zbocza, zanim się zatrzymali. Hazel szepnął Benteenowi do ucha.

— Obóz. Może cztery-pięć-sześć. Nie jestem pewien.

Benteen wymamrotał:

— Wróć i powiedz Fordowi, żeby sprowadził połowę oddziału. Niech zdejmą pasy. Za dużo hałasu. Zabrać dodatkowe naboje do kieszeni. Ja poczekam tutaj.

Al Hazel zniknął w dole, nie wydając żadnego dźwięku. Benteen wspiął się z powrotem na krawędź grani, oparł o nią ramiona i jeszcze raz przeszukał wzrokiem okolicę, próbując dostrzec to, co widział Al Hazel. Z tego, co udało mu się ustalić, polana na szczycie góry była wąska i miała nie więcej niż sto stóp długości, a w niektórych miejscach wyrastały z niej kopczyki skalne; następnie, po dokładniejszej obserwacji, odkrył, że jeden z tych kopców skalnych miał zaokrąglony wierzchołek, który prawdopodobnie był dachem jacala, zbudowanego by w nim spać, z narzucanych przez Apaczów gałęzi. Potem wyczuł także zapach koni i dostrzegł jakiś kształt poruszający się na drugim końcu polany.

Ciemności zaczynały się przejaśniać. Na wschodzie, wzdłuż krawędzi gór Galiuro, pojawiła się wyraźna smuga światła i z wysokości tysiąca stóp Benteen obserwował, jak okoliczne góry stopniowo wyłaniają się z mroków nocy. Bladą smugą ukazała się dolina San Pedro. Dalej, przez szczelinę gór Santa Catalina, zaczęła rzucać rozmyty blask położona w oddali pustynia. Z dołu dobiegły odgłosy zasapanych oddechów. Al Hazel przeczołgał się przez skały i znalazł się obok niego, a potem do krawędzi dotarli Ford i McSween. Pozostali żołnierze zatrzymali się i milczeli, czekając na rozkazy.

Benteen mruknął do McSweena:

— Jeden po drugim - podchodźcie i rozstawiajcie się.

McSween schylił się, jego szept poniósł się w dół. Harry Jackson ruszył jako pierwszy, stając obok Benteena. Van Rhyn, wyczerpany i mocno zdyszany, złapał Harry'ego Jacksona za rękaw. Przez chwilę obaj balansowali na krawędzi, aż uspokoiło ich ramię Benteena. Smuga światła na wschodzie zamieniła się w szeroką, gwałtownie rosnącą wstęgę i w jednej chwili, tak nagły na pustyni był świt, cały świat zrobił się szary, zamglony i na wpół widoczny. Odwróciwszy się w stronę polany, Benteen ujrzał przed sobą wyraźne kształty ranczerii Apaczów. Pośrodku polany stał przykryty gałęziami jacal, a na drugim końcu, sto metrów dalej, na straży stało pół tuzina koni; w pobliżu jacala kilka wypukłych nierówności na ziemi, wskazywało na śpiących Indian. Hazel nachylił się do Benteena.

— Czterech-pięciu młodych wojowników.

Benteen rozejrzał się na boki, widząc żołnierzy przykucniętych za skałami. Położył dłonie na krawędzi głazu, by przygotować się do nagłego skoku, skinął głową i poderwał się. Głęboką ciszę tej porannej godziny przerwało stękanie i tupot żołnierzy przekraczających krawędź wzgórza. Benteen oznajmił na pełny głos:

— Nie strzelać, dopóki oni nie zaczną — i zerwał się do biegu, prowadząc za sobą ustawionych w tyralierę żołnierzy.

Nagle bezkształtne postaci leżące na ziemi zaczęły się kotłować, a z jacala wybiegła kobieta, niosąc w ramionach niemowlę. Jeden z żylastych wojowników, rzucił się prosto na Benteena, z wysuniętą do przodu ostro

zakończoną włócznią, i oczyma jak żywe węgle, płonące na tle miedzianej skóry. Benteen wyciągnął broń. Zanim zdążył ją unieść, zobaczył, że Indianin ustawia się do rzutu i uchylił się, gdy włócznia przelatywała obok niego. W tej samej chwili Indianin sięgnął po nóż i zamachnął się nim nad głową, a kula Benteena powaliła go na ziemię. Oddział zwiadowczy ruszył do przodu z pełnym impetem. Dwie kolejne kobiety wybiegły z jacala, a w jego drzwiach stał kompletnie bez ruchu mały chłopiec. Któryś z Apaczów, uciekając, zatrzymał się i oddał szybki strzał z karabinu; nagle rozległ się ryk broni McSweena. Indianin upadł. Żołnierze zerwali gałęzie z jacala. Harry Jackson rzucił się biegiem na łeb na szyję, próbując złapać kobietę z niemowlęciem. Czterech pozostałych Indian mężczyzn, dwie kobiety i mały chłopiec stali milczący i ponurzy w pierścieniu żołnierzy. To była cała walka.

Al Hazel stwierdził krótko:

— Niezła robota, panie poruczniku.

Łąka, widoczna teraz w pierwszych bezsłonecznych jeszcze chwilach poranka, znajdowała się nieco poniżej skalistej krawędzi, porośnięta była kilkoma krzakami mesquite i dwiema lub trzema karłowatymi sosnami. Benteen zszedł na północną stronę, spotykając Harry'ego Jacksona, który oznajmił przepraszającym tonem:

— Ta kobieta po prostu zniknęła w tych skałach razem z dzieckiem.

— Nieważne. Nie zdołałby pan jej teraz złapać.

Trudny szlak wił się po północnej stronie wzgórza, wdzierając się do kanionu. Za kanionem wzgórza ciągnęły się czarnymi, połamanymi grzbietami ku jeszcze wyższym szczytom. Benteen wrócił do jacala.

— Jackson, powiedz kapralowi Leviemu, żeby sprowadził resztę oddziału na północną stronę. Tam jest szlak dostępny dla koni.

Indianie przykucnęli na ziemi, zachowując kamienne twarze, z wyjątkiem jednej kobiety, która rozłożyła ręce i zaczęła szybko coś mówić do Ala Hazela. Al Hazel nasunął kapelusz na przód głowy i słuchał, lekko żując tytoń. Kiedy skończyła, Hazel przetłumaczył Banteenowi.

— Mówi, żeby jej nie zabijać, bo to dziecko, z którym uciekła tamta kobieta, było jej.

Benteen polecił:

— Spytaj ją, ilu wojowników ma teraz Antone?

Al Hazel przekazał pytanie i czekał na powolną odpowiedź kobiety.

— Powiedziała, że jest ich dostatecznie dużo, by zapełnić tę polanę swoimi końmi.

— Przekaż jej, że nie jesteśmy głupcami.

Al Hazel powtórzył to w języku Apaczów, a później powiedział:

— Ona twierdzi, że to prawda. Część Chiricahua przybyła, by dołączyć do Antone, a niektórzy z Tonto są z nim już od dawna.

— Gdzie teraz jest Antone?

Kiedy Hazel powtórzył pytanie, kobieta popatrzyła na Benteena przez luźne kosmyki włosów i zamilkła. Benteen powiedział:

— Powiedz jej, że zabieramy ją do Camp Grant i tam ją zatrzymamy, ale jeśli doprowadzi nas do Antone, będzie mogła wrócić do swojego dziecka i swoich ludzi.

Wywiązała się dłuższa pogawędka, Al Hazel mówił coś, słuchał i odpowiadał. Pozostali Indianie ani drgnęli. W końcu Al Hazel mruknął: „Enju” i zwrócił się do Benteena.

— Mówi, że Antone jest w Mescalach. Może to kłamstwo, ale Antone jechał ostatnio dosyć szybko i wkrótce będzie musiał się zatrzymać, by odpocząć. Zawsze lubił Mescale jako kryjówkę.

— Dowiemy się tego. Umieścić ich pod strażą. Pozostaniemy tutaj do dziewiątej.

Reszta oddziału podeszła prowadząc konie od północnej strony, ktoś rozpalił małe ognisko, na którym ludzie przygotowali bekon i kawę. Benteen zdjął siodło z konia, zaniósł je pod sosnę i wyciągnął się jak długi, używając siodła jako poduszki. Położył się płasko na plecach, skręcił papierosa i zapalił go, obserwując rozjaśniający się błękit nieba przez na wpół przymknięte oczy. Al Hazel podszedł i przykucnął na piętach, beznamiętnie żując tytoń.

— Ta squaw, która uciekła — zauważył Benteen — może przysporzyć nam kłopotów. Przed zachodem słońca przejdzie z tym bachorem ze czterdzieści mil. Może dotrzeć do Antone.

— Może — przyznał Al Hazel. — Z Indianami nigdy nic nie wiadomo. Ale dobrze się pan spisał, panie poruczniku. W tym kraju kawaleria jeszcze nigdy nie podkradła się do Indian. To trochę wstrząśnie Antone.

Sygnały pobudki, wezwania do stajni, na posiłek, do prac obozowych i do ćwiczeń. To była odwieczna rutyna. Stojąc w drzwiach kwatery komendanta, Eleanor obserwowała, jak cienie na placu apelowym cofają się przed coraz mocniejszymi promieniami słońca. Ray Lankerwell podszedł z małym chłopcem o miedzianej twarzy z obozu Nachee. Postawił butelkę na placu apelowym, trzydzieści stóp od nich. Powiedział do Eleanor:

— Proszę na to popatrzeć — i machnął ręką na chłopca, który spokojnie naciągnął łuk i posłał strzałę prosto w otwarty otwór butelki. — No cóż — uśmiechnął się Lankerwell, — to daje do myślenia. — Odszedł, prowadząc ze sobą indiańskiego chłopca.

Na placu apelowym Phil Castleton prowadził oddział K przez ćwiczenia musztry pieszej, a jego głos w gorącym powietrzu brzmiał twardo, precyzyjnie i ostro. Wokół maszerującej dookoła placu kolumny unosił się kurz; od czasu do czasu na przez zalewające wszystko światło słoneczne przebijały się jaskrawe rozbłyski błyski jego odbić na metalowym sprzęcie. Pot zaczął plamić mundury żołnierzy, a na ich opalonych na czarno twarzach widać było ciemniejący rumieniec gorąca. Phil Castleton stał nieruchomo pośrodku placu, ciężki, o szerokich ramionach.

— Canreen, unieś wyżej tę broń. Hep, hep, hep! W prawo rzędem - marsz! Podnieś ramiona, Flynn! Uważaj na zwrot - dalej, dalej!

Eleanor pomyślała, że trzy lata zrobiły różnicę w tym, co widziała. Mając siedemnaście lat, traktowała tego człowieka powierzchownie, nie do końca wiedząc, jakie jego cechy tak ją pociągają. Teraz zaczęła dostrzegać te cechy, ich silne i słabe strony. Był strasznie ambitny, był człowiekiem,

który nie potrafił wybaczyć słabości. Widziała, jak nieubłaganie dokładny był w musztrze, jak w kółko powtarzał pewne komendy, aż wszystko było zrobione tak, jak chciał. Nie miał cierpliwości dla niedoskonałości; nawet tutaj, na pograniczu, nawet w tym niszczącym słońcu i duszącym upale.

Jej ojciec przyszedł ze sztabu i zatrzymał się przed drzwiami domu, obserwując musztrę. Pociągał za wąsy i pomyślała, że chce porozmawiać z Castletonem, ale potem poszedł do salonu. Udała się tam wraz z nim, patrząc, jak opada na krzesło i z westchnieniem odpręża się.

— Córeczko — oznajmił — to cholernie gorący kraj — i otarł z potu na wpół łysą głowę. Skóra między włosami była zupełnie różowa.

— Tato — powiedziała, — powiedz mi...

Do środka weszła Lily Marr, dziewczyna z karawany wozów Summertona, która wpadła w zasadzkę. Upał zdawał się jej nie tykać. Na tle jaskrawożółtego światła padającym przez drzwi, stała mocno przygarbiona i nieruchoma, z zupełnie ciemnymi włosami, zaczesanymi poważnie do tyłu. Jej oczy charakteryzowały się błyskawiczną i wyraźnie widoczną czujnością, typową dla większości ludzi żyjących na pograniczu; twarz miała raczej spokojną i pozbawioną wyrazu. Jej skóra była gładka, choć opalona od słońca, a rysy dosyć regularne, z wyjątkiem wydatnych ust. Wyglądała lepiej, niż wskazywałaby na to jej pozycja życiowa. Eleanor zauważyła już, że starannie dobrała słowa. Wszystko to razem wzięte bardzo zastanawiało Eleanor. Za powagą i dumą tej dziewczyny kryła się jakaś tajemnica.

Major powiedział:

— Panno Marr, czy można wiedzieć, co mógłbym dla pani zrobić.

Dziewczyna popatrzyła na niego, zastanawiając się nad jego słowami. Potem odparła:

— Nic.

Warren zaproponował:

— Czy życzy pani sobie, żebym wysłał panią na ranczo Summertona z eskortą?

Rzuciła szybką, bardzo szybką odpowiedź:

— Nie, nie teraz. To nie ma sensu.

Warren nie zrozumiał.

— Jak to?

Lecz ona tylko uniosła ramiona i pozwoliła im opaść. Gest ten miał w sobie meksykański fatalizm, a Eleanor odniosła wtedy wyraźne wrażenie, że ta dziewczyna została pozbawiona wielu złudzeń i dziewczęcych marzeń. Lily powiedziała:

— Jeśli nie będę zbytnio przeszkadzać, panie majorze, chciałabym tu na trochę pozostać.

— Ależ z całego serca zapraszam — oznajmił major Warren. — Może pani zostać tutaj tak długo, dopóki nad tym miejscem powiewa flaga.

— Może pozwoli mi pan pracować na moje utrzymanie. Umiem gotować.

Warren powiedział natychmiast:

— Jest pani gościem, panno Marr.

Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę.

— Dziękuję — odparła jeszcze cichszym głosem i poszła do swojego pokoju.

Przez plac apelowy przeleciał władczy głos Phila Castletona.

— McGuire, wyrównaj do prawej strony. Flynn, wyciągnij broń! Kolumna w lewo, marsz! Raz, dwa, trzy, cztery! Sierżancie, tempo jest zbyt wolne.

Major Warren wyciągnął zegarek i spojrzał na niego. Wstał i podszedł do drzwi, przyglądając się musztrze. Eleanor zauważyła nagły cień na jego twarzy i dokładnie wiedziała, o czym myśli, ponieważ miała doświadczenie w sprawach wojskowych. Castleton zmuszał swoich ludzi do intensywnego marszu; od pół godziny nie było ani chwili odpoczynku, a temperatura na zewnątrz przekraczała sto stopni. Castleton nie ruszał się ze swojego miejsca na środku placu apelowego. Kurz tworzył stałą mgłę wokół maszerującego oddziału; twarze mężczyzn były ściągnięte, ceglastoczerwone i lekko spuchnięte od gorąca.

Major Warren pociągnął za końce wąsów. Eleanor rozumiała, że był bardzo niezadowolony, ale musiał chronić swoich ludzi, nie krytykując przy tym oficera. W końcu zawołał:

— Panie Castleton, może wystarczy już tej musztry jak na jeden poranek.

Castleton odpowiedział:

— Doskonale, panie majorze — i przekazał oddział sierżantowi Hannie. Przeszedł przez plac apelowy i zatrzymał się pod zarośniętą ramadą, przed Warrenem i Eleanor. Kiedy zdjął kapelusz, po jego policzkach spływały strużki potu.

Warren powiedział:

— Proszę wejść, panie Castleton — i odsunął się na bok.

Castleton wszedł do na wpół zacienionego pomieszczenia. W obecności majora utrzymywał sztywną postawę, z odrzuconymi do tyłu ramionami. Eleanor zauważyła, że jego oczy były surowo i niezaprzeczalnie czarne. Zastanowiła się, że jest w nim coś, czego nawet zalew słońca nie mógł dosięgnąć ani osłabić.

Jej ojciec, zawsze ostrożny w słowach, powiedział teraz jednak z tłumionym zniecierpliwieniem.

— Panie Castleton, powinien pan pamiętać, by dawać swoim ludziom długie odpoczynki. Pozbawi ich pan sił.

— Są bardzo opieszali w musztrze, panie majorze, a dyscyplina jest zbytnio rozluźniona. Chciałem nieco ich podciągnąć, żeby pamiętali o tym.

— Nie może pan oczekiwać perfekcyjnej musztry od żołnierzy biorących udział w kampanii polowej, panie Castleton. Koszary i służba w polu to dwie różne rzeczy. Kiedy trzeba wyjeżdżać na codzienne zwiady i patrole, zawsze pojawia się pewien niedosyt wojskowego ceremoniału. Nie tworzy się dyscypliny, nawet wśród tak twardych Irlandczyków jak oni, poprzez nadmierną surowość.

— Tak jest, panie majorze — odparł Castleton. Eleanor widziała jednak, jak wiele sprzeciwu kryje się za tymi z pozoru posłusznymi słowami. Widziała to i obawiała się. Jej ojciec odezwał się łagodniej.

— Jak tylko wróci pan Benteen, nadejdzie pańska kolej na zwiad. To są ludzie, których weźmie pan ze sobą. Muszą być wypoczęci, a nie zmęczeni. To wszystko, panie poruczniku.

Eleanor natychmiast wtrąciła:

— Przygotuję lemoniadę.

Castleton odwrócił się do niej, a w kącikach jego ust pojawiła się duma.

— Lepiej pójdę się przebrać i sprawdzę koszary.

Ukłonił się krótko i wyszedł. Wsłuchała się w ciężki tupot jego stóp na chodniku z desek i odwróciła się, by uchwycić pełne zastanowienia spojrzenie ojca.

— Jesteś mądrą dziewczyną, Eleanor. Znasz armię lepiej niż większość młodych poruczników. Castleton jest doskonałym oficerem. Może trochę zbyt twardym. Może uda ci się go nieco okiełznać. On naprawdę tego potrzebuje.

— Na tym polega problem, tato?

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, czerpiąc z tego przyjemność. Nie odpowiedział, dopóki nie zapalił cygara, którego niebieska mgiełka nieco przesłoniła mu oczy.

— Większość młodych oficerów boi się zachowywać jak ludzie, uważając, że byłoby to przyznanie się do słabości. Nie są do końca pewni swoich umiejętności, ani siły swego przywództwa. Zwykle to mija z czasem. W przypadku Castletona po trzech latach powinno już minąć, ale tak się nie stało. Nie chciałbym, żeby stał się tępym służbistą. Jest na to zbyt obiecującym oficerem.

— Jest bardzo ambitny, tato.

— Ja też taki byłem — powiedział Warren, dość łagodny w słowach. — Ale wojna secesyjna nasyciła armię oficerami i awans jest teraz bardzo niewielką iskierką gdzieś w odległej przyszłości. Powinienem być bardziej niecierpliwy wobec młodego Castletona, ale wiem, że zżera go tęsknota za awansem. Listy, przed nim, są zapchane siwowłosymi podporucznikami i kapitanami. I super starymi majorami, takimi jak ja. Uważa, że w obecnej sytuacji jedynym sposobem na awans, jest dokonanie imponujących czynów, aby w jakiś sposób przebić się przez tych opóźnionych. Życzę mu powodzenia, ale nie może stać się obiektem nienawiści swoich ludzi i kolegów oficerów. Powinien rozwinąć w sobie nieco filozoficznego podejścia. Tak jak ja. Jak...

Natychmiast weszła mu w słowo, wymieniając nazwisko.

— Jak pan Benteen.

Major był jednak zbyt uczciwym człowiekiem, by dać się wciągnąć w porównywanie młodszych oficerów. Machnął cygarem i powiedział beznamiętnie:

— Jesteś za mądra, młoda damo. Przygotuj mi lemoniadę.

Lecz gdy poszła do kuchni, dobiegł do niej jego głos, powolny i pełen żalu.

— Twoja matka była dokładnie taka sama jak ty. Świetnie razem się bawiliśmy. Gdyby żyła, pewnie byłbym teraz brygadierem. Teraz, to nic dla mnie nie znaczy, ale miło byłoby zobaczyć jej minę, gdyby przypięto

mi gwiazdkę na ramieniu. Właśnie taką kobietą była, Eleanor. Wszystko było grą, a gra była zabawą, aż do samego końca.

Rozdział VI

Na posterunku osiadł popołudniowy żar. Wyssał resztki wilgoci z ziemi, desek i żywych istot. Góry coraz bardziej przyćmiewała niebiesko-żółta mgiełka; dolina San Pedro mieniła się przygnębiającym blaskiem skał, piasku i drobinek miki. Nawet Indianie i Meksykanie wycofali się w słaby, niepokojący cień posterunku. Nic się nie ruszało.

Harriet Mixler leżała na łóżku w ich dwupokojowym adobe, twarzą do góry, z rękoma wyciągniętymi wzdłuż boków i zaciśniętymi pięściami. George Mixler siedział przy łóżku, wachlując powietrze wokół jej głowy. Był krzepkim młodym mężczyzną o różowej, okrągłej twarzy, którą przecinały płowe dragońskie wąsy; na jego twarzy widniał teraz wątły, zmartwiony uśmiech.

— Furda, Harriet — mruknął — nic złego się nie stanie. — Pot ściekał mu po policzkach i spływał za kołnierz. Strzepnął go i kontynuował wachlowanie.

Miała szeroko otwarte oczy i z trudem oddychała.

— George — powiedziała — powinnam była pojechać do Fort Whipple już trzy miesiące temu. Ja umrę.

— Nie — odparł — nie umrzesz. To naturalna rzecz, Harriet. Żona majora McClure'a miała troje dzieci – i wszystko na granicy. Raz nie było nawet lekarza. Było tuż za linią frontu, podczas oblężenia Vicksburga.

Po tym, mógł już tylko ugryźć się w język. Była ekstrawertyczną dziewczyną, która szybko popadała w nastroje i szybko je zmieniała. Na jej twarzy pojawił się strach, silniejszy niż wcześniej.

— George, doktora Shiraza nie będzie tutaj, kiedy nadejdzie czas. Poczekaj i zobaczysz. Nigdy go nie ma! Można by pomyśleć, że pamiętają o mnie. Ale ich nie obchodzi kobieta w armii – nic ich to nie obchodzi!

— Będzie tutaj — obiecał Mixler. — Na miejscu.

— Zawsze bronisz armii — oznajmiła z pasją. — Nigdy nie spojrzysz na to z mojej strony! Nienawidzę wojska. Żałuję, że w ogóle kiedykolwiek zobaczyłam na oczy mundur!

— Wiem — odpowiedział spokojnie. — To piekielnie trudne dla kobiety. Ale wszystko będzie dobrze.

Prawie na niego nakrzyczała.

— Jak możesz być taki pewny, taki obojętny? Tu chodzi o mnie, nie o ciebie!

Zaproponował:

— Przyniosę trochę świeżej wody.

— Nie, wszystko staje mi w ustach i jest bez smaku. — Wpatrywała się w sufit pokryty strzechą, a cień tego wszystkiego, co czuła, tworzył

ciemną plamę w jej oczach. — Czuję się okropnie. Jak zwierzę w pułapce. Na wszystko jest już za późno.

Był mężczyzną, prostym, bezpośrednim i niezbyt zręcznym, a próbując ją pocieszyć, znów powiedział coś niewłaściwego.

— Jeśli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Harriet, jeśli to chłopiec, wsadzimy go na siodło, zanim nauczy się chodzić.

Rzuciła mu szybkie, nienawistne spojrzenie. Przeszedł go dreszcz, gdy to zobaczył i usłyszał twarde przekonanie w jej głosie.

— Posłuchaj, George. Jeśli przeżyję i jeśli przeżyje dziecko, wyjeżdżam stąd tak szybko, jak to tylko możliwe. Moja noga nigdy więcej nie stanie na posterunku, nigdy już nie będę jeździć za tobą wozem wojskowym jak jakaś praczka, nigdy więcej nie stanę przed drzwiami kolejnej nędznej rudery i nie będę udawać, że to dom, czekając, aż wrócisz z tych strasznych wzgórz.

— Wiem — mruknął. — Nie mówiłbym tyle, Harriet. Leż spokojnie.

— Nie — powiedziała mu, coraz ciszej. — Myślisz, że tylko pocieszasz głupią kobietę; mówię ci prawdę, George. Chciałam, żebyś zrezygnował z wojska. Mogłeś dostać dobrą posadę w Baltimore. Mój ojciec ci ją zaoferował. Mogliśmy żyć tak przyjemnie. Nie chciałeś tego zrobić, a ja myślałam, że jesteś taki dzielny, chcąc podążać za swoim regimentem. Poszedłeś swoją drogą. Teraz ja pójdę swoją. Nie nadaję się na żonę wojskowego. Każdego dnia byłam nieszczęśliwa. Zamierzam cię opuścić, George, zaraz jak tylko będę w stanie podróżować.

— W porządku, Harriet.

Spojrzała na niego ze straszliwą intensywnością w oczach.

— Mówię poważnie, George.

A potem, patrząc na nią, Mixler zobaczył, że rzeczywiście tak było, i kontynuował wachlowanie, nie odzywając się. Do pokoju weszła Eleanor Warren i zobaczyła wyraz jego twarzy, a także zaskoczone i na wpół szalone spojrzenie Harriet. Natychmiast odebrała Mixlerowi wachlarz.

— Niech pan już stąd idzie.

— Dzięki — powiedział Mixler i wstał. Przeszedł przez pokój, pociągnął długi łyk ze słoika z ciepłą wodą i stanął z szeroko rozstawionymi nogami. Próbował skręcić papierosa, ale za bardzo trzęsły mu się ręce, więc wyrzucił tytoń i bibułkę i wyszedł z pokoju.

O piątej, w najbardziej upalnej porze dnia, San Pedro przekroczył jeździec i pojawił się przed domem komendanta, zsuwając się z wyczerpanego konia. George Mixler akurat wychodził ze sklepu. Podróżny zdołał tylko wydusić z siebie:

— Była strzelanina na ranczu Summertona – potrzebują lekarza — po czym upadł na ziemię, a jego usta i twarz zrobiły się purpurowe.

Mixler wciągnął go do domu Warrena, budząc majora z niespokojnej sjesty. Żołnierz pobiegł chodnikiem, i wkrótce przyszedł Shiraz, przyjrzał się mężczyźnie i stwierdził:

— Cholernie blisko udaru słonecznego.

Major Warren powiedział:

— Będzie musiał pan pojechać na ranczo Summertona, Shiraz. Wygląda na to, że była tam strzelanina. Panie Mixler, niech pan weźmie paru ludzi do eskorty i pojedzie z panem doktorem. Wrócicie panowie przed północą.

Dwadzieścia minut później Shiraz i Mixler, wraz z sześcioma żołnierzami, przekroczyli San Pedro i skierowali się w stronę przesmyku w górach Tortilla.

O szóstej Eleanor przyprowadziła Harriet Mixler do kwatery komendanta na kolację. Potem, o zachodzie słońca, stanęli pod zarośniętą ramadą, by popatrzeć, jak jedni żołnierze wracają do koszar, inni stają na warcie, na sygnał trębaczy z oddziałów I oraz K. Nagle zapadł zmrok, a wokół czworoboku rozbłysły żółte światła; przejechał wóz zraszający, pozostawiając za sobą parny zapach wody na rozgrzanym piachu. Z ciemności wyłonił się Phil Castleton, ukłonił się paniom i wyraził swoje zdanie na temat pogody. Lecz rozmowa nie stanowiła żadnej zasłony dla jego pragnień i Harriet Mixler natychmiast się odwróciła.

— Przyjdę za chwilę — powiedziała do niej Eleanor

Odezwała się milcząca dotąd Lily Marr.

— Pozwoli pani, że się z panią przejdę, pani Mixler.

Przez chwilę wszyscy pozostali przyglądali się tej poważnej, skrytej kobiecie. Twarz Harriet Mixler odwróciła się od ciemności nocy, aż oświetlił ją blask światła w domu Warrenów i pokazał jej dziwną, zastygłą bladą twarz.

— Nie musi się pani tym przejmować — wyszeptała.

Lily Marr odparła cicho:

— Wszyscy czasami czujemy się trochę samotni — wzięła Harriet Mixler pod ramię i ruszyła w noc.

Phil Castleton spoglądał za nimi, powstrzymując się od komentarza, aż znaleźli się tuż poza zasięgiem słuchu.

— Nie lubię tej Marr — stwierdził.

Eleanor Warren, słuchając stanowczego brzmienia jego głosu, zdała sobie sprawę, że wszystkie jego opinie były właśnie takie. Szybkie i arbitralne, w jedną lub drugą stronę. Nie odezwała się od razu, lecz wzięła go pod ramię i szła z nim krok w krok. Minęli róg rzędu kwater oficerskich, skręcając wzdłuż północnej strony czworoboku. Księżyc wisiał nisko na niebie, intensywnie żółty od wiszącego w powietrzu pyłu. Gdy dotarli do południowej strony czworoboku, Castleton wyciągnął ją w głąb placu apelowego, aby uniknąć dobiegających z wielu stron rozmów żołnierzy w koszarach. Spytała go:

— Dlaczego, Phil?

— Zabłąkana kobieta w trudnym kraju. Nie wytłumaczyła się, prawda? Po prostu kobieta znikąd.

— Większość z nas przychodzi znikąd, Phil.

— Nie o to mi chodziło. Ale co wprawiło cię teraz w taki filozoficzny nastrój?

— No cóż — stwierdziła, — chyba zawsze taka byłam. Widzę ludzi śmiejących się lub płaczących — i zastanawiam się dlaczego. Nigdy nie mijam człowieka, by nie pochylić się nad jego historią, nad losami,

dobrymi czy złymi, przez które przeszedł. Dlaczego odciągasz mnie od budynku koszar, Phil? Wiem, o czym mogą rozmawiać tego rodzaju ludzie, znam to na pamięć. Wychowałem się wśród żołnierzy.

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Wyraźnie zobaczyła niezadowolenie na jego twarzy.

— To nie przystoi, Eleanor; gdybym kiedykolwiek usłyszał, jak któryś z nich mówi w pobliżu ciebie takie rzeczy, kazałbym mu zarzucić plecak na grzbiet i ganiał go po słońcu, aż by padł z wycieńczenia.

— Wtedy większość z nich by padła — zauważyła, delikatnie rozbawiona. — Nie powinieneś oczekiwać od żołnierzy takiej czystości, Phil. Nie chodzi o to, że oni chcą być brutalni. Odcięliby sobie ręce dla kobiety. Po prostu nigdy nie się nie nauczyli, innego sposobu rozmowy. Nie powinno cię to obchodzić. Ci ludzie naprawdę mnie wychowali. Myślę, że nigdy nie szczędzili mi niczego w kwestii praktycznej wiedzy — i cieszę się, że tak było.

Odparł, lekko pobłażliwym tonem:

— Wyobrażam sobie, że choć w niektórych sprawach pozostawili cię w ciemnościach. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Powiedziała:

— Phil, to są prawdziwi ludzie. Jak dobrze ich znasz? Ich historie? Czy wiesz o Harrym Jacksonie — i kobiecie z Valley Ranch?

— O mój Boże — zawołał, — kto ci o niej powiedział?

Śmiała się z niego, cicho, swobodnie.

— Mówiłam ci, że ten pułk mnie wychował. Cowen niczego przede mną nie ukrywa.

— To cholernie nieprzyjemne. To nie w porządku.

— Dlaczego nie, Phil? To zresztą akurat dosyć tragiczne, prawda?… Młody Harry Jackson zakochuje się w bardzo pospolitej kobiecie. I nie wie, że ona jest zła?

— Jesteś pewna, że on nie wie?

— Hanna powiedział, że nie wie.

Szli dalej. Teraz znów on się zatrzymał.

— Czy wszyscy ci ludzie tak z tobą rozmawiają, Eleanor? Nigdy nie rozmawiają tak ze mną.

Wzięła go pod ramię i poszli dalej, echo ich kroków zlewało się razem. Wezwanie o ósmej przebiegło przez posterunki; obok nich przemaszerowała zmiana warty. Minęli piekarnię pocztową, wrócili do szeregu kwater oficerów i rozpoczęli drugą rundę wokół czworoboku.

— Phil — mruknęła — musisz być bardziej cierpliwy i trochę bardziej ludzki w stosunku do nich. Niektórzy z nich są analfabetami, inni są kłótliwi, a jeszcze inni są swoimi najgorszymi wrogami. Ale to najlepsi ludzie na świecie – i będą stać u boku oficera aż do śmierci, jeśli będą mu lojalni. Ale ty też musisz być lojalny w stosunku do nich.

Oznajmił krótko i sucho:

— Zaczynam już rozumieć. Kazanie, Eleanor?

Miał w sobie tę lekką nietolerancję – ten opór, który wynikał z jego dumy i jego własnej ogromnej energii. Wiedziała, że powiedziała

wszystko, co mogła na tę jedną noc, więc wiedząc to, znów się roześmiała i zatrzymała koło rogu koszar.

— Nie – żadnego kazania, Phil. Czyż to nie cudowna noc?

Założył ręce za jej ramiona i widziała, jak bardzo był poruszony; zdradzała to szorstkość na jego twarzy.

— Na Boga, Eleanor — mruknął i przyciągnął ją do siebie.

Potem, kiedy się odsunęła, znów się roześmiała.

— Widzisz, Phil? Nie jestem absolwentką jakiegoś tam seminarium dla kobiet. Jestem córką oficera armii. Jestem kobietą. Czy to nie wystarczy?

Był niechętnie zakłopotany.

— Nie życzę sobie, żebyś używała takiego tonu. To nie jest…

— Phil — powiedziała, — życie to coś, co powinno być rzeczywiste. Powinniśmy traktować je najlepiej, jak potrafimy, tak głęboko, szeroko i w pełni, jak tylko możemy. Nigdy nie powinniśmy być mali ani się bać. Czy to brzmi dla ciebie jak coś ważnego?

— Chyba — stwierdził niepewnie i sucho, — nie zrozumiałem sedna tej uwagi.

Westchnęła.

— Większość ludzi tak mówi. Chciałabym znaleźć słowa…

To było wszystko, co udało jej się powiedzieć; ponieważ przez plac apelowy przeleciał odgłos krzyku, dzikiego i w najwyższym możliwym zakresie głosu kobiety. Wrzask, krzyk — i urywany oddech agonii. A potem cisza.

Lily Marr przeszła z Harriet wzdłuż szeregu kwater oficerskich i skręciły do kwatery Mixlerów. Stała obok, czekając, aż Harriet zapali lampę - taka nieruchoma i poważna, że Harriet odwróciła się do niej z pewnym zdziwieniem.

— Miło z pani strony, że jest pani dla mnie taka uprzejma. Chyba pójdę spać. Nie musi się pani fatygować, żeby zostawać. Tu jest tak strasznie gorąco.

Były mniej więcej w tym samym wieku; lecz pod żadnym innym względem nie było między nimi podobieństwa. Harriet Mixler była wystraszoną dziewczynką, która nie mogła zapomnieć bezpieczeństwa, światła i miękkości domu, z którego pochodziła; nigdy nie napotkała żadnych problemów życiowych, nigdy nie zaznała niepewności, aż do teraz.

Wszystko to sprawiało, że nadal była dziecinna, rozmarzona, i przerażona światem, w którym się znalazła. Patrząc nieruchomymi oczyma, Lily Marr widziała to wyraźnie. Ponownie wzięła Harriet pod ramię, prowadząc ją z dalej do sypialni, a jej głos był powolny i bardzo spokojny.

— Upał nie jest zły. Nic nie jest takie złe, jak to sobie wyobraża człowiek. Posiedzę z panią chwilę.

Harriet położyła się na łóżku, wyciągając się jak długa. Światło świeciło jej w oczy. Lily Marr przesunęła lampę w najdalszy kąt pokoju. Przysunęła krzesło do łóżka i oparła brodę o dłoń. Jej twarz, pełna jej zwyczajowego

spokoju, miała w tej chwili wyraz, który pobudzał ciekawość Harriet Mixler, dopóki nie zorientowała się, że próbuje znaleźć dla tego odczucia odpowiednią nazwę. Było to coś w rodzaju surowości, jakby powaga, która pojawiała się, kiedy ktoś za dużo w życiu widział, jak cień ukrytego smutku. To było najdokładniejsze określenie, jakie Harriet potrafiła znaleźć. Ale bez względu na przyczynę, przyjemnie było widzieć głęboki, łagodny blask w oczach tej dziewczyny; słyszeć stałość jej głosu. Wnosił on do tego miejsca niewysłowiony spokój.

Harriet spytała:

— Długo pani mieszka w tej części kraju?

— Cztery lata.

Harriet wymruczała swoim głosem małej dziewczynki:

— To takie dziwne myśleć o ludziach. Cztery lata temu byłam w Norfolk, świetnie się bawiłam. Było bardzo wesoło. A pani była na pustyni, na tym dzikim terytorium. To bardzo dziwne. Czy mogę zapytać o pani bliskich?

— Zginęli, zabici przez Indian.

— Jakie to smutne — mruknęła Harriet Mixler. — Czy pani nie nienawidzi Arizony?

Lily Marr wydawała się analizować to pytanie, jakby wzbudziło ono w niej jakieś nieznane myśli.

— Dlaczego? — odparła. — Nie, nie sądzę, żebym tak myślała. Kiedy człowiek nie może wybierać swojej drogi, nie ma sensu nienawidzić czegokolwiek.

— Wydaje mi się, że tego nie rozumiem.

— Moi rodzice wyruszyli z Nowego Orleanu i przybyli do Kalifornii. Zginęli na Apache Pass. Od tamtej pory sama przemierzam pogranicze. Nikt przecież nie może nienawidzić życia. Wszyscy cieszymy się z tego, że żyjemy. Ja przynajmniej, tak. Ale chyba rozumiem uczucie samotności. Nie wolno się bać — nigdy nie wolno się bać.

Położyła dłoń na ramieniu Harriet Mixler i zostawiła ją tam na chwilę, jej usta zrobiły się słodkie. Ciemność i zwątpienie w twarzy Harriet Mixler były bardzo realne. Niepewnie poruszyła się na łóżku. Spokojny głos Lily Marr był pocieszający, był czymś rzeczywistym i solidnym.

— Nic nie jest takie złe, jak człowiek myśli. Ból sprawia, że się płacze, ale kiedy go nie ma, zapomina się o nim. Głód boli, ale można długo wytrzymać bez jedzenia. Tego musi się pani nauczyć. Nigdy nie wolno się bać. Można znieść wszystko. Potem, po prostu dobrze jest żyć. Mówię pani coś, o czym dobrze wiem.

Harriet Mixler powoli wstała z łóżka.

— Muszę powiedzieć —oświadczyła, — że wydaje mi się, że jest pani bardzo pomocna. Chyba się rozbiorę i spróbuję zasnąć.

Lily Marr wstała z krzesła, kierując się w stronę drzwi. Odwróciła się, by przyjrzeć się pociągłym, cienkim zmarszczkom na twarzy Harriet Mixler; i zobaczyła tam udrękę i niepewność. Powiedziała w swoim rozważnym stylu:

— Ma pani bardzo ładne włosy. Rano je pani rozczeszę. Dobranoc.

Po jej wyjściu Harriet Mixler stała zupełnie nieruchomo, z rękami opartymi o mur adobe. Poczuła ciężar swojego dziecka, nacisk na nogi. Trudno jej było oddychać w tym dusznym powietrzu i nagle cisza stała się tak głęboka, że usłyszała dudniący rytm swego serca. Przeszła przez dom i wyszła na podwórko od tyłu, idąc wzdłuż niewyraźnej granicy niskiego płotu z desek, przytrzymując się belki na wierzchołku płotu. Tutaj było odrobinę chłodniej, a gwiazdy błyszczały biało na niebie. Przeszła z powrotem do domu kapitana Harrisona, widząc go jak kołyszące się w fotelu; za nim był adobe doktora Shiraza. Na chwilę się zatrzymała, zastanawiając się, jak szybko wróci doktor, i znów poczuła głęboki strach, a potem popatrzyła na czarne niebo nad głową i zaczęła się trząść, nienawidzić tego kraju, tego posterunku i ludzi w nim przebywających, pogrążając się w mrocznej samotności, w której nie było cienia światła. Ruszyła szybciej, jakby od czegoś uciekała — od czegoś, co podążało za nią, choć nie wiedziała, co to jest.

Jej ręka spoczywała na belce zwieńczającej ogrodzenie i przesuwając się po niej do przodu, w pewnej chwili dotknęła jakiejś zaokrąglonej, szorstkiej powierzchni, która ustąpiła pod jej palcami i spadła z miękkim „tunk” na ziemię. Sięgnęła w dół i dotknęła jej ponownie, a następnie jej palce przesunęły się po nosie i ustach odciętej głowy Apacza, którą doktor Shiraz położył na ogrodzeniu, aby wyschła. Poderwała się do góry, mdłości przelewały się przez nią, zrobiło jej się zimno, wpadła w szał; i w tym momencie krzyknęła na cały głos, aż zabrakło jej tchu i nie chciał on wrócić. Upadła nieprzytomna na ziemię.

Kapitan Harrison wyszedł z tylnych drzwi kwatery, przeklinając. Z placu apelowego przybiegł wartownik, wrzeszcząc na całe gardło:

— Dowódca warty! Na posterunek numer pięć!

Na całym posterunku rozległy się pośpieszne krzyki, stopy tupotały na luźnych deskach chodnika, a Ray Lankerwell wybiegł z budynku sztabu posterunku, przy każdym skoku machając latarnią. Znalazł Harrisona, kucającego nad Harriet Mixler. Światło latarni pokazało makabryczny kształt głowy Apacza. Lankerwell odrzucił ją, słysząc straszliwe, pełne pasji przekleństwa Harrisona.

— Na Boga, zabiję tego przeklętego doktora! Proszę wziąć ją pod ręce, panie Lankerwell! Spokojnie - ona jest diabelnie bliska śmierci!

Nadbiegli zmiennicy wartowników. Major Warren przebiegł przez adobe Mixlera i przyklęknął przy Harrisonie, oddech bulgotał mu w płucach. Z mroków nocy pośpiesznie wyłoniła się Eleanor. Harrison złapał Harriet pod ramiona, podnosząc ją; a potem on i Lankerwell zabrali ją z powrotem do adobe i położyli na łóżku. Major Warren trzymał teraz latarnię nad Harriet. W pokoju zrobiło się tłoczno, a wszyscy ci ludzie oddychali bardzo ciężko. Eleanor usiadła obok łóżka, z rękami na piersiach Harriet. Harriet leżała z półotwartymi oczami, jej źrenice spoglądały gdzieś daleko, poza zasięg wzroku. Zacisnęła pięści na piersiach i złapały ją nagłe, rozdygotane skurcze. Eleanor powiedziała:

— Kiedy wróci doktor Shiraz?

— Nie przed północą.

Uniosła głowę, wpatrując się w ojca.

— Ona nie może tak długo czekać.

Harrison wyrzucił z siebie:

— Czy na tym posterunku nie ma nikogo, kto by cokolwiek wiedział o dzieciach…

Lily Marr minęła mężczyzn, delikatnie ich rozpychając. Stała przez chwilę, patrząc w dół na Harriet Mixler; i nagle się odwróciła. Jej ramiona widoczne w świetle lampy były wyprostowane, głos brzmiał chłodno i niewzruszenie. Emanowała z niej kompetencja, poczucie pewności siebie, które wszyscy czuli. Można było je wyczuć w sposobie, w jaki na nich patrzyła, w sposobie, w jaki powiedziała.

— Ja wiem.

Eleanor popatrzyła na mężczyzn.

— Lepiej odejdźcie. Lily i ja się tym zajmiemy.

Rozdział VII

Około dziewiątej tego ranka Benteen wyruszył wraz z oddziałem w dół skalistego zbocza. O jedenastej, gdy znaleźli się na płaskim terenie w dole, Al Hazel zsiadł z siodła i zaczął chodzić zygzakiem przed żołnierzami. W pewnym momencie wskazał na słabo zarysowany ślad na kamienistej ziemi i na połamane łodygi kępy trawy.

— To jest ślad pańskiej squaw — stwierdził. — I można zakładać, że na jego końcu jest Antone.

Wsiadł z powrotem na konia, z kapeluszem zsuniętym na przód głowy, a jego oczy podążały za tą niewyraźną wskazówką. Teren w perspektywie wznosił się ze swoistą nieregularną monotonią, wzgórze za wzgórzem, z coraz wyższymi wierzchołkami rzucającymi ciemne cienie w promieniach coraz silniejszego słońca. Przejeżdżali przez obszar pełen porozrzucanych skał i gęstwin kocich pazurów. Z gaju mesquite wystrzelił jeleń i zniknął w sąsiednim wąwozie, wzbijając za sobą tumany kurzu. Howell Ford jechał obok Benteena, a tuż za nimi McSween. W podwójnym rzędzie żołnierzy nie było żadnych rozmów. Jechali z oszczędzającym energię rozluźnieniem, z kapeluszami mocno naciągniętymi na opalone na czarno czoła, ocieniającymi czarne wąsy, błękitne irlandzkie oczy i długie, kościste szczęki Irlandczyków. Ramiona sterczały im z kwadratową kościstością, odznaczając się na szarych koszulach; odsłonięte trójkąty gardeł opalone były przez słońce na brązowo-czarny kolor. Skóra siodeł skrzypiała rytmicznie, a delikatny tętent kopyt przebijał się przez dzienną senność.

Benteen uważnie przyglądał się terenowi, badając każdy najsłabszy cień u podnóża kęp mesquite i kocich pazurów, krawędzie rozrzuconych skał, zasłaniające widok kolumny pitahaya, czy też niżej wyrastające kępy mescalu oraz hiszpańskich bagnetów. W każdym takim dającym kryjówkę miejscu, lubili leżeć samotni wojownicy Apaczów, obserwować i czekać z cierpliwością, która zdawała się nie mieć końca. W tej krainie nie było chwili bezpieczeństwa, ani w dzień, ani w nocy. Była to ziemia pełna skrajności, długich okresów ciszy i nagłego, szalonego krzyku, przenikającej do szpiku kości suszy, po której następował nagły szum rwących potoków w wąskich kanionach; sennego spokoju i pośpiesznego huku wystrzałów. To było Terytorium, surowe i prymitywne. Wypłukiwało z człowieka wszystkie ślady miękkości, nadawało jego oczom wyraz, który nigdy ich nie opuszczał, a w jego głowie rodziły się dziwne wspomnienia, sprawiające, że nigdy nie był w stanie zapomnieć o tym kraju, i nawet w najtrudniejszych chwilach, skłaniały by pragnął tu zostać.

Benteen rozmyślał o tych rzeczach, jadąc w milczeniu w gorących promieniach słońca; o tych rzeczach i o Eleanor Warren. Jego zainteresowanie nią było od samego początku bezpośrednie i żywe, bliskie natychmiastowemu zauroczeniu, jakiego nigdy wcześniej nie czuł do żadnej kobiety. Jej obraz w jego myślach był całkiem wyraźny - wysoka i kształtna, w sposób, który poruszał każdego mężczyznę, dobrego czy złego. Jej długie, pełne opanowana wargi skrywały pewnego rodzaju uśmiechniętą wiedzę; oczy odzwierciedlały pewnego rodzaju mądrość. Pamiętał sposób, w jaki trzymała głowę, nieruchomo i prosto, kiedy na niego patrzyła, a światło prześlizgiwało się po miedzianej powierzchni jej włosów. U kobiety milczenie mogło oznaczać wiele rzeczy; nie był pewien, co ono znaczyło u niej, ale pociągała go, jak wspaniała tajemnica, igrała z jego samotniczym typem osobowości i wywoływała powolne podniecenie, jakby stał na krawędzi jakiegoś niezwykłego odkrycia.

Południe przeczekali w niewystarczającym cieniu gaju paloverde i pojechali dalej. O drugiej, wyłaniając z płytkiego kanionu, dotarli do podnóża długiego, rozległego wzgórza. Milę dalej, i wyżej, wznosiła się grań kolejnej góry. Benteen zatrzymał oddział, zastanawiając się nad sytuacją taktyczną. Al Hazel wrócił z krótkich poszukiwań.

— Kolejne ślady zbiegają się ze sobą — poinformował go i wskazał w kierunku szczytu. — Wszystkie prowadzą tam, na szczyt.

— Jeśli Antone jest tam na górze — powiedział Benteen — to obserwował nas przez cały dzień. A jeśli czeka, to znaczy, że myśli, że zdoła nas pokonać. A może czeka, żeby zobaczyć, jak daleko się posuniemy.

— Z Indiańcami nigdy nic nie wiadomo — mruknął Hazel, omiatając spojrzeniem odległą grań. Po dłuższej chwili dodał: — Ale on wciąż tam jest, to prawda.

Po prawej stronie góry pojawiła się wyrwa. Benteen zapytał o nią.

— To kanion — powiedział Hazel. — Przecina góry. Dosyć głęboki.

— Czy jest jakiś inny sposób na zejście z tej góry?

— Nie złapałby pan Antone w miejscu, w którym nie ma tylnych drzwi. Ma szlak schodzący do kanionu, po drugiej stronie szczytu.

Ford powiedział:

— Wydaje mi się, że widzę kogoś poruszającego się na tej grani.

Benteen osłonił oczy i przyjrzał się uważnie. Na zboczu, aż do krawędzi grani, leżały porozrzucane skały. W górze było również dużo rosnących sosen. Wkrótce jednak dostrzegł poruszającą się więcej niż jedną postać. Zastanowił się nad tym przez chwilę.

— Antone chce, żebyśmy wiedzieli, że on tam jest.

— Zgadza się — stwierdził sucho Al Hazel. — Gdyby Indianiec nie chciał być widziany, nigdy by pan go nie zobaczył.

— Dosyć mocno pewny siebie — zastanawiał się głośno Benteen. — McSween, jak stoimy z wodą?

— Pół manierki, panie poruczniku.

Szarobrązowe zbocze oświetlone było ostrym słońcem; teraz o godzinie trzeciej, upał wywoływał widmowe fale nad skałami i powodował, że powietrze robiło się niebieskie od oparów. Metalowy pasek na kaburze

rewolweru Benteena, był taki gorący, że aż parzył skórę na grzbiecie jego dłoni.

— To będzie cholernie upalna wspinaczka. Może być aż tak silny, jak mówiła squaw, czyli naprawdę silny jak na nasz oddział. Ale te skały będą dobrym schronieniem, jeśli będziemy go potrzebować.

Sięgnął do siodła, uważnie przeglądając instrukcje majora Warrena. Porównał ich treść z sytuacją jaką miał przed sobą, starannie wyważając te czynniki. Odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na nim. Ta kolumna należała w tej chwili do niego, miała zostać spisana na straty, jeśli będzie uważał, że wyniki to uzasadniają, a oszczędzona, jeśli nie. To był trudny wybór, którego musiał dokonać oficer w terenie. Popatrzył na ludzi i na konie, po czym zapadła cisza.

— Podjedziemy trochę bliżej — w końcu zadecydował.

Wciąż ustawieni dwójkami, ruszyli na zbocze i rozpoczęli długą wspinaczkę, trzymając karabiny w rękach, pochylone do przodu. Widoczny szlak biegł nieregularnie przez skały. Wysoko w górze, na lewym krańcu grani wierzchołka, na widoku pojawił się Indianin na koniu i zatoczył wyraźne koło po zboczu, wymachując lancą, po czym ponownie zniknął z pola widzenia. Kolejne czterysta jardów dalej Benteen oznajmił:

— Do boju — i popatrzył, jak jego kolumna rozwija się za nim w jedną linię. — Ford, weź prawą flankę. Hazel, przejdź na lewą. Jeśli napotkamy więcej kłopotów niż przewidujemy, utkniemy w tych skałach.

Uważnie obserwował krawędź grani w górze i dostrzegł niewyraźne sylwetki poruszających się Apaczów. Z tej wysokości, niżej położone tereny wyglądały na najeżone skałami i nierówne. Otaczające ich skały buchały gorącem jak piece, przesiąknięte wewnętrznym ciepłem. Sześciostopowy grzechotnik teksański leniwie poruszał się na szlaku, rzucał się do przodu, zwijał się, i znów rzucał. Koń Benteena zarył kopytami w ziemię, parskając na znak, że chce oddalić się od niebezpiecznego zwierzęcia. Pot oblepił koszulę Benteena, przylegając do jego pleców. W tym momencie nie dostrzegał już kolejnych Indian i wydał rozkaz do walki pieszej.

Linia żołnierzy zsiadła z koni, przekazując wodze koniowodnym. Jeden dodatkowy człowiek pozostał z jeńcami. Reszta rozeszła się i rozpoczęła końcową wspinaczkę pieszo, omijając skały. Obserwując kamienny parapet, Benteen zobaczył głowę, która pojawiła się w zasięgu wzroku i zniknęła. Do szczytu pozostało, o ile mógł to ocenić, ze dwieście jardów. Obok niego maszerował van Rhyn, ciężko wymęczony przez upał i trudy wspinaczki; twarz miał ściągniętą i bladą, a oddech rzęził w jego gardle jak piła. Benteen natychmiast powiedział:

— Cofnij się i zastąp jednego z koniowodnych.

Ale van Rhyn odpowiedział mu błyskiem dziwnie, zranionych oczu.

— Proszę pozwolić mi podejść, panie poruczniku.

Benteen zawołał:

— Uważajcie na linię, ludzie. Nie wychodźcie przed nią.

Al Hazel krzyknął:

— Nadchodzą!

Kilkunastu Apaczów, drobnych i żylastych, rozebranych do mokasynów i przepasek biodrowych, wyskoczyło ponad krawędzią grani mniej więcej w jednym szeregu, wylądowało w sypkim piachu i zjechało na stopach ku najbliższym skałom. Benteen zobaczył, jak karabiny podskakują im w rękach. W tej samej chwili inne karabiny zaczęły gwałtownie huczeć z krawędzi wierzchołka. Benteen zawołał:

— Ognia!

Żołnierze opadli za skały. Salwa wypaliła tuż po komendzie Benteena; w miejscach, gdzie uderzyły kule, wokół zbiegających Apaczów posypał się piach. Jeden z nich upadł głową do przodu, zwijając się w kłębek. Drugi upadł na pośladki i osunął się bez życia na skały. Spiżowy głos McSweena zawtórował tej wrzawie, twardy i pozbawiony emocji.

— Teraz wszyscy naprzód! Teraz wszyscy naprzód! Nie marnować nabojów w karabinach!

Benteen zaparł się o skałę, utrzymując rewolwer na zmieniających się celach. Widział, jak jego kule trafiają; kątem oka dostrzegł, że linia żołnierzy posuwa się do przodu. Ostrzał z grani nie ustawał, ale Indianie, którzy zeskoczyli na dół, za skały, zniknęli wszyscy z pola widzenia, martwi lub uciekając. Pocisk uderzył w powierzchnię skały, koło której stał. Przesunął się do przodu, wołając:

— Trzymać się blisko ziemi, trzymać się blisko ziemi. Jackson, opuść tę głowę.

Z pobliskich skał nagle wyskoczyło dwóch Apaczów, wystrzelili w tej samej chwili i rozbiegli się na boki, by uciec przed zbliżającym się oddziałem. Ford wysunął prawą część linii do przodu, aby otoczyć skały. Benteen wpatrywał się w krawędź grani na górze, widząc, jak karabiny wyłaniają się spoza niej, strzelają i wycofują. Zawołał:

— Przenieść ogień na górę! Na krawędź!

Harry Jackson wysunął się zza skał i stanął nad nimi wyprostowany, by oddać strzał. Benteen wypadł na wolną przestrzeń, podbiegł do Harry'ego Jacksona i pchnął go. Rykoszetujący pocisk przeleciał z wizgiem tuż koło nich, jak jakaś ogromna pszczoła. Pył i odłamki skał rozleciały się wszędzie wzdłuż krawędzi wierzchołka, co było efektem silniejszego ognia żołnierzy, a w górze lufy karabinów Indian zaczęły zanikać.

Ford, kończąc swój manewr oskrzydlający, zlikwidował ostatniego Apacza ze skał na dole, a wtedy Benteen, uważnie obserwujący szczyt, wyczuł przesilenie w walce. Wyskoczył zza skał, odpychając się butami od osuwającego się piachu, machnął ręką na otaczających go ludzi. Szereg ruszył w górę stromego zbocza, od czasu do czasu oddając pojedyncze strzały by osłaniać podchodzących. Harry Jackson rzucił się naprzód, łapiąc w ramiona zataczającego się van Rhyna; ciągnął kolegę ze sobą, przy pomocy ramion i kolan, by uchronić starszego mężczyznę przed upadkiem.

Wokół Benteena kłębił się pył i mieszał się na jego twarzy ze strugami potu. Odgarnął błotnistą maź z oczu, zlizał ją z warg i chwycił opuszkami palców krawędź grani.

Sierżant McSween podszedł do niego, ciężko dysząc z głębi piersi. Zaparli się w osuwającym się żwirze pod nogami, przerzucili się przez

krawędź i upadli na ziemię z wyczerpania. Żołnierze pojawiali się koło nich, jeden po drugim, chrząkając ciężko przy tym ostatnim ogromnym wysiłku. Szeregowy Jackson, znajdujący się wciąż poniżej krawędzi, krzyknął:

— Zaczekajcie na mnie! Mam tu van Rhyna!

Banda Antone biegła lub jechała na koniach, przez płaski jak stół wierzchołek wzgórza, wzbijając za sobą chmury pyłu. W pobliżu Benteena w ziemię wbiła się strzała, a kilka kolejnych wystrzelonych do tyłu strzał, nadleciało, w nic nie trafiając. Żołnierze podnieśli się do pozycji klęczącej, strzelając przez tumany pyłu. Benteen wstał na nogi i ruszył przed siebie, a za nim reszta oddziału. W pewnej chwili zobaczył, jak grupa Antone znika z pola widzenia w pobliskim kanionie.

— Morphy — zawołał, — wracaj i daj sygnał aby wprowadzili konie na górę!

Potruchtał przez pusty teren, przebijając się przez chmury wiszącego w powietrzu jak mgła pyłu. Buty żołnierzy mocno tupały, a ich kolana uginały się i przy każdym kroku nie prostowały do końca; tak byli wyczerpani. Brnęli ciężko, chwiejnym krokiem, szereg kołysał się nierówno, ludzie powoli opadali z resztek sił. Na skraju wierzchołka góry rósł rzadki sosnowy zagajnik. Kryjąc się i wybiegając z jego wątłych cieni, Benteen dotarł do załamania terenu i zobaczył, jak banda Antone pędzi pojedynczo wąską górską ścieżką w dół kanionu; wkrótce zakręt pozwolił Indianom całkowicie zniknąć z pola widzenia.

Howell Ford wydyszał między kolejnymi sapnięciami.

— Nie są daleko przed nami, Tom!

Żołnierze podchodzili jeden po drugim. Ludzie padli ciężko na ziemię, z trudem łapiąc powietrze; część z nich stała prosto, na szeroko rozstawionych nogach. Wspinaczka wyssała z żołnierzy wszystkie siły witalne, a piekący upał pozbawiał powietrze odżywczej mocy; kiedy je łapali nie czuli ulgi. Ich płuca nie miały czym oddychać. Koniowodni przygalopowali przez pustą przestrzeń, prowadząc ze sobą wierzchowce.

Howell Ford powiedział:

— Spójrz tutaj, Tom.

Pojedynczy rządek wycofujących się wojowników Antone pojawił się na chwilę na zakręcie szlaku i wkrótce zniknął. Niebawem banda pojawiła się na dnie wąskiego wąwozu, przekroczyła go i zniknęła w skalnej alei. Koryto kanionu znajdowało się osiemset stóp poniżej tego załamania terenu, oznaczone małym, szybko płynącym potokiem, który lśnił w rozciągającym się w dole cieniu; ogon grupy Antone przekroczył potok, pół mili dalej, w górę kanionu. Dwóch Apaczów pozostało z tyłu, kucając nad wodą. Za tym miejscem teren przechodził w ogromną masę powikłanych wzgórz.

Ford obserwował dwóch Indian.

— Cholernie dobrze się przy tym bawią. — Popatrzył na Benteena. — Idziemy za nimi?

Benteen zmierzył wzrokiem wąski szlak i otaczające go skalne ściany. To był kiepski teren do pościgu.

— Myślę, że Antone chciałby, abyśmy to zrobili — ocenił.

Al Hazel odsunął swoje derby z czoła.
— Sądzę, że to prawda.
— Nie wszyscy weszli do tej dziury — zdecydował Benteen. — Niektórzy z nich wciąż są na skałach wzdłuż szlaku.
— Jeśli znam Antone — wtrącił Hazel, — tak właśnie zrobił.
— Jesteśmy tak blisko tego dzikusa, jak nigdy dotąd — zauważył Ford. — Szkoda byłoby pozwolić mu uciec.
Benteen przykucnął na piętach, przyglądając się z zaciekawieniem okolicy. Decyzja znów należała do niego i musiała zostać podjęta szybko - jeśli miał zamiar kontynuować pościg. Nie było innego sposobu na dotarcie do Antone, chyba że sprowadziłby oddział z powrotem w dół góry i okrążył ją, uderzając na kanion od dołu; oznaczało to stratę pół dnia czasu. Pokusa by przeć dalej była dość silna, lecz przypomniał sobie, że to Antone wybrał to miejsce, stoczył walkę i wycofał się: Antone był dobrym generałem i bardzo prawdopodobne, że czekał na tamtejszych skałach, na głupiego młodego oficera kawalerii, który poprowadzi swoich ludzi prosto w piękną pułapkę. Benteen rozejrzał się po żołnierzach, widząc w ich oczach martwe spojrzenia. Kampania w środku lata była ciężka.
— Nie — oznajmił. — Rozbijemy tu obóz i odpoczniemy do północy, zanim zawrócimy do Grant.
Głos McSweena zaczął przykuwać uwagę żołnierzy. Złożyli broń w kozły i uwiązali konie na palikach w półcieniu sosen. Na wszystkie krawędzie tego górskiego szczytu posłano pikiety; reszta oddziału rozłożyła się na ziemi. Benteen wrócił do van Rhyna, który leżał na posłaniu z sosnowego igliwia. Van Rhyn miał zaciśnięte usta i nierówno oddychał.
Benteen powiedział:
— Zamierzam przenieść cię do Whipple. Ten paskudny kraj to dla ciebie za dużo.
Van Rhyn pokręcił głową.
— To nie robi wielkiej różnicy, prawda?
Światło w kolorze ognia wylewało się z nisko położonego na zachodzie słońca. Ford wciąż stał na krawędzi wierzchołka, obserwując kanion. Zirytowanym głosem zawołał do Benteena:
— Te przeklęte dzikusy wciąż są w zasięgu wzroku.
— Oczywiście — odparł Benteen. — To część podstępu.
Bystre, półprzymknięte oczy Ala Hazela zwróciły się na Benteena, a potem na Forda. Powiedział do Forda:
— To chyba najstarsza sztuczka w świecie. Myślą, że biały człowiek rzuci się na przynętę. Większość białych tak robi.
— W każdej dowolnej chwili postawię jednego żołnierza przeciwko pięciu Apaczom — mruknął Ford.
— Nie w tym kraju — zaprzeczył Al Hazel. — Apacze to najtwardsi wojownicy na świecie.
Benteen usiadł na ziemi z rozłożoną przed sobą kartką papieru. Narysował staranną mapę okolicy, zaznaczając swój szlak i dokładną pozycję tego wzgórza. Poniżej napisał krótką wiadomość do majora Warrena:

Panie majorze:

Napotkaliśmy w tym miejscu bandę Antone, starliśmy się z nimi i przepędziliśmy ich z powrotem do kanionu. Wycofują się w kierunku wschodnim, w sile około trzydziestu ludzi. Kiedy porucznik Castleton wyruszy, powinien ominąć kanion i uderzyć na wzgórza przez wyższy teren. Ja wracam.

Z wyrazami szacunku,

T.C. Benteen.

Podszedł McSween.

— Gotują mescal w jakichś dołach na drugim końcu tego widocznego terenu.

Nagle słońce zeszło poniżej krawędzi horyzontu. Na niebie wciąż widać było jego ostatnie blaski, lecz szare niebieskości rozlały się po ziemi niczym woda, a cisza zdawała się otulać ich niczym koc, tak gwałtowne było przedtem słońce. Benteen złożył swój meldunek i wręczył go sierżantowi McSweenowi:

— Wyślij z tym do Grant Jacksona z dwoma innymi szeregowcami, gdy tylko zapadnie zmrok.

Ford usiadł obok niego, narzekając.

— Nie cierpię patrzeć, jak te łobuzy uciekają.

Benteen wyciągnął się jak długi na ziemi, obserwując blednące kolory zachodu na niebie.

— Nie ma pośpiechu. Nie możemy walczyć z Apaczami w ich własnym stylu. Naszym zadaniem jest utrzymywanie ich w ruchu, wyczerpywanie ich koni i zapasów żywności. Jeśli nie będą mogli ugotować mescalu - co zajmuje trzy dni - to trudniej będzie im jeść. Moja wiadomość dotrze do Grant przed świtem. Rano Castleton wyruszy na szlak ze swoim oddziałem, podczas gdy my wrócimy, by dać odpocząć koniom.

— Niezbyt spektakularny sposób prowadzenia kampanii.

— Nie — przyznał Benteen. — Niezbyt. Ale dwudziestu kawalerzystów, martwych na dnie tego kanionu, byłoby czymś znacznie bardziej spektakularnym.

Zmierzch zapadł raptownie, a ognisko zaczęło buchać w ciemności, Benteen ugotował sobie kawę, usmażył bekon i zjadł go z wiecznie niezaspokojonym apetytem aktywnego człowieka. Wyciągnął się na ziemi, skręcił papierosa i patrzył, jak nocne gwiazdy przebijają się przez gęstą czerń nieba. Jego ludzie leżeli w pobliżu przykryci kocami, sennie rozmawiając; wartownicy tupali po twardej ziemi wzdłuż krawędzi wierzchołka. Odwrócony częściowo na bok, Benteen obserwował na tle ognia sylwetkę van Rhyna. Głos van Rhyna brzmiał jak głos wykształconego człowieka. Mówił właśnie do Harry'ego Jacksona:

— Z siły dumni są ludzie młodzi, Harry. Tylko ignoranci, niezależnie od tego czy młodzi czy starzy, dumni są z niej zawsze. Musisz się dowiedzieć, że wiara jest rzeczą znacznie silniejszą.

— Co? — powiedział Harry Jackson.

— To coś, co dotrze do ciebie później — powiedział van Rhyn.

Leżąc na plecach, z rozluźnionymi mięśniami, Benteen wsłuchiwał się w rozmowy, w ciche odgłosy dochodzące z głębin nocy, w stukot końskich kopyt na twardej ziemi. Otaczające go dźwięki i zapachy dodawały mu otuchy - były znajome i stare, stanowiły część jego życia od czasów gdy po raz pierwszy zaciągnął się do wojska. W zapachu potu i delikatnym pomruku głosu McSweena kryła się swojska prostota; w dotyku pyłu i sosnowych igieł na skórze była jakaś odwieczna namacalność; w dalekim niebie było coś, co chwytało człowieka za serce i tuliło go swoją ponadczasową obietnicą. Mężczyźni, jak sądził, byli stworzeni do bycia częścią pyłu i walki, do dotyku twardości i do czerpania przyjemności z krótkich przerw między nimi. To był jego rodzaj życia. Leżąc tak, z palącym się papierosem w palcach, przypomniał sobie przechyloną głowę Eleanor Warren, która obserwowała go z ganku domu komendanta. To jej milczenie i wszystko, co się za nim kryło, wzbudziło jego zainteresowanie i ponownie rozpaliło nikły płomień podniecenia. Była w pełni kobietą; w jej oczach kryła się wiedza o tym, czym jest życie - czym powinno być. Czuł to w niej; była to cecha, która przenikała przestrzeń między nimi i dotykała go.

Zasnął z łatwością człowieka natury i obudził się o północy. Oddział ustawił się w szyku i ruszył w dół długiego zbocza, kierując się na południowy zachód w stronę Camp Grant. Na niebie świeciły wszystkie gwiazdy.

George Mixler sklecił ręcznie napędzany wentylator na suficie pokoju, prosto nad łóżkiem Harriet. Siedział w kącie, cierpliwie ciągnąc sznurkiem tam i z powrotem, bełtając stęchłe ciepło nocy nad swoją żoną. Leżała nieruchomo na łóżku, z czarnymi włosami rozpuszczonymi wokół bladych policzków i nie patrzyła na niego. To było coś, co przeszyło go jak ostry czubek noża; nawet nie spojrzała na niego i nie odezwała się do niego słowem, od czasu jego powrotu z misji na ranczo Summertona. Dziecko leżało w zaimprowizowanej kołysce z pudła po sucharach, obok łóżka. Shiraz pochylał się nad nim ze stetoskopem, a krawędź jego wąsów dotykała czerwonej twarzyczki. To był chłopiec, wątły i delikatny nawet dla żołnierskich oczu George'a Mixlera. Eleanor Warren i Lily Marr stały z tyłu, czekając na koniec badania Shiraza.

Shiraz odłożył przyrząd, zwinął go i włożył do kieszeni. Starannie przeczesał wąsy.

— Wszystko w porządku, absolutnie.

Harriet odezwała się wyczerpanym głosem:

— Ale on tak bardzo płacze.

— Każdy by płakał — stwierdził Shiraz, — gdyby był na jego miejscu. To naturalny płacz.

Wyjął stetoskop i przyłożył go do klatki piersiowej kobiety; jego oczy wciąż obserwowały jej twarz, bardzo życzliwe, bardzo bystre. Popatrzyła na niego spokojnie, a on był na tyle mądrym człowiekiem, by dostrzec urazę, jaką do niego żywiła, i zrozumieć jej powód.

Wyszeptała:

— Nie było pana tutaj.

Ponownie odłożył stetoskop.

— Nie — przyznał — złamałem moją obietnicę, prawda?

Odezwał się George Mixler.

— Harriet, nie powinnaś tak mówić. Miał wezwanie.

Nie odpowiedziała Mixlerowi, nawet nie spojrzała na niego. Przez chwilę jej usta zacisnęły się i zrobiły się proste. Kiedy się odezwała, zwróciła się do Shiraza.

— Wiem. Rozkazy są najważniejsze. Więc pojechał pan na ranczo Summertona i nastawił złamaną rękę pijanemu człowiekowi.

Shiraz wstał, uśmiechając się niewyraźnie.

— Żadne z twoich obaw się nie spełniły, Harriet. Ty jesteś cała i zdrowa, a twój syn jest zdrów jak ryba. Zapamiętaj moje słowa, oboje będziecie jeszcze starymi żołnierzami.

Zachował wesołą minę, nawet pomimo jej ściągniętej twarzy i pełnego urazy zachowania. Potem popatrzył na nią i na George'a Mixlera i zdawał się wsłuchiwać w ciszę panującą w pokoju, oceniając co ona znaczyła. Skinął na Eleanor, która podeszła do George'a Mixlera, zastępując go przy wentylatorze. Mixler wstał i natychmiast opuścił adobe.

Shiraz wyszedł za nim. Obaj mężczyźni stali w ciemnościach placu apelowego. Mixler grzebał rękami po kieszeniach. Wymamrotał:

— Nienawidzi mnie za tę nieobecność, Shiraz. Na Boga, to trudne do zniesienia.

— Czego innego się spodziewałeś? To czas, kiedy kobieta chce, by jej mąż był koło niej – przynajmniej większość kobiet. I to jest czas, w którym nie powinieneś oczekiwać od niej ani odrobiny rozsądku, bo tak stworzyła ją natura. Ale poradzi sobie z tym - zrozumie.

— Nie — odpowiedział George Mixler. — Nie, nie zrozumie.

I nagle Shiraz ze wstrząsem, usłyszał że ten wielki młody człowiek płacze.

Shiraz podszedł i uderzył go w ramię:

— George, nie jesteś pierwszym mężczyzną, który zrobił coś takiego. Myślę, że każdy mężczyzna i każda kobieta na świecie myślą, że narodziny ich dziecka to pierwszy tego rodzaju przypadek w historii. Zawsze tak jest. Chodź ze mną na dobrego, mocnego drinka.

W ciemnościach w pobliżu przeszedł Castleton, jego stopy energicznie uderzały o luźne deski chodnika. Mixler pozbierał się, widząc ledwie widoczną, rozmytą, zaciekawioną twarz Castletona. Castleton zapytał:

— Coś nie tak?

Szorstki sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawił, że George Mixler zesztywniał i rzucił odpowiedź nie dodając jakiegoś przyjaznego słowa.

— Nie — powiedział i poszedł dalej z Shirazem.

Castleton zatrzymał się pod drzwiami, zaglądając przez nie do środka. Oparł ramię o krawędź muru i wsłuchiwał się w miarowe łkanie dziecka, obserwując, jak Eleanor ciągnęła za sznur wentylatora, aż jej spojrzenie uniosło się i dostrzegło jego. Machnął do niej ręką.

Harriet obróciła się niemrawo na łóżku.

— Daj spokój, Eleanor. Powietrze wydaje się równie gorące, gdy się nim porusza. Chciałabym być na wzgórzach, w Fort Apache. Nie sądzę, by dziecko było w stanie to znieść.

Lily Marr poruszała się po pokoju, cicha i sprawna. Przetarła twarz Harriet mokrym ręcznikiem i zmieniła poduszkę; jej dłonie przygładziły rozpuszczone włosy młodej matki. Spojrzała w dół na dziewczynę, na jej ustach pojawiła się łagodna surowość, a w głosie spokojna i niespieszna wiara.

— Będzie żył. Nie jest tak źle, jak myślisz.

Harriet wyszeptała w odpowiedzi:

— Oboje jesteście bardzo miłe. Szkoda, że to nie jest dziewczynka. Nazwałabym ją Lily Eleanor. Po co mi chłopiec? Przysięgam, że nigdy nie zostanie żołnierzem i nie zaciągnie swojej żony w jakieś przeklęte miejsce, zostawiając ją samą, kiedy będzie go potrzebowała.

— Harriet… — rozpoczęła Eleanor, ale zrezygnowała, wiedząc, że teraz nic nie można powiedzieć tej zmęczonej, zgorzkniałej dziewczynie.

Lily Marr odsunęła się od łóżka i zobaczyła za drzwiami Castletona. Wpatrywała się w niego przez chwilę, a kiedy odwróciła się ponownie, jej twarz była niewzruszona i bez wyrazu, nie pokazując zupełnie nic; w pewnym sensie było to jak wstrzymanie wyroku. Podeszła do Eleanor i chwyciła linkę napędzającą wentylator, zmieniając Eleanor.

Eleanor dołączyła do Castletona, lecz na chwilę zatrzymała się, by popatrzeć na Lily Marr, próbując znaleźć w myśli słowa, pozwalające określić wrażenie, jakie ta dziewczyna pozostawiła w pokoju; ręka Lily Marr, delikatnie ciągnąca za linkę, była silna i miała kwadratowe kostki. Stała z wyprostowanymi ramionami i lekko pełnymi piersiami, obserwując Harriet z niewymownie spokojną twarzą. Nigdy się nie uśmiechała, jakby zapomniała, jak się to robi, jakby jakaś wiedza, twarda jak stal, ponura i fatalistyczna, zmieniła ją tak, by nie nadawała się do śmiechu. Nie wyjawiła Eleanor nawet słowa o sobie; była zupełną tajemnicą. A jednak promieniowało z niej niezachwiane zaufanie, spokojna, silna akceptacja wszystkiego, co widziała i przez co przeszła. Eleanor pomyślała, że była kobietą, która mogła ugiąć się przed koniecznościami życia, która nosiłaby potem blizny po tym co się stało, ale która nigdy się nie złamie. Była silniejsza niż wszystko, co ją spotkało.

Eleanor szła wzdłuż placu apelowego, rozmyślając o tym, trzymając Phila Castletona za rękę. Była zmęczona dniem i nocą spędzonymi na nieustannej obecności w pokoju Harriet i czuła się samotnie z tymi dziwnymi myślami, które chciałaby wyrazić, lecz wiedziała, że Phil ich nie zrozumie. Powiedział sucho:

— Ta twoja Lily Marr to bardzo wszechstronna kobieta. Gdzie zdobyła tę wiedzę?

— A gdzie ja zdobyłam swoją? — odpowiedziała Eleanor.

— Kocham cię za tę twoją odwagę — powiedział i zatrzymując się, wziął ją szybko w ramiona i pocałował.

Roześmiała się i odsunęła, czując uwolnienie tej chwili. Część kłopotów zniknęła z jej barków, a zapach tej nocy stał się ostrzejszy i bardziej przyjemny.

— Masz swoje chwile, Phil — mruknęła. — Naprawdę tego potrzebowałam.

Powiedział szybko:

— Kocham cię za twoją odwagę, Eleanor, ale mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz musiała robić czegoś takiego. Dla wyrafinowanej kobiety...

Usłyszała silny niesmak w jego tonie, poczucie zranionej przyzwoitości. Powiedziała:

— Mówisz mi, że to nie było w stylu damy, Phil?

Jego głos się usztywnił.

— Są pewne raczej ponure części życia, które lepiej pozostawić w spokoju.

— To nigdy by nie spowodowało, że bałbym się mieć własne dzieci, jeśli o to ci chodzi.

— Nie, wcale nie to miałem na myśli. Wielki Scotcie, Eleanor, co za słowa. Ale cholernie niechętnie myślałem o tobie tam… że…

— Phil — powiedziała, — nie możesz mieć takich ciasnych poglądów. Nigdy tego nie rób. Cieszę się, że tam byłem. A co do Lily, to cudowna dziewczyna, jakakolwiek by nie była jej przeszłość.

Znów wróciła jego wyraźna suchość w głosie. Zauważyła, że wracał do tego tonu, gdy z czegoś nie był zadowolony. Martwiło ją to i trochę rozbudzało jej temperament. Mówił:

— Uważam, że twoje gusta są zbyt rozległe, Eleanor.

— Jestem dziewczyną z wojska, Phil.

Dotarli do południowej strony czworoboku. Zatrzymał się, by stanąć z nią twarzą w twarz.

— Mówiłaś mi to już wcześniej. Chyba nie rozumiem. Co masz na myśli?

— Nigdy nie bałem się niczego, co jest prawdziwe, Phil. Nie chcę nigdy zamykać oczu ani uszu. Nie chcę być ślepa, nie chcę się ukrywać. Życie jest zbyt zabawne. Dopiero gdy zaczynamy od niego uciekać, starzejemy się, stajemy się strasznie poprawni i bardzo nudni.

Zatrzymała się, próbując znaleźć lepszy sposób na wyrażenie tego, co czuła tak głęboko; i nie udało jej się. Jak mogła wyrazić żarliwość życia, którą czuła — żywość i ostrość wrażeń każdego dnia, śpiewną, burzliwą siłę jej wyobraźni? Jak mogła wyrazić własne żądze i pragnienia? Popatrzyła na niego z rosnącym niepokojem, wiedząc, że jego własne wyobrażenie o niej obejmowało kwiaty, koronki i miękkość - coś, czym ona nigdy nie mogła się stać.

Oznajmił tą swoją skrótową manierą:

— Gdyby nie twoja obecność, życie ma tym posterunku byłoby cholernie nudne. Będę szczęśliwy, kiedy nadejdzie moja kolej, by wyruszyć na zwiad.

To, jak zdała sobie sprawę, była jego jedyna odpowiedź. Nie zrozumiał jej i nie zmieni się. Poczeka, aż ona się zmieni. Szła dalej z nim, dotrzymując mu kroku, po cichu dokonując korekt swoich celów, z konieczności. Zakochana kobieta, pomyślała, miała trudną drogę do przebycia — dostosowania się i ugięcia. Zachowała na tyle zimną głowę, by zdawać sobie sprawę, jak śmieszna mogłaby się wydawać jego opinia o niej, gdyby nie była zakochana. Ale była z nim związana i nic nie mogła na to poradzić; jej życie nie należało już w pełni do niej. Mówił dalej:

— Uważam, że obecna polityka wobec Indian jest głupia. Jak można oswoić dzikusów? Wszyscy są tacy sami. Nachee nie jest lepszy od Antone. Wszyscy są przebiegli, wszyscy okrutni. Uważam że za bardzo się ich boimy i działamy zbyt wolno. Jeśli dostanę trzydziestu ludzi, to będę ścigał Antone aż do samego Meksyku.

— Phil — mruknęła, — nie możesz być taki niecierpliwy.

Znów się zatrzymał. Był poruszony jak nigdy wcześniej. Jego wypowiedź była szybka i półsurowa, płonąca jego własną gorliwością.

— Ta armia to cmentarz dla ambicji człowieka! Popadamy w rutynę, dryfujemy, siedzimy i czekamy, aż ktoś przed nami w kolejce umrze. Przestajemy próbować, bojąc się, że życie pozostałych oficerów stanie się bardziej skomplikowane. Ja nie mam zamiaru tego robić! Niech mnie diabli, jeśli popadnę w taką rutynę. Nie będę siwowłosym kapitanem za trzydzieści lat.

Spytała cicho:

— Jak daleko chcesz zajść, Phil?

Nie odpowiedział jej od razu i wtedy zrozumiała, że trochę wstydzi się własnej ambicji - że nie chce jej pokazać, jak głęboko w nim ona tkwi, bo boi się, że ona uzna to za jego słabość. Właśnie ta cecha przyciągnęła ją do niego tak szybko i nieuchronnie, gdy miała siedemnaście lat — ta twarda męska duma i ta niemal arogancka ambicja. W wieku dwudziestu jeden lat wciąż czuła siłę tej pochopnej dumy; ale lata złagodziły jej osąd i teraz, łagodnie milcząca, wiedziała, że musi mu pomóc przezwyciężyć twardość jego własnej woli.

W końcu odparł, bardziej umiarkowanym tonem:

— Na szczyt, Eleanor. Dlaczego by nie? Jest tylko jeden koniec tej drogi i dlaczego człowiek miałby zadowolić się tym, że walczy, ale bez przekonania?

— W takim razie — obiecała — pomogę ci się tam dostać. Znam tę armię na wylot. A żona oficera może go albo zniszczyć, albo wypromować.

Śmiał się, gdy się odwracał; a kiedy znów ją pocałował, niezręczny od swoich uczuć, była zadowolona, że taki jest. Tylko w najdalszym zakątku umysłu czuła, że niedbale odsunął jej ofertę, jakby jej pomoc była czymś, czego nie potrzebował. Miał w sobie tak wielką dumę. Kiedy trochę podrośnie, pomyślała z nadzieją, stanie się bardziej tolerancyjny. I wtedy ją dostrzeże. Gdzieś w głębi, w jakimś skrytym zakątku jej umysłu, słaby błysk krytycznego osądu próbował ją ostrzec, że ten człowiek nigdy nie będzie inny niż teraz; lecz nagły przypływ lojalności wobec niego odsunął tę myśl na bok. Przeszła z nim cicho wokół czworoboku, powiedziała

dobranoc i wróciła do mieszkania Harriet Mixler. W drzwiach stał George Mixler.

Powiedział półszeptem:

— Ona mnie tam nie chce. Śpij z nią w drugim łóżku dzisiaj wieczorem, Eleanor.

— Oczywiście — obiecała i dotknęła jego ramienia, aby go uspokoić.

Żona oficera mogła zrobić z niego mężczyznę lub zniszczyć; a Harriet powoli łamała George'a Mixlera. Patrząc, jak wraca do sklepu dla żołnierzy, widziała jego opadające ramiona i poczuła żal. Odwróciła się i zmieniła Lily Marr, przemyła białą twarz Harriet - w której wspomnienie minionych godzin, tkwiło jak stała maska - i przebrała się na noc. Wstawała dwa lub trzy razy w ciągu kilku następnych godzin, aby zająć się dzieckiem; później jego stały płacz ustał i zasnęła.

Około trzeciej nad ranem obudził ją powrót posłańców Benteena. Leżąc w ciemności, czując delikatny chłód w powietrzu, słuchała mężczyzn przechodzących i przechodzących przez plac, aż zdała sobie sprawę, że na zwiad wyjeżdża nowy oddział. Wstała, założyła szlafrok i stanęła w drzwiach, obserwując, jak w ciemności migają latarnie. Żołnierze formowali się na placu apelowym, Castleton przez cały czas wołał sierżanta Hannę, zaś przez ciemność przebijał się głos jej ojca, wzywający Castletona. Usłyszała, jak wydawał polecenia:

— Weźmie pan dwudziestu pięciu żołnierzy na trzy dni. Pańskim zadaniem jest utrzymanie Antone w ruchu, wyczerpywanie jego koni i uniemożliwienie mu odpoczynku lub gotowania mescalu. Pan Mixler będzie panu towarzyszył, a Manuel Dura będzie pańskim przewodnikiem. Uszanujesz pan wybory Dury co do najlepszych szlaków i liczby Indian, którzy mogą znajdować się przed panem. Daję panu szkic mapy przysłanej przez pana Benteena. Pokazuje ona, gdzie zostawił Antone. Wyruszy pan tym szlakiem, działając zgodnie z radą pana Benteena dołączoną do mapy.

— Tak jest, panie majorze.

W mroku zabrzmiał głos sierżanta Hanny. Żołnierze odliczali, mechanicznie, sennymi głosami. Jej ojciec znów przemówił do Castletona, bardzo poważnie i z naciskiem na każde słowo.

— Proszę pamiętać, ci ludzie są w pańskich rękach. Nich pan nie pozwoli, aby zbytni entuzjazm lub pochopny osąd z pańskiej strony doprowadził pana do przedwczesnej walki. Proszę nie ryzykować, nie zgadywać. Niech pan nie przekracza granic wytrzymałości swojego dowództwa. Przede wszystkim proszę uważać na pułapki, w które Antone spróbuje pana wciągnąć. Ma pan obowiązek rezygnacji z pójścia za nim przez jakikolwiek kawałek terenu, bez względu na to jak zachęcająco może wyglądać sytuacja, chyba że będzie pan pewien, że pańskie flanki są osłonięte, a tył chroniony. To wszystko. Powodzenia.

Castleton przeszedł z powrotem przez plac apelowy, rozmawiając z Hanną. George Mixler podszedł do drzwi adobe. Spytał cichym, niepewnym głosem:

— Czy ona śpi?

— Tak — odparła Eleanor.

— No cóż — mruknął George Mixler, zniechęconym i beznamiętnym tonem, — nie będę jej budził. Przekaż jej wyrazy mojej miłości. Powiedz jej, że się pożegnałem. Powiedz jej, że wszystko będzie dobrze.

Poczekał chwilę, jakby miał nadzieję usłyszeć, głos wzywającej go żony, po czym się odwrócił. Rozkaz na koń, przeciął plac apelowy i dwójkowa kolumna cieni, pokonała lukę między piekarnią a koszarami i uderzyło wjechała w luźny żwir Aravaipa Creek. Eleanor słuchała, jak ten tupiący grzechot cichnie w oddali, zaniepokojona tym, że Phil nie przyszedł do niej. Długo po tym, jak ucichły ostatnie echa, odwróciła się z powrotem do adobe. Z ciemności zabrzmiał martwy i pełen goryczy głos Harriet.

— Wiedział, że nie spałam. Po prostu nie zależało mu na tym, żeby mnie pocałować.

Eleanor spytała łagodnie:

— A czy ty byś go pocałowała, Harriet?

— Nie.

Rozdział VIII

Z progu domu Harriet Mixler, Eleanor przyglądała się, jak w złotym blasku poranka żołnierze Benteena przejeżdżają przez plac apelowy i ustawiają swoje zmęczone konie w szeregu. Znużenie spowijało ich ciała i krępowało nogi. Głos sierżanta McSweena, zwalniającego oddział, zabrzmiał jak suchy rechot.

Benteen natychmiast udał się do kwatery komendanta i rozmawiał z jej ojcem przez kwadrans. Kiedy wyszedł, ruszył prosto w jej stronę, z powolnym uśmiechem na spierzchniętych od słońca ustach. Drobinki alkalicznego pyłu wybieliły rude włosy jego trzydniowego zarostu. Policzki młodego oficera wydawały się jej wychudzone, a oczy bardziej zapadnięte niż zwykle. Podróż wysuszyła go i zmęczyła. Nawet kiedy się uśmiechał, widać było po nim otępiałe zmęczenie, lecz pomyślała, że i tak dobrze go widzieć. Jego obecność dodawała jej otuchy, a po chwili wszystko było już tak jak dawniej, czuli trochę radości ze swojego towarzystwa, jakby się dobrze znali i rozumieli.

Oznajmiła:

— Mamy nowiny. Urodziło się dziecko Harriet.

— Mijaliśmy oddział Phila około wschodu słońca — powiedział. — George mi o tym mówił. — Spojrzał na nią z wyraźną aprobatą w oczach. — Wygląda pani naprawdę świetnie, Eleanor.

Odwzajemniła jego uśmiech.

— Czy w pańskiej głowie powstały kiedyś jakieś wątpliwości, co do tego?

Pokręcił głową.

— Nie. Żadnych wątpliwości, nigdy. Mogę zobaczyć Harriet?

Zaprowadziła go do wnętrza domu. Harriet leżała z zamkniętymi oczyma, a jej policzki stężały w wyrazie na wpół zgorzkniałego zdecydowania. Dziecko spało. Benteen pochylił się nad nim, a na jego twarzy znów pojawił się wyraźny, jasny uśmiech. Mruknął:

— Jaki podobny do Harriet — a jego głos otworzył oczy Harriet. Benteen podszedł do jej łóżka i lekko położył swą wielką dłoń na ramieniu młodej matki. Powiedział: — Grzeczna dziewczynka.

Na grzbiecie jego dłoni widniała świeża czerwona szrama. Przyciągnęła ona na chwilę uwagę Eleanor, lecz potem zaczęła obserwować sposób, w jaki ten mężczyzna postępował z kobietą. Harriet, tak pełna goryczy i nienawiści do wszystkiego, co było związane z wojskiem, wyciągnęła rękę i pochwyciła jego dłoń, a potem uśmiechnęła się szeroko - i przez tę chwilę wyglądała na piękną i szczęśliwą, trochę jak kokietka z Południa, którą kiedyś była.

— Oświadczam, że nie jestem w tej chwili widokiem wartym oglądania, Tom. Idź sobie, dopóki się nie pozbieram.

Uśmiechał się do niej przez cały czas. Wyciągnął dłoń i owinął wokół palca pukiel jej czarnych włosów.

— George Thomas Mixler nie byłoby złym imieniem dla chłopca.

— Może — odparła Harriet — będzie to Thomas Mixler.

Zauważył:

— Czy teraz nie byłoby to coś, co doprowadziłoby starego George'a do szału?

Jej uśmiech zniknął, a usta stały się nieszczęśliwe i pełne desperacji.

— Tom — powiedziała i pociągnęła go w dół za rękę.

Pocałował ją w czoło i wyprostował się, a Eleanor, obserwująca to przez mgłę zmroku, zauważyła, jaki był wobec Harriet łagodny, jaki uprzejmy.

— Wszystkie dziewczyny z Południa to prawdziwe flirciary, Harriet. Musisz mi odpuścić.

Wyszedł z adobe, schylając głowę w drzwiach. Eleanor obserwowała ze swojego miejsca, jak przechodzi przez plac apelowy. W tym momencie z piekarni wyszła Lily Marr, on zaś uchylił przed nią kapelusza. Lily Marr przeszła do zacienionej alei oficerskiej i zatrzymała się. Jej spojrzenie podążało za Benteenem; oczy dziewczyny były okrągłe, poważne i łagodne.

Był to środek kolejnego upalnego dnia. O trzeciej po południu, kiedy nad ziemią znów z pełną mocą panował upał, Benteen przyszedł do kwatery komendanta i zastał Eleanor szyjącą suknię. Na czubku jej nosa pojawiła się leciutka kropelka wilgoci, a upał nie do wytrzymania położył się różanymi plamami na jej policzkach. Młody oficer zatrzymał się w drzwiach, swobodnie opierając się o ich framugę, tak rozluźniony, że wydawał się niemal wychudzony na kość. Przespał się i ogolił, a ona nagle dostrzegła w jego oczach wyraz aprobaty. Nigdy nie ćwiczyła się w sztuce damskiej skromności, nauczanej w bostońskiej szkole dla młodych dam pani De Launcey, jej żołnierskie wychowanie od razu buntowało się na widok spuszczonych rzęs, szeptów bez tchu, czy dłoni przyciśniętej do wzburzonej piersi. Mimo to spuściła wzrok na swoje szycie, nie do końca pewna siebie.

Powiedział:

— Wybieram się do obozu Nachee. Wytrzyma pani trochę na słońcu?

Natychmiast wstała, wzięła parasolkę i wyszła z nim przez paradę.

— Czasami — stwierdziła — moje własne towarzystwo staje się już niezbyt dla mnie interesujące. Cieszę się, że pan przyszedł.

— Eleanor — powiedział kiedy szli przez plac apelowy — Harriet i George mają poważne kłopoty.

— Wiem.

Okrążyli koszary, przeszli przez corrale i przekroczyli wyschnięte koryto potoku Aravaipa. Obóz Nachee, z krytymi gałęziami jacalami, leżał pół mili w dół San Pedro, w niewielkiej odległości od posterunku.

Zauważyła jednak, że Benteen wziął ze sobą rewolwer, a jego spojrzenie nieustannie przeczesywało kępy kaktusów i kocich pazurów. W tej krainie nie było bezpiecznych miejsc, nawet w pełnym blasku słońca południa.

Powiedziała:

— Ona jest napięta jak struna, Tom. I jest przyzwyczajona do czegoś więcej, niż może jej dać posterunek wojskowy.

— To załamuje George'a — zauważył.

— Czy tak bardzo ją pan wini?

Obrzucił ją powolnym, pełnym uśmiechu spojrzeniem.

— Ależ skąd, nie. To piekło dla kobiety, a ona znosi przejście z cywilnego życia, trudniej niż większość. Po prostu trochę się boję, że ona tutaj nie wytrzyma.

— Gdzie się pan uczył o kobietach, Tom?

Natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie, bo widziała, jaką zmianę w nim wywołało. Przeniosło go z powrotem do jego minionego życia, usunęło uśmiech z jego twarzy. Natychmiast dodała:

— A tak, wiem. Dziewczyna z Południa. Była pewnie ciemnowłosa i może bardzo szybka, bardzo intensywna, być może jak Harriet.

— To niezłe przypuszczenie. Jak pani na to wpadła?

Popatrzyła na niego, oceniając go spokojnie.

— Ma pan słabość do tego typu kobiet. Bardzo lubi pan Harriet.

Szli dalej w blasku słońca, słysząc warczenie indiańskich psów z obozu Nachee. Kilku mężczyzn siedziało po zacienionej stronie jacali, kilka kobiet kucało w jasnym schronieniu drzewa paloverde, mieląc ziarna mesquite. Benteen powiedział:

— Wszyscy mężczyźni noszą w głowach obraz kobiety, takiej, jakiej pragną. Lecz zazwyczaj jest to obraz zbudowany z wielu kobiet, a nie z jednej.

— To niezbyt sprawiedliwe dla kobiety, którą mężczyzna w końcu dostaje. Jak ona mogłaby sprostać wszystkim jego pragnieniom?

Uśmiechnął się lekko.

— Kiedy w końcu dostaje swoją kobietę, widzi w niej wszystkie rzeczy, które chciałby zobaczyć.

— Więc twierdzi pan, że miłość jest ślepa?

Pokręcił głową.

— Nie, powinienem powiedzieć, że to jest jak z bardzo silnym światłem. Sprawia ono, że mężczyzna widzi rzeczy, których inaczej by nie zobaczył. W najgorszej nawet kobiecie, jaka kiedykolwiek żyła, zawsze jest trochę słodyczy, trochę szczerości i cholernie dużo samopoświęcenia. To są rzeczy, które mężczyzna znajduje w kobiecie, kiedy jest w niej zakochany.

— Dopóki ona go nie zrani — zauważyła Eleanor, obserwując jego twarz.

Wzruszył ramionami.

— To część tego całego biznesu, kłótnie i gorycz. Piasek zmieszany z cukrem. Wolę już raczej w ten sposób, niż całe życie pełne nudy. Ludzie chcą zbyt wiele.

— Ależ, Tom — wybuchła — mówi pan dokładnie to, co zawsze mówiłam ja.

Spojrzał na nią, nie do końca się uśmiechając.

— Wiem.

— Skąd pan to wie? Nigdy z panem o tym nie rozmawiałam.

Zbliżyli się do pierwszego szeregu szałasów. Dzieci wyszły z jacali i stanęły wokół nich, w milczeniu ich obserwując. Benteen zatrzymał się i odwrócił do niej. Na jego twarzy zawsze malowała się jakaś pełna namysłu rezerwa. Miał zwyczaj trzymania długich ust zamkniętych w sposób bez uśmiechu, a jednak na krawędzi tego uśmiechu, i zwyczaj patrzenia na rzeczy lub ludzi, chłonąc ich widok, ale zdając się ich nie osądzać, tak jakby pewne rzeczy miały znaczenie, a wiele innych nie. Była tak blisko niego, że mogła dostrzec dziwny charakter jego szarych oczu; mogły być twarde jak kamień lub mogły wyglądać tak jak teraz, najbardziej troskliwa para oczu, jakie widziała u mężczyzny.

— Nie musi pani mówić o takich rzeczach, Eleanor. Proszę popatrzeć dziś wieczorem w lustro. A teraz chodźmy, odwiedzić Nachee.

Zaprowadził ją do pierwszego jacala, w gorący, zjełczały mrok jego wnętrza. Koce i szaty tworzyły legowiska wokół brzegu szałasu, zajmowane przez przykucnięte i rozłożone postacie. Jeden z mężczyzn uniósł się do pozycji siedzącej, powiedział „Nantan” i wskazał na podłogę. Z cienia z tyłu nadeszła squaw i rzuciła na podłogę szary wojskowy koc, po czym Eleanor usiadła na nim, posłuszna lekkiemu naciskowi dłoni Benteena. Benteen opadł na biodra, nie odzywając się od razu, i w tym momencie Eleanor po raz pierwszy przyjrzała się uważniej Nachee, wodzowi spokojnej części Indian w dolinie San Pedro.

Oceniła, że był mniej więcej tak stary jak jej ojciec, ale miał okrągłą i gładką twarz, pełne usta i był bardzo uprzejmy. Wąski pas czerwonego perkalu przecinał jego szerokie czoło, przytrzymując grube, kruczoczarne włosy; i chociaż miał na sobie tylko koszulę, której zwisający ogon sprawiał, że wyglądał trochę śmiesznie, przepaskę biodrową i mokasyny z wywiniętymi palcami, była pod wyraźnym wrażeniem godności, jaką w sobie nosił. Jego oczy były mglisto-brązowe.

Znała indiańską etykietę na tyle, by zachować ciszę i powagę wobec wszystkich ciekawskich spojrzeń wokół niej, lecz zaskoczyło ją, gdy kilka minut później do namiotu wślizgnął się Al Hazel i zajął miejsce częściowo pomiędzy Benteenem i Nachee.

— Powiedz Nachee, że jego ostatnia rada była bardzo dobra — poinstruował przewodnika Benteen. — Powiedz mu, że mu za nią dziękuję.

Słuchając Ala Hazela, Eleanor niewiele zrozumiała. Język Apaczów był szybki i swobodny, a Al Hazel mówił tak, jakby trzymał w ustach kawałek papki. Od czasu do czasu używał rąk lub kreślił w powietrzu szybkie, opisowe linie palcami. Skończywszy, wysłuchał uważnie odpowiedzi Nachee.

— Mówi, że musisz uważać na Antone. Antone jest bardzo przebiegły. Jego ojciec był lisem, a matka wilczycą.

— Powiedz mu, że słyszeliśmy, że w obozie Antone jest wielu ludzi, część z nich to Tonto, a część to Chiricahua. Czy to prawda i jak to się stało?

Czekając na przetłumaczenie pytania przez Hazela i odpowiedź Nachee, Eleanor ujrzała uważne, szerokie jak u sowy oczy małej dziewczynki, zaglądającej przez szczeliny jacala. Ręka Nachee powędrowała teatralnie w dół, by podkreślić jakieś słowa. Al Hazel zwrócił się z powrotem do Benteena.

— To prawda. Chiricahua przybyli znad granicy, ponieważ Antone przekonał ich, że ma leki, które zabijają żołnierzy. Chiricahua są bardzo źli. Będziesz musiał zabić Antone, zanim sprowadzisz tych pozostałych tutaj i sprawisz, że będą się zachowywać pokojowo.

— Zapytaj go, jak daleko Antone pojedzie na wschód, jeśli żołnierze będą podążać za nim?

Hazel przekazał pytanie i otrzymał następującą odpowiedź.

— Nachee mówi, że Antone nigdy nie odjedzie daleko na wschód. Zatoczy krąg z powrotem na południe, przez cały czas obserwując żołnierzy. Ale jeśli nie pozwolicie mu odpocząć, zmęczy się, a wtedy jego wojownicy go opuszczą. W takim przypadku stanie do walki, by jego wojownicy nie uznali go za tchórza.

Potem Nachee powiedział coś więcej, kiwając głową w stronę Eleanor.

Al Hazel zsunął kapelusz na tył głowy i uśmiechnął się przez palce dłoni.

— Nachee mówi, że ta żona jest bardzo dobra, ale mężczyzna o twojej pozycji powinien mieć więcej niż jedną. Mówi, że jedna żona zbyt szybko się zużywa.

Eleanor, która uważała się za spokojną dziewczynę, otworzyła ze zdziwienia usta i spojrzała zaskoczona na Benteena. Podczas całej rozmowy zachowywał niewzruszony wyraz twarzy. Nie zmieniło się to i teraz, ale kiedy znów się odezwał, zwrócił się bezpośrednio do Nachee. Eleanor poczuła gorąco panujące w szałasie; było gorsze niż wcześniej, zaczęło palić ją w policzki. Nachee w swych kocach wyglądał na poważnego, filozoficznego i obszarpanego, ale wydawało jej się, że dostrzega błysk humoru w chmurnej głębi jego oczu.

— Enju — powiedział Benteen i zakończył rozmowę, wstając oraz podając dłoń Eleanor. Opuścili wioskę i Ala Hazela, wędrując przez porośnięte skałami i kaktusami równiny.

— Dlaczego czasem korzysta pan z pomocy tłumacza, a czasem nie?

— Nie znam tego języka na tyle dobrze, by przeprowadzić dłuższą rozmowę.

Popatrzyła na niego.

— Co mu pan powiedział?

— Powiedziałam, że ma pani innego mężczyznę.

Uniosła wzrok i zobaczyła na jego twarzy całkowitą obojętność - i zdała sobie sprawę, że celowo tak to sformułował, aby coś ukryć; a potem, ponieważ wiedziała, że tak jest, odezwała się.

— To była doskonała odpowiedź, Tom. Mam innego mężczyznę i jestem całkiem z tego zadowolona - chociaż Nachee nie wiedziałby, co to znaczy, prawda?

Nad wyżej położoną częścią piaszczystego dna San Pedro, unosił się kurz, sygnalizując, że do podnóża Catalinas zbliża się koń. Benteen i Eleanor szli dalej, nie rozmawiając więcej, i wkrótce dotarli do kwatery komendanta.

Odwróciła się do niego w drzwiach.

— Proszę wejść, przygotuję lemoniadę.

Wszedł za nią do środka. Major Warren leżał na narożnej kanapie z miesięcznikiem Harper's Weekly zakrywającym mu twarz. Gazeta trzepotała delikatnie w rytm jego głębokiego chrapania. Oboje po cichu przeszli do kuchni. Benteen usiadł na stole, tak żeby mieć widok na plac apelowy. Długie nogi kołysały mu się pod spodem. Samotny jeździec wyjechał z San Pedro i zatrzymał się w cieniu kwater żołnierzy, gdzie zsiadł z konia.

Benteen obserwował, jak mężczyzna luzuje popręg i przysiada na piętach pod ścianą baraku. Zdjął kapelusz, ocierając obfity pot z czoła, a następnie, rzucając długie spojrzenie na plac apelowy - w sposób pełen żywej ostrożności - zajął się przypalaniem papierosa. Z tej odległości Benteen nie potrafił wyraźnie dostrzec rysów jego twarzy.

Eleanor podała mu jego szklankę i postawiła przed sobą swoją.

— Salud, Tom.

Ale on czekał, nie unosząc szklanki, przyglądając się jej przez chwilę. Usta miał zaciśnięte z zamyśleniem. Za jego łagodnym wyrazem twarzy coś się kryło, coś się w nim gotowało i zostało stłumione. Dostrzegła wtedy drobne szczegóły jego twarzy, ciężką, czarno-rudą linię brwi, słabe załamanie na grzbiecie nosa, szramę na skroni, która była śladem po kuli - jak powiedział jej Cowen – zarobioną podczas bitwy pod Bull Run.

Powiedział:

— Za tego drugiego mężczyznę, Eleanor.

Miała na to szybką odpowiedź.

— Chciałabym, żeby poznał go pan lepiej.

— Dlaczego?

— Gdyby pan go znał, polubiłaby go pan. Teraz - nie.

Stwierdził:

— Jest pani cholernie lojalną kobietą.

Ostrożnie dobierała swoje słowa.

— Może jest tak, jak pan powiedział. Może dlatego, że będąc zakochaną, widzę rzeczy, których pan nie dostrzega.

— Salud — oznajmił i przechylił szklankę.

Major Warren przydusiło chrapanie i obudził się, odrzucając gazetę na bok, rozdrażnioną ręką. Wstał i wszedł do kuchni, przyglądając się im rozgorączkowanymi, przekrwionymi oczyma. Powiedział:

— Gorąco jest tak wielkie, że mogłoby roztopić zawiasy spiżowych wrót piekieł — i wyszedł, by oblać głowę wiadrem wody. Wrócił, przyjmując od córki szklankę świeżej lemoniady; łyknął ją łapczywie, część napoju rozlała mu się po policzkach.

— Panie Benteen — powiedział — w Forcie Lowell jest płatnik. Rano weźmie pan eskortę sześciu ludzi i pojedzie po niego. Wysłałbym Lankerwella, ale ma wyruszyć na następny zwiad z kapitanem Harrisonem. — Nalał sobie kolejną szklankę i zamieszał lemoniadę czubkiem wskazującego palca. — Kto tam jest za koszarami?

— Jakiś kowboj z San Pedro — odparł Benteen i wyszedł.

Eleanor podążyła za nim aż do drzwi, a major Warren, obracając niechętnie swoje potężne ciało, przyglądał się tej dwójce z ostrą, bystrą uwagą. Benteen szedł dalej przez plac apelowy. Eleanor stała w drzwiach, a Warren, który nie był głupcem, zauważył, że nawet jeśli była zakochana w Castletonie, ten wysoki oficer z oddziału I miał moc przyciągania jej spojrzeń. Wtulając wąsy w szklankę lemoniady, pomyślał o tym i przywołał córkę do siebie.

— Nigdy nie widziałaś Tucson. Może chciałabyś pojechać z Benteenem. To byłaby wycieczka na pięć dni. Ciężka, ale lepsza niż siedzenie tutaj. Może będziesz miała okazję wziąć udział w jakiejś potańcówce w Lowell, a może Benteen zabierze cię na meksykańską baile. Żałuję, że nie jestem na tyle młody, by sam pojechać. Na Boga, ale gorąco! Myślisz, że chciałabyś pojechać?

— Tak — odpowiedziała. — Oczywiście, że chcę.

— To będzie dla ciebie przerwa w monotonii życia na posterunku — odpowiedział i popatrzył na swoją szklankę. Uśmiechnęła się do niego; była cholernie bystrą dziewczyną, czytała w jego myślach i śmiała się z niego.

Benteen przeszedł przez plac apelowy, by nadzorować popołudniowe prace w stajniach. Idąc w kierunku koszar, zauważył, że nieznajomy uniósł na niego jasne i uważne oczy. Benteen uznał, że to jeszcze jeden zabłąkany jeździec, jeszcze jeden włóczęga ze wzgórz lub pustyni. W okolicy było wielu takich ludzi, większość z niejasną przeszłością i tajemniczymi zajęciami. Ten miał suchą, prawie przystojną twarz, gładko ogoloną o dość jasnej cerze pomimo intensywnego działania słońca. Kapelusz miał zsunięty daleko na głowę, ukazując wystającą spod niego kępkę żółtych włosów.

Był bardzo czujny. Benteen, zatrzymując się obok niego, zauważył, że cała jego nieruchoma sylwetka wydaje się bardzo napięta. Oczy przybysza miały blady, wyrachowany błękitny kolor.

— Od Summertona? — zapytał Benteen.

Nieznajomy wpatrywał się przez chwilę w Benteena, a jego bardzo krótkie „Nie” miało w sobie cień niechętnej arogancji.

— Jeśli jesteś głodny — powiedział Benteen — idź do mesy i powiedz kucharzowi, że poprosiłem o posiłek dla ciebie.

— Dzięki — odparł nieznajomy. — Ale gdybym był głodny, zjadłbym własne żarcie.

Benteen zignorował tę oczywistą niechęć, skinął głową i poszedł do stajni. Nieprzyjazny stosunek mężczyzny do armii był odzwierciedleniem powszechnej postawy na pograniczu. Cywile na tym terenie chcieli ochrony, ale wielu z nich nie lubiło prawa, które się z nią wiązało. Byli twardzi i uparci, a niektórzy z nich obawiali się munduru - jakiegokolwiek

munduru. Benteen wyrzucił tego człowieka z pamięci na następną godzinę, lecz później, gdy opuścił stajnie i w ostatnich promieniach słońca okrążył obszerne zagrody, zobaczył scenę, która zatrzymała go w miejscu.

Nieznajomy przeszedł do szeregu kwater oficerskich i znajdował się teraz przy adobe Harriet Mixler, naprzeciwko Lily Marr, która stała oparta plecami o ścianę domku. Trzymał kapelusz w jednej ręce i mówił coś perswazyjnie, gestykulując wolną ręką. Benteen zauważył, że dziewczyna nie udzieliła żadnej odpowiedzi. Stała bez ruchu, z ramionami przyciśniętymi do ściany, jakby przestraszona lub rozgniewana. W pewnej chwili nieznajomy sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś, oferując to Lily. Kiedy nie zrobiła żadnego ruchu, by to przyjąć, przybysz szarpnął jej dłoń w swoją stronę, wsunął w nią przyniesioną rzecz i czekał. Lily rzuciła oferowany prezent na ziemię.

Tak to wyglądało, gdy Benteen przeszedł przez plac apelowy, jego długie nogi poruszały się szybko. Nieznajomy natychmiast się odwrócił. Benteen zauważył napięty wyraz policzków mężczyzny i gorący temperament w jego oczach.

— Kapitanie — oznajmił w sposób, który stanowił wyraźne ostrzeżenie — radzimy sobie dobrze bez pańskiej pomocy.

Benteen zwrócił się do Lily Marr:

— Zna pani tego człowieka? Życzy pani sobie, jego obecności tutaj?

Na twarzy kobiety nie było widać strachu. Jej powściągliwość była zdecydowana i chłodna. Powiedziała:

— Znam go, ale nie życzę sobie jego obecności. Proszę mu powiedzieć, żeby zabrał sobie swoje pieniądze.

W białym piasku leżało pięć sztuk złota. Przez chwilę Benteen zastanawiał się nad nimi, przypominając sobie napad na karawanę Summertona. Nie miał dowodu na powiązania tego człowieka z tym wydarzeniem, ale gdy odwrócił się do nieznajomego, zobaczył spojrzenie jego oczu – zupełnie jasne i absolutnie śmiertelnie uważne; Benteen oznajmił:

— Proszę zabrać swoje pieniądze i odejść.

— Kapitanie — stwierdził nieznajomy — nigdy w życiu nie przyjąłem żadnego rozkazu od mężczyzny. Ani od kobiety. Ani od niczego, co oddycha.

Nieznajomy miał broń i miał zamiar jej użyć. Benteen był wystarczająco pewny charakteru tego człowieka, by to wiedzieć. Lecz bezczelność i szalona duma przybysza, były dla niego odrobinę zbyt wielkie. Więc ponieważ znajdował się blisko nieznajomego, wyciągnął długą rękę, chwycił go za ramię, przyciągnął do siebie mocnym szarpnięciem i chwycił za pistolet w jego kaburze. Był wściekły, nagle i dogłębnie; nie czuł żadnych skrupułów. Rzucił broń mężczyzny w piach, chwycił go obiema rękoma za ramiona i potrząsał nim tak długo, aż usłyszał zgrzyt jego zębów, po czym cisnął go na ziemię.

— Podnieś swoje pieniądze i natychmiast stąd odejdź — powiedział ponownie.

Nieznajomy leżał twarzą w dół i wyglądał na niemal znokautowanego; przez chwilę nie ruszał się z ziemi, a jego palce wbiły się w srebrny piach.

McSween i dwójka żołnierzy wybiegli z koszar, zaś wartownik z najbliższego posterunku zerwał się biegiem, z uniesioną bronią. Ray Lankerwell, jako oficer dyżurny, wyszedł z budynku sztabowego posterunku, zapinając pas.

Ze swojego miejsca w drzwiach kwatery komendanta Eleanor Warren widziała wszystko - krótką rozmowę i szybką karę wymierzoną obcemu przez Benteena. Nie podeszła razem z innymi, ale obserwowała Benteena z nowym, zaskoczonym zainteresowaniem, wiedząc teraz coś, co przedtem tylko czuła, ale nie była pewna, a mianowicie jego skłonność do gniewu. To była część charakteru tego człowieka. Była to część tych wszystkich burzliwych rzeczy, na które wskazywała szarość jego oczu i długi spokój jego ust.

W międzyczasie Benteen podniósł rewolwer nieznajomego i odwrócił się do Lily Marr, obserwując jej spokojną i obojętną powagę na twarzy. Zdał sobie sprawę, że ona wiedziała o tym człowieku więcej, niż mówiła. Tkwiła w tym jakaś historia, związana z nią, nieznajomym i rozsypanymi na ziemi złotymi monetami.

Skierował swoją uwagę z powrotem na nieznajomego, który podniósł się na kolana. Powiedział:

— Posłuchaj, przyjacielu, zrób, co ci kazano — i patrzył, jak nieznajomy sięga w piach i wybiera z niego złote monety, po czym przybysz wstał, otrzepując się nieskutecznie. Dopiero po tym wszystkim uniósł głowę i popatrzył na Benteena. Jego policzki były trupio blade, a oczy przybrały ciemnoszary kolor.

Benteen zwrócił się do McSweena.

— Proszę dopilnować, by ten człowiek napoił swojego konia i opuścił posterunek. — Uniósł w górę broń nieznajomego, wytrząsnął z niej naboje i oddał ją z powrotem właścicielowi.

Nieznajomy nie spojrzał więcej na Lily Marr ani na otaczających go ludzi. Jego spojrzenie przylgnęło do Benteena z zapamiętałą nienawiścią, mówiąc mu równie wyraźnie jak słowa, co czuł i co zamierzał kiedyś zrobić. Wycedził:

— W porządku, kapitanie — i odszedł, z McSweenem za swoimi plecami. — W porządku, kapitanie. W porządku.

Grupa rozeszła się, pozostawiając Benteena z Lily Marr. Benteen spytał:

— Dobrze pani zna tego człowieka, Lily?

— Wiedział, że jestem w tej karawanie. Dlatego ją zatrzymał. Ale uciekłam w ciemnościach. On pana zabije, panie Benteen.

Rzucił zaskoczony:

— Co? — i zrobił półobrót by udać się za nieznajomym.

Głos Lily Mart powstrzymał go w pół kroku.

— Nie. Nie będę zeznawać przeciwko niemu, panie Benteen. Nigdy nie powiem tego, co wiem.

— On jest zabójcą, Lily.

— Och, to — stwierdziła i wzruszyła ramionami, jakby to nic nie znaczyło. — To dlatego, że ludzie próbowali zabić jego. Nazywa się Jack Bean i wszyscy wiedzą, że jest banitą. Ale nikt nie wie o nim tyle, co ja.

— Po co tutaj przyjechał?
— Dla mnie, panie Benteen. I przyjedzie znowu.
Przyjrzał się nieprzeniknionej rezerwie na jej twarzy i wiedział, że nie może prosić o nic więcej. Była mroczną kobietą, kobietą pełną ponurej i dziwnej mądrości, charakteryzującą się dziwnym realizmem, który rządził nią całkowicie. Powiedział więc tylko:
— W porządku, Lily — i odszedł.
Spojrzenie Lily Marr na chwilę skierowało się na Jacka Beana, kiedy ten wyjeżdżał z posterunku. Potem przeniosła wzrok na Benteena, podążając za jego wysoką sylwetką, która przecinała pierwsze fioletowe pasma zmierzchu. Oparła się ramionami o ścianę, cicho wzdychając. Jej oczy były w tej chwili okrągłe, szerokie i pełne wyrazu.

Rozdział IX

Osiem godzin jazdy doprowadziło Phila Castletona do szlaku ucieczki Antone w zwietrzałych wzgórzach na północny wschód od Grant. Manuel Dura powiedział po wykonaniu dłuższego zwiadu:

— Idą na północ, może w Góry Pinal, może w Góry Apache.

Przed zachodem słońca przeprawili się przez Gila i rozbili obóz. Manuel Dura ruszył naprzód, wracając już znacznie po zmroku.

— Myślę, że w Pinale, tak mówią tropy, chociaż nie uwierzyłbym tylko w nie. Antone lubi Pinale i może mieć tam doły na mescal.

— Jak stare są te ślady?

— Cztery godziny, może.

Bliskość bandy Antone przykuła uwagę Phila Castletona i sprawiła, że był twardy i rozemocjonowany. Leżąc w kocach, obserwował odległe kryształowe strumienie gwiazd oraz cienki księżyc wiszący nisko na niebie i świecący przydymioną żółcią. Czuł niecierpliwość z powodu długiej zwłoki wywołanej przez noc. Nie czuł zmęczenia, mimo że jazda była ciężka; podniecała go ambicja, to był szybki i stale dostępny stymulant, taki sam jak jedzenie, jak whisky. Żołnierze leżeli poprzykrywani na noc kocami, ich rozmowy sennie krążyły wokół jakiegoś starego, sprośnego żartu. Podnosząc się na łokciu, zobaczył jednego z żołnierzy, Sweeneya, wciąż siedzącego przy słabym świetle ogniska. Jego twarz o długich ustach rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Sweeney powiedział:

— Skały to twarde posłanie. To nie to samo, co kołdry i materac. Hej. Canreen? Dzisiaj wieczorem nie ma dla ciebie żadnych kołderek. Ciekawe, co tam teraz robi Rose, jak myślisz Canreen?

Ktoś rzucił:

— Gada sobie z Harrym Jacksonem. Jasne.

— Do diabła, ten dzieciak nie jest aż taki zielony.

— Widziałeś, jak przywalił szablą Canreenowi. Młode dziewczyny takie już są, wymyślają sobie rzeczy, które nie są prawdziwe. Hej, Canreen, dlaczego Rose mu nie powie o tobie?

Canreen mruknął ze środka koca.

— Mówienie, to moja robota.

— Jasne — zadrwił Sweeney. — A potem dostaniesz coś gorszego niż bicie po łbie.

— Zamknij się, Sweeney, jeśli nie chcesz, żebym rozwarł ci tę twoją kłapiącą paszczę o stopę szerzej niż teraz.

Wtrącił się sierżant Hanna.

— Dosyć tych gadek. A co do Harry'ego Jacksona, niech chłopak sam się o wszystkim dowie. To będzie wystarczająco trudne dla niego, nawet jeżeli wy, irlandzkie małpy, nie będziecie ciskać mu tego w twarz.

Ale Sweeney mruknął:

— Może to nie on u niej będzie, dziś wieczorem. Może to Daugherty. Ona lubi takich uśmiechniętych - i z odrobiną forsy w kieszeni.

Phil Castleton rzucił w ciemności rozkaz, stanowczo i ostro.

— Starczy już tego gadania. Jeśli nie jesteście na tyle zmęczeni, żeby spać, jutro załatwię wam nieco dłuższą przejażdżkę.

Zapadła cisza — kamienna, cisza posłuszeństwa, jaką potrafią wymyślić tylko ponurzy mężczyźni. Czuł ich niechęć, czuł ich milczącą bezczelność — i czekał tylko na najlżejszy szept któregokolwiek z nich, aby w końcu móc wymierzyć któremuś z nich karę. Lecz zapadła cisza jak makiem zasiał; ich drwina z niego pozostawała nieuchwytna, poza jego zasięgiem. Leżąc na kocu i siodle, wiedział, co o nim myślą, tak jak wiedział to od pierwszych dni swojego dowodzenia. Istniało sto sposobów, w jaki żołnierz mógł sprawić, że młody oficer czuł ciężar niezadowolenia szeregowego — drętwe słowa, beznamiętny wyraz twarzy, posłuszeństwo, które było zbyt rygorystyczne, odpowiedź ani jednym gestem więcej, ani jednym mniej. Między tym ogniskiem a jego własnym kocem była przepaść, której nigdy nie potrafił przekroczyć.

Nigdy też nie był w stanie zrozumieć powodu takiego ich zachowania, a teraz przestało go to już obchodzić. Lecz były chwile, kiedy żałował, że nie ma mocy zrobienia kroku wstecz, między żołnierzy, aby móc robić to, co czasami robił Hanna, czyli zabrać jakiegoś niezadowolonego poza linię latryn i wbić mu do głowy szacunek oraz bojaźń Bożą.

Tak właśnie się czuł, leżąc tam i obserwując gwiazdy. Nie bał się ich i miał w sobie bardzo niewiele tolerancji dla nich. Nie miał sposobu, aby powiedzieć tym ludziom o ambicji, która go napędzała, nie miał sposobu, by wzbudzić w nich entuzjazm oraz lojalność. Na początku kariery miał nadzieję, że otrzyma ten najważniejszy dar dla oficera, zdolność takiego porywania ludzi, że będą za nim podążać ze ślepym zapałem, dokądkolwiek by ich nie poprowadził. Teraz wiedział już, że nigdy nie będzie w stanie tego osiągnąć; i chociaż stawiało go to trochę w osamotnieniu, służyło mu to również do hartowania własnego ducha. Ci ludzie, którzy nie chcieli mu służyć z sympatii, będą mu służyli, ponieważ trzymał ich krócej niż jakikolwiek inny oficer w oddziale. Nie jest, powiedział to sobie ponownie, człowiekiem takim jak Benteen; i ta myśl, która przyszła mu do głowy zupełnie mimochodem, natychmiast wywołała w nim całą starą, palącą serce wrogość. To było sedno sprawy, to była naturalna niesprawiedliwość, której Phil Castleton nigdy nie przestawał odczuwać - że ten szczupły, leniwy oficer, który wydawał się mieć niewielkie marzenia i nie mieć żadnych ambicji, potrafił jednym gestem ręki przywiązać do siebie żołnierzy; i że mając ten dar, mógł tak bardzo go ignorować. To właśnie sprawiało, że czuł w stosunku do niego urazę i zazdrość. Długo po tym, jak cały obóz już spał, Castleton leżał nie mogąc zasnąć, targany rozdrażnieniem i bezsennością wywoływanymi przez swoją ambicję, samotny przez nią i trochę przez nią nieszczęśliwy.

Następnego dnia podążali śladem Antone wzdłuż wschodniej podstawy gór Pinal, zagłębiając się coraz bardziej w obszar poznaczony śladami erozji i zniszczenia, wędrując coraz wyżej w górzyste tereny. W południe Manuel Dura powiedział:

— Tutaj odpoczywali. Świeży ślad. Może sprzed godziny.

Po tych słowach Castleton zmusił swój oddział do dalszej jazdy, bez odpoczynku. Na szlaku widać było świeże końskie odchody; zapach kurzu wciąż unosił się w gorącym powietrzu. Tego dnia, o piątej, otworzył się przed nimi kanion, jego stustopowe ściany otaczały potężnym murem płytki, pluszczący strumień, a wąska ścieżka wiła się wokół wysokich jak człowiek głazów. Panowało w nim coś w rodzaju nieustannego zmierzchu. Manuel Dura zatrzymał się natychmiast, wzruszając ramionami.

— Tam, w środku.

— Jak daleko przed nami?

— Może godzinę, może tuż za zakrętem. Nie wiem. Myślę, że mogą być bardzo blisko.

— Ilu?

— Wjechało ich tam do środka może ze dwudziestu. Teraz może być ich już więcej. — Manuel Dura obserwował Castletona i zobaczył na twarzy oficera coś, co go zaniepokoiło i sprawiło, że wskazał ręką na skalne ściany nad głowami. Po obu stronach skały poznaczone były niewielkimi wgłębieniami; przewieszone półki unosiły się bezpośrednio nad szlakiem. — Kiepska sprawa. To dobre miejsce na pułapkę.

Ćwierć mili dalej ściany kanionu zakręcały i szlak niknął z pola widzenia. Castleton obserwował ten skręt.

— Co jest dalej?

— Może przez milę, cały czas to samo. Dalej wyjeżdża się na małą łąkę. A jeszcze dalej, kolejne wzgórza.

Castleton rozmazał pot po twarzy i usztywnił nogi w strzemionach. Nikt się nie odezwał. Oczy Hanny, stare, czarne i wierne, spoglądały na niego. Hanna czekał na rozkazy, ale Castleton zdawał sobie sprawę, że Hannie nie podoba się ten kanion; wiedział, że żadnemu z nich się on nie podoba. Odepchnął od siebie tę myśl, jego niecierpliwość stawała się coraz większa. Antone był gdzieś dalej w tym kanionie, może w zasięgu strzału z karabinu. Antone był coraz bardziej zmęczony. Zestawił tę myśl z rozkazami, które kazały mu nie ryzykować wejścia w pułapkę i wracać po trzech dniach. Drugi dzień dobiegał końca i kolejny ranek oznaczał powrót do Grant. Mimo to miał kilka godzin do wykorzystania i patrząc na skalną ścianę nad sobą, nie widział niczego, co mogłoby powstrzymać jego zapał. Nie miał szacunku dla Apaczów; nie czuł w stosunku do nich niczego poza pragnieniem, by ich dopaść i zakończyć pościg, i wydawało mu się, że teraz pojawiła się szansa, by tego dokonać. Antone, jak rozumował, nigdy by nie pomyślał, że oddział kawalerii podąży za nim przez kanion. Castleton ściągnął wodze.

— W porządku. Naprzód.

Mixler wpatrywał się w niego. Śniada twarz Dury odwróciła się, ku niemu, otwarcie zaskoczona i pełna sprzeciwu:

— To nie jest dobra droga. Lepiej objedźmy to wzgórze, zjedźmy na dół po drugiej stronie.

Wrodzona niecierpliwość Castletona znalazła ujście w wybuchu.

— To nie twoja sprawa – nie twoja sprawa!

Prawda była taka - choć nie do końca zdawał sobie z tego sprawę - że nie podobała mu się wiedza Dury i Ala Hazela na temat Indian oraz sposób, w jaki wykorzystywali tę wiedzę do ostrzegania oficerów posterunku. Był przekonany, że wszyscy cywile na granicy podsycali strach przed Indianami, aby utrzymać wojsko w okolicy, czerpiąc w ten sposób zyski ze sprzedaży żywności i zaopatrzenia, oraz z rozwijającego się w ten sposób ogromnego biznesu przewozów od posterunku do posterunku. Mixler czekał obok niego, a długie milczenie Mixlera jeszcze bardziej go irytowało.

— Masz jakieś sugestie?

Mixler wzruszył ramionami.

— To ty dowodzisz, jak mi się wydaje.

Castleton uniósł nad głowę dłoń w rękawicy, dając znak oddziałowi, aby ruszył za nim, i szybkim kłusem wjechał do kanionu.

Nadal pozostawało im jeszcze pół godziny światła słonecznego, lecz gdy tylko oddział wjechał do kanionu, wokół niego zapadł gęsty zmierzch. Obserwując wysokie głazy z przodu i niewielkie zagłębienia nad głową, w ścianach kanionu, Castleton od razu poczuł się zaniepokojony grubością mroku. Szmery strumienia i łoskot końskich kopyt na kamieniach pod nogami, wydawały się głośne. Przez chwilę miał wątpliwości i przez chwilę miał ochotę zawrócić. Tym, co powstrzymało ten impuls, było wspomnienie sceptycznego wyrazu twarzy Dury, niechęci Mixlera oraz opinii żołnierzy. Teraz go obserwowali; było już za późno, żeby zmienić zamiary. Nie mógł pozwolić, żeby którykolwiek z nich dostrzegł w jego umyśle jakiekolwiek zmieszanie. Lecz to miejsce źle nastrajało. Im dalej posuwali się oddział, tym węższy wydawał się kanion i tym bardziej przytłoczony czuł się Castleton. Złapał się na tym, że spogląda nieustannie na górną krawędź ścian; zauważył również, że mięśnie jego nóg mimowolnie naciskają na strzemiona. Nagle, w pobliżu zakrętu, sierżant Hanna z łoskotem przyjechał przez strumień i zajął miejsce przed Castletonem.

Castleton warknął:

— Co pan robi?

Twarz starego żołnierza Hanny, opalona i twarda, zwróciła się w stronę porucznika.

— Oddział K ma wielu żołnierzy i trzech oficerów. Łatwo obliczyć, że lepiej jeśli zostanie postrzelony jeden żołnierz, niż jeden oficer.

— Proszę wracać na miejsce — powiedział Castleton i przepchnął się obok Hanny.

Za zakrętem widać było tylko szarzejącą panoramę wody i kamienia oraz pustą ścianę kolejnego zakrętu, w oddali. Nad nimi jasne światło nagle zniknęło z nieba i cienie natychmiast wypiętrzyły się w wąwozie warstwa po warstwie, aż nic już nie było wyraźnie widoczne poza poszarpanym tańcem wody na skałach. Wysokie krawędzie ścian zmieniły

w ciemniejące zarysy. Wiatr lekko zawiewał przez kanion, ale pod rondem kapelusza Castletona zbierał się pot, i spływał mu po nosie oraz brwiach, gdy tylko go unosił do góry; jego nerwy zmieniły się w cienkie, maksymalnie naciągnięte druty pociągające za jego palce, ramiona i szyję. Gdzieś rozległ się dźwięk, który nie był częścią odgłosu wody ani wędrujących koni. Powiedział:

— Stać — i nasłuchiwał, nachylając się do przodu w siodle.

Głos Dury doleciał na przód kolumny; delikatnie podniecony.

— Jeśli Antone jest na tej krawędzi, pewnie myśli teraz o stoczeniu na dół kamieni. Nie zatrzymałbym się, panie poruczniku.

Castleton popchnął konia do przodu. Szlak znów się zakrzywiał, a ściany zamknęły się tak mocno, że kanion zrobił się nie szerszy niż długość konia. Szlak i strumień przeciskały się przez ciemne ramiona skalne, lecz potem, za tym miejscem, Castleton dostrzegał świeże, czyste światło zmierzchu na położonej dalej łące; ściany kanionu się rozstępowały. Powstrzymał konia, przejechał strumień i zatrzymał się na łące.

— Hanna, rozbijamy tu obóz. Żadnego ognia tej nocy.

Na zachód od łąki otwierały się wrota przełęczy, prowadząc w górę do serca gór Pinal. Na wschodzie inne, płytsze kaniony zmierzały ku dzikim, ciemnym wzgórzom. Za nimi leżało ciemne teraz ujście kanionu, przez który właśnie przejechali. Castleton zsiadł z konia i oddał go ordynansowi, obserwując, jak żołnierze składają broń w kozły i rozbijają zimny obóz. Manuel Dura objeżdżał we wszystkie strony łąkę, opadającą coraz niżej w gęstniejących ciemnościach. Wkrótce powrócił.

— Zatrzymali się tutaj i pojechali dalej. Teraz są tam, być może.

Wskazał ręką na poskręcaną, czarną plątaninę wzgórz na wschodzie. Castleton popatrzył na Mixlera, w jego głosie można było wyczuć lekką nutę ironii.

— Zawsze uważałem, że Apacze są oceniani zbyt wysoko. Antone lepiej ucieka, niż walczy.

Mixler odparł tylko:

— Nie chciałbym zostać złapany w tym kanionie, Phil.

— Nie było go tam — zauważył Castleton. — Nigdy się nie zatrzyma, żeby walczyć. Powstrzymuje nas strach przed czymś, co nie istnieje.

Usiadłszy na kocu, nasłuchiwał sennych rozmów żołnierzy i nie usłyszał niczego. Leżeli w milczeniu, a w tej ciszy było coś ponurego, pełnego niezadowolenia i wyczerpania do szpiku kości. Wartownicy poruszali się wzdłuż zewnętrznych cieni, ich buty szorowały o żwir strumienia. Powietrze było tutaj chłodne, spływające z wyższych partii wzgórz. Gdzieś zahukała sowa - i usłyszała odpowiedź z innej części tych wzgórz. Zobaczył Manuela Durę unoszącego się z ziemi i nasłuchującego. Wartownicy również przestali chodzić i zapadła kompletna cisza, ciężka i pełna tajemniczości, aż on również poczuł jej napięcie. Wołanie sowy nie powtórzyło się ponownie.

Castleton przewrócił się na bok, poprawiając głowę na siodle. Znów nie spał, żałując długości nocy i nienawidząc tego opóźnienia. Antone był w pobliżu, mniej niż godzinę dobrego marszu. Wiedza ta kusiła go i grała na

jego niepokoju, dopóki nie usiadł wyprostowany, nie złożył wielkich dłoni i nie wpatrzył się w filcowo-czarne cienie. W tej chwili był zupełnie sam, zrobił się głodny i samotny przez intensywny nacisk swych ambicji; wpędzony przez nie w taką desperację, że aż poczuł bezsensowne pragnienie, aby wyciągnąć dłoń i chwycić je i zmiażdżyć między swoimi ciężkimi ramionami. Dla niektórych ludzi, pomyślał, życie oznaczało walkę o władzę i pozycję. Tak właśnie było w jego przypadku. Nie miał cierpliwości, by leniwie dryfować przez życie. Nie potrafił znieść oczekiwania na swoje miejsce w powolnym młynie awansu. Ogień w nim musiał płonąć; musiał znaleźć drogę ujścia. I to właśnie, jak sobie zdał sprawę z głęboką, nagłą goryczą, było powodem, dla którego nie miał przyjaciół wśród swych kolegów; i żadnej lojalności ze strony swych żołnierzy. Zbyt mocno ich naciskał. Zbyt mocno pragnął sukcesu. Inni ludzie śmiali się i traktowali swoje życie swobodniej. Ponieważ nie był w stanie znieść czegoś takiego i nie chciał wpasować się w rutynę, był nielubiany. Kiedyś widział generała dowodzącego armią. W oczach generała była jakaś skłonność do milczenia i obojętność, jakby widział i wiedział rzeczy, których inni ludzie nie byli w stanie dostrzec. Castleton nie rozumiał wtedy tego wyrazu oczu, ale teraz to się zmieniło. Ta samotność, to napięcie wokół ust, były ceną, jaką człowiek płacił za dostanie się na szczyt - za wszystkie poświęcenia, wszystkie trudne decyzje i całą życiową dyscyplinę, w dążeniu do celu.

Ponownie położył głowę na siodle, myśląc o bliskości Antone, aż wreszcie Antone stał się jakimś nieuchwytnym kluczem do całej jego kariery. Wiedział wtedy, że biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, zaryzykuje sobą i całym swoim dowództwem. Zapadł w płytki sen i obudził się około trzeciej. Tego dnia powinien zawrócić, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, ale miał jeszcze jedną nadzieję, więc zignorował polecenia dowództwa, pozwolił żołnierzom dokończyć zimne śniadanie i wsadził ich w siodła. Manuel Dura powiedział, wciąż nie do końca rozbudzony.

— Lepiej będzie, jeśli pojedziemy innym szlakiem z powrotem do Grant.

— Jeszcze nie. W którą stronę wczoraj wieczorem biegły te ślady?

— Na wschód — odparł Dura.

— Jedziemy więc na wschód.

Żołnierze ruszyli za nim w zwartym szyku. O świcie dotarli do wznoszącego się nad łąką grzbietu i stanęli przed terenem poprzecinanym sosnowymi zboczami, wijącymi się wąwozami i skalistymi pagórkami. Dura popatrzył na ziemię i wrócił całkowicie rozbudzony.

— Jest tutaj mnóstwo tropów. Spotkali się tu wczoraj. Widzi pan ten szczyt? Może teraz tam są. Trzydziestu - czterdziestu, quien sabe?

W stronę szczytu na północnym wschodzie ciągnął się wąwóz o najeżonych ostrymi skałami ścianach bocznych; kobaltowe cienie świtu wędrowały po okolicy, wirując jak woda, oszukując oko i nadając pozór poruszania się położonym dalej terenom.

— Tam, Dura — oznajmił Castleton.

Koń Dury podniósł łeb i zboczył ze szlaku. Dura uważnie przyjrzał się ziemi i nie zobaczył tam niczego, co mogłoby spowodować takie

zachowanie zwierzęcia. Uniósł głowę, trzymając oczy prawie zamknięte, wpatrzony przed siebie. Powiedział:

— Niech pan nie jedzie tą drogą, panie poruczniku.

— Co widzisz?

Dura wzruszył ramionami.

— Nic nie widzę i nie podoba mi się to. Ale ta ścieżka to pułapka.

— Skręć w lewo, w stronę tej skalnej bariery.

Manuel Dura rozłożył ramiona.

— Złe miejsce.

Castleton machnął ręką i przecisnął się obok Dury. Jego celem był szczyt na wschodzie. Bariera skalna, która stanowiła jego sześciostopowe przedpiersie wyniesione przez jakieś starożytne ruchy skorupy ziemskiej, leżała ćwierć mili przed nimi; po obu stronach ziemia wznosiła się w zwietrzałych wzgórzach. Castleton puścił kolumnę kłusem, celując w najniższą część skalnej bariery.

Mixler ruszył naprzód, jego jasna cera zaróżowiła się od słońca.

— Czy wzdłuż krawędzi tych skał, to rośnie juka?

Równy bieg koni wywoływał głośny stukot żelaznych podków na twardym gruncie. Siodła skrzypiały, a za Castletonem zabrzmiał ciężko głos Hanny:

— Bliżej mnie, Flynn!

— Ha! — wychrypiał Dura i ściągnął konia.

Jego ramię wystrzeliło prosto do przodu. Kępy juki wzdłuż krawędzi skał poruszyły się i odpadły — i zmieniły się w okrągłe, czarne główki. Pierwszy strzał przerwał ciszę poranka, jego echo poniosło się po zboczach wzgórz. Uniósł się słaby kłąb dymu.

Castleton zawołał:

— Nieprzyjaciel!

Głos Hanny zagrzmiał wśród żołnierzy, którzy rozjechali się wzdłuż długiej, lekko załamanej linii obok Castletona. Mixler zatoczył koniem kółko i odjechał na prawą stronę linii, jego rumiana twarz była pełna życia pełna zapału i nagle pełna zadowolenia. Ze skał rozlegały się szybkie strzały, dym pokazał, że Apacze są rozproszeni wzdłuż całego ich wierzchołka skalnego grzbietu. Castleton, dokonując szybkiego rozeznania, pomyślał, że po lewej stronie tego parapetu jest wolne od nieprzyjaciół miejsce i natychmiast rzucił się w tamtą stronę, dając znak swoim ludziom, aby podążyli za nim. Zmusiło to żołnierzy do utworzenia nieregularnej grupy; i w ten sposób przecinali front ognia. Jeden z koni upadł, wyrzucając kawalerzystę Sweeneya daleko do przodu, na kamienistą ziemię. Jeździec przykręcił się i poturlał się dalej, aż dotarł do zagłębienia w ziemi i wpadł w nie.

Po tej stronie, w którą rzucił się Castleton, dosyć ostro wznosił się szereg zniszczonych pagórków. Odjeżdżając w stronę jednego z krańców skalnego parapetu, Castleton zbliżył się do pagórków i od razu poczuł krzyżowy deszcz ołowiu. Wojownicy Antone na krótko pojawiali się w przestrzeniach między pagórkami, strzelali i cofali się. Castleton skręcił, pognał na nich z rewolwerem uniesionym do strzału. Hanna galopował tuż za nim, Mixler, robiąc pełne koło z jednej strony tego obszaru na drugą,

przyprowadził ostatnich opóźnionych ludzi; popędzili między pagórki. Wojownicy Antone pojawiali się i znikali z pola widzenia, strzelając w biegu. Hanna i O'Grady, blisko siebie, wzięli jednego z Apaczów pod kopyta swoich koni, i kiedy obejrzeli się za siebie, zobaczyli go leżącego martwego na ziemi. Mixler przegalopował wokół podstawy garbu, wpadł wprost na wysokiego Apacza z karabinem już uniesionym do strzału. Mixler rzucił konia na bok i poczuł dym wystrzału karabinu, i celując w wojownika z rewolweru, zabił go jednym strzałem.

To była chwila pełna napięcia i okrucieństwa, żołnierze rzucali się na kolejne pagórki bez rozkazu ani porządku, strzelając do uciekających postaci wokół siebie. Apacze znikali i pojawiali się ponownie, od nierówności terenu do nierówności; ustępowali pola i ginęli, a potem pojawiali się ponownie. Indianie znajdujący się na skalnym parapecie natarli od tyłu i z prawej flanki. Manuel Dura zauważył to jako pierwszy i zsuwając się z konia, podbiegł na szczyt najbliższego garbu, położył się na nim i spokojnie skierował karabin na tę nową szarżę Apaczów, celując i strzelając w niewzruszony sposób.

Mixler, krążąc wokół garbu, zauważył Durę przy tej robocie. Natychmiast wezwał najbliższych żołnierzy, podjechali wesprzeć Durę i zsiedli z koni. Jeden z ludzi przytrzymał konie, podczas gdy inni zajęli pozycje strzeleckie. Twarz Mixlera była czerwona jak róża, a jego niebieskie oczy błyszczały, niemal się śmiały, kiedy się kładł na ziemi. Powiedział:

— Nie śpieszyć się. Bądźcie pewni, że w coś traficie, albo nie strzelajcie.

Tymczasem Castleton zapuścił się głębiej w nierówny teren. Apacze wycofywali się przed nim, niewyraźni jak cienie. Strzelał i chybiał. Jeden z Apaczów zniknął z pola widzenia, a Castleton, widząc, że wojownik zamierza okrążyć pagórek, krzyknął do O'Grady'ego znajdującego się nieopodal.

— Jedź dookoła, z tamtej strony!

O'Grady popędził na drugą stronę pagórka, podczas gdy Castleton okrążył go ze swojej strony. Koń starego żołnierza wpadł w ruchome piaski i wydostał się z nich dopiero po chwili. W efekcie tego O'Grady wpadł galopem prosto pod lufę karabinu Apacza. Kula trafiła żołnierza prosto w pierś, strącając go z siodła. Niemal w tej samej chwili kula Castletona zabiła Apacza. Pędząc dalej, Castleton spostrzegł martwe oblicze O'Grady'ego zwrócone w stronę pierwszych mosiężno-żółtych błysków światła słonecznego.

Apacze byli jak cienie, które nagle zniknęły. W jednej chwili wokół pagórków nie było już widać żadnego z nich. Zawracając, Castleton zobaczył Apaczów uciekających z pola bitwy, w terenie zbyt nierównym, by kawaleria mogła bezpiecznie za nimi podążyć. Na czystym terenie wciąż słychać było odgłosy wystrzałów z karabinów; wszyscy żołnierze zmierzali w tamtym kierunku.

Zbliżając się do ostatnich pagórków, Castleton zobaczył, jak główna część bandy Antone cofa się w stronę skał, a ich brązowe ciała przewijają się przez luki między skałami i znikają z pola widzenia; ale jeden Indianin

podbiegł w stronę zagłębienia, w którym leżał Sweeney, schylił się i dźgnął Sweeneya nożem, zabijając go, po czym próbował uskoczyć przed ogniem żołnierzy. Tuzin kul rozdarł ziemię wokół niego, trafił również w niego, pozbawiając Indianina życia. Galopując w stronę najwyższego pagórka, Castleton obserwował, jak banda Antone dociera do swoich koni w położonym dalej zagłębieniu ziemi i pędzi z powrotem w stronę górskiego szczytu.

Poleciało za nimi kilka ostatnich strzałów, ale po chwili sosny i nierówny teren całkowicie ich skryły. Żołnierze podnieśli się z ziemi, idąc na niepewnych nogach po nierównym podłożu. Hanna podszedł i stanął przed koniem Castletona. Pot zwisał jasnymi kroplami na końcach jego wąsów; przód jego koszuli był szary od kurzu. Jego stare żołnierskie oczy zwróciły się ku Castletonowi, powściągliwe, wyczekujące — i jak wyczuwał Castleton pełne różnych rzeczy.

— Jakie ma pan teraz rozkazy, panie poruczniku?

Castleton obserwował zbocza odległej góry, widząc, że jego szansa na złapanie Antone kompletnie się rozpłynęła. Nie było możliwości pościgu w takim terenie, ukształtowanym przez sosnowe zagajniki i skalne doły, na stromych zboczach. Słońce wzeszło już wysoko i wisiało na niebie rozpalone do czerwoności, racje żywnościowe jakie miał, wystarczały tylko na trzy dni, a konie były zmęczone od nieustannego przedzierania się przez trudny teren. Wiedział o tym wszystkim, z gorzkim rozczarowaniem. A gdyby nawet nie wiedział, powiedziałyby mu to czarne oczy sierżanta Hanny.

Kapral Oldbuck zawołał:

— Sweeney jest martwy.

— Tak samo O'Grady.

Ci ludzie stali dookoła, podniecenie wywołane potyczką słabło, pozostawiając ich rozluźnionych i zmęczonych. Castleton czuł ponury osąd w ich głowach; usłyszał go w głosie Manuela Dury, gdy przewodnik podszedł bliżej.

— Może teraz już pan wie, że Antone potrafi walczyć, panie poruczniku.

— Hanna — polecił Castleton, — zawracamy. Przywiążcie Sweeneya i O'Grady'ego do koni.

Odjechał od swoich ludzi, w stronę, gdzie Sweeney leżał na plecach z dwoma długimi cięciami noża widocznymi na zakrwawionej koszuli. Castleton nie zsiadł. Pochylił się do przodu w siodle, obserwując twarz Sweeneya, ciekawy, czy dostrzeże w niej cień jakiegoś wyrazu. To był trudny moment dla niego, miał świadomość, że poprowadził Sweeneya i O'Grady'ego na śmierć. Wtedy też zdał sobie sprawę, jak łatwo wpadł w pułapkę Antone. Nie czuł w tej sprawie żadnych szczególnych wyrzutów sumienia, żadnego żalu, ponieważ było to ryzyko, które podjął wraz z resztą z nich; po to właśnie była armia. Ale wiedział, co powie major Warren, co będzie mówił cały posterunek i jak osądzają go jego ludzie. Siedział w siodle, myśląc o tym, czując się gorzej niż faktycznie czuł, wściekły i odrobinę oszołomiony z powodu porażki. To właśnie ta porażka była tym, co się liczyło.

Rozdział X

Eleanor i Tom Benteen, wraz z oddziałem ośmiu żołnierzy, opuścili Grant przed wschodem słońca i pierwszej nocy rozbili obóz w mrocznych czeluściach Gold Canyon, gdzie niedługo wcześniej Apacze wyrżnęli grupę Kennedy'ego i Israela. Następnego ranka dotarli do pustynnego obszaru na zachód od gór Santa Catalina i ruszyli na południowy zachód w żółto-niebieskiej mgiełce upału. W oddali widać było niewyraźne zarysy szczytów i wzniesień wyrastających z płaskiej równiny. Na północy wznosiły się czarne szczyty gór Pinal oraz nieco mniejsze kształty gór Mescal i Tortilla. Na zachodzie leżał Picacho, wyznaczający trasę linii pocztowego dyliżansu.

Wzdłuż tej trasy widoczne były ślady plagi Apaczów w postaci kopców grobowych, starych i nowych, gęsto porozrzucanych w niewielkich odstępach, będących oznaką nagłego końca wielu Meksykanów, woźniców dyliżansu, ranczerów i poszukiwaczy złota, którzy nagle wpadli w zasadzkę. Poczerniały kwadrat wskazywał miejsce, w którym znajdował się zabudowania rancza; wyblakłe kości konia leżały obok metalowych fragmentów wozu.

Letnie słońce wisiało roztapiającą wszystko kulą na nieskazitelnie błękitnym niebie, a fale gorąca tańczyły w migotliwych warstwach nad porośniętą kaktusami ziemią. Stopniowo z równiny wyrósł nisko przycupnięty kształt Tucson i jeszcze tego dnia o zachodzie słońca, grupa wjechała na plac apelowy Fortu Lowell, na obrzeżach miasta. Żona dowódcy, pani Bursom, natychmiast wzięła Eleanor pod swoją opiekę.

— Dołączy pan do nas podczas kolacji, panie Benteen — dodała. Żołnierze przenieśli się do stajni, a Tom Benteen zgłosił się do płatnika.

— Rano będę gotowy do wyjazdu — powiedział płatnik. — Nawiasem mówiąc, dziś wieczorem w mieście jest meksykańska trupa, która gra „Eleanę i Jorge”.

Benteen udał się do sali dla kawalerów, posterunku, umył się i wrócił na kolację do kwatery pułkownika Bursoma. Następnie, w miękkim, gorącym pustynnym zmierzchu, towarzyszył Eleanor do Tucson.

— To jest mekka południowego zachodu — powiedział jej. — Nie ma niczego podobnego od San Antonio do San Diego, może z wyjątkiem Prescott w paśmie gór Mogollon. Ale Prescott jest miastem stricte amerykańskim, to zaś wygląda prawie jakby żywcem przeniesione ze starego Meksyku.

W tej porze półmroku i półświatła w mieście panowała łagodna cisza. Nie było ogromnych ulic, wartych tej nazwy, a jedynie zwykłe alejki wijące się między jednopiętrowymi domami z cegieł adobe, wzdłuż ścian których

zwisały kolorowe sznury suszącej się papryki. Piach sięgał po kostki. Nieopodal jednej ze stajni, przelewająca się woda z koryta do pojenia, utworzyła głęboką, błotnistą dziurę, w której zagrzebała się świnia, tak że widać było jedynie jej oczy i pysk. Pośrodku placu przed fortem stał kościół San Antonio, a jego wieża i krzyż wznosiły się wysoko nad niskimi domami z cegieł adobe. Wokół placu znajdowały się sklepy i saloony oraz długie, pozbawione okien magazyny kupców towarowych. Przed nimi stały kryte płótnem wozy, czekające bezczynnie po długich podróżach do Missouri, Kalifornii, Guymas i Hermosillo, głęboko w Starym Meksyku. Minęli ciemność corralu Munoza, przeszli obok oświetlonych okien saloonów, słysząc ze środka niespokojny gwar rozmów, stukot żetonów i nawoływania krupierów ruletki. Dalej, gdy zapadł zmrok, podążyli wzdłuż zniszczonych pozostałości starego muru, który niegdyś, w czasach *padres*, zamieniał Tucson w bezpieczną przystań na pogańskich pustkowiach północnego Meksyku.

Biły właśnie dzwony na nieszpory. Ludzie przemieszczali się przez miasto w kierunku corralu kwatermistrza. Światła świec migotały w drzwiach, a gwar delikatnych hiszpańskich rozmów brzmiał przyjemnie dla ucha. Zapadła ciemność i tajemnica pustyni wciskała się do środka miasta. Eleanor objęła Benteena ramieniem, dotrzymując mu kroku.

— Mam takie wrażenie — wyszeptała — jakbyśmy znajdowali się milion mil od każdego miejsca na świecie.

Czuł rytm jej ciała, świadom był słodkiego zapachu jej włosów. Długo później powiedział:

— Gdybym kiedykolwiek odszedł z wojska, to dokładnie tutaj bym został. Na Terytorium.

— Dlaczego?

— Dlaczego — powtórzył, zaskoczony tym, że został przyparty do muru i nie do końca mógł znaleźć właściwe słowa. — Lubię pustynię. Lubię wzgórza. Lubię nawet upał.

Powiedziała:

— No cóż, takim właśnie jest pan człowiekiem, Tom.

Przeszli przez plac przed kościołem. Potem spytał:

— A tak właściwie, to jakim? — i był naprawdę zaintrygowany.

Nie odpowiedziała mu od razu. Zatrzymała się przed nim i spojrzała na niego, wciąż trzymając dłoń na jego ramieniu. Rogal księżyca rzucał delikatne światło na jej twarz; widział jej zarys, siłę i ciemne, nieznane rzeczy kryjące się w jej oczach.

— Myśli pan, że kiedykolwiek opuści armię? — spytała.

— Nie z własnego wyboru. Tylko gdyby kula lub strzała zrujnowała moje zdrowie. Człowiek zawsze musi brać taką możliwość pod uwagę.

Powiedział to w całkowicie bezosobowy sposób, tak jakby była to ewentualność, która nie miała większego znaczenia. Zauważyła, że nosił w sobie sporą dozę fatalizmu. Wiele rzeczy nie miało dla niego znaczenia; odrzucał je, zamykał na nie swój umysł. Dziwne, że w ten sposób mógł się zachowywać taki witalny i silny fizycznie mężczyzna. Domyślała się, że kiedyś był porywczy oraz niespokojny - od czasu do czasu widziała pozostałą w nim jeszcze siłę, jak w scenie z przestępcą Jackiem Beanem.

Lecz jako chłopiec przeszedł przez wojnę secesyjną i zahartował się na pograniczu, co sprawiło, że w wieku dwudziestu pięciu lat był starszy niż większość innych ludzi. To właśnie sprawiło, że był taki oszczędny w słowach i leniwy. To i jeszcze jedno doświadczenie, dodała do siebie: resztę spowodowała dziewczyna z Południa. Dziewczyna z Południa zabrała mu wszystko, a dała bardzo niewiele. Zastanawiała się, jak bardzo nadal kochał tę kobietę; a ponieważ była tego bardzo ciekawa, powiedziała łagodnie:

— No cóż, tutaj też jest bardzo południowo. Lubi pan Południe.

— Bez magnolii i wiciokrzewu — odpowiedział. — Tego już nigdy więcej.

Przeszli przez plac, klucząc małymi uliczkami w pobliżu magazynów towarowych Ochoa i DeLong. Meksykanie szli przed nimi, w kierunku zagrody kwatermistrza; wszyscy byli roześmiani i rozmowni. Eleanor spytała:

— Naprawdę jest pan tym tak bardzo rozgoryczony?

— Gdybym był rozgoryczony — odparł, — oznaczałoby to, że nie zapomniałem, prawda?

— Nie zapomniał pan. Tyle to już wiem.

— Nie — przyznał — nie zapomniałem. Ale nie jestem rozgoryczony.

— Dużo pan o niej myśli — zauważyła cicho.

— Myślę o wielu rzeczach. Pamiętam szarżę kawalerii w '63. Myślę o zapachu bagien wokół Richmond, kiedy byliśmy tam okopani - były pełne zgnilizny i malarii. Wodne mokasyny prześlizgiwały się wokół butów i przerażały człowieka. Myślę o odgłosie kul karabinowych pod Gettysburgiem, pod Little Round Top. Myślę o tym, jak prezydent Lincoln przyjechał do obozu, by zobaczyć się z McClellanem. McClellan ciągle tylko musztrował armię i nic więcej nie robił, a pan Lincoln chciał wiedzieć dlaczego. Pan Lincoln był bardzo wysoki, a jego długi jak rura kominowa kapelusz dodawał mu jeszcze dobrą stopę, i ubrany był w stare ubrania, które sprawiały, że wyglądał jak strach na wróble. Mały Mac był niski i bardzo schludny. Przypomina mi się kubek maślanki, który jakaś mała dziewczynka podała mi pewnego dnia latem '62. Było to w dolinie Shenandoah. Miała może z dziesięć lat, a jej ojciec walczył po stronie Konfederacji, pod dowództwem Lee. Dziewczynka pięknie mi się ukłoniła i zalotnie spojrzała w oczy. Zasalutowaliśmy jej, gdy jechaliśmy dalej. — Opuścił spojrzenie na Eleanor z tym swoim krzywym wyrazem twarzy, który był tak bliski uśmiechu i tak bliski ironii. — O tym właśnie myślę. Kawałki akcji i małe scenki, które niewiele znaczą. Jeśli zebrać je wszystkie razem, to jest moje życie.

— Nie — mruknęła. — Myśli pan o niej. Kiedy jest pan zmęczony. W nocy. Kiedy jest pan samotny.

Oznajmił:

— Pani oczy widzą zbyt wiele, Eleanor — i zaprowadził ją do corralu kwatermistrza.

W poprzek corralu porozstawiane były pniaki z topoli do siedzenia. Na jednym jego końcu rząd płonących pochodni służył jako oświetlenie sceny. Beczka, wóz i koryto do pojenia zwierząt, tworzyły scenę, na której czekali

aktorzy. Uprzejmy młody Meksykanin powiedział, że wstęp wynosi pięćdziesiąt centów dla zwykłych obywateli, lecz dla dystyngowanych Amerykanów, dolara. Benteen zapłacił i zaprowadził Eleanor do najmniej niewygodnego kawałka topoli, jaki udało mu się znaleźć. Wszyscy młodzi ludzie siedzieli z przodu, robiąc ogromną wrzawę. Wszędzie indziej siedzieli ludzie z Tucson, garstka żołnierzy i czarnookie meksykańskie dziewczęta z wszechobecnymi starymi ciotkami, jako przyzwoitkami, z policzkami pokrytymi zwyczajowym kosmetykiem z pasty mącznej. Orkiestra - flet i gitara - podjęła próżny wysiłek, by przebić się przez to zamieszanie i wkrótce się poddała. Przed światłami sceny stanął modelowy Meksykanin, poprawił serape i przemówił do tłumu po hiszpańsku, po czym wykonał niski skłon z szerokim wymachem ręki i wycofał się, a wtedy swoje miejsca zajęli aktorzy, z dużą teatralną swobodą przyjęli odpowiednie postawy i rozpoczęła się „Eleana i Jorge”, w postaci niezwykle łzawej sceny między bogatym wujem a jego pogrążoną w smutku siostrzenicą.

— Ten wuj — wyjaśnił Benteen, — jest starym żądnym zysku łajdakiem, który zamierza sprzedać swoją siostrzenicę Eleanę bogatemu francuskiemu oficerowi, będącemu pierwszorzędnym tchórzem. Jorge jest biednym, lecz bardzo odważnym meksykańskim oficerem, który kocha Eleanę. Oczywiście, że Eleana też go kocha. To bardzo patetyczne. Ale może miłość zwycięży.

Eleanor uśmiechnęła się, słysząc ton w jakim jej to wszystko opowiadał. Był zadowolony, wesoły i sceptyczny. Kłoda z pnia topoli stanowiła niezbyt bezpieczną ławkę, dlatego Benteen przełożył rękę przez zgięcie jej łokcia, w międzyczasie energicznie oklaskując niezrozumiałą dla niej, lecz bardzo dramatyczną przemowę Eleany. Bogaty wuj odszedł, a Don Jorge, ukrywający się przez cały ten czas za beczką, poderwał się przy ogromnych wiwatach publiczności, złożył namiętne deklaracje dozgonnej miłości i ruszył za wozem; w tym momencie francuski oficer, lubieżnie spoglądający i zniewieściały, podniósł się z beczki i podreptał do przodu.

Burza nienawiści podniosła się z ławek z topolowego drewna. „Muere-Muere - niech zginie!”. Benteen zasłonił usta dłonią, wydając z siebie okrzyki aprobaty. Pod koniec pierwszego aktu Benteen i Eleanor zajadali się jadalnymi pigwami, słuchając ciągłego paplania kopcących jak kominy przyzwoitek. Tyły corralu wypełniali kolejni żołnierze, muzyka kiepsko walczyła z panującym hałasem, a flary ze smołą tworzyły zadymione, ponure światło na tle czarnej arizońskiej nocy. Krucha meksykańska dziewczynka, o oczach okrągłych jak monety dolarowe, flirtowała za plecami swojej przyzwoitki z młodzieńcem o dramatycznie wyglądającej w nocnym mroku twarzy. Drugi akt przynosił tymczasową dominację tchórzliwego francuskiego oficera i odjazd Don Jorge w poszukiwaniu śmierci lub chwały. W przerwie po nim, na scenie pojawił się payozo, czyli meksykański klaun, wymachujący meksykańską flagą i skandujący hasła śmierci obcym wrogom. W tym czasie zarówno Benteen, jak i Eleanor byli już bardzo głodni. Benteen kupił gorące enchiladas oraz czekoladę, i oboje zjedli późną kolację, podczas gdy trzeci akt wpuszczał w kłopoty

francuskiego łotra i chciwego wuja, zaś Don Jorge i piękna Eleana stanęli na środku sceny w pełnym szczęścia uścisku. Całe Tucson, mężczyźni, kobiety i dzieci, tupali i krzyczeli z aprobatą.

Benteen przeprowadził Eleanor przez tłum.

— Wszystko wyszło doskonale, a teraz pójdziemy do domu spać, wyczerpani i zadowoleni. Czy noc operowa w Nowym Jorku mogłaby być lepsza?

— Powiedziałabym, że Eleana jest trochę pulchna — stwierdziła Eleanor.

— Hiszpański gust — odparł Benteen. — W każdym razie musi być dorodną kobietą, aby wytrzymać trzy akty za tymi pochodniami. Tam musiało być ze sto dziesięć stopni Fahrenheita.

Wyszli z tłumu i udali się w długą drogę powrotną do domu, przez wijące się uliczki i place Tucson.

Wychodząc z corralu, Benteen nie zauważył sierżanta McSweena stojącego nieopodal w ciemnościach. Ale kiedy odszedł, McSween odwrócił się i popatrzył w półmrok koło szopy kwatermistrza. Stał tam Jack Bean, który przez ostatnie pół godziny bacznie obserwował Benteena. W pewnej chwili Bean ruszył w noc, a wtedy McSween przedarł się szybko przez tłum Meksykanów, podążając ostrożnie w bezpiecznej odległości za Beanem.

Benteen i Eleanor, powoli przemierzając tę spokojną, gorącą noc, ponownie dotarli na plac kościelny. Kilku spóźnionych wiernych wyszło z kościoła i rozeszło się do domów; tłum przewalał się krętymi uliczkami, i wkrótce grupy jeźdźców zaczęły wyjeżdżać galopem z miasta. Mężczyźni wlali się tłumnie do saloonu na drugim rogu placu, a światła w jego oknach zrobiły się jaśniejsze. Eleanor usiadła na schodach kościoła, pociągając za sobą Benteena. Zaplotła palce wokół kolan, obserwując wysokie, błyszczące gwiazdy i przekręcony zarys półksiężyca. W Tucson zaczęła zapadać cisza, miękką, dławiącą falą.

Benteen skręcił papierosa i zapalił go, a dym unosił się w nieruchomym powietrzu. Siedział rozluźniony na schodach, z długimi nogami rozłożonymi przed sobą; pomyślała, że jest tak odprężony i spokojny, jak tylko człowiek może być. Jego twarz złagodniała, tracąc zwykły wyraz braku zainteresowania i przez tę chwilę była pewna, że zapomniał o swej przeszłości.

— Eleanor — powiedział — tu jest cholernie przyjemne.

Pomyślała, że to dzięki jej obecności. Lecz natychmiast przyjemność z tej wiedzy została poddana w wątpliwość: jej obecności lub obecności w ogóle jakiejkolwiek kobiety. Przecież była dziewczyną z wojska i wiedziała, jak w mężczyznach narasta głód, aż bliskość kobiety staje się najsilniejszą pokusą na świecie. Nawet dla Toma Benteena. Był solidnym mężczyzną, silnym i fizycznie żywym; miał swoje myśli, miał swoje pragnienia. Wspomnienie dziewczyny z Południa, tak wyraźne, jak tylko mogło być dla niego i tak bliskie, jak tylko mogło być, nie wystarczało. Nie mógł żyć z tym bladym cieniem.

Wymruczała:

— Jak daleko są te gwiazdy?

— Za daleko.

— Jak blisko nich — szepnęła — moglibyśmy się dostać, gdybyśmy spróbowali?

— Po co próbować?

Pokręciła głową.

— Teraz znam już pana lepiej. Nie mówi pan poważnie. Wszystko pan skrywa pod maską.

Wziął dym z papierosa i wypuścił go. Usłyszała długi szmer oddechu w jego klatce piersiowej.

— Eleanor — powiedział — niech pani nie będzie zbyt ciekawa mnie.

— Dlaczego nie?

— Chyba nie chcę, żeby pani wiedziała, co jest we mnie w środku.

Mówiła najłagodniejszym, najbardziej pełnym namysłu głosem.

— Nic na to nie poradzę, Tom. Myślę, że każda kobieta byłaby pana ciekawa. Harriet jest. Lily Marr też. Czy ja powinnam być inna? Proszę pamiętać, że będziemy w tym regimencie przez większość naszego życia. Tak długo, jak pan i Phil będziecie oficerami liniowymi. Co najmniej dwadzieścia lat. To oznacza, że wszyscy będziemy razem. Nienawidzicie się. Widzę to bardzo wyraźnie. Kiedy poślubię Phila, oczywiście stanę po jego stronie. Ale znam was obu dość dobrze i nigdy nie będę w stanie pana znienawidzić. To będzie dla mnie trudne. Rozumie pan?

Nie odpowiedział. Siedział z łokciami opartymi na kolanach, z głową spuszczoną do przodu. Dymem z papierosa snuł się wokół jego twarzy. Kąciki warg miał twarde i ostre. Obserwowała go z uwagą, która mogła wynikać tylko z głębokiego, osobistego zainteresowania; mimika jego twarz i maniery, sam sposób, w jaki jego długie palce zwisały w dół, wryły się głęboko w jej umyśle. Cechowała go męska powściągliwość i męski szorstki humor; miał męski temperament skrywający się za jego milczeniem, czasem wesoły, a czasem twardy i palący jak ogień.

Dodała jeszcze:

— Powinnam spróbować coś z tym zrobić: Ale pan i Phil jesteście daleko od siebie i nigdy nie będziecie bliżej. Przykro mi. To utrudni nam życie. Będziemy mieć z tym kłopoty.

— Myślałem o tym — zgodził się. — Nie ja będę źródłem tych kłopotów. Chciałem pani to powiedzieć przez cały ostatni dzień.

Oznajmiła szybko:

— Chciałabym, żeby się pan ożenił.

Spojrzał na nią, zaskoczony i na granicy uśmiechu.

— A to dlaczego?

Nie odwzajemniła jego uśmiechu. Jej twarz miała ciemną i nieruchomą. Wyciągnęła rękę w jego stronę, aż ją pochwycił. Jej palce zacisnęły się wokół jego dłoni, nagle bardzo silne; trzymała się go, wtłaczając w niego część swoich myśli. Milczała w ten sposób, pełna niewyrażonych i zagadkowych emocji. Nagle odsunęła dłoń.

— Nie sądzę, żebym mogła panu powiedzieć, dlaczego, Tom. Nie sądzę, żebym powinna. Nie sądzę, żeby było to jasne dla pana - albo dla mnie. Ale przynajmniej położyłoby to kres jednej rzeczy. A to, jak sądzę, byłoby dobre dla nas wszystkich. Czy to w ogóle coś dla pana znaczy?

— Tak — odparł. — Może tak.

Gdzieś w mieście meksykański chłopiec zaczął śpiewać pod oknem swej ukochanej. Melodia jego gitary unosiła się przez gęstą pustynną ciszę, dźwięk głosu był całkiem wyraźny, śpiewał:

No me mires con esos tus ojos,
Mas hermosos que el sol en el cielo,
Que me mires de dicha y consuelo,
Que me mata! Que me mata! Tu mirar!

Sierżant McSween ze swojego miejsca w cieniu adobe po drugiej stronie placu, widział Benteena i Eleanor jako dwa blisko siebie położone cienie w mętnym świetle księżyca. Widok ten poruszył go, a pieśń trafiła do jego irlandzkiego serca. Stał tam, cierpliwy i czujny, i na chwilę oddał się rozpamiętywaniu swoich własnych pragnień, zapominając, dlaczego tutaj jest. Potem przypomniał sobie i zwrócił uwagę na ostrą czarną linię pod werandą restauracji Shoo-fly. Był to Jack Bean.

Eleanor powiedziała:

— Myślałam o tym, co pan mówił o odejściu z wojska. Nigdy pan go nie opuści, chyba że po śmierci. To pański naturalny rodzaj życia. W żadnym innym nie byłby pan szczęśliwy.

— Nie — zgodził się z nią — z pewnością bym nie był.

Mówiła dalej swoim czystym, słodkim, oceniającym głosem:

— Nie sądzę, by martwiła pana powolność awansu. Nie wierzę, że wiele pan o tym myśli. Nie wierzę, że kiedykolwiek miał pan z tego powodu rozdarte serce, jak to bywa w przypadku innych oficerów. A jednak przecież do tego dojdzie, Tom. Awans przyjdzie do pana. Wie pan dlaczego? Ponieważ jest pan urodzonym oficerem. Żyje pan i oddycha armią. Pańscy ludzie to czują, tak samo czują to inni oficerowie. Obserwowałam oficerów, odkąd byłam na tyle duża, by ich zauważyć. Niektórzy postępowali właściwie, bo mają to po prostu we krwi. Chyba się z tym urodzili. Niektórzy muszą się tego nauczyć. Pan ma ten dar - nawet o tym nie myśląc. — Przerwała i wzięła długi, szybki oddech, wsłuchując się w cichnącą melodię odległego śpiewaka. — Czy on śpiewał o miłości, Tom? Chodźmy dalej na spacer.

Wstali i przeszli przez plac, idąc blisko siebie w ulotnym blasku księżyca. Brama fortu Lowell położona była na północ od nich, ale oni szli powoli lekko na południe, w stronę lśniącej srebrem granicy pustyni. W oddali, za czarnymi sylwetkami gór, leżał Meksyk; na wschodzie pobliskie szczyty Santa Rita odcinały się od nieba ciężkimi kształtami; a wokół panowała samotność, zapach i nuta poważnego niebezpieczeństwa. Pieśń meksykańskiego chłopca zupełnie ucichła. Za nimi, choć o tym nie wiedzieli, szedł Jack Bean, a za Beanem stary sierżant McSween, poruszający się po piasku jak kot.

Eleanor spytała:

— Jak ona miała na imię, Tom?

— Lucy.

— Ładnie i tak po południowemu. Czy teraz jest mężatką?
— Nigdy się nie dowiadywałem — odparł.
— A powinien pan.
— Dlaczego?
— Ponieważ to zamknęłoby sprawę. Teraz jest otwarta, a pan wciąż ją obserwuje, myśląc, że może kiedyś sytuacja się zmieni.
Zatrzymał się, przyciągając ją do siebie. Jego głos był dosyć mocno zakłopotany:
— Dużo pani widzi. Proszę nie grzebać we mnie w ten sposób. Dlaczego miałaby być pani taka ciekawa? Ma pani swojego mężczyznę.
— Powinien pan zrobić coś innego — powiedziała w ten sam, spokojny sposób. — Powinien pan albo do niej pójść, albo wyrzucić ją sobie z głowy. Dla mężczyzny takiego jak pan, Tom, stare wspomnienia lawendy i koronek, nie są czymś dobrym.
— Może — przyznał.
Szli dalej, nie rozmawiając już więcej. Skręcili w bramę fortu i przeszli przez nią, cicho okrążając plac apelowy. Z posterunku na posterunek przebiegało nawoływanie wartowników:
— Trzecia i wszystko w porządku.
Nagle Benteen roześmiał się cicho w głębokiej ciemności.
— Eleanor, zostało nam cholernie mało czasu do pobudki!
— Było bardzo miło.
Zatrzymał się ponownie, dotykając jej ramienia. Odwróciła się, widząc jedynie jego rozmytą twarz i zarys czarnych ramion na tle nocy. Wiedziała, że się nie uśmiecha. Wiedziała, co mu chodzi po głowie. Powiedział:
— Tak to powinno być. Trochę zabawy. Dużo jeżdżenia. Coś nad czym można by było popłakać. Coś wartego zapamiętania, gdy wszystko się skończy.
Nacisk jego dłoni wzrósł, gdy przyciągnął ją do siebie. Uniosła głowę, a jej obie ręce oparły się o jego klatkę piersiową, nie stawiając oporu. I w taki sposób stała przez cały czas, gdy ją całował, mocno, długo i łapczywie. Jeśli wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co kryje się w sercu tego mężczyzny, to teraz już wiedziała – gwałtowny temperament, siła woli. Wyrwało się to z niego, przebiło przez wszystkie osłony; to było, nagle, coś, co udzieliło się również i jej.
Odsunął się, mówiąc delikatnie.
— Żałuje pani?
— Nie — powiedziała. — Nie żałuję. To był cudowny wieczór, Tom. Co pan powiedział - coś wartego zapamiętania, kiedy to wszystko się skończy?
Przeszli prosto przez plac apelowy, wchodząc następnie po schodkach ganku domu pułkownika Bursoma. Nagle zza rogu dobiegł ich głos pani Bursom. Oznajmiła lekko kwaśnym tonem:
— Myślę, że to już najwyższy czas.
Eleanor Warren roześmiała się. Odgłos jej śmiechu poleciał w nocne ciemności.

— Najwyższy czas. Myślę, że nawet więcej. Ostatnia chwila. Dobranoc, Tom.

Zawrócił w dół po schodkach, kierując się w stronę bramy fortu, a ona wiedziała, że wróci do Tucson do saloonu. Wiedziała, co zrobi. Przyciągnie sobie krzesło do gry w pokera, zamówi drinka i usiądzie wygodnie rozparty na krześle, wspominając. To był rodzaj odreagowania, jakiego musiał doświadczać mężczyzna jego pokroju. W jego głowie było zbyt wiele. W jakiś sposób musiało to znaleźć upust na zewnątrz. W pocałunku, w drinku, w walce.

Sierżant McSween spoglądał, jak Benteen i Eleanor wchodzą na teren posterunku i poszedł za nimi. Nie uszedł jednak daleko, gdyż usłyszał ponowne obwołanie wartownika i odpowiedź Benteena. McSween zawrócił ze znużeniem i minął wartownika, podążając za Benteenem z powrotem do saloonu w pobliżu placu kościelnego. Stanął w najczarniejszym cieniu, opierając się ramionami o ścianę z cegieł adobe. W środku spał potężnie chrapiący mężczyzna, a skądś z miasta dolatywał wysoki, cienki płacz dziecka. Z saloonu dochodził miarowy ton sennych głosów i szuranie butów. Jakiś Meksykanin wyszedł z saloonu, rozłożył bezpieczniej na ramionach serape i przeszedł przez plac z niezwykłą ostrożnością pijanego człowieka. Okna saloonu dawały jedyne widoczne światło; gdzie indziej mączna czerń pustynnej nocy przylgnęła już do ziemi, murów i nieba, na tle którego krzyż kościelnej iglicy odcinał się swym odwiecznym kształtem. McSween, który należał do wierzących, obserwował krzyż i snuł swe własne przemyślenia. Potem, spoglądając ponownie w stronę saloonu, dostrzegł Jacka Beana.

Przestępca podszedł powoli do ściany saloonu i zatrzymał się przed jednym z pomalowanych na zielono okien. Drobne refleksy jasnego światła ukazywały miejsca, w których farba odprysnęła od szyby. Bean przyłożył oko do jednego z otworów i zajrzał do środka. Zrobił krok do tyłu, przechodząc do samych drzwi. Zatrzymał się przy nich na tak długo, że McSween pomyślał, iż zamierza wejść do środka. Wyraźnie było to zamiarem przestępcy, i impuls popychał go w stronę drzwi, aż w pewnej chwili położył na nich dłoń i wycofał się. Idąc wzdłuż ściany, obszedł róg saloonu i skierował się na jego tyły. Dla spostrzegawczego McSweena nic nie mogło być jaśniejsze niż cel Beana. Wielki, czarny cień Irlandczyka ruszył spod adobe, podszedł do salonu i ruszył na jego tyły, w kierunku przeciwnym do obranego przez Beana.

W środku saloonu Benteen podszedł do baru i zasygnalizował, że chce drinka, którego wypił szybko i jednym haustem. Następnie, zabierając ze sobą butelkę i szklankę, udał się do lady z jedzeniem. Nałożył do miski porcję chili z gorącego kociołka, włożył między dwa kawałki chleba plaster słodkiej cebuli Sonora, wielkości talerza, i swobodnie zabierał się do późnego posiłku. Dla człowieka, który przez ostatnie sześć miesięcy pokonywał konno średnio dwadzieścia mil dziennie, głód był czymś zawsze bliskim i zawsze realnym. Nie miał na sobie ani grama tłuszczu. Prawie nie znał uczucia pełnego żołądka; ciągła aktywność jego życia szybko spalała jedzenie, które przyjmował, i sprawiła, że znów był głodny.

Stanie przy barze ze splecionymi nogami i opartymi o blat łokciami, było dla niego czystym odpoczynkiem. Zjadł chili i kanapkę z cebulą, próbował półmiska enchiladas i zakończył drinkiem. Zapalił cygaro, z rozkoszą zaciągając się mocnym dymem, po czym odwrócił się i oparł ramiona o bar, rozglądając się po sali z dobrym humorem. W życiu człowieka zdarzają się chwile, gdy małe rzeczy sprawiają mu najwspanialszą przyjemność – parę łyków czystej zimnej wody po długiej, wyczerpującej jeździe, ogromne rozluźnienie ciała człowieka, gdy padał jak długi na ziemię, po forsownym biegu pod górę pod ogniem karabinowym, smak suchego suchara na głodny jak u wilka żołądek, gryzący smak cygara po długiej przerwie w paleniu. To były najprostsze w życiu rzeczy, ale żadna z nich nie była za darmo. Człowiek musiał na nie zapracować potem, głodem i zmęczeniem. Dlatego właśnie były takie dobre.

Było już po czwartej, dwie godziny do wyruszenia z powrotem do Grant. Przez chwilę przyglądał się stołom do pokera, w zamyśleniu i z zapałem zagorzałego pokerzysty, po czym ruszył w kierunku wolnego miejsca. Na środku sali jednak zatrzymał się, nagle zdając sobie sprawę, że nie ma dziś ochoty na grę. Uczucie to było szybkie i silne jak szpila - wspomnienie ciała Eleanor Warren nachylającego się ku niemu w słabym świetle księżyca, jej unoszących się ust i echo jej delikatnie tłumionego śmiechu. Wyszedł z salonu i skierował się w stronę bramy Fortu Lowell. Przeszedł kilkanaście kroków, gdy z tyłu uderzył go zdecydowany i twardy głos.

— Jedną chwileczkę, kapitanie.

Poznał tego człowieka, jeszcze nawet zanim się odwrócił. Pamiętał ten głos. Zabarwione na zielono światło z okna salonu rzucało mdlącą poświatę na jego twarz i przez długą chwilę nie widział nic poza nim.

— Tutaj, kapitanie — powiedział Jack Bean z tą samą dogłębną, zimną furią. — Tutaj.

Oczy Benteena dostrzegły niewyraźny cień, jaki tworzył Bean w wylocie odrapanej uliczki za saloonem. Przestępca stał przy ścianie z adobe, a czerń muru spływała na niego, pokrywając go swoją bezkształtną substancją. I to właśnie głos mężczyzny, przepełniony wspomnieniem upokorzenia, jakiego doznał od Granta, powiedział Benteenowi, co zaraz się wydarzy. Przestał się obracać, wbijając pięty w sypki piach i obserwując nieruchomą postać Beana. Trzymał ręce przy sobie, wzburzony, że nie ma przy sobie broni, a gdy Bean odezwał się ponownie, jego umysł był już zdecydowany.

— Widzisz mnie, kapitanie? Nigdy nie strzelam człowiekowi w plecy. Zawsze go ostrzegam. Widzisz mnie teraz?

Benteen ugiął kolana i przemknął przez zieloną smugę światła, nisko pochylony i w błyskawicznym tempie, skręcając w prawo, jeszcze gdy parł naprzód. Pistolet Jacka Beana cisnął mu w twarz kulisty rozbłysk światła i ogłuszający huk. Musnął go powiew ołowiu. Między nimi było dwadzieścia stóp cienia, a piętnaście stóp dalej wystawała krawędź dwupiętrowego budynku, za którym mógł się schronić, jeśli do niego dotrze. Skierował się w stronę adobe, widząc, że światło z lufy znów tryska. Ale zmienił zamiar i

mając mur adobe tuż przed sobą, nagle zrezygnował ze schronienia, ściął ostro tor biegu, oddalając się od domu i uderzył w poruszające się ramię Jacka Beana.

Poczuł odór prochu. Pistolet Jacka Beana eksplodował mu niemalże w uszach, ale złapał za ramię swojego przeciwnika i szarpnął je do góry i do tyłu, aż usłyszał chrzęst kości. Palec Jacka Beana, zakleszczony w osłonie spustu, posłał ostatni strzał w niebo; a chwilę potem długa dłoń Benteena owinęła się wokół lufy rewolweru, przytrzymując ją z dala od celu. Zawlókł bandytę z powrotem do muru z adobe, uniósł kolano i uderzył go nim w brzuch. Bean wyrzucił powietrze z płuc, jego wolna pięść trafiła Benteena w kącik szczęki, zadrapując skórę; przez chwilę obaj z trudem się obracali i walczyli wzdłuż muru w głuchej ciszy.

Na ulicy rozebrzmiał głos McSweena:

— Już biegnę, panie poruczniku! Już biegnę!

Dotarli do narożnika muru, przekręcili się wokół niego w kompletną ciemność między tym adobe a drugim. Benteen uniósł lewą rękę, waląc Jacka Beana w podstawę szczęki. Obrócili się do tyłu, a żylaste ciało bandyty wyginało się i szarpało. Benteen dostał uderzenie w bok nosa; ostry obcas bandyty trafił w łuk jego stopy i pozostawił świeży, silny ból. Benteen wciąż uderzał barkiem w Beana, wciąż rzucał nim do tyłu i wykręcał mu do góry lufę rewolweru. Natrafili na kolejną ścianę z adobe, głowa Beana trzasnęła o wyschnięte błoto; Benteen złapał go za szczupłą talię i odciągnął od ściany, a następnie szarpiąc nim wokół siebie ponownie w nią wbił. Broń Beana upadła na ziemię, a kolana ugięły się pod nim. Przewracał się w ramionach Benteena, który uderzył go jeszcze dwa razy w brzuch, złapał za szyję i wyciągnął z powrotem na koniec alejki.

Tutaj stał McSween z uniesionym rewolwerem.

— Na Boga, nie mogłem strzelać, panie poruczniku! Przeszkadzał mi pan!

Benteen wciągnął do płuc rzadkie, gorące i duszne powietrze. Bean, na wpół uduszony przez wykrzywione ramię Benteena, wciąż odbijał się od ziemi nogami, wciąż próbował się odwrócić i uwolnić, jego ramiona przesuwały się powoli po szyi Benteena. Benteen wszedł w pas zielonego światła i rzucił bandytą o ścianę saloonu. McSween wycelował ciemną lufę swojego rewolweru dokładnie między oczy Beana i przemówił gardłowym, łagodnym tonem:

— Bądź spokojny, synku, albo rozpryskam twój mózg na ścianie saloonu.

Oczy Jacka Beana były czarne jak smoła na tle otaczającej go bladej skóry. Zielone światło wyraźnie to pokazywało. Krew spływała z kącika jego wargi, a okrągła plama, niczym oparzenie, zaczęła się rumienić za uchem.

— Kapitanie — wycedził — będę w tym kraju długo i nigdy ci tego nie zapomnę. — Potem wydał z siebie twardy, wściekły krzyk. — Ty przeklęty głupcze, czemu nie wyciągnąłeś swojej broni zamiast rzucać się na mnie?

— Jakiej broni? — zapytał Benteen.

Bean popatrzył na Benteena

— Wiedziałem, że nie masz kabury, ale czy byłeś na tyle szalony, żeby chodzić po Tucson bez żadnej broni w kieszeni?

— Nie mam broni — powiedział Benteen. — Teraz się stąd wyniesiesz.

Bean stwierdził z niesmakiem:

— Nigdy nie walczę z człowiekiem, który nie ma broni. Skąd do cholery miałem wiedzieć? Posłuchaj, kapitanie, lepiej, żebyś nosił przy sobie broń. Następnym razem, kiedy cię wyzwę, nie będę czekał.

— Może — oznajmił McSween — następnego razu nie będzie. Panie poruczniku, lepiej pójdę z tym człowiekiem na spacer. Niewielki spacerek poza miastem.

— Kapitanie – powiedział Jack Bean, a w jego głosie słychać było gniew — popełniłeś błąd, podnosząc na mnie rękę. Żaden człowiek nigdy tego nie zrobił. Obiecuję, że cię zabiję.

— Idź już sobie — odparł Benteen.

Bean niespiesznie otrzepał się i skręcił na plac kościelny. McSween mruknął pod czarnymi jak węgiel wąsami i pogroził rewolwerem w stronę oddalającej się postaci. Benteen popatrzył na siebie i zobaczył strzępy swojej szarej koszuli zwisające mu z pasa. Uśmiechnął się do McSweena i odwrócił się w stronę bramy posterunku.

McSween poczekał, aż obaj mężczyźni zostaną pochłonięci przez ciemność. Następnie schował rewolwer, wpatrując się w mglistą sylwetkę krzyża na kościele. Wkrótce potem przeszedł przez plac i wszedł po schodach przez otwarte drzwi kościoła.

— Minęło sporo czasu — mruknął, zdejmując kapelusz. — Co moja matka sobie o mnie myśli, tam wysoko w górze?

Rozdział XI

Półtora dnia później, niż to mówiły jego rozkazy, Castleton ustawił swój oddział w szeregu na placu apelowym Grant i przekazał go sierżantowi Hannie. Dwaj zabici przyjechali przywiązani na krzyż do siodeł. Przez chwilę patrzył na nich, z oczami na wpół przymkniętymi z powodu blasku słońca.

— Hanna — polecił — umieśćcie Sweeneya i O'Grady'ego w szopie kwatermistrza. Wyślij oddział na cmentarz, aby wykopał dwa groby.

Wszyscy ludzie z posterunku stali w cieniu ramad swych adobe, przyglądając się temu. Oddział stał bez ruchu, czekając na rozpuszczenie, a rozpalone słońcem oczy wszystkich żołnierzy wpatrywały się prosto w niego. Wyczuł, że za tym beznamiętnym spojrzeniem kryje się paskudny nastrój; czuł też milczenie otaczających go widzów; odwracając się, zobaczył majora Warrena czekającego w drzwiach kwatery komendanta. Castleton zsiadł z konia, sztywno przechodząc przez plac apelowy. Na okrągłej, czerwonej od słońca twarzy Warrena nie było żadnego wyrazu.

Castleton zasalutował.

— Melduję się z oddziałem zwiadowczym, panie majorze. Doszło do starcia z oddziałem Antone w Pinalach. Szeregowi Sweeney i O'Grady zginęli.

Warren odparł na to:

— Kiedy się pan umyje, chciałbym zobaczyć pana i pana Mixlera.

Po rozformowaniu oddziału George Mixler udał się do swojego adobe, w stronę Harriet, która natychmiast weszła do wnętrza domu. Lily Marr wyszła ze środka, uważnie obrzuciła go wzrokiem i poszła sobie. Mixler znalazł Harriet w sypialni. Stała w tylnych drzwiach odwrócona do niego plecami, a jej sztywność i sterczące ramiona powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć. Zatrzymał się nad łóżeczkiem, przyglądając się żółtej i pomarszczonej twarzy syna, widząc, jak jego małe rączki poruszają się niespokojnie w półśnie. Pomyślał, że coś jest nie tak z dzieckiem. Spytał pełnym nadziei głosem:

— Wszystko w porządku, Harriet?

— Nie — odpowiedziała.

Kiedy Mixler usłyszał w jej głosie twardą, zapamiętałą gorycz, ogarnęło go otępienie. Poszedł do kuchni, rozebrał się do pasa, umył, ogolił i założył świeżą koszulę. Zajęło to trochę czasu i przez cały czas czekał, aż usłyszy jej krok, usłyszy, jak jej głos zmienia się z powrotem na taki, jaki był niegdyś. Dla niego w jej zachowaniu było coś nienaturalnego. Obawiał się, że poród zmącił jej umysł; nagle musiał popatrzeć jej w twarz.

— Harriet — powiedział — odwróć się do mnie.

Kamienna obojętność nie pozwalała jej się ruszyć. Pozostawiała go ona bezradnym, całkowicie pokonanym. Lecz odezwał się ponownie jak najbardziej łagodnym tonem.

— Czy zawsze tak już będzie, Harriet?

— Nie — odpowiedziała. — Niedługo. Jak tylko dziecko będzie mogło podróżować, wyjeżdżam.

— Jesteś pewna, że tak musi być?

Podeszła do niego, ukazując opanowaną, białą twarz. Był młodym mężczyzną i jego wiedza o kobietach ograniczała się do tej jednej dziewczyny; ale zdał sobie sprawę, że jej długa niechęć do życia w wojsku i doświadczenie z dzieckiem, w końcu całkowicie ją zmieniły. Była zdrowa psychicznie, lecz uwolniła się od niego. Odstawiła go na bok. W jej oczach nie było już niczego, co przypominałoby mu tę roześmianą, impulsywną dziewczynę, którą poślubił w Baltimore. Szkody zostały poczynione. Nie było go przy niej w tej jedynej chwili, kiedy go potrzebowała, i nic co mógłby powiedzieć o sposobach funkcjonowania armii, nie zdołałoby odmienić jej serca.

— Tak — oznajmiła.

W sercu George'a Mixlera, którego życia nigdy wcześniej nie komplikowały żadne prawdziwe kłopoty, pojawiło się dojmujące poczucie niesprawiedliwości. Spuścił blond głowę, zaciskając zęby aby nie wyrwały mu się szorstkie i straszne słowa, które chciał wypowiedzieć. Wygłosił je wszystkie, ale tylko do siebie, a kiedy skończył, znów spojrzał na nią łagodnie.

— Ty wiesz najlepiej — powiedział tylko.

Castleton stał koło drzwi i wołał go. Dołączył do niego, idąc razem z nim chodnikiem i wchodząc do domu komendanta. Kapitan Harrison i Ray Lankerwell czekali tam z Warrenem. Warren spytał:

— Gdzie zostawiliście Antone, panie Castleton?

— Podążaliśmy jego tropem od punktu w pobliżu wzgórza Trumbull, kierując się na północ do kanionu Castle. Trzeciego dnia rankiem wyruszyliśmy z kanionu na zachód. Po około godzinie jazdy dotarliśmy do długiego uskoku skalnego. Czekali na nas za nim. Kiedy skręciliśmy, aby ominąć skały, natknęliśmy się na drugą grupę, na bardzo nierównym terenie po jednej stronie uskoku. Podjęli krótką walkę i ustąpili, kierując się ponownie na zachód w stronę szczytu wzgórza w kierunku Gór Apache.

— Ilu ludzi było w tej grupie?

— Dura powiedział, że około czterdziestu.

Warren polecił:

— Kapitanie Harrison, weźmie pan dwudziestu pięciu ludzi, którzy nie brali udziału w dwóch ostatnich akcjach. Wyruszycie po zachodzie słońca. Pojadą z wami Lankerwell i Manuel Dura. Racje żywnościowe na pięć dni. — Major Warren przerwał, spoglądając twardo na Harrisona. — Chcę, żeby utrzymywał pan Antone w ruchu, ale proszę nie pozwolić mu aby wciągnął pana w pułapkę.

Harrison skinął głową i stał wyprostowany na baczność, dopóki Warren nie powiedział:

— To wszystko.

Po tych słowach Harrison i Lankerwell opuścili pomieszczenie. Oczy Warrena były bardzo niebieskie. Stanął przed Castletonem i Mixlerem, okrągły i zwykle kochający wygodę oficer, który z każdą chwilą robił się coraz groźniejszy.

— Panie Castleton, zawsze daję moim oficerom możliwość oceny sytuacji, kiedy wykonują samodzielne zadania. Czym się pan kierował, przekraczając wyznaczony przeze mnie limit czasu?

— Antone był bezpośrednio przede mną, panie majorze. Nigdy więcej niż godzinę marszu po tym, jak dotarliśmy do Castle Canyon. Pomyślałem, że zdołam go wyprzedzić.

— Wykonał pan zwiad przed wejściem do kanionu? Umieścił pan oddziały flankujące na jego obrzeżu?

— Nie, panie majorze. Nie wierzyłem, że Antone spróbuje tam zasadzki. Przeszliśmy przez kanion nawet bez draśnięcia.

Warren zwrócił się do Mixlera:

— Jaka była pańska ocena sytuacji, gdy ruszyliście do kanionu?

Mixler lekko się zarumienił. Wpatrywał się w majora.

— Nie miałem takiej oceny. Nawet się nad tym nie zastanawiałem.

Warren pozwolił, by ta odpowiedź padła w martwą ciszę. Chwila milczenia trwała tak długo, George Mixler aż podniósł się na ciężkich nogach i spuścił wzrok. Warren pociągnął za końcówki wąsów, zwracając się ponownie do Castletona.

— Przedostaliście się przez kanion i pojechaliście na zachód, aż dotarliście do skał. Zrobił pan rozpoznanie terenu?

— Nie, panie majorze. Ślady Indian były bardzo wyraźne. Wiedzieliśmy, że są tuż przed nami.

— Wiedzieliście, że są za skałami?

Castleton stał sztywno wyprostowany na środku pokoju. Mięśnie jego szczęk na policzkach, zacisnęły się. Popatrzył Warrenowi w oczy.

— Nie, panie majorze.

— Czy wiedział pan, że oskrzydlili pana na tych nierównościach terenu obok skał?

— Nie, panie majorze.

— A więc, to była pułapka?

— Chciałbym powiedzieć...

Głos Warrena przerwał odpowiedź Castletona.

— Była?

— Tak jest, panie majorze.

— Czy Manuel Dura wspomniał, że to może być pułapka?

— Tak jest, wspominał.

Major Warren skinął na Mixlera.

— To wszystko, panie Mixler.

George Mixler natychmiast opuścił pomieszczenie, ciesząc się, że nie był świadkiem dalszej części tej sceny. Skierował się do sklepu dla żołnierzy. Usiadł przy stoliku, kazał sobie przynieść butelkę i szklaneczkę, wlał w siebie dwa szybkie drinki whisky i siedział, wpatrując się tępym wzrokiem w końce swoich palców, rozluźniony, ponury i pokonany.

W kwaterze komendanta major Warren zadał jeszcze jedno pytanie.

— Co skłoniło pana do kontynuowania wyprawy, wiedząc, że jest pan na niebezpiecznym terenie?

— Wierzyłem, że zdołamy wyprzedzić Antone. Moim zdaniem ryzyko było uzasadnione.

Popatrzył na starszego mężczyznę, który nie był już ani łagodny, ani wesoły. Kiedy Warren zaczął mówić, robił to z miękkim dystansem, który sprawiał, że jego słowa stawały się jeszcze gorsze.

— Są chwile, panie Castleton, kiedy trzeba zaryzykować wydanie odpowiedniego rozkazu. Nie potępiam też uczciwego błędu. Potrzeba wielu lat, aby zaprawić oficera w boju. Żadna z tych sytuacji nie stosuje się jednak do pana. Jest pan ambitnym oficerem. Aby przyspieszyć swoją karierę, zlekceważył pan moje wyraźne ostrzeżenia, rady swojego przewodnika, który zna Indian lepiej, niż pan mógłby mieć nadzieję kiedykolwiek ich poznać, i wpadł pan w pułapkę, tracąc dwóch doskonałych żołnierzy. Najmilszą rzeczą, jaką mogę panu powiedzieć, jest to, że okazał się pan głupcem. Mam nadzieję, że wyciągnie pan wnioski z tego incydentu. Jeśli nie, nie będzie dla pana miejsca w armii.

Warren obrócił się, chwycił swój kapelusz z krzesła i wyszedł z domu. Odwróciwszy się powoli, Castleton zobaczył, jak przechodzi przez plac apelowy i wchodzi do szopy, w której leżeli zabici żołnierze.

Castleton oparł się ramieniem o framugę drzwi, naciskając na nią całym ciężarem ciała. Ogarnęło go coś w rodzaju bezmyślnej furii. Opuścił głowę, rozchylając wargi, zaciskając je i znów rozchylając, po czym uniósł wzrok i popatrzył na przechodzącego Raya Lankerwella. Ray spoglądał na niego obojętnym wzrokiem, ale Castletonowi, który był rozdrażniony, zazdrosny i podejrzliwy, z powodu tego co się wydarzyło, wydawało się, że widzi w oczach kolegi pogardę.

Wpatrywał się w plecy Lankerwella, znajdując się na niebezpiecznej granicy zawołania Lankerwella i zrobienia z tego kłótni. Ten impuls powstrzymał, rozlegający się za nim, odgłos szurania stóp. Odwrócił się i zobaczył przechodzącego przez kuchnię Cowena.

Rzucił w Cowena pytaniem, jakby chciał go nim uderzyć.

— Gdzie jest panna Eleanor?

Cowen okazywał mu kamienną twarz, lecz Castletonowi wydawało się, że za tą beznamiętnością widzi coś, co było trudne do zniesienia.

— Porucznik Benteen wyruszył z oddziałem do Tucson. Pojechała razem z nim, panie poruczniku.

Castleton uniósł głos o jeden ton.

— Kiedy wrócą?

— Za dwa dni, panie poruczniku — odparł Cowen, rzucił porucznikowi ponure spojrzenie pełne fałszywego szacunku i wycofał się.

Castleton krążył powoli po pokoju, w tym momencie gotów oddać rok życia za przywilej przekroczenia bariery, która stała między nim a Cowenem, aby móc uderzyć tym człowiekiem o ścianę i wybić mu z głowy skrywane drwiny. Machnął pięściami do przodu i do tyłu, zatrzymał się i wpatrywał w żółtą kropkę światła nad San Pedro. Tucson znajdowało się w tamtą stronę - i Eleanor, i Benteen. Uderzył płaską dłonią w ościeżnicę drzwi i ruszył ciężkim krokiem w stronę swojego jednopokojowego domku.

Napił się z glinianego dzbanka wiszącego na krokwi ramady i od razu zaczął się pocić od tej niewielkiej ilości wchłoniętej wilgoci. Taka była specyfika popołudniowego upału. Usiadł na brzegu łóżka i przypalił papierosa, po czym zacisnął dłonie w pięści, wpatrując się w podłogę. Myślał o Antone tak długo, aż ten przestał być zwykłym Indianinem ze wzgórz, a stał się uosobieniem wszystkiego co stanęło mu na drodze. Tak właśnie myślał o indiańskim wodzu, nienawidząc go coraz bardziej. Potem przypomniał sobie o Eleanor i Benteenie, a kiedy zaczął myśleć o Benteenie, wyciągnął powoli papierosa z ust i trzymał go w zapamiętaniu między palcami. Jego wargi zacisnęły się, nawet na chwilę się nie rozluźniając, wielkie ramiona wysunęły się do przodu. Siedział w tym głębokim, ponurym zamyśleniu - mężczyzna z obciętymi na jeża włosami i ciężkim, wysuniętym do przodu podbródkiem, z oczami przymrużonymi aby nie zdradzać świecących w nich diabelskich punkcików światła.

W tym kraju martwy człowiek wymagał szybkiego pochówku. W ostatnich promieniach słońca oddział żołnierzy wyniósł owiniętych w koce Sweeneya i O'Grady'ego na mały cmentarz: Castleton widział, jak mijają jego drzwi. Przez chwilę siedział bez ruchu, nie poruszając się ani o cal, nie czując litości wobec tych dwóch ludzi, ani żadnych wyrzutów sumienia. W końcu jednak wstał, poszedł na cmentarz, stanął w palącym słońcu i wysłuchał krótkiego nabożeństwa Warrena. Popatrzył na postacie na dnie grobu. Dla niego śmierć nie było żadną świętością, ani niczym czego mógłby się obawiać. Nie bał się jej, nie żywił w stosunku do niej żadnych uczuć. Nie przykładał też żadnej szczególnej wagi do życia, czy to cudzego, czy własnego, więc stał bez ruchu niewzruszony, i tak właśnie zobaczyła go Lily Marr, stojąca nieco z tyłu. Była trzeźwo myślącą i realistyczną dziewczyną, oceniającą ludzi według własnych dziwnych standardów, a w długiej, masywnej twarzy Castletona, z jego milczącym zniecierpliwieniem, dostrzegła coś na granicy brutalności. Odwróciła od niego wzrok i spoglądała na groby.

O zmierzchu kapitan Harrison poprowadził dwudziestu pięciu ludzi z placu apelowego Grant, na pięciodniowy zwiad, towarzyszyli mu Ray Lankerwell i Manuel Dura. Resztki Indian ze spokojnej grupy Nachee ruszyły z powrotem do obozu nad San Pedro. Noc zapadła w pełni, a rosnący księżyc kładł szron swego srebrnego blasku na żwirze i alkalicznej ziemi. Lampy tworzyły ognisty wzór dookoła placu apelowego, a nawoływania godzinowe rozlegały się od posterunku do posterunku. Po sygnale przygotowania do capstrzyku, Castleton przeprowadził na placu apelowym zwyczajową kontrolę obecności i wrócił do swojego adobe. Leżał na łóżku, wpatrując się w czarny sufit; nie mogąc spać z tym całym bagażem w głowie, a jego niecierpliwość sprawiała, że wpadał w coraz większą desperację.

Tej nocy w forcie inni ludzie również mieli swoje do przemyślenia i wpadali w skłonności do dziwnych słów i czynów. Leżąc na swojej pojedynczej pryczy, George Mixler wsłuchiwał się w miarowe kwilenie dziecka. W pokoju nie paliło się żadne światło. Duszne, gorące powietrze

napierało na wszystko, a zapach spieczonej ziemi był bardzo silny. Biała koszula nocna Harriet rozmazała się na drugim łóżku. Usłyszał, jak wyciąga rękę i delikatnie kołysze kołyską.

Spytał:

— Czy chcesz, żebym wziął synka na ręce i pochodził trochę dookoła domu?

— Nie.

Dystans między nimi był dosyć trudny do zniesienia; czuł się tak źle, jakby jedno z nich umarło, a to sprawiło, że przypomniał sobie, jak blisko siebie byli przez te kilka lat małżeństwa. Powiedział:

— Harriet, pamiętasz wycieczkę łodzią z Old Point Comfort?

— Nie.

Zsunął całkowicie pojedyncze prześcieradło ze swojego nagiego ciała i otarł obfity pot z klatki piersiowej. Pot spływał mu po skórze głowy. Nasączał poduszkę i sprawiał, że robiła się wilgotna, co dawało pewne ukojenie przed większym upałem. Spytał:

— Jak szybko nasz syn będzie mógł wyruszyć w podróż?

— Może za tydzień.

— W takim razie lepiej będzie, żebyś wyjechała — oznajmił cicho i porzucił wszelkie nadzieje.

Sierżant Hanna siedział na tyłach piekarni, leniwie przesuwając po stole świecę, dookoła nakapanych przez nią kropelek wosku. Światło lekko zaczerwieniło jego pomarszczoną twarz. Był tam też Herb Levi, drugi sierżant liniowy oddziału K, kapral Oldbuck i Cowen. Cowen stał uważnie z tyłu. Hanna używał świecy, do opisania przebiegu walki.

— Byli za skałami. Skręciliśmy w lewo i wtedy zobaczyliśmy ich za garbami. Więc ruszyliśmy na nich. O'Grady zginął za trzecim garbem. Sweeney został ranny, kiedy dostał jego koń, ale zza skał wybiegł jakiś Indianiec i wbił mu nóż w pierś. Po tym, jak zmietliśmy ich z garbów, odparliśmy atak tych, którzy zbiegli ze skał. Wtedy uciekli, diabelskie nasienia, prosto na wzgórza. Gdybyśmy za nimi pojechali, nikt z nas by stamtąd nie wrócił. Mimo to w oku Castletona widziałem wyraźną chęć, aby to zrobić. Przez chwilę myślałem, że zamierza pójść za nimi, i w duchu już całowałem krzyż.

— Głupiec — warknął Levi.

— W pewnym sensie to prawda — przyznał Hanna. — Nigdy nie będę czuł się pewny przeżycia, dopóki będę za nim podążać. To był piekielny marsz dla koni i ludzi, ale dla niego to nie było warte nawet chwili zastanowienia.

Cowen spytał z grobową powagą:

— Bał się?

— Bał się? Na Boga, nie. Gdyby był w odpowiednim humorze, sam poszedłby na wzgórza za Antone. Nie, nie bał się. Ale też nie myślał. I był zimny, moi drodzy. Zimny jak lód. Popatrzcie mu w twarz i zobaczcie, czy znajdziecie tam choćby iskierkę współczucia. Przepełnia go ogromna nienawiść i kieruje nim pragnienie zostania wielkim człowiekiem. I

zamierza tego dokonać, choćby miał przy tym zabić siebie lub nas. — Rozejrzał się uroczyście dookoła. — To nie jest żadna próżna fantazja. Nie podoba mi się myśl o wyruszeniu z nim na kolejny zwiad. Będzie szaleńczo pragnąć aby ponownie spróbować szczęścia.

— Inną rzeczą, która popycha tego człowieka — zauważył Levi. może być pan Benteen.

— Ach — sapnął Cowen, — trzeba było widzieć jego twarz, gdy dowiedział się, że panna Eleanor pojechała z porucznikiem do Tucson.

— Źle mu patrzyło z oczu — zasugerował Hanna.

— Spojrzenie mordercy — odparł Cowen.

Cała trójka byli to starzy żołnierze, o lojalności wyniesionej z długiej służby. Milczeli po uwadze Cowena, zastanawiając się nad nią i stopniowo uświadamiając sobie jej znaczenie. Hanna popatrzył na pozostałą dwójkę z wyrazem zaskoczenia na pociemniałych od słońca policzkach.

— A więc ten człowiek jest zabójcą. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Nigdy nie widziałem u niego cienia litości. Ma cholernie mało sumienia, patrząc na sposób, w jaki obchodzi się ze swoimi ludźmi, a Pan włożył w niego dumę, która niczego nie toleruje. A więc jest zabójcą.

— Jak to możliwe, że panna Eleanor tego nie widzi? — zastanawiał się Levi.

— Ach — mruknął Hanna. — Miłość. Ona widzi tylko jego siłę, a nie ten przeklęty cień śmierci, który się za nią kryje.

Cowen zesztywniał.

— Hanna, trzymaj swój irlandzki język z dala od tej dziewczyny.

Hanna wpatrywał się w Cowena.

— Ty głupcze — mruknął. — Uczyłem ją jeździć konno i żołnierki, odkąd sięgała brodą nad stół. Powinieneś powiedzieć mi o Eleanor Warren. Szkoda, że nie potrafi dostrzec lepszego mężczyzny. Porucznik Benteen jest oficerem i dżentelmenem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. To naprawdę coś, patrzeć jak on jeździ i słyszeć jak dowodzi. Każdy człowiek w tym pułku o tym wie. Szkoda, że ona tego nie widzi.

— Może — zauważył Cowen, — widzi to lepiej, niż nam się wydaje.

— Co to znaczy? — zapytał Hanna, który uwielbiał plotki.

Ale Cowen tylko mądrze popatrzył i pokręcił głową.

— Nie wynoszę żadnych opowieści z domu komendanta.

Levi zakreślił kciukiem okrąg na stole i przemówił.

— Któregoś dnia Castleton spróbuje dopaść Benteena. To jest w jego planach - i myślę, że już niedługo. Człowiek taki jak Castleton nie zniesie niczego na swojej drodze, a Benteen mu na niej stoi. To będzie piekło, kiedy nadejdzie ta chwila. Nie jestem pewien, czy Benteen będzie w stanie go załatwić.

— Aha — warknął Hanna i podniósł się z krzesła. Cała trójka zastanawiała się nad tym, niezadowolona z tego, co widzą. Hanna wzruszył ramionami. — Jeśli się pobiją, a major się o tym dowie, zostaną zwolnieni z armii. Czyli ten pies Castleton pociągnie na dno lepszego człowieka, niż on kiedykolwiek mógłby być. — Rozzłościło go to; pokazywały to jego ponure irlandzkie oczy. Powiedział jednak: — To

niestosowna rozmowa, jeśli wyjdzie poza naszą trójkę. Nie mówcie nic, nikomu. — Nad placem apelowym popłynął sygnał capstrzyku.

Na stole stała niedokończona butelka. Hanna łyknął z niej swoją część i podał ją Leviemu, który wytarł szyjkę do czysta i, mrugając chytrze do Hanny, zaoferował ją Cowenowi. Cowen położył obie dłonie płasko po bokach spodni.

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział z irytacją. — Dobrze wiesz, że nie.

Levi zasalutował i przechylił butelkę. Cowen westchnął, patrząc jak jabłko Adama Leviego przesuwa się w górę i w dół. Cowen zacisnął usta. Nagle odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Wstrzemięźliwość to wspaniała rzecz — zauważył Hanna. — Zostaw mi jeszcze kropelkę, Levi. To suchy, przeklęty kraj.

Gdy tylko ucichły ostatnie dźwięki capstrzyku, Harry Jackson wstał z łóżka i wymknął się z koszar. Dotarł do linii wartowniczej za szopą kwatermistrzowską, poczekał, aż wartownik na tym posterunku przejdzie na drugi koniec swojego odcinka, i cicho ją przekroczył. Na skraju potoku Aravaipa położył się na brzuchu, by szybko rozejrzeć się po pustyni. Tak jak poprzednio, odległy o milę blask światła domu Rose Smith, był przynętą, która sprawiła, że zapomniał o niebezpieczeństwach tego terenu, więc podniósł się i ruszył szybkim kłusem. Kiedy dotarł do jej drzwi, zatrzymał się, zauważając, że wewnętrzne okiennice są zasłonięte. Przez szpary sączyło się słabe światło, a w środku słychać było szmer rozmów. Harry Jackson nasłuchiwał przez chwilę, nie mogąc rozróżnić żadnych słów. W końcu zapukał.

Kiedy czekał, narastały w nim zazdrość i strach, ale gdy otworzyła drzwi i zobaczył kształt jej ramion i lśniące w świetle lampy włosy, to wszystko zniknęło i pozostawiło go pokornym. Wszedł do środka, czekając, aż zamknie za nim drzwi. Jej twarz odwróciła się w jego stronę, uważnie go obserwując. Nie uśmiechnęła się.

Powiedział:

— Nie mogłem się wymknąć zeszłej nocy. Miałem wartę.

— Harry — powiedziała — nie sądzę, że powinieneś tak biegać po pustyni. Indianie Antone są w pobliżu.

Jej słowa, zdające się zawierać troskę, sprawiły, że poczuł się lepiej:

— Przyszedłbym — powiedział, — nawet gdybym miał do przejścia dziesięć mil. — W pokoju unosił się dym. Spytał: — Twój wujek tu był?

Jej odpowiedź była dosyć wolna i opóźniona.

— Tak. — Ale na jej twarzy malowało się znużenie. — Harry, wracasz na wschód po zakończeniu służby?

Spojrzał na nią zdziwiony:

— Dlaczego?

— Powinieneś.

Przeszedł go zimny dreszcz wątpliwości.

— Rose — powiedział — to nie jest dobre miejsce dla ciebie. Powinnaś mieć lepszy dom. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego zostałaś z

wujkiem. Powinnaś być w Tucson albo w Prescott. Nie ma tu niczego dla kobiety takiej jak ty...

Przerwała mu:

— Jest już po capstrzyku. Lepiej wracaj.

— Kiedy skończy się okres mojej służby, pojadę do Prescott i osiedlę się. Może ci się tam spodoba.

— Mnie? — zapytała i wpatrywała się w niego, jej oczy były mętne. — Dlaczego mi?

Policzki Harry'ego Jacksona zrobiły się czerwone; jego niebieskie oczy jasno świeciły ekscytacją.

— Mogłabyś zostać moją żoną.

— Ja? — mruknęła. — Ja, Harry?

Powiedział:

— Przecież, na to nie trzeba tak długo czekać, tylko rok. Mam dwieście dolarów i w każdej chwili mogę dostać pracę w firmie przewozowej.

Wpatrywała się w niego, dopóki nie przestał mówić. Napięcie na jej twarzy wyglądało dziwnie, oczy miała bardzo okrągłe, a usta ściągnięte, jakby była zła. Usłyszał, jak mruknęła:

— Dzięki, Harry — a potem podeszła do tylnych drzwi pokoju, otworzyła je i odezwała się do kogoś w ciemności. Powiedziała: — Wejdź — a jej głos brzmiał na wyczerpany. Z mroku wyszedł Canreen.

Wielkie usta Canreena rozchyliły się. Roześmiał się na całe gardło, szybko i z ogromnym rozbawieniem. Rzucił:

— Cześć, mały. Trochę się dziś spóźniłeś, co?

— Canreen — powiedziała Rose Smith — on mnie poprosił, żebym za niego wyszła.

Canreen przestał się uśmiechać. Jego brwi zbiegły się i stał tam, zdziwiony, nie rozumiejąc.

— Co? — wyjąkał.

Harry Jackson stał ciągle na środku pokoju. Uniósł głowę, a długie czarne włosy opadły mu na twarz, nadając jej młody, szczupły wygląd. Usta miał wykrzywione, jakby posmakował ałunu; na jego twarzy malowało się coś w rodzaju gorączki. Widziała to dziewczyna i widział to Canreen. Canreen w końcu załapał; jego głos przestał brzmieć pogardliwie. Zrobił się nawet nieco uprzejmy.

— Dzieciaku — powiedział — nie rozumiesz? Do diabła, wracaj i zapomnij o tym.

Harry Jackson nie powiedział nic by przerwać tę długą, przeciągającą się ciszę. Kiedy patrzył na nich, coś w jego oczach gasło. Dziewczyna widziała, jak umiera. Potem popatrzył na Canreena i nawet Canreen, który nie był bystrym człowiekiem, dostrzegł mord czający się w oczach chłopca. To było wszystko. Harry Jackson wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Canreen mruknął:

— Będę musiał uważać na tego dzieciaka. Znowu spróbuje przebić mnie szablą.

Rose Smith płakała, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Patrzyła na zamknięte drzwi, a łzy wypływały jej z oczu i spływały po policzkach. Przeciągnęła dolną wargą między zębami.

— Rose — mruknął Canreen — co jest, do cholery? — Wyciągnął ciężką rękę i położył ją na jej ramieniu. — Co, do diabła?

Młody Harry Jackson przeszedł przez pustynię i prześlizgnął się przez linię wartowników. Wszedł cicho do koszar, zdjął buty i położył się twarzą do góry na pryczy, wpatrując się w czarny sufit. Zacisnął dłonie w pięści i wciągnął długi wdech, aby uśmierzyć coś bolesnego w klatce piersiowej; ale to coś pozostało, a on wziął głębszy oddech. Van Rhyn, którego prycza sąsiadowała z jego, odezwał się przez czarny sufit.

— Wszystko w porządku, synu?

Harry Jackson nie odpowiedział, i wkrótce van Rhyn odepchnął się od łóżka i potarł siarkę zapałki, rzucając światło w stronę Harry'ego Jacksona. Harry Jackson wytrącił światło z rąk starszego mężczyzny i obrócił się na bok, oddychając coraz głębiej. Nie wiedział, że płacze.

Rozdział XII

Gdy tylko Eleanor wróciła z Tucson, usłyszała o starciu Castletona z Indianami. Historię tę opowiedział jej ojciec przy kolacji i jak zwykle ograniczył się do ścisłych faktów. Zapytała jednak:

— Czy Antone go zaskoczył?

Major Warren pogłaskał wąsy, zakrywając w ten sposób najbardziej wyrazistą część twarzy. Wiedziała, że zrobił to celowo. Jego odpowiedź, jak zawsze, unikała bezpośredniej oceny.

— Chłopak miał trochę pecha, czekali skryci w skałach i nie mógł ich okrążyć.

Prawdziwa historia musiała rozejść się wśród żołnierzy i Cowen, który był zagorzałym plotkarzem, będzie ją znał. Gdy jej ojciec wyszedł na wieczorny spacer, skierowała się do kuchni.

— Cowen — zawołała go, — co się stało?

Nawet z rękami w wodzie do mycia naczyń, Cowen utrzymywał pozę ogromnej godności. Miał ważne informacje i świadomie to okazywał. Tym niemniej jednak, nie było tego jakoś bardzo po nim widać.

— Pan Castleton ścigał Indiańców do Pinali. To był gorący trop i porucznik mocno się go uczepił. Dogonił Antone w jakichś skałach i wykonał szarżę, ale został ostrzelany z lewej flanki, gdzie ukryło się paru wojowników Apaczów. Rzucił się na nich i został osaczony, ale udało mu się ich odeprzeć. Sweeney stracił konia i został ranny, a potem jeden z Indiańców wybiegł ze skał i pchnął go nożem. Porucznik ścigał kolejnego dzikusa po jednej stronie małego garbu ziemi, a O'Grady ruszył po drugiej stronie garbu. Tam O'Grady zginął. Porucznik zabił Indiańca. Potem cała gromada uciekła, a był to zbyt trudny teren, by bezpiecznie za nimi podążyć.

— Czy to była pułapka, Cowen?

Cowen podrapał się po uchu namydlonym kciukiem.

— Nie słyszałem tego dokładnie — odparł. — Chociaż mówiono, że porucznik dogonił Antone bardzo niespodziewanie.

— Jak wyglądali, kiedy wrócili?

— Ach, jak homary zbyt długo gotowane w garnku — powiedział Cowen. — Ale czy każdy by nie wyglądał podobnie, po pięciu dniach takiej jazdy?

— Pięciu dniach, Cowen?

— Niemal. Porucznik miał gorący trop i chciał jechać dalej, aż dopadnie tego czerwonego łajdaka.

Teraz znała już większość historii. Phil przekroczył swoje rozkazy o dwa dni, aby zagrać na swoim szczęściu, został zaskoczony i stracił dwóch

ludzi. Stała w drzwiach adobe, głęboko zaniepokojona. Był zbyt ambitny i zbyt dumny, by nie poczuć ukłucia porażki, a opinia oficerów nie dawała mu spokoju. Nic mu pewnie nie powiedzieli, lecz ich zachowanie musiało to wyraźnie zdradzać. To był brutalnie skuteczny sposób funkcjonowania mężczyzn. Znając Phila Castletona, wyobraziła sobie stopień jego upokorzenia i zaczęła się martwić.

Rozejrzała się po ciemnym czworokącie koszarowym i nigdzie nie dostrzegła Phila. Rozczarowana i trochę zaniepokojona jego nieobecnością, zeszła na dół, by zobaczyć się z Harriet Mixler. Lily Marr siedziała w sypialni, kołysząc kołyską. Harriet uśmiechała się na swej bardzo szczupłej twarzy. Ani ona, ani dziecko nie wyglądali dobrze:

— Jak tylko będzie mógł podróżować — powiedziała Harriet, — jedziemy do Fort Apache i wydostaniemy się z tego upału. Nie przeżyje, jeśli tego nie zrobimy. Kiedy nadejdzie jesień, zabiorę go na wschód.

Eleanor, z natury współczująca i tolerancyjna, w tej chwili czuła jedynie niecierpliwość, przypominając sobie ściągnięte rysy twarzy George'a Mixlera. Mimo to nie pozwoliłaby, by ta opinia wyrwała jej się z ust, gdyby nie jej własny mocno zdezorientowany stan umysłu.

— Harriet — oznajmiła, — czego ty się spodziewasz po małżeństwie lub życiu w wojsku? Za każdym razem, gdy George wyrusza na zwiad, ryzykuje życiem. Dlaczego więc płaczesz nad każdym problemem; dlaczego zrzucasz całą winę na niego i sprawiasz, że jest taki nieszczęśliwy, że nie może jeść ani spać? Ludzie powinni umieć znosić nieszczęścia. Ty powinnaś umieć znosić swoje. Kiedy za niego wyszłaś, wiedziałaś, że przez większość życia będzie się tułał od jednego posterunku granicznego do drugiego i że nigdy nie będzie miał takiej wolności jak cywile, tylu pieniędzy ani żadnych wygód. Uważałaś, że mundur czyni z niego bardzo waleczną i elegancką postać, i tak jest. Ale czy nie wiesz, co ten mundur oznacza? On zawarł układ ze Stanami Zjednoczonymi. Uważałaś to za całkiem przyjemne, gdy nie było problemów. A jednak problemy są celem całego jego szkolenia. Teraz, kiedy się pojawiły, czy chcesz, żeby się z nich wyczołgał, wrócił do Wirginii i popijał miętowe likiery w blasku księżyca? Jestem tobą zawiedziona.

Harriet rzuciła jej w twarz odpowiedź.

— On może sobie robić, co mu się podoba. To ja nie mogę być kobietą żołnierza. Zrobiłabym się stara, pomarszczona i złamałabym sobie serce.

— A więc uciekniesz i złamiesz jego — stwierdziła Eleanor. — Chciałaś, żeby odszedł z wojska. Zrzuciłaś mu na barki ten wybór. Każda kobieta, która próbuje zmusić mężczyznę do wyboru między żoną a karierą, jest głupia. Może i porzuciłby tę karierę – a ty miałabyś swojego mężczyznę. Ale co byś miała? Nic, czego byś chciała. Zniszczyłabyś w nim wszystko, co ci się tak podobało - jego szacunek do siebie i lojalność.

— Nie — odparła Harriet, — on dokonał wyboru: nie ma mowy, aby odszedł z wojska.

— Myślę — zauważyła łagodnie Eleanor — że powinnaś być z tego dumna. Ale jeśli chcesz mężczyzny, którego będziesz mogła owinąć sobie wokół palca, będziesz żałosną żoną.

— Odchodzę — powtórzyła Harriet Mixler kamiennym głosem.

— Tak — mruknęła Eleanor — myślę, że tak. Ale później to właśnie będziesz pamiętać. Przypomnisz sobie George'a wracającego ze szlaku, spoconego, zakurzonego i zmęczonego. Przypomnisz sobie, jak bardzo się ucieszył, widząc cię; i jak siedziałaś w cieniu, szczęśliwa, że znowu go masz koło siebie. Przypomnisz sobie, jak słodkie było te parę dni – dni między chwilami, kiedy musiał wyjechać. Przypomnisz sobie, jak dumnie siedział na koniu podczas parady mundurowej. Myślę, że przypomnisz sobie głos trąbki i flagę w tle, i kolacje o północy, i jak dobrze smakowała pomarańcza, kiedy nie jadłeś świeżych owoców przez cały miesiąc. I przypomnisz sobie swoich przyjaciół – najbliższych przyjaciół, jakich kiedykolwiek będziesz miała na świecie. Kiedy się od tego wyzwolisz, wszystko to powróci bardziej wyraźne, niż sobie wyobrażasz i zawsze będziesz żałowała, że odeszłaś.

Powiedziała to wszystko dość szybko. Wypłynęło to z jej serca, a potem, kiedy skończyła, była zaskoczona, jak głęboko ją to dotknęło, że Harriet nie chciała jej wysłuchać. Harriet leżała ze wzrokiem utkwionym w sufit, dziecko znów zaczęło płakać. Za to ciemne oczy Lily Marr spoglądały na nią - to znaczy na Eleanor - z zainteresowaniem. Eleanor wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia Harriet i wyszła z pokoju.

Stanęła w drzwiach, obserwując sylwetkę wartownika, słysząc pomruk rozmów żołnierzy w koszarach po drugiej stronie drogi, wyczuwając ostry, gorący zapach piasku zwilżonego przez przejeżdżający wózek. Pomarańczowo-srebrne światło księżyca mgliście rozrzedzało ciemności, a góry położone bezpośrednio na wschód od posterunku, wznosiły się wysokimi i intensywnie czarnymi sylwetkami – niosąc w sobie aurę niebezpieczeństwa, tajemnicy i pradawnej dzikości.

Dziwnie było tak stać tutaj i pozwolić, by myśli podryfowały gdzieś daleko, poza zasięg jej kontroli. Rozmyślała o Philu Castletonie, zastanawiała się nad nim; już po chwili wszystkie te wyraziste wrażenia nocy podniosły jej ducha do poziomu pełnej energii, po czym w kolejnym zawirowaniu dziwnego niepokoju przypomniała sobie Tucson i Benteena. Jej uczucia z nim związane płynęły szybko, przyjemne, i na mrocznej granicy smutku. Nie potrafiła wyjaśnić tej mieszanki doznań w swej duszy, chociaż szczerze próbowała to zrobić; natychmiast zdała sobie jednak sprawę, że ten nastrój był niebezpieczny, że te wspomnienia były niebezpieczne, i z wyraźną ulgą zobaczyła Castletona idącego w jej stronę z budynku sztabu.

Wzięła go pod ramię, szczęśliwa, że jest blisko. Spacerowali wzdłuż północnego boku trójkąta posterunku, nie mówiąc ani słowa. W pobliżu piekarni chodnik przecinał snop światła i zauważyła dosyć surowy bok jego twarzy. Ale on wyczuł jej spojrzenie; wywołało to na jego twarzy uśmiech. Kiedy wyszli ze snopu światła, zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie, aby ją pocałować. Dla niej była to największa przyjemność całego wieczoru. Nawet zapomniany już niemal, silny uścisk jego ramion zbliżył ją do niego.

Powiedziała:

— Minęło dużo czasu, Phil.

— Zawsze za tobą tęsknię. Pięć dni, czy też trzy lata. Jedna rozłąka jest tak samo zła jak druga.

— Miło wiedzieć.

— Widziałaś coś nowego w Tucson?

— Poszliśmy na meksykańską sztukę i jedliśmy enchiladas z gorącą czekoladą. I… — miała już dodać, że siedzieli na schodach kościoła, w świetle księżyca. Ale pominęła tę część, mówiąc: — To była naprawdę przyjemna rozrywka.

Gdzieś w głębi głowy zrodził się w niej lekki niepokój, z powodu własnego uniku. Nie podobało jej się to, nie pochwalała tego - i zastanawiała się, dlaczego tak zdecydowanie unikała wspomnienia reszty epizodu.

Zapytał:

— My?

— Tom i ja. — Od razu usłyszała zmianę w jego głosie, pojawiający się chłód i natychmiastowe napięcie. Więc spytała cicho, rozbawiona: — Zazdrosny? — i wiedziała, jeszcze zanim odpowiedział, że tak.

— Oczywiście — oznajmił. Nic więcej, ale to wystarczyło. Pewnych fragmentów tamtej nocy, pomyślała z dystansem, nie mogła mu opowiedzieć.

— Czy miałeś trudny patrol?

— Wyobrażam sobie, że słyszałeś już szczegóły.

— Tak. Przykro mi, Phil. Powodzenia następnym razem.

Stali po stronie czworoboku z salami dla żołnierzy i tak jak poprzednio odciągnął ją od chodnika, aby głosy w środku nie przestały być zrozumiałe.

— Z jakiego powodu jest ci przykro? — zapytał.

Ton jego głosu sprawił, że się zastanowiła. Znała głębię jego dumy i spodziewała się usłyszeć jakieś echa poniesionej przez niego porażki, jakieś nieświadome przyznanie się do upokorzenia. Nie usłyszała niczego podobnego. Jego głos był chłodny, szybki i absolutnie pewny siebie. Jakiekolwiek były jego myśli, starannie je skrywał - i ta rezerwa niepokoiła ją, jakby był to z jego strony brak wiary w nią. Chwila bliskości uleciała. Zmieniła słowa, które zamierzała wypowiedzieć, dotyczące pułapki, w jaką wpadł. Wiedziała, że przy jego obecnym nastawieniu, nie byłyby one najlepszym rozwiązaniem.

— Chciałeś złapać Antone, prawda? Przykro mi, że ci się nie udało.

— Dowiedziałem się — odparł, — że Antone jest mądry. Dobry generał wśród krzaków bylicy. Zawsze wybiera sobie odpowiednie miejsce, biorąc pod uwagę bezpieczny odwrót. Tym razem zniknął w skalistym terenie, w którym nie mogliśmy za nim podążać. Ale ja nie mam zbytniego szacunku dla siły jego uderzenia. Zarówno Manuel Dura, jak i Al Hazel zawsze zbyt mocno podkreślali niebezpieczeństwo z jego strony. O zmierzchu przedostałem się przez kanion. Dura i Mixler byli tym bardzo zaniepokojeni. Ale nic się nie wydarzyło. Natknęliśmy się tylko na skały, a Dura wykazywał wszelkie objawy typowe dla starej baby. Straciliśmy dwóch ludzi i odpłaciliśmy im za to dziesięcioma lub dwunastoma martwymi Indianami. Żałuję straty ludzi, ale za to nam właśnie płacą.

Mówił o tym z chłodną obojętnością, która ją jednocześnie zdziwiła i rozczarowała. Jakoś jego słowa nie były właściwe; były zasłoną dla jego prawdziwych uczuć. Złapała się na tym, że mówi:

— To był trzeci zaciąg O'Grady'ego. Sweeney bardzo mnie lubił. Byli dobrymi ludźmi.

— Ja też ryzykowałem głową, Eleanor — powiedział tym samym defensywnym tonem.

— Phil — powiedziała, zachowując się w stosunku do niego trochę ostro — ja po prostu wyrażam ubolewanie. Nie spieram się z tobą.

Stwierdził:

— No to będziesz chyba jedyna, który nie wyrazi dezaprobaty. Posterunek najwyraźniej uważa mnie za kiepskiego oficera. Ja jednak zrobiłbym to jeszcze raz. — Wtedy usłyszała, jak część skrytego w nim gniewu, wylewa się z niego. — I zrobię to jeszcze raz, jeśli tylko będę miał do tego okazję. Nie mam żadnego uznania dla przeklętych groszowych taktyk tej kampanii. Gdybym to ja był Antone, spoglądającym na szeregi żołnierzy goniących go w górę jednego kanionu i wycofujących się w dół innego, czułbym tylko pogardę dla amerykańskiego munduru. Następnym razem, kiedy tylko zobaczę jego czerwoną skórę, wyruszę za nim, konno lub pieszo, albo nawet czołgając się po ziemi, dopóki pozostanie mi choćby jeden człowiek, który będzie w stanie zaczerpnąć powietrza. Wtedy zobaczymy.

— Phil — powiedziała, — nie wkładaj na swe barki takich zobowiązań.

Zatrzymał się. Stali w gęstym mroku przy budynku sztabu i widziała tylko linię jego szczęki.

— Eleanor, czyżbyś uznawała powszechną dezaprobatę wobec mnie za słuszną?

Jej również nie brakowało temperamentu.

— Chwileczkę, drogi panie — oznajmiła natychmiast. — Jeżeli to ma być kłótnia, to po prostu mi powiedz. Uwielbiam wbijać szpilki w lekkomyślnych młodych oficerów, którzy robią się zbyt dumni.

— A więc — odparł, ponownie lodowatym tonem.

— A więc — przedrzeźniała go, urażona tą jego irytującą obojętnością. — Jeśli mam zostać twoją żoną, Phil, nie wolno ci nigdy używać tego tonu, typu „Biegnij za mną, mała dziewczynko”. Siedziałam na platformach wozów wojskowych, kiedy ty wciąż jeszcze grałeś w kulki. Wiem coś o tej armii, mój drogi panie. Wydaje ci się, że nikt na posterunku cię nie lubi. Gdyby to była prawda, Phil, mogłoby to oznaczać tylko jedno, że w czymś nie miałeś racji. Ale nie sądzę, żeby tak było. Jednak musisz zrobić jedną rzecz, jeśli naprawdę chcesz się dogadać z kolegami. Musisz wyjść na wpół drogi do innych ludzi.

Znów użył tego suchego, zdystansowanego tonu, mówiąc:

— Proszę, wymień od razu resztę moich wad — a ona od razu wiedziała, że musi przełamać barierę tego mężczyzny. Oznajmiła szokująco bezpośrednio:

— Jedno z nas jest głupcem, Phil. Albo ty, używając takiego tonu, albo ja dlatego, że to znoszę.

— Eleanor — wyrzucił z siebie, na granicy arogancji.

— No i? — spytała

Złapał ją za ramiona, niemal nią potrząsając. Lecz wypuścił już z siebie niemal aż do końca, swój dumny, pełen goryczy gniew; a dźwięk jego słów, pokornych i przestraszonych, sprawił, że przypomniała sobie, iż go kocha.

— Eleanor — jęknął — nigdy więcej tak nie mów. To piekielnie samotne życie i jeśli mnie zostawisz, to jak, na litość boską...

— Ćśśś — powiedziała łagodnie i słodko. — Wiem. Nie możesz nic na to poradzić. To cię tak bardzo napędza. Ja jestem w stanie to zrozumieć. Ale inni nie potrafią - ponieważ nie pozwalasz im tego zobaczyć. Będziemy razem przez wiele lat, Phil. Jeśli jestem w czymś dobra, to jestem dobra dla ciebie. I pomogę. Wiem jak. Tylko, w ciągu najbliższych kilku tygodni, musisz zrobić trudną rzecz. Musisz dogadać się z ludźmi na posterunku.

— Jak? — spytał.

— Tego — odparła z większą dozą intuicji, niż zdawała sobie sprawę — nie mogę ci powiedzieć. Jesteś mężczyzną - musisz to zrobić w taki sposób, jak robią to mężczyźni.

Długi, silny oddech wyrwał mu się z ust, mówiąc jej, jak bardzo zdesperowane, niezdecydowane i burzliwe były jego uczucia. Potem wymamrotał:

— Eleanor, chciałbym, żebyśmy mogli jak najszybciej się pobrać. Czy za miesiąc, nie byłby dla ciebie zbyt wcześnie?

— Nie — odparła. — Za miesiąc, jeśli tego chcesz.

— Dobrze — powiedział, — dobrze. — i pocałował ją ponownie, po czym ruszył w głębiny nocy.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że stoi przed własnymi drzwiami. Tak bardzo była zanurzona w jego sprawach. Patrząc, jak wysoka sylwetka Phila łączy się z czernią placu apelowego, przeżyła chwilę zdumienia. Rozumiała go – a jednak nie do końca. Miał w sobie tak wiele sprzecznych stron, wyrastających z ogromnych wzlotów i upadków jego osobowości, że czasami nie potrafiła za nim nadążyć i trochę się czuła się zmęczona, próbując to robić. Nienawidziła tych jego momentów sarkastycznej obojętności - bo to były chwile, kiedy całkowicie się od niej oddalał, zapominał o niej i nie doceniał jej; lecz ciągle miał w sobie ten twardy, wiecznie płonący ogień, którego nie mogła nie kochać. Rozmyślała przez pewien czas w taki sposób.

Jej ojciec odezwał się z domu:

— Córeczko, chciałbym, żebyś przyszła i pomogła mi ściągnąć buty.

— Tak — odparła i nie ruszyła się.

Jakoś i czasami wiedziała, że w końcu będzie musiała opowiedzieć Philowi o reszcie wieczoru z Tomem Benteenem, żeby nie było to tajemnicą stojącą między nimi. Nienawidziła oszustwa. Ale głębiej, pod tym wszystkim, tkwiła lekka obawa przed wspominaniem pocałunku Benteena. Ciągłe powroty do myśli o tym mogły być niebezpieczne. Myślała o tym teraz i nie miała złudzeń co do własnych uczuć. Chciała tego pocałunku i nie żałowała go, a to było niebezpieczne, to ciepło, które wracało do niej zawsze, gdy przypomniała sobie, jak trzymał ją w gęstej ciemności Fortu Lowell.

— Do diabła — poskarżył się major Warren, — Eleanor, nie mogę przecież pójść spać w tych buciorach.
— Tak — powiedziała i słuchała trąbki wylewającej na plac apelowy silne złote tony sygnału przygotowania do capstrzyku.

Po zakończeniu sygnału, Lily Marr wyszła z adobe Mixlerów i stała przez chwilę, by obserwować odległy blask gwiazd. Obłoki pyłu wisiały w powietrzu, fale gorąca przetaczały się duchotą wzdłuż placu apelowego, zaś jedynie nieliczne odgłosy cichnącego posterunku tonęły bez echa w przytłaczającą ciszy pustyni. Castleton i Eleanor przeszli tuż obok, nawet jej nie zauważając. Wartownik krążył po swoim odcinku, tam i z powrotem. Tom Benteen pojawił się na chwilę w oświetlonym wejściu adobe, jego wysokie ciało leniwie się przygarbiło. Spojrzenie Lily Marr spoczywało na nim tak długo, dopóki tam pozostawał. Uniosła ręce i złożyła je na piersi. Kiedy rzucił w piach cygaro, którego rozpalony czubek po uderzeniu o ziemię nagle rozsypał dookoła snop iskier, i wrócił do swojej kwatery, Lily Marr powoli ruszyła spacerem wokół czworoboku, trzymając nisko spuszczoną głowę.
Dotarła do rogu w pobliżu piekarni, gdy nagle od ściany oderwał się cień, a jej ramienia dotknęła ręka. Głos Jacka Beana powiedział:
— Chwileczkę, Lily.
Była człowiekiem o silnych nerwach. Odwróciła się nie okazując zaskoczenia czy wstrząsu, przyciągnięta do ściany piekarni ręką Beana.
Pozwoliła jego ręce pozostać na niej tylko przez chwilę, po czym odsunęła się stawiając silny opór. Jack Bean zaczął mówić, ale przerwał nagle i zmienił się w ponownie w pełen napięcia, skryty przy ścianie cień, podczas gdy obok przechodził wartownik. Poczekał, aż wartownik oddali się poza zasięg słuchu; jego głos był pośpieszny, cichy i rozbawiony.
— Do diabła, przemknąłem się właśnie przez linię wart, prawie u stóp jednego z tych żołnierzy. Gdybym był Apaczem, mógłbym cię stąd teraz wywieźć na swoim mustangu.
— Czego chcesz?
Odparł:
— Kiedy coś sobie zaplanuję, Lily, to nic mnie nie powstrzyma. Mówiłem ci, że wrócę, prawda? Pewnego dnia mam zamiar zabić tego kapitana. Nie przyjmuję żadnych rozkazów od nikogo, nie ja. I będę robił, co mi się podoba, dopóki żyję. — Przerwał na chwilę, czekając na jej odpowiedź. Pozostała bierna i milcząca, tak więc musiał odezwać się ponownie, bardziej agresywnym głosem: — Po co jechałaś na ranczo Summertona?
— Po to, żeby tam gotować.
— Nie pozwoliłem ci na to, prawda? No i nie dotarłaś tam. I nigdy nie dotrzesz. Jeśli tam się pojawisz, Lily, spalę to cholerne miejsce. Nie będziesz żyć pod jednym dachem z żadnym innym mężczyzną. Może mnie nie chcesz — ale jeśli nie ja, to nie będzie nikogo innego. Obiecuję ci, Lily.
— Wracaj do Tucson.

— Czyli dokładnie tam, gdzie powinnaś być ty — odpowiedział. — Nie mogę przez cały czas tak jeździć.

— To nie przyjeżdżaj — powiedziała.

Oboje znów milczeli, czekając, aż wartownik przejdzie. W tej chwili Jack Bean spróbował innego tonu.

— Co mam zrobić, Lily?

— Rób, co chcesz. Po co mnie pytasz?

Popatrzył na nią, ostro i podejrzliwie:

— Są tu jacyś mężczyźni, na których patrzysz?

— A jeśli tak, to co?

Obojętność jej słów wprawiła go we wściekłość.

— Na Boga — wydyszał, — znajdę ich i pozabijam. Ten kapitan?

Powiedziała powoli:

— Nie, nie on. Chociaż on w każdej chwili może kazać cię wychłostać. Nie podoba ci się to, co Jack? Nie lubisz mieć ponad sobą nikogo i niczego. Ale jest wiele rzeczy większych od ciebie i wielu lepszych mężczyzn.

Warknął gniewnie:

— Gdybyś była mężczyzną, wiedziałbym, co robić. Bardzo trudno powstrzymać się, aby nie wybić ci z głowy tej cholernej dumy. Jeśli zdecyduję, że czegoś chcę, Lily, to dostaję tę rzecz. Zawsze tak było i chyba zawsze tak będzie. Będę cię śledzić po całej Arizonie. Za każdym razem, kiedy zobaczysz mężczyznę, który ci się spodoba, zabiję go. W końcu zmienisz zdanie. Albo zostaniesz starą panną. Może myślisz, że pozwolę, aby całe Terytorium śmiało się z Jacka Beana, że utracił dziewczynę. Nie. Nie pozwolę na to. Sprawię, że dla innych mężczyzn nawet patrzenie na ciebie będzie zbyt ryzykowne.

Przeczekała jego tyradę, doskonale wiedząc, jak bardzo ten gwałtowny, arogancki bandyta nienawidził takiej niemożliwej do przebicia aury obojętności. To była jedyna rzecz, której nie potrafił zrozumieć i z którą nie był w stanie walczyć. Oznajmił spokojniej:

— Lily, czego chcesz? Ja to załatwię. Czego chcesz, żebym zrobił to dla ciebie?

Nagle ruszyła w jego stronę i objęła go w pasie, zaciskając na nim swoje duże, silne ręce. Zawołała:

— Wartownik - wartownik!

Jack Bean szarpnął się do tyłu, próbując dosięgnąć jej złączonych dłoni i wyrwać się z uścisku. Przeklinał, ciągle zsuwał się po ścianie, doszło do niego wołanie biegnącego wartownika. Nie był w stanie złapać jej palców, a potem, gdy inni ludzie rzucili się ku piekarni, przyłożył przedramię do jej gardła i naparł nim, aż się zaczęła dusić, wciąż wczepiona w niego.

Wiedziała, że jest wystarczająco mocny, aby złamać jej kręgosłup, jeśli ona go nie puści. Ale nie użył całości swojej siły, nawet tego nie próbował; i wtedy dowiedziała się o nim nowej rzeczy. Wartownik dopadł do nich i wbił lufę swojego karabinu w bok Jacka Beana. Cofając się, Lily została natychmiast otoczona przez żołnierzy. Sierżant warty wysunął latarnię przed siebie i jej blask oświetlił Castletona — oraz Benteena.

Benteen wyjął rewolwer Beana z kabury. Trzymał go w dłoni, patrząc na przestępcę i Lily Marr, która przez cały ten czas stała taka opanowana.

Twarz Jacka Beana była blada i dzika, a światło jego oczu gorzko paliło Lily Marr, która odwzajemniła to spojrzenie z żelaznym spokojem, którego Benteen nigdy nie zapomniał.

— Panie poruczniku — powiedziała, — to jest człowiek, który zatrzymał wozy Summertona.

Benteen przyjrzał się jej. Powiedział:

— Zmieniła pani zdanie, Lily?

— Tak.

Kapelusz Jacka Beana upadł na ziemię. Światło mocno świeciło na jego żółtej głowie, pełnej napięcia i wściekłości minie, która wykrzywiała jego na wpół przystojną, lekkomyślną twarz.

— Kapitanie — wycedził przez zęby, — przedostałem się przez waszą przeklętą linię wart, jakby jej tam w ogóle nie było. Wyjdę z waszego więzienia w ten sam sposób. Armia nie jest wystarczająco duża, żeby mnie powstrzymać, ani żaden człowiek do tego nie wystarczy. Kapitanie…

Przerwał swoją przemowę, a jego zazdrosne oczy zmierzyły Lily Marr i Benteena z przebiegłym podejrzeniem. Nagle roześmiał się, szybko, stanowczo i niebezpiecznie.

— Chyba muszę się tobą zająć, kapitanie. Bóg wie, że tak zrobię.

— Umieścić go w wartowni — polecił Benteen i obserwował, jak para żołnierzy łapie Beana za ramiona i przeprowadza go przez plac apelowy. Lily Marr została, Castleton także. Castleton wpatrywał się w dziewczynę, bez cienia zaufania na twarzy.

— To dosyć dziwne, panno Marr. Powinna pani była zrobić to ostatnim razem. Nie rozumiem.

— Zostawmy to — przerwał Benteen.

Castleton gwałtownie odwrócił głowę, urażony tym bezpośrednim tonem. Jego szczęka sterczała z uporem w noc, czarną i gęstą. Benteen go zignorował. Przez cały czas przyglądał się Lily Marr, coraz bardziej poruszony pogodnym spokojem, jaki okazywała. W głowie tej dziewczyny krążyły się myśli, które nigdy jej nie opuszczały, i wspomnienia wywołujące ciemność w jej oczach. Była w niej jakaś tajemnica, której nie chciała wyjawić; a jednak na tle jej spokoju promieniowała ona bardzo widocznie, bardzo silnie. To właśnie sprawiło, że Benteen przemówił do niej delikatnym tonem.

— Czego pani sobie życzy, Lily?

— Proszę go tam pozostawić — powiedziała. — Zrobię to, co trzeba.

Ruszyła z powrotem w stronę kwatery komendanta.

Benteen odwrócił się i przeszedł wokół narożnika baraku koszarowego, do stajni. Stale rozbrzmiały za nim kroki Castletona. Wisząca na belce latarnia rzucała na Benteena upiorny blask. Kiedy się obrócił, zobaczył przed sobą Castletona i wiedział, że na horyzoncie pojawiły się kłopoty.

Castleton oznajmił:

— Kiedy jestem w polu pod pańskim dowództwem, panie Benteen, mogę przyjmować pańskie rozkazy. Jednak kiedy jestem na tym posterunku, poza służbą, nie życzę sobie, żeby wydawał mi rozkazy, jakiegokolwiek rodzaju. Nie spodobała mi się uwaga, którą poczynił pan przy pani Marr.

— Może — oznajmił Benteen — była ona niezbyt fortunna. Wycofuję ją.

— Jej znaczenie pozostaje — odparł Castleton — i pańskie nastawienie podobnie. Zawsze wyrażał pan swoją niechęć do mnie. Nawet ślepy mógłby to dostrzec. Ludzie na tym posterunku nie są ślepi.

— Wydaje mi się — powiedział Benteen, starając się równo cedzić słowa przez zęby — że doszukujesz się czegoś, co nie istnieje.

Castleton uniósł głowę i niemal wykrzyczał swoje wyzwanie.

— Nie owijaj tej sprawy w bawełnę!

Światło migotało na piaskowo-rudych włosach Benteena, malując płaskie cienie wokół jego oczu. Powieki opadły mu, wyglądając jakby były na wpół przymknięte. Oddech delikatnie poruszał przodem jego szarej koszuli. Ramiona zwisały mu w dół, kościste, ciężkie i swobodne.

— Wydaje mi się — powiedział, — że to dobry moment, żebyś powiedział to, co masz do powiedzenia. Może powinno to zostać wyjaśnione już dawno temu. No dalej.

— Jak pięknie — wydyszał Castleton, ociekając sarkazmem przy każdym wypowiadanym słowie. — Cudownie, bardzo wspaniałomyślnie. Komplementuję pańskie maniery. Są niesamowicie skuteczne wśród żołnierzy i oficerów. Major podziwia pański osąd i pańską dyskrecję — czy to dyskrecja, panie Benteen? Personel oficerski jest wręcz oczarowany pańską klasą przy grze w pokera. Żołnierze klaszczą z wrażenia i naśladują pańskie żołnierskie cnoty, które są naturalne i niewystudiowane — czy one są niewystudiowane; panie Benteen?

— Mów dalej — mruknął Benteen. Cienie w zagłębieniach jego oczu stały się jeszcze ciemniejsze. Podniósł jedną rękę i delikatnie potarł klamrę pasa.

Ciężkie ręce Castletona uniosły się w kącikach ramion. Był mocno zbudowany, ważył ze dwadzieścia funtów więcej niż Benteen. Światło kładło swój tłusty blask na jego długiej i czerwonej twarzy. Jego stopy poruszały się niespokojnie po twardej podłodze stajni; jego mowa napędzała się, wznosząc się nierozsądnie i niewybaczalnie ku punktowi załamania.

— Może nie mówiłem do tej pory wystarczająco jasno, panie Benteen. Więc teraz będę. Nie widzę w panu męstwa, które inni zdają się dostrzegać. Nie lubię politycznych ustawionych poruczników, którzy zjednują sobie względy swoich ludzi, poprzez luźną dyscyplinę. Nie sądzę, by pańskie zwyczajowe milczenie wskazywało na jakąś głęboką mądrość, jak wydaje się myśleć Warren. Czy to jest jasne, panie Benteen? Myślę, że pańska ostrożność w unikaniu walki z Antone jest czymś innym niż tylko ostrożnością. Myślę, że pańskie przeniesienie do tego regimentu jest zagadką, która wciąż wymaga wyjaśnienia i… — Zatrzymał się by wziąć głęboki oddech, mierząc Benteena, jakby szykował się do ataku — …myślę, że lepiej będzie, jeśli będzie pan spędzał swój cholerny czas wolny od służby, z dala od Eleanor.

— Skończyłeś już? — spytał Benteen.

— Może — krzyknął Castleton. — Ciągle nie rozumiesz! Ta armia jest za mała dla nas obu! Może chciałbyś coś z tym zrobić!

Wargi Benteena wywinęły się, a cisza trwała dalej, gorąca, gęsta i zła. Zdjął dłoń z pasa.

— Phil — oświadczył, — jesteś kompletnym osłem, pełnym pychy. Chyba zaraz cię stłukę. Miałem ochotę to zrobić już od bardzo dawna.

— Dobrze! — wysyczał Castleton, cofając się. — Dobrze. Proponuję zniszczyć twoją reputację wojownika, zanim opuścimy tę stajnię.

W tym momencie interweniował sierżant Hanna. Widząc, że Castleton podąża za Benteenem do stajni, natychmiast udał się za nim aż do narożnika muru koszar, słysząc tam kłótnię. Teraz wszedł do stajni z łagodną uległością na twarzy. Powiedział:

— Przepraszam, ale zapomniałem przyciąć knot w tej latarni. Zadymi całe to miejsce.

Benteen stał tuż pod latarnią, blokując Hannie dostęp do niej; więc Hanna pozostał przy drzwiach, służbiście czekając. Castleton rzucił mu ponure, pozbawione tolerancji spojrzenie, a następnie obejrzał się na Benteena, który nie zrobił żadnego ruchu. Castleton powiedział:

— Zobaczymy się później, poruczniku Benteen — i wytoczył się ze stajni.

Benteen przyjrzał się nieprzeniknionej, pełnej taktu twarzy Hanny, w pełni rozumiejąc o co mu chodzi. Powiedział:

— Hanna, czy dziś wieczorem ktoś tu o czymś rozmawiał? Wydawało mi się, że mogłaś coś słyszeć.

— Nie, panie poruczniku — wycedził Hanna — Nie słyszałem ani słowa.

Benteen skinął głową i wyszedł ze stajni.

Rozdział XIII

Kapitan Harrison przyprowadził swój oddział ze wzgórz, nie informując o żadnych sukcesach. Pięciodniowy zwiad dał się mocno we znaki jemu, Lankerwellowi i ludziom.

— To zabójczy klimat dla żołnierza ubranego w wełniany strój i dźwigającego na sobie trzydzieści funtów ekwipunku — stwierdził Harrison, z wdzięcznością sącząc swoją whisky o posmaku cytryny i cukru. — Tymczasem Antone, rozebrany do mokasynów, przepaski biodrowej i luźnej koszuli, porusza się jak cień. Znaleźliśmy jego ślad, liczący dwa lub trzy dni. W żadnej chwili nie udało nam się bardziej zbliżyć do niego. Dura mówi, że przesunął się na północ.

Tego upalnego letniego miesiąca Apacze na Terytorium nagle się niesłychanie ożywili. Chiricahua zeszli z gór Dragoon, aby siać zamęt na szlaku dyliżansu pocztowego. Poszukiwacz złota ze strzałą w plecach, przebiegł trzydzieści mil przez góry Rincon, uciekając tylko po to, by zginąć. W dolinie Santa Rita ludzie zostali uwięzieni na swoich małych ranczach. Pół tuzina wojowników podczołgało się na sam skraj Tucson, zabiło meksykańskiego przewoźnika wody i uciekło z powrotem w góry Catalina. Pewnego popołudnia, na Santa Rita, pasterz owiec leżał sobie w półcieniu paloverde, słuchając brzęczenia dzwonka przewodnika stada, myśląc, że Apacze nie mogą podkraść się do stada, dopóki dzwonek będzie brzęczał. Zasnął i obudził się, wciąż słysząc brzęk; ale obróciwszy się, zobaczył Apacza przykucniętego dziesięć stóp od niego, trzymającego dzwonek w dłoni, dzwoniącego nim i uśmiechającego się szeroko. Meksykanin wrzasnął i poderwał się do ucieczki, biegnąc w stronę leżącego nieopodal rancza. Mężczyźni na ranczu widzieli, jak lanca Apacza przygwoździła pasterza do ziemi.

Przejazd z Tucson do Prescott został odcięty, nikt nie chciał ryzykować, chyba że pod silną eskortą. Ranczo Pete'a Kitchena zostało napadnięte, a jego świnie naszpikowane strzałami, lecz sam Pete Kitchen się utrzymał. Wysoko na płaskowyżu Mogollon, aktywnie działali Tonto, zamykając szlak dla kurierów między Camp Apache a Fort Whipple. W Date Creek, na drodze do Ehrenburga, doszło do zamieszania. Dyliżans z sześcioma pasażerami, ryzykując jazdę z Prescott, nigdy nie dotarł do McDowell. W górach White Tank zostali zmasakrowani traper i jego indiańska żona.

Zamknięto kopalnie, wszyscy wycofali się z pustyni i wzgórz, tłocząc się w osadach. W górach Huacouca, niedaleko granicy, chłopiec meksykańskiego ranczera został schwytany i wzięty do niewoli.

Każdy garnizon na Terytorium działał na najwyższych obrotach. Oddziały zwiadowcze wyruszyły z Lowell na północ w kierunku Camp

Grant. Żołnierze obsadzili Fort Bowie, by strzec wschodniej bramy Terytorium. Oddziały z Camp Apache, wysoko na wzgórzach, prowadziły zwiad na południe w kierunku Grant; Camp Verde i McDowell, na brzegu Salt, stały się tylko małymi zamieszkanymi wyspami na bezludnej ziemi.

Gdy tylko wrócił Harrison, major Warren wysłał z powrotem w pole Benteena. Benteen odnalazł świeży ślad za rzeką Gila i podążał nim, dopóki nie skończyły mu się racje żywnościowe, a konie nie były w stanie wytrzymać dalszej pogoni; wrócił jednak do Grant z pewnymi informacjami, że Antone przeniósł się do Sierra Anchas. Warren przydzielił następny oddział George'owi Mixlerowi, który zaskoczył odizolowaną ranczerię i przyprowadził na posterunek squaw oraz jakiegoś starszego wojownika, zarzekającego się, że nie dałby się złapać, gdyby nie był zmęczony walką. Następny oddział wziął Howell Ford, a po nim znów wyruszył Harrison.

W międzyczasie major Warren zwolnił Raya Lankerwella z funkcji adiutanta posterunku, aby wysłać go w pole, i mianował adiutantem Phila Castletona. Eleanor wiedziała, że to był sposób jej ojca na zatrzymanie Castletona na posterunku. Nie zamierzał na razie powierzać Philowi kolejnych zadań. Eleanor była zbyt bystrą dziewczyną, by wtrącać się w wojskowe procedury, więc w miarę upływu czasu nauczyła się radzić sobie sama. Jednak spacerując z Philem wokół czworoboku, w gorącym nocnym cieniu, czuła, jak narasta w nim rozgoryczenie. Potrafił to ukryć, uśmiechając się szerzej i mówiąc z lekkością bliską arogancji. Lecz nie było to w pełni możliwe do ukrycia. W dzień chodził po posterunku, utrzymując wyprostowaną postawę i dokładnie wykonując swoje obowiązki, zajmując się biurem posterunku bardziej intensywnie niż zwykle - nawet w upalne popołudnia. Pewnego razu, przechodząc obok drzwi sztabu, zobaczyła go siedzącego przy biurku. Miał przed sobą książkę i zdawał się ją czytać, pochylony z rękami opartymi na głowie. Zatrzymała się, oczekując, że zwróci na siebie jego uwagę, potem jednak zauważyła, że Phil beznamiętnie wpatruje się w jedną i tę samą stronę, a na jego ustach pojawił się nerwowy wyraz. Jego ramiona były w pełni napięte. Nie czytał, siedział tylko na skraju jakiegoś załamania. Tego popołudnia złamała swoją długo dochowywaną zasadę i porozmawiała z ojcem.

— Kiedy znów przyjdzie kolej na Phila, tato?

— Ray Lankerwell odsiedział w sztabie trzy miesiące. Spodziewam się, że Phil spędzi w nim tyle samo.

— Mimo to wysyłałeś Raya, nawet gdy był adiutantem.

— Mamy zbyt dużo papierkowej roboty, by pozwolić Philowi pojechać.

Powiedziała:

— Oczywiście, to nie jest prawdziwy powód.

Warren usiadł na stojącym pod ręką krześle, luźno i niewygodnie. Policzki miał zaczerwienione od gorąca. Popatrzył na nią przez mgłę dymu z cygara.

— Córeczko, nie wtrącaj się. Wychowałem cię lepiej.

— Nic na to nie poradzę, tato. Złamiesz go - ustawiasz go pod pręgierzem całego obozu.

Warren uważnie ocenił jej minę i trudno mu było odpowiedzieć. Poruszył się w krześle.

— Pewnego razu — mruknął — kiedy byłem młodym żołnierzem dragonów, popełniłem bardzo poważne wykroczenie dyscyplinarne. Teraz jestem starym grubasem, ale wtedy byłem równie porywczy jak młody Phil. Mogłem zostać za to zdegradowany. Pułkownik odebrał mi szablę i zamknął mnie w kwaterze na całe lato. Patrzyłem, jak żołnierze wyjeżdżają. Stałem na werandzie, gdy mnie mijali - i wiedziałem, co każdy z dowództwa o mnie myśli. Uważali mnie za młodego głupca. Z niechęcią przechodziłem przez plac apelowy ani nie mogłem patrzeć innemu człowiekowi w twarz. Czasami chciałem się gdzieś ukryć, lecz zmuszałem się, by pozostawać gdzieś w widocznym miejscu, gdy te oddziały wychodziły w pole. Wiele razy myślałem o rezygnacji, ale nie mogłem uciec w taki sposób. Nie wiesz, jakie to piekło, córko. Kiedy odzyskałem swoją szablę i wróciłem do oddziału, nie byłem już tym samym młodym człowiekiem. Coś straciłem. Ale to zrobiło ze mnie żołnierza. To samo stanie się z Philem. Albo zrezygnuje.

— Nie — powiedziała — on nie zrezygnuje. To byłoby dla niego straszne rozwiązanie.

— Więc niech połknie część swojej dumy — mruknął Warren. — Ma jej zdecydowanie za dużo. Żal mi każdej żywej istoty, która musi zniszczyć część siebie, aby przetrwać. Żal mi każdego człowieka, który musi wyrzucić za okno połowę swoich ambicji. Może w cywilu mógłby spróbować zostać Cezarem. W armii nie ma miejsca dla Cezarów. — Odłożył cygaro i wstał, nie lubiąc swoich myśli. Zatrzymał się przed córką, starszą w tym momencie niż była jeszcze chwilę wcześniej - starszą i nieco smutniejszą. — Stałem z boku i patrzyłem, jak kiepscy oficerowie wyrastają powyżej mnie oraz widziałem, jak doskonali oficerowie kończą życie w jednym i tym samym stopniu, podczas gdy powinni nosić gwiazdki. Widziałem przekupstwo, faworyzowanie i oszustwo. Salutowałem ludziom, o których wiedziałem, że są łajdakami, widziałem, jak świetni oficerowie gniją na jakichś małych posterunkach, podczas gdy inni bez powodu noszą złote wężyki w Waszyngtonie. To niesprawiedliwe, trudne, brutalne - ale trzeba się tego nauczyć, trzeba wykonywać swoje obowiązki tak, jak się je widzi i uczynić z tego jedyną pociechę. Nie mogę porozmawiać z Castletonem i tobie też tego nie wolno. Musi tam siedzieć i przejść przez to wszystko sam. Będzie wspaniałym człowiekiem, jeśli to zrobi. Jeśli nie, nie będzie nikim, kogo byś chciała za męża. Nie wiem, czy Bóg nienawidzi politycznie ustawionych generałów lub awanturników, ale ja tak. I nie mogę ryzykować wysłania go z dwudziestoma ludźmi, których poprowadzi na rzeź, z powodu swoich ambicji.

Powiedziała:

— Nie lubisz go, prawda?

Zatrzymał się w drzwiach, zastanawiając się nad tym.

— Poczekajmy i zobaczmy. Za trzydzieści dni albo go pokocham za to, że jest prawdziwym mężczyzną, albo znienawidzę jak diabli za to, że jest słabym głupcem.

— W obu przypadkach — oznajmiła, powoli wypowiadając każde słowo — będzie twoim zięciem.

— Zawsze byłaś lojalną kobietą, Eleanor. Jesteś jak twoja matka - nie zmieniasz swych uczuć.

Po jego wyjściu Eleanor stanęła w drzwiach, wypatrując Castletona w drzwiach budynku sztabu. Benteen wyszedł z mesy oficerskiej i przechadzał się w cieniu barakowej ramady. Eleanor przyglądała się jego luźnemu chodowi, rudym włosom i długim ramionom. Był bardzo wysoki i, jak większość oficerów kawalerii, szczupły w biodrach. Nie był przystojnym mężczyzną, nie wyglądał spektakularnie, nie miał w sobie tej niesamowitej energii, którą posiadał Phil Castleton. A jednak – ta myśl wciąż krążyła w jej głowie - był kimś, kogo obserwowała z ciągle niesłabnącym zainteresowaniem. Jego obecność dodawała jej otuchy, przywiązała się do niego; za jego milczeniem i spokojną cierpliwością kryło się coś, co zawsze podnosiło ją na duchu. Przy corralu, koło piekarni, wszedł na ogrodzenie zagrody i siedział na nim przez chwilę, podczas gdy żołnierze wyprowadzili niespokojnego konia; potem ześlizgnął się do zagrody, poczekał, aż żołnierze przywiążą konia do słupka, i następnie wsiadł na siodło. Eleanor krążyła koło drzwi, obserwując nagły, szalony obłok kurzu, kiedy koń został uwolniony. Wstrzymała oddech i przycisnęła palce do ściany. Gdy koń wreszcie przestał wierzgać, zdała sobie sprawę, jak długo stała bez ruchu i jak bardzo była skupiona na tym wydarzeniu, i wróciła do domu. Cowen był w kuchni. Powiedziała:

— Cowen, na dzisiejsze przyjęcie upieczemy placek z jabłkami.

Lily Marr przeszła przez plac apelowy do wartowni i stanęła przy żelaznych drzwiach wejściowych, chłodno obserwując twarz Jacka Beana. Ten podszedł i objął dłońmi kratę. Jego długie usta wykrzywił natychmiastowy uśmiech, a potem roześmiał się w sposób, który sprawił, że oczy Lily pociemniały.

— Lily — oznajmił — mogłem cię zabić zeszłej nocy. Ale teraz to sobie przemyślałem. Byłaś wczoraj zła. Kiedy kobieta jest na kogoś zła, musi kochać tego mężczyznę. Dlatego kazałaś mnie tu zamknąć.

Odparła:

— Szeryf federalny będzie tu w przyszłym tygodniu. Będziesz wisiał, Jack.

Ale jego uśmiech poszerzył się tylko; był pewny siebie, był zadowolony z jej gniewu i nie bał się.

— Lily, te mury nie zatrzymają mnie na długo. Kiedy wyjdę, będę w okolicach Tucson. Będę tam na ciebie czekał.

— Przed tymi drzwiami, przez całą noc stoi wartownik, mający rozkaz strzelania. Będziesz wisiał, Jack.

Powiedział:

— Jak długo masz zamiar się gniewać? Czego ty chcesz od mężczyzn? Miałeś trochę swobody - myślę, że to powinno ci wystarczyć. Jeśli chodzi o pieniądze — zniżył głos. — Niech ten kapitan zabierze cię dziś z powrotem do Tucson. Pieniądze z tamtego wozu są w czajniku do kawy, na półce

kuchennej, w starym domu Aguirre, gdzie zawsze się zatrzymuję. Znajdź Billa Hanleya i powiedz mu, kiedy szeryf ma mnie zabrać do Tucson. Bill będzie wiedział, co robić. Będzie czekał na nas w górach Catalina, przy szlaku.

Akurat w tej samej chwili, Benteen wracał z corralu.

Lily Marr skinęła na niego i czekała, aż podejdzie. Patrzyła, jak z twarzy Jacka Beana znika uśmiech, a w jego oczy wkrada się zwątpienie, jak odżywa w nich błysk gniewu. Powiedziała do Benteena:

— Wyznał mi, gdzie są pieniądze. Są w dzbanku do kawy w kuchni domu Aguirre, w Tucson. Wszyscy znają ten dom. Pieniądze należą do rancza Summertona. Proszę im przekazać, gdzie one są.

Ręce Jacka Beana wpiły się w żelazne kraty.

— Lily — wycedził — posuwasz się za daleko w swoich gierkach z mężczyznami! Dowiem się, kto dostanie te pieniądze! Zabiję Summertona, jeśli je tknie! Rozwalę ten przeklęty budynek na kawałki! Kapitanie, trzymaj gębę na kłódkę, jeśli chcesz żyć. Niech szlag trafi wszystkie zazdrosne kobiety!

Nadszedł strażnik niosący metalowy talerz z jedzeniem i blaszany kubek z kawą. Oczy Lily podążyły za jego dłonią, która uniosła się do wysokiego, zewnętrznego narożnika niskiego dachu i wyciągnęła klucz do aresztu. Otworzył zamek w drzwiach. Lily wyciągnęła rękę i wzięła od niego kubek oraz talerz. Kiedy wszyscy mężczyźni ją obserwowali, wylała kawę na jedzenie.

— Otwórz drzwi — poleciła, a gdy strażnik jej posłuchał, pochyliła się i wsunęła talerz po podłodze do wnętrza celi. Drzwi zatrzasnęły się i zamknięto je na klucz. Spojrzenie Benteena przylgnęło do beznamiętnej twarzy Lily Marr; próbował wyczytać, co miała w oczach, na ustach. Wpatrywała się w Jacka Beana, okrutna i bezlitosna.

— Psy jedzą z podłogi, Jack. Oto twój posiłek.

Odwróciła się i ruszyła do kwatery Mixlera.

Mixler i Shiraz właśnie wyszli ze środka, a Shiraz powiedział za siebie coś łagodnego, czego nie dosłyszała, po czym obaj mężczyźni minęli ją, zmierzając w stronę budynku sztabowego. Odwróciwszy się, zobaczyła, jak zatrzymują się przed majorem Warrenem, który podszedł do drzwi. Usłyszała, Mixlera mówiącego zmęczonym głosem:

— Doktor Shiraz powiedział, że Harriet i syn muszą wyjechać z tego upału. Proszę o pozwolenie. Ona chce rano jechać do Apache.

— Niech pan weźmie sześciu ludzi eskorty, panie Mixler.

George Mixler opuścił głowę. Milczał przez chwilę, obaj pozostali oficerowie czekali na to, co powie. Potem zameldował:

— Myślę, że ona wolałaby innego oficera, panie majorze.

Warren oznajmił krótko:

— W takim razie będzie jej towarzyszył pan Ford. Czy chce zabrać również cały swój bagaż?

— Tak jest, panie majorze — odparł tępo Mixler. — Ona nie wraca już do Grant.

Lily Marr obserwowała tę krótką scenkę ze swojego miejsca pod ramadą kwatery Mixlera, a jej oczy dostrzegały wiele rzeczy, których inni

by nie zobaczyli. Miała w sobie tę typową dla ludzi pogranicza spostrzegawczość. Dziecko płakało tak głośno, że wyrwało w końcu George'a Mixlera z jego otępienia. Wpatrywał się przez chwilę niezdecydowany na adobe, ale w końcu poszedł z Shirazem w kierunku sklepu dla żołnierzy. Major Warren przeszedł obok niej, głęboko wzdychając. Z corralu nadszedł Benteen, i na ten widok jej spojrzenie ożywiło się oraz podążyło za nim, gdy zmierzał wzdłuż ściany koszar. W jej cieniu przykucnął Nachee, i Benteen zatrzymał się oraz również przykucnął koło niego; podszedł jeszcze do nich Al Hazel i cała trójka wdała się w jakąś trójstronną naradę, zaś Nachee rysował im coś na piasku.

Dziecko przez cały czas głośno płakało, a Harriet Mixler cichym, wyczerpanym i zrozpaczonym głosem próbowała je uspokoić. Lily Marr jednak jeszcze przez chwilę obserwowała Benteena. Jej usta nabrały słodkiego wyrazu i poruszyły, a na jej ciemnej twarzy pojawiła się uroda. W końcu weszła do domu Mixlera, wyjęła dziecko z mokrego łóżeczka i wzięła je w ramiona. Zaczęła chodzić po pokoju, cicho mrucząc: „Tak-tak-tak". Harriet Mixler leżała na łóżku z twarzą zwróconą ku sufitowi; była wręcz szara ze zmęczenia. Stwierdziła:

— Byłabyś znacznie lepszą matką ode mnie, Lily.

Lily Marr odparła łagodnie:

— A od czego jeszcze jest kobieta?

Po sygnale trąbki na koniec dnia pracy, oraz po zmianie wart, oficerowie posterunku, z wyjątkiem Raya Lankerwella, który był na patrolu zwiadowczym, zasiedli do kolacji u Eleanor Warren. Ostrygi pochodziły z puszki od dawna przechowywanej na specjalną okazję, świeża kukurydza prosto z Tucson, wciąż w kolbie, kawa była mocna tak jak to lubią wszyscy żołnierze, a ciasto wyglądało jak ostatnia nuta dramatyzmu.

Kapitan Harrison, uczciwy epikurejczyk, popatrzył na to ciasto z pewnym zaskoczeniem, spróbował po malutkiego kawałka i uderzył dłonią w stół:

— Eleanor, skąd, na Boga, wzięłaś jabłka?

— To był przepis mojej matki, kiedy zapasy spadły do zera. Szarlotka bez jabłek. Robi się ciasto. Namacza się krakersy sodowe, aż zmiękną, doprawia się je cynamonem i ekstraktem z cytryny - i nadzienie gotowe. Jeśli ktoś jest naprawdę głodny, smakuje jak jabłka.

— Ach — pochwalił kapitan — jesteś świetną kucharką. Kobieta robi straszną różnicę dla mężczyzny. Dużo czasu zajęło mi przekonanie się o tym - a teraz jest już za późno. Masz szczęście, Phil.

Eleanor rzuciła:

— Szczęście, że masz kobietę, czy szczęście, że masz kucharkę?

Phil ją zaskoczył. Wzniósł kieliszek z winem i uśmiechnął się szeroko.

— Za kobiety — oznajmił.

Toast w jego wykonaniu był tak niespodziewanie szarmancki, że aż się zarumieniła. Jej ojciec rzucił Castletonowi szybkie spojrzenie, podbródek Benteena uniósł się, jakby jego dryfujące gdzieś zainteresowanie zostało

przyciągnięte z powrotem, i na moment przy stole zapadła cisza. Przeżyła wtedy chwilę szczerego strachu, że cisza zmieni Phila z powrotem w takiego człowieka, jakim był, że nie będzie w stanie udźwignąć tego ciężaru pod tymi ważącymi go spojrzeniami. Wiedziała bowiem, co siedzi w umysłach tych ludzi. Ich opinie na temat Phila zostały już ukształtowane i niełatwo było je zmienić; z tym właśnie musiał się zmierzyć. Ale on wciąż się uśmiechał, patrząc na nich. Spojrzał im w oczy, a jego głos zabrzmiał absolutnie swobodnie:

— Za kobiety, za Eleanor.

Harrison natychmiast odkopnął swoje krzesło, a wszyscy poderwali się, ukłonili się jej i wypili. Nie była emocjonalną dziewczyną, a jednak przypływ uczuć, tak silnych i wdzięcznych, sprawił, że spuściła głowę; była bliska płaczu.

— Wszyscy jesteście — mruknęła — naprawdę prawdziwymi dżentelmenami.

Wciąż stali. Tom Benteen popatrzył na Lily Marr. Uśmiechnął się do niej z głęboko skrywanym zainteresowaniem.

— Również za pannę Lily.

Wypili więc ponownie i czekali - to George Mixler dodał cicho:

— Za moją żonę.

W ten sposób skończyli, odsunęli się od stołu i zapalili cygara. Wszyscy pozostali na swoich krzesłach, z wyjątkiem Benteena, który zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. Na jego twarzy znów pojawił się stary, skrzywiony wyraz, a oczy przybrały lekko ironiczny kolor. Eleanor przysłuchiwała się powolnej rozmowie ojca, w międzyczasie skupiając swoją uwagę na Philu Castletonie. Była jednak świadoma obecności Benteena i kiedy zatrzymał się przy drzwiach, od razu na niego spojrzała, zastanawiając się, czy zamierza wyjść. Oparł się o ościeżnicę drzwi, rozluźniony i wychudzony. Odwrócił głowę, napotkał jej spojrzenie i odpowiedział swoim, aż wyczuła coś w jego głowie, równie dobrze jak słowa. Odwróciła wzrok.

Jej ojciec powiedział:

— Ten wybuch prawie sparaliżował Terytorium. Nie jestem za bardzo zadowolony z naszej taktyki. Myślę, że Indian w całym kraju zachęciły sukcesy Antone. Nie wiem, jak długo uda nam się podążać jego śladem, bez konieczności zdobycia nowych koni

Harrison zauważył:

— Jak, do diabła, rząd może oczekiwać, że da się utrzymać porządek na obszarze dwa razy większym od całej Nowej Anglii, przy pomocy czterech rozproszonych regimentów kawalerii?

— Rzeczą, która nas załatwia — rozważał Warren — jest ruchliwość Antone. To jak próba schwytania cienia. Gdyby możliwe było zaskoczenie go lub otoczenie, zaraz jutro wyruszyłbym wszystkimi siłami...

Od strony drzwi odezwał się Benteen:

— Nachee mówi, że Antone jest wyczerpany.

Castleton odezwał się, nie będąc w stanie ukryć swoich podejrzeń.

— Skąd Nachee to wie?

— Ten ostatni wojownik, którego sprowadził Ford, rozmawiał z Nachee. Antone wkrótce będzie musiał się zatrzymać i zacząć walczyć z konieczności - w przeciwnym razie utraci autorytet wśród ludzi, którym przewodzi. Są coraz bardziej zmęczeni ucieczką. Będzie więc musiał poszukać jakiegoś remedium. Jedynym, jakie może znaleźć, jest atak.

Cogodzinne nawoływania przebiegły od wartownika do wartownika, wszystkie głosy brzmiały równo i mocno w rozgrzanej ciemności. Wartownik na posterunku numer jeden rzucił nagle w nocny mrok żądanie identyfikacji. Usłyszeli odpowiedź Raya Lankerwella:

— Oficer wraz z oddziałem.

— Stać, oficer wraz z oddziałem! Kapral dowódca warty wzywany na posterunek numer jeden!

Wkrótce na placu apelowym rozległ się tupot oddziału wartowniczego i nastąpiła cicha, zdawkowa wymiana zdań, a po niej tętent nadjeżdżającego oddziału. Oficerowie w pokoju wstali, spragnieni wieści, i po chwili Benteen odsunął się od drzwi, by wpuścić Raya Lankerwella.

Pył alkaliczny pobielił mundur Lankerwella i przylgnął do jego spalonych słońcem policzków niczym sucha pasta z mąki. Miał podpuchnięte powieki i popękane wargi; jego głos brzmiał ochryple, a ramiona obwisły z prawdziwego zmęczenia.

Zasalutował majorowi.

— Melduję powrót oddziału z patrolu, panie majorze. Przecięliśmy świeży szlak Apaczów w Pinalach i podążaliśmy nim tak długo, jak się dało. Antone przemieszcza się dosyć wolno przez wzgórza, nie jest skłonny aby się poddać. Zauważyłem jego grupę w bardzo trudnym miejscu, na dnie kanionu, ale nie mogłem zaatakować. Miał ze sobą kobiety i dzieci. W sumie było ich wielu - myślę, że pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu.

Warren odparł:

— Proszę dołączyć do nas, panie Lankerwell, kiedy się pan odświeży.

Lankerwell opuścił pokój, a Benteen powrócił na swoje miejsce przy drzwiach, wpatrując się w ciemny plac apelowy. Jego długie palce bębniły po ścianie z cegieł adobe, co było kluczem do stanu jego umysłu. Eleanor, która nigdy nie potrafiła wyrwać go ze swoich myśli, obserwowała te narastające sygnały niepokoju. Wszyscy pozostali oficerowie odwrócili się do Warrena i milczeli, wiedząc, że podejmuje on właśnie jakąś decyzję. Warren długo przyglądał się swojemu cygaru, jego rumiane policzki nabrały powagi, a po chwili Benteeen odwrócił się w jego stronę, jakby czekał na coś, co się z pewnością wydarzy. Major Warren odłożył cygaro:

— Dobrze, panie Benteen. Spróbujemy.

Benteen natychmiast wypadł z pokoju, a jego głos zahuczał echem nad placem apelowym.

— McSween!

Major Warren przetoczył cygaro między palcami, bardzo świadom panującej ciszy. Eleanor zauważyła, że gdy się odezwał, jego słowa wyraźnie go niepokoiły.

— Pan Benteen zasugerował mi wczoraj pewien plan. W wędrówkach Antone można znaleźć pewien wzorzec, coś w rodzaju generalnego

podążania po swoich śladach. Wymęczyliśmy go, ale prawdą jest także, że on wymęczył nas. Da się zauważyć, że nie oderwał się on od tych kilku ostatnich oddziałów tak szybko, jak to miało miejsce w przypadku pierwszych. Robi się trochę bardziej nieostrożny, najwyraźniej wierząc, że się do niego nie zbliżymy. Pan Benteen wyruszy dziś w nocy z Alem Hazelem i Nachee. Zaproponował, że kiedy zobaczy Antone, odeśle oddział z powrotem. Pozostanie na zwiadach jedynie z Alem Hazelem i Nachee oraz jednym lub dwoma dodatkowymi żołnierzami. Będzie podążać za Antone, wysyłając posiadanych żołnierzy z powrotem po swoim szlaku, jako kurierów. W tym czasie ja przejmę dowodzenie sił wysyłanych w pole.

Harrison zauważył:

— Ten młody człowiek znajdzie się w bardzo niewielkim towarzystwie pośrodku tych wzgórz, z gromadami przeklętych dzikusów skradającymi się wokół niego. Czy ma nadzieję, że uda mu się pozostać niezauważonym?

— Istnieje pewne niebezpieczeństwo — przyznał Warren. — Jednak pan Benteen ma pewne predyspozycje do tego typu kampanii, studiował je bardzo dokładnie i wie o zwyczajach Indian tyle, co żaden inny oficer w Arizonie. Al Hazel ma do niego duże zaufanie, co jest dobrą rekomendacją. I był w stanie uzyskać więcej informacji od Nachee niż jakikolwiek inny człowiek. W przeciwnym razie nie pozwoliłbym mu na takie ryzyko.

Latarnie zamigotały jasno wzdłuż placu apelowego, i zabrzmiał stanowczy głos sierżanta McSweena. W stajniach rozległy się hałasy, i w mroku pojawiły się jeszcze ciemniejsze cienie. Jakiś człowiek krzyknął:

— Conway… gdzie jest Conway?

Oficerowie wylegli na dwór, by obserwować i słuchać co się dzieje, a Eleanor przełożyła rękę przez łokieć Castletona i stanęła z nim pod ramadą. Nagle zapragnęła by coś powiedział, aby poznać jego myśli. Jej ojciec dał Benteenowi wolną rękę, a więc znacznie więcej niż jakiemukolwiek innemu oficerowi na tym posterunku, a czyniąc to, okazał mu większe zaufanie niż pozostałym oficerom. Wszyscy stojący tutaj, zdawali sobie z tego sprawę. Świadomość ta musiała tkwić również w umyśle Castletona, bez wątpienia mocno drażniąc jego zranioną dumę, wypalając część jego ogromnej wiary w siebie i budując jeszcze większą urazę. Lecz on wciąż milczał. Współczuła mu wtedy tego wszystkiego, przez co przechodził, podzielając jego ból, dumna ze sposobu, w jaki go do tej pory tego wieczoru ukrywał, i z tego powodu przytuliła się mocniej do niego. Zacisnęła dłoń na jego łokciu.

Oddział formował szyk, głęboki głos sierżanta McSweena poganiał go do tego. George Mixler nagle odłączył się od grupy oficerów i podszedł do Benteena, który stał przy swoim koniu. Mixler powiedział:

— Tom, jesteś piekielnie dobrym żołnierzem. Życzę ci powodzenia. Idź pożegnać się z Harriet. Ona bardzo cię ceni.

Benteen położył swoją długą rękę na ramieniu Mixlera.

— George — odparł — powiedziałeś jej już wszystko, co mogłeś powiedzieć? Miała zły okres. Pamiętaj o tym.

— Nie — mruknął George Mixler — nie jestem w stanie zmienić jej zdania. Ona nie chce mnie słuchać.

Benteen skierował się do kwatery Mixlerów, chyląc głowę w niskich drzwiach. Lily Marr siedziała w pokoju na tyłach domu, kołysząc kołyską, a Harriet leżała na łóżku. Jej oczy zwróciły się ku Benteenowi, złe wspomnienia zniknęły, a usta zmiękczył jej wyraz zadowolenia. Lily Marr zobaczyła to i sposób, w jaki twarz Benteena rozluźniła się w szczerym uznaniu mężczyzny dla kobiety; Lily Marr natychmiast wstała i cicho wyszła z pokoju.

— Harriet — powiedział Benteen — nie będzie cię tutaj, kiedy wrócę. Czy ten posterunek nie jest już wystarczająco ponury bez twojego wyjazdu, który uczyni go jeszcze bardziej ponurym miejscem?

Wzięła go za rękę i trzymała ją mocno, jakby pragnęła jego wsparcia.

— Tom — wyszeptała — ja tu nigdy nie wrócę.

Popatrzył na nią, światło przebiegało po jego opalonej twarzy i skinął głową, jakby wiedział co czuła.

— Tutaj jest ciężko dla ciebie i dla chłopca — stwierdził. — Rozsądnie będzie pojechać do Apache i uciec od upału. Jeśli chodzi o wyjazd dalej, to już tylko i wyłącznie twój problem. Chcesz uciec. Przed czym, Harriet? Lepiej upewnij się, że przed czymś, czego nigdy już nie będziesz chciała. Mężczyzna i kobieta, w czasie pierwszego roku - dwu, muszą przejść przez wiele problemów. To coś, co będziesz pamiętać później - i żaden inny mężczyzna nie będzie już dla ciebie znaczył tyle samo. To trudny kraj, a życie w wojsku jest ciężkie. Dla nas wszystkich, Harriet. A ty dajesz George'owi najgorszy wycisk, jaki może dostać człowiek. Ale niech cię Bóg błogosławi. Bądź dobrą dziewczynką.

Miała łzy w oczach. Wyszeptała:

— On nazywa się Tom George Mixler.

Przyciągnęła go do siebie, objęła za szyję i pocałowała. Pozostał w tym niezręcznym uścisku przez chwilę, poruszony pełnym zagubienia i samotności uczuciem, które ją przepełniało. Odsunął się jednak z uśmiechem i przesunął palcem po kosmyku jej włosów.

— Myślisz o życiu pełnym zabaw, które prowadziłaś jako dziewczyna. Wrócisz na Wschód i spróbujesz znowu być tą dziewczyną. Ale okaże się, że ten czas już minął. Jesteś żoną oficera z pustynnymi solami alkalicznymi we krwi. Poczekaj i zobaczysz.

Odwrócił się od niej jednym ruchem, zaniepokojony smutnym wyrazem jej twarzy, i zastał czekającą pod czarną ramadą Lily Marr. Założył już wcześniej kapelusz, ale natychmiast zdjął go ponownie.

— Lily — spytał — co pani zamierza zrobić z Jackiem Beanem?

W ciemności widoczna była tylko jej silna postać, z ramionami nachylonymi w jego stronę i okrągłym owalem twarzy niewyraźnie błyszczącym ku niemu. Nie odpowiedziała na jego pytanie. Pozwoliła, by przez dłuższą chwilę panowała cisza, po czym mruknęła:

— Proszę uważać na siebie — i weszła do domu.

Benteen podszedł bezpośrednio do grupy oficerów i uścisnął im dłonie. Major Warren oznajmił:

— To wyłącznie pańska decyzja, panie Benteen. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

Na placu apelowym wyruszający oddział odliczał obecność, a głosy żołnierzy rozbrzmiewały ostro w miękkim bezruchu pustyni. Benteen stanął przed Castletonem, przez chwilę niezdecydowany i niepewny, nie chcąc robić sceny. Lecz Castleton wyciągnął ku niemu dłoń, o dziwo. Wszyscy słuchali. Głos Castletona, serdeczny jak nigdy wcześniej, oświadczył:

— Załatw go, Tom. Tom. Jeśli to zrobisz, z radością przyznam, że jesteś lepszy ode mnie.

Benteen mruknął:

— Cóż za szczodra propozycja — a później poczuł lekki ucisk dłoni Eleanor.

Nie odezwała się, a on nie widział jej twarzy i nie miał w głowie nic, co mógłby jej bezpiecznie powiedzieć, więc odszedł do swojego oddziału, wsiadł na konia i przyjął raport sierżanta McSweena. Al Hazel wyszedł z cienia razem z Nachee. Benteen wydał rozkaz:

— Dwójki w prawooo, zwrot!

Kolumna ruszyła, okrążyła dom komendanta i pogrążyła się w ciemnościach. W ten sposób Benteen zostawił za sobą Camp Grant, kierując się na wschód, w stronę koryta Aravaipa Creek. Przed nim wznosiła się czarna sylwetka góry, a na bezkresnym niebie świeciło kryształowo mrowie jasnych gwiazd.

Eleanor trzymała Castletona pod ramię, podczas gdy pozostali oficerowie oddalili się - jej ojciec do domu, Harrison i Ford do sklepu dla żołnierzy, aby wypić zwyczajową wieczorną kawę. Przyszedł Lankerwell i udał się do domu, by zobaczyć się z jej ojcem. Została sama z Castletonem.

— Phil — powiedziała — jestem z ciebie bardzo dumna. I bardzo ci wdzięczna.

— Za co? — zapytał niepewnym głosem.

— Za to, że jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałam. Zdobyłeś dziś przyjaciół, których nigdy wcześniej nie miałeś.

Światło ze środka adobe wylało się na zewnątrz i dotknęło ich obojga. Uniosła podbródek, nie mogąc się doczekać jego odpowiedzi. Uśmiechał się i wydawał się być rozbawiony, lecz w głębi jego oczu dostrzegła coś, co zniszczyło jej przyjemność; był to gorący, piekący wyraz, którego nie potrafił do końca ukryć. Oznajmił:

— Jeśli tak wygląda gra, Eleanor, to chyba jestem w stanie w nią grać.

— Gra? Czekaj, Phil...

— Czy też czymkolwiek to jest — dodał i odszedł.

Eleanor oparła się ramieniem o słup podtrzymujący ramadę i spoglądała, jak jego sylwetka roztapia się w mrokach nocy. Przez chwilę czuła silną chęć, aby zawołać go z powrotem, objąć go ramionami i uspokoić, w nadziei, że to zmieni go z powrotem w takiego, jakim był przy stole. Zdawała sobie sprawę, że przechodził przez męki; jego nieszczęście kołysało nim na boki, aż zrobił się niestabilny jak piasek. Myślenie o nim w

ten sposób sprawiało jej ból, niepokoiło ją i wywoływało wątpliwości, które zakłócały jej lojalność.

Ostatnie echa oddziału Benteena zamarły w ciemnościach. Rozświetlany światłem księżyca mrok zamknął się wokół niej, otoczył ją bezruch pustyni, bezwietrzne powietrze drżało tajemnicą, a posterunek wydawał się być pozbawiony życia. Z pewnym zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że zawsze tak było, kiedy Benteen wyjeżdżał. Jakaś część pewności, jakaś część przyjemności i mocno satysfakcjonującej części jej życia, odchodziły wraz z nim. Pomyślała z narastającym niepokojem, że istnieją w jej duszy jakieś tajemne impulsy, które nie poddają się rozsądkowi i nie dadzą się stłumić; bo obecnie wspomnienie Benteena, jego głosu, jego uśmiechu i jego zabiegów wokół niej, stało się w niekontrolowany sposób bliskie i realne. Uderzyło ją nagle i nie chciało odejść, a ona wstydziła się władzy, jaką miało ono nad jej wolą. W pewnym sensie było to coś podobnego do głodu. Szybko weszła do domu i zaczęła rozmawiać z Rayem Lankerwellem, potrzebując czegoś co odwróciłoby jej uwagę i zatrzymało myśli.

Cowen wszedł do sklepu dla żołnierzy i pokazał markietanowi ponurą twarz.

— Gdybym był o dziesięć lat młodszy, byłbym członkiem takich oddziałów. Co ma myśleć mężczyzna, zmywający garnki i patelnie po takim życiu, jakie miałem? Daj mi kwartę whisky, Bell.

Markietan spytał:

— Kwartę, Cowen?

— Do pasztetu w cieście - mam zamiar zrobić pasztet!

— A skąd — zapytał Bell — wziąłeś mielone mięso?

— Ach — odparł tajemniczo Cowen, zapłacił za whisky i wyszedł.

Ściskając butelkę pod pachą, okrążył plac apelowy i w końcu dotarł do piekarni. Wślizgnął się do pokoju na tyłach piekarni, odkorkował butelkę i postawił ją na środku stołu. Przysunął krzesło do stołu, usiadł, skrzyżował ramiona i wpatrywał się w butelkę, a jego czarne brwi nastroszyły się nad oczami.

— A teraz — oznajmił — ty, dymie Szatana, najwyższy czas, żebyśmy to sobie wyjaśnili. Pokusa jest tuż przede mną, będę z nią walczyć. Picie jest przekleństwem. Niszczy umysł człowieka i przytępia jego subtelne zmysły, powoduje raka, a pewien człowiek w Szkocji powiedział, że wysusza mu całe ciało w żołądku. Picie…

Pół godziny później Cowen wyszedł z piekarni, wkroczył statecznie na plac apelowy. Zatrzymał się tam, chwycił butelkę za szyjkę i odrzucił ją daleko od siebie. Powiedział:

— Ach — beknął potężnie i otworzył usta, nagle wyjąc na całe gardło:
— Apacze… Apacze! Hej, warta… Apacze! Widzę tu tych diabłów!

Po całym placu apelowym rozległ się tupot butów i krzyki wartownika na posterunku czwartym. Wokół czworoboku koszarowego rozbłysły światła, a Howell Ford, oficer dyżurny, wypadł z budynku sztabu. Cowen rozstawił nogi, zachwiał się jak wysokie drzewo na silnym wietrze i padł

jak długi na twarz. Gdy wartownik na posterunku czwartym podbiegł, usłyszał, jak Cowen bełkocze z twarzą zanurzoną w głębokim piachu:

— Puśćcie moje nogi, wy czerwonoskórzy mordercy! Puśćcie moje nogi!

Rozdział XIV

Po północy rozbili obóz w trudnym terenie na północny wschód od Grant. W pierwszym świetle poranka ujrzeli w oddali sygnały dymne, które powtórzyły się na innym szczycie. Benteen zwrócił się do Ala Hazela.

— Zapytaj Nachee, co to znaczy.

Al Hazel spytał i wysłuchał krótkiej odpowiedzi Nachee.

— Mówi, że to ostrzeżenie, że tu jesteśmy. Zobaczyli nas.

— Banda Antone musiała znowu się podzielić. Który z tych sygnałów to Antone?

Al Hazel zajął się tłumaczeniem. Nachee długo przyglądał się sygnałom dymnym i wzruszył ramionami, mówiąc coś.

— On myśli, że może to ten na północy — przetłumaczył Al Hazel.

— W Mescalach. W tę stronę pojedziemy. Chcę, żeby wiedzieli, dokąd zmierzamy.

Zjedli bekon i podpłomyk - podpłomyk smażony na tłuszczu z bekonu - oraz napili się gorzkiej, czarnej kawy, i ruszyli dalej, przekraczając rzekę Gila i wkraczając na nierówny teren poza nią. Podążali potrzaskanymi zboczami Mescali, zanurzając się od kanionu do kanionu, a tej nocy rozbili obóz, mając przed sobą stożkowaty szczyt Pinali. Tego dnia przecięli wiele śladów. Nachee przekazał przez Ala Hazela:

— Gdzieś był atak. To ludzie Antone wracający do Pinali. Być może znajdzie pan tam Antone. Będzie miał ze sobą Chiricahua.

Po kolacji, gdy nad wzgórzami szybko zapadł zmrok, a księżyc świecił jasno, Nachee podciągnął zwinięte do tej pory getry swoich mokasynów i wymknął się z obozu.

— To jest coś, co kocha każdy Indianiec — stwierdził Al Hazel. — Czołgać się i skradać, miękko jak wąż. Nachee był spokojny przez tak cholernie długi czas, że zrobił się niespokojny. Więc po prostu dobrze się bawi. Zauważył pan to spojrzenie w jego oczach, kiedy odchodził? Błyszczące, jak oczy kota, który bije ogonem i myśli o kłopotach.

Dzień był długi, gorący i pełen pyłu, więc teraz szmery żołnierzy szybko ucichły i obóz pod gwiazdami pogrążył się w ciszy, której nie przerywał żaden dźwięk poza tupotem butów wartowników o twardą ziemię. Benteen wygniótł sobie zagłębienie na biodra, oparł głowę na siodle i obserwował niezliczone ilości gwiazd na niebie. Ktoś poruszył się wśród śpiących i Benteen, podnosząc się na łokciu, zobaczył van Rhyna kucającego nad okrągłą, matowo jaśniejącą pozostałością po ognisku. Twarz van Rhyna, słabo oświetlona blaskiem żaru, wyglądała na starą i pomarszczoną, a wspomnienia nie pozwalały mu zasnąć. Leżąc na swoim kocu, Benteen poczuł pokrewieństwo z tymi wszystkimi ludźmi i wiedział,

co kryje się w ich umysłach i sercach. Przypominali sobie złamany bieg ich życia i utracone szanse, albo wciąż niespełnione ambicje lub takie, na które nie ma już nadziei, twarze kobiet jaśniejące z przeszłości i głosy kobiet, płaczliwe, rozgniewane lub roześmiane; barwę i ciepło jakichś wzniosłych chwil, które, raz przeżyte, będą dla nich ciepłe tak długo, jak długo będzie trwało ich życie; błędy, które nawet teraz jeszcze budziły cichy jęk, wspomnienie barowych bójek, które sprawiały, że mogli napiąć mięśnie i poczuć się silnymi. Na jawie wspominali te wszystkie rzeczy i odczuwali głód czegoś, czego nie potrafili nazwać; we śnie wszystko to podążało za nimi przez niezborne sny.

To byli jego ludzie. Znał ich, bo znał siebie. Takie wspomnienia należały również do niego, pragnienia należały do niego, a także poczucie wielkiej przygody, która go ominęła, podczas gdy on starzał się w kurzu i powszedniości dni.

To właśnie w tych godzinach, kiedy nie mógł zająć się czymś fizycznie, wspomnienia z jego własnego życia stawały się takie żywe i intensywne. Myślał teraz, tak jak przez większość godzin w czasie ostatnich pięciu lat, o Lucy Beauregard, wspominając ton jej głosu i bystrość spojrzenia. Od tamtej pory większość jego życia pozostawała pod wpływem ciągłego obrazu, jaki wytworzyła sobie w jego umyśle. Potem - a to było dla niego coś nowego w torze jego myśli - przypomniał sobie, co Eleanor Warren powiedziała mu, że musi zrobić. Wspomnienie kobiety z przeszłości było dla mężczyzny wątłym światłem; albo należało ją odnaleźć, albo całkowicie o niej zapomnieć. Przypomniał sobie łagodny wyraz twarzy Eleanor, kiedy to mówiła, i w tej chwili poczuł bliskość jej ciała, tak jak w Forcie Lowell, oraz delikatne brzmienie jej śmiechu w ciemności. Tak rozmyślając, zasnął.

Następnego ranka w głębi surowych Pinali natknęli się na świeższy trop. Rozproszeni ludzie Antone zebrali się i jechali gdzieś przed nimi. Na północnym wschodzie znajdował się kanion, pogłębiający się, ciemniejący i coraz węższy, w miarę jak otaczający teren wznosił się w stronę wyróżniającego się wysokością szczytu górskiego. W kanionie zatrzymał się i wysłał małe grupy zwiadowcze; około południa, po powrocie tych grup, nadal nie miał pełnego obrazu, więc zabrał oddział wzdłuż południowej krawędzi kanionu na odległość siedmiu lub ośmiu mil. Od czasu do czasu z południa pojawiały się odciski niepodkutych kopyt i zanurzały w kanionie, co zdarzało się na tyle często, by wskazywać na jakieś zgromadzenie Apaczów po północnej stronie, w stronę tego wysokiego szczytu. Zdecydowawszy się na tę wersję, odnalazł ścieżkę prowadzącą w głąb kanionu. Nachee zbadał jego żwirowe dno i pokręcił głową, zwracając się do Ala Hazela, który przetłumaczył jego słowa.

— Nie tędy. Gdzieś w górze, na wyżej położonym terenie.

Spędzili godzinę na znalezieniu wąskiej półki wyprowadzającej ich z kanionu na północną stronę, i w ciągu następnej godziny przecięli zdecydowanie świeższą serię tropów. Ich droga nadal prowadziła na północny wschód w kierunku wysokiego szczytu. Cała okolica była mocno zniszczona, skalne schronienia tłoczyły się na skalnych schronieniach, a równoległe grzbiety rozdzielone były trudnymi do przebycia wąwozami. W

środkowych godzinach popołudnia Benteen, szukając właśnie takiego miejsca, zatrzymał oddział na wierzchołku wzgórza, które otaczały skaliste występy, zapewniające znaczne bezpieczeństwo ze wszystkich stron. W tym miejscu znajdowali się wystarczająco wysoko na wzgórzach i byli wystarczająco dobrze osłonięci skałami, aby pozostać w ukryciu przed oczami zwiadowców Apaczów. Oddział zsiadł z koni, aby dać im odpocząć, podczas gdy Benteen studiował swoją kieszonkową mapę. Nachee zaczął, przy pomocy łodygi krzewu szałwii, rysować na ziemi obrazy, rozmawiając z Alem Hazelem.

Al Hazel powiedział:

— On uważa, że Antone będzie na tej wysokiej górze, tak. Jest tam naturalna roślinność i dużo fasoli mesquite. Jest też źródło. Ale teren prowadzący na jej szczyt jest dość trudny do ataku. Nachee mówi, że mieszkał tam jako chłopiec - czasami ukrywali się tam przed Tonto, gdy ci schodzili z gór podczas swoich rajdów.

Benteen pokazał Hazelowi mapę.

— Jeśli Antone będzie dalej się przemieszczał, to raczej nie na wschód. Zbytnio zbliżyłby się do Fort Apache. Jak tylko nasz oddział wróci do Grant, Antone zrobi jedną z trzech rzeczy. Zostanie na tym szczycie, aby odpocząć, pójdzie dalej na północ, przez Salt i w Góry Mazatzal, albo zrobi to, co robił wcześniej - zawróci tędy. Myślę, że to całkiem solidne przypuszczenie. Zapytaj Nachee.

Nachee wysłuchał Hazela, zastanowił się i odpowiedział. Hazel przekazał:

— Myśli, że Antone zawróci tędy, aby pokazać swoim wojownikom, że się nie boi. A także po to, by wykopać mescal, który prawdopodobnie mają ugotowany w okolicznych dołach.

— No to, zrobimy tak — zdecydował Benteen. — McSween zabierze oddział do Grant. Zwiadowcy Antone będą pilnować czy odjechali. Ty, Nachee i ja zostaniemy tutaj. Kiedy zapadnie zmrok, ruszymy dalej i przeprowadzimy mały zwiad. Chodzi o to, by śledzić ruchy Antone, dopóki major Warren nie przybędzie z całym oddziałem.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i ołówek, po czym napisał do Warrena następującą notatkę:

Panie majorze

Na załączonej mapie zaznaczyłem, gdzie jesteśmy i gdzie prawdopodobnie jest Antone. Jeśli Antone zawróci tą drogą, spotkamy się z panem, kiedy nadjedzie pańska kolumna. Jeśli Antone zmieni sposób działania, podążymy za nim, ale wyślę Nachee jako łącznika, który doprowadzi was do naszego nowego miejsca postoju. Możliwe jest, że Antone wycofa się dalej, najprawdopodobniej w kierunku Mazatzalów. W takim przypadku, zgodnie z naszym wstępnym planem, myślę, że mądrze byłoby wysłać część oddziału prosto na północ, nocnym marszem, przekroczyć Salt i przeczesać północną podstawę Mescali, aby przechwycić

każdą taką grupę, a główne siły w międzyczasie pomaszerują bezpośrednio do tego miejsca.

Z wyrazami szacunku

T.C. Benteen

Złożył kartkę z notatką i wręczył ją McSweenowi. McSween skinął ręką na żołnierzy, którzy podnieśli się z ziemi i byli gotowi do drogi. Ale McSween pogładził grzbietem dłoni swoje czarne wąsy, niechętnie ruszając w drogę.

— Panie poruczniku — powiedział — to piekielnie trudny kraj dla trzech ludzi. Czy nie powinniście zatrzymać ze sobą jeszcze paru?

— Powodzenia, McSween — odesłał go Benteen.

— Ach, jeśli o to chodzi — odparł McSween, — myślę, że zostawię tu całe moje szczęście, bo to wy będziecie go potrzebować.

Oddział skierował się pod górę i pojechał z powrotem, przez skaliste szczeliny grzbietu górskiego, wkrótce rozpoczynając drogę w dół. Ze swojej pozycji Benteen obserwował, jak zmierzają coraz głębiej w kierunku kanionu, aż w końcu stracił ich z pola widzenia. Tuż przed zniknięciem za nierównościami terenu, McSween odwrócił się, aby spojrzeć za siebie - nie machając ręką, bo byłby to gest mogący ich zdradzić - ale jadąc wykręcony w siodle, dopóki nie zniknął.

Nachee przykucnął na środku niedawnego obozu, wpatrując się w Benteena i nagle odezwał się do Hazela, zadając oczywiste pytanie. Hazel odpowiedział, na co Nachee chrząknął w zamyśleniu. Hazel uśmiechnął się do Benteena.

— Chciał wiedzieć, co robimy. Powiedziałem mu.

Nachee pokręcił głową i zwrócił się do Ala Hazela.

— Antone to lis, Nantan.

Był środek południa, bezlitosne słońce raziło szczyt wzgórza i kilka porozrzucanych na nim sosen. Benteen zabrał trzy konie do środka misy, który stanowił jej najgłębszą część, aby trzymać je poza zasięgiem obcych oczu, a trzej mężczyźni rozstawili się wokół skalistego występu, mając w ten sposób widok na całą okolicę. W promieniu trzech lub czterech mil od tego miejsca nie było żadnego wyższego wzgórza, a wystająca bazaltowa krawędź, która otaczała misę, skrywała konie i ludzi przed obserwacją z niżej położonego terenu.

Gdzieś około piątej Benteen, spoglądając na północ przez szczelinę między skałami, pomyślał, że na sąsiednim grzbiecie dostrzegł ruch, coś, co prześlizgiwało się od jednej kępy kaktusów do drugiej. Zawołał Nachee. Nachee wpatrywał się w to odległe miejsce przez całe pięć minut, nie poruszając się ani na chwilę; potem powiedział przez Hazela:

— Mały jeleń, Nantan.

Al Hazel zauważył:

— Teraz to jeleń, ale za chwilę będzie Indianiec. Antone wie, że oddział ruszył w drogę do domu. Wyśle zwiadowców na ten teren.

Powtórzył to w języku Apaczów, a Nachee powiedział:
— Do tej pory muszą być już blisko.
Nachee odwrócił się od skał i przykucnął na ziemi, wpatrując się w niebo z półprzymkniętymi oczami, jakby wsłuchiwał się w martwe, gorące powietrze. Tył koszuli zwisał mu między żylastymi nogami, ręce spoczywały bezczynnie na kolanach, a na jego twarzy panował całkowity bezruch. Nachee dobiegał pięćdziesiątki i był niskiego wzrostu, jak większość Apaczów, ale jego policzki były gładkie jak u Benteena, a w oczach błyszczała witalność. Włosy, przytrzymywane na czole przez pojedynczy pas czerwonego perkalu, miał czarne jak pióra wrony.
Słońce chyliło się ku zachodowi. Kiedy dotknęło poszarpanej krawędzi wzgórz, jego jaskrawoczerwona kula zdawała się pękać jak żółtko jajka, rozlewając się na kopuły, iglice i szorstkie szczyty Pinali. Światło rozbłysło tysiącem ostrych błysków wzdłuż linii nieba, tworząc zorzę o kształcie wachlarza na tle wiszącego w górze błękitu; a potem równie nagle, jak ten spektakularny widok się pojawił, zniknął, a ciemne niebieskości zmierzchu spłynęły po zboczach kanionów. Dalekie linie wzgórz, które Benteen dosyć uważnie obserwował, zrobiły się przed jego oczami niewyraźne. Gorąca cisza spowijała ich przez cały dzień, ale teraz, w półmroku, spokój ten wydawał się jeszcze większy - tak wielki, że z oddali słychać było staccatto uderzeń dzięcioła. Nachee zerwał się na równe nogi i podszedł do odległego końca misy, przykucając obok wyłomu w skałach.
Za jego krawędzią teren opadał ostro na zachód, a Al Hazel, obserwując Nachee ze szczególnym zainteresowaniem, podszedł do koni. Stał z ręką na nosie swojego konia. Benteen zszedł na dół do Hazela.
— On coś zobaczył — powiedział Hazel.
Benteen wspiął się z powrotem do skał i położył się na nich, przyciskając głowę do szczeliny. Niczego nie odkrył, choć uważnie przeczesał porośnięte kaktusami zbocze ich wzgórza. Popatrzył na Nachee, zauważając, jak bardzo napięte jest jego ciało; Nachee klęczał na jednym kolanie, drugą stopę miał zapartą za sobą i gotowy był do natychmiastowego wybicia się. Jedną rękę trzymał na rękojeści noża. Ponownie przeczesując zbocze, Benteen dostrzegł Indianina, który podniósł się z kępy mescali i ruszył pod górę.
Szedł trzymając się nisko, z głową pochyloną ku ziemi. Raz wyprostował się, spoglądając na szczyt. Potem znów spuścił głowę i ruszył do przodu, teraz był już na tyle blisko, że Benteen słyszał drobne szuranie jego mokasynów o pokrytą żwirem ziemię. Dwadzieścia stóp od krawędzi skał, na których leżał Nachee, Indianin znów się zatrzymał i tym razem zdawał się wyczuwać kłopoty. Padł na kolana z rękami opartymi o ziemię, jak biegacz, który przy starcie ma się rzucić do przodu, i trwał w tej pozycji przez długie pół minuty, nie poruszając się. Zbocze było wystarczająco strome, by uniemożliwiać mu widok na misę; nie miał też możliwości dostrzec koni na jej dnie. Na czworakach przeczołgał się jeszcze dwa metry i zupełnie przytulił się do ziemi. W tym momencie Nachee ruszył do akcji.
Nachee skoczył do przodu między skały, wyciągając rękę nad głowę. Leżący na ziemi Indianin wyprostował się i również rzucił na niego; nóż

Nachee trafił go w pierś - odgłos uderzenia był głuchy i wyraźnie słyszalny w panującej ciszy - i przebił płuco Indianina. Indianin wydał jeden dziki okrzyk, który popłynął przez wzgórza, opuścił ręce i upadł u stóp Nachee. Jego ciało potoczyło się nieco w dół wzgórza, opierając się o głaz.

Nachee schylił się, wytarł ostrze noża o kępę trawy i wrócił do skalnej misy. Al Hazel podszedł, zwracając się do Benteena.

— Niedobrze. Mogli usłyszeć tego Indianina nawet z odległości czterech mil od nas.

Przez chwilę rozmawiał z Nachee i czekał na jego spokojną odpowiedź. Następnie przetłumaczył odpowiedź Benteenowi.

— Nachee mówi, że Indianiec wiedział, że tu jesteśmy. Wiedział o tym, gdy upadł na brzuch. Musimy się stąd wycofać.

Nachee wskazał na martwego Indianina.

— Chiricahua, nie Aravaipa. Mnóstwo Chiricahua z Antone, może, Nantan.

Cała trójka zeszła do koni. Ostatnie promienie dnia zniknęły; półksiężyc jaśniał bladym, niewyraźnym blaskiem na tle czarnych krawędzi okolicznych grzbietów wzgórz. Na tej wysokości wraz z nocą przyszedł powiew chłodzącego wiatru, który przyniósł ogromną ulgę po długiej męce słońca. Benteen napił się ze swojej manierki, podczas gdy Nachee rozmawiał z Hazelem.

Hazel przekazał:

— On uważa, że powinniśmy pójść dalej bez koni. Zostawiają za dużo śladów. Jeśli zwiadowcy Antone'a natkną się na ślady, znajdą nas jeszcze przed jutrzejszym dniem.

— Jak daleko jest do szczytu, na którym jest Antone?

— Około dwunastu-piętnastu mil.

Benteen zastanowił się.

— Za długi spacer. Wleklibyśmy się po wzgórzach przez całą noc, a nie wiadomo, dokąd Antone w międzyczasie odjedzie. Musimy się do niego zbliżyć. Zatrzymamy konie i zaryzykujemy. Powiedz Nachee, żeby kierował się na tamten szczyt.

Hazel przekazał rozkaz Nachee, który chrząknął „Enju” i wsiadł na konia. Opuścili misę, zjechali w dół po zboczu i zanurzyli się w czarnym przejściu między wzgórzami, kierując się na wschód, w stronę wysokiego stożkowatego szczytu, na którym zdawał się obozować Antone. Podłoże było żwirowe, a oni sami robili w czasie drogi wyraźny hałas; jednak Nachee najwyraźniej wolał to od bardziej miękkiej ziemi, ponieważ gdzieś dalej skręcił w kolejne koryto potoku, podążał nim, aż się skurczyło, wspiął się na niskie wzgórze i podążył jeszcze inną kamienistą trasą, posuwając się na wschód wykorzystując coś w rodzaju prostopadłej łamanej, która pochłaniała sporo czasu. O północy, z wyżej położonego miejsca, ponownie zobaczyli wysoki szczyt. Leżał teraz na południu. Nachee zatoczył szerokie koło.

Doprowadził ich również do płytkiej strużki wody w skałach. Zatrzymawszy się, by się napić i odpocząć, Benteen oszacował czas, jaki miał upłynąć, zanim żołnierze z Grant dotrą na miejsce.

— McSween dotrze do posterunku jutro w południe. Major Warren prawdopodobnie wyruszy tej samej nocy. Prostym marszem powinien dojechać na miejsce spotkania pojutrze rano. Trzydzieści godzin. Niedługo.

— Wystarczająco długo — stwierdził Al Hazel — jeśli te diabły nas wyśledzą.

— Przecież nie możemy próbować drogi na piechotę. Jeśli Antone zacznie wracać przez wzgórza, musimy trzymać się jego śladu.

— Nie jest to takie złe, co próba dobrania do pary dwójek — stwierdził sucho Hazel — ale i tak jest to spore wyzwanie. Ma pan niezłą głowę, panie poruczniku, inaczej z pewnością by mnie tutaj teraz nie było. — Siedział na ziemi. Nagle podniósł się i zaczął wymachiwać ubraniem. — Cholera. Usiadłem na mrowisku.

Biegał dookoła w ciemności, robiąc spory hałas i wrócił do Benteena. Jego głos był nieco zawstydzony.

— W każdej chwili mogę napluć w oko teksańskiemu grzechotnikowi i wytrząsnąłem z moich koców wiele stonóg. Ale te przeklęte mrówki przyprawiają mnie o dreszcze, od czasów Długiego Jacka Bella.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Mój partner w '65. To był wtedy jeszcze całkiem pusty kraj. Zajmowaliśmy się poszukiwaniem minerałów i oczyszczaniem z futer Mokyonów. Nie było tu żadnego wojska, a Indiańcy przegonili wszystkich Meksykanów do Tucson. To były kiepskie czasy. Byliśmy w Basin, Jack i ja, wiedzieliśmy, że lepiej tam nie być, ale bawiliśmy się cholernie dobrze, po prostu zbierając futra i szukając złota, kiedy pojawiła się banda Tonto i wyskoczyła na nasz obóz. To dosyć trudny teren. Uciekłem i ukryłem się w jakiejś dziurze w skałach. Ale Indiańcy złapali Długiego Jacka i mieli trochę zabawy. Byłem chyba z pół mili od nich, ale jestem pewien, że słyszałem jak krzyczał, aż wreszcie nie mógł już krzyczeć. Rozumie pan, panie poruczniku? Jack nie był krzykaczem, ale wtedy to zrobił. Przeszukali całą okolicę ale mnie nie znaleźli - i wycofali się. Doczołgałem się do miejsca, gdzie był obóz i zobaczyłem, co zostało z Jacka. Odcięli mu powieki i wkopali w mrowisko, twarzą do słońca. Mrówki na pewno zajęły się Jackiem. Od tamtej pory nie za bardzo mogę patrzeć na mrówki. Nie za bardzo mogę też patrzeć na Tonto. O czym oni wiedzą. Poluję na nich od siedmiu lat, a oni na mnie. Jak dotąd rachunek jest po mojej stronie, ale na pewno znalazłbym lepsze miejsce dla starego Ala Hazela niż to tutaj.

— Jak uratowałeś się z tych opałów?

— Doczołgałem się do obozu górniczego, który znajdował się jakieś osiemdziesiąt mil dalej.

— Doczołgałeś się?

— Nie za bardzo mogłem chodzić — powiedział Hazel. — Jedna z kul Tonto przebiła mi nogę.

Jechali w czasie pierwszych godzin po północy, kryjąc się w kanionach i arroyos przecinających te wzgórza i wspinając się z powrotem na szczyty grzbietów, skąd mogli obserwować wysoki szczyt. Wkrótce dotarli do czarnej szczeliny kanionu, którego ściany opadały stromo na nieznaną głębokość. Nachee podążył wzdłuż krawędzi, aż znalazł cienką szparę

między skałami, którą podążał szlak, i poprowadził ich na dno; tam na skałach pienił się potok, najwyraźniej odcinając przejazd. Nachee, który zmierzał do tego miejsca przez całą noc, od razu wjechał do wody i trzymał się jej przez żmudną milę lub więcej, krążąc wśród skał i prowadząc konie po pierś przez sporadyczne rozlewiska. Później wspięli się ryzykowną ścieżką, dojechali do drugiego brzegu kanionu i w końcu dotarli do porośniętej sosnami równiny, za którą ziemia znów się wznosiła.

Nachee odezwał się do Ala Hazela, który przekazał wiadomość Benteenowi.

— Już niedaleko. Zostawimy tu konie.

Benteen ruszył pieszo za Alem Hazelem po miękkim podłożu sosnowej równiny. Od czasu do czasu Al Hazel zatrzymywał się, podnosząc rękę, by ostrzec Benteena. W takich przerwach Nachee wymykał się do przodu, znikał i wracał bez najmniejszego szelestu, by znów poprowadzić ich dalej. Przeszli przez równinę i dotarli do podnóża krótkiego zbocza, ponownie się zatrzymując. Pachnący tytoniem oddech Ala Hazela owiewał twarz Benteena.

— Tam na górze. Niech pan uważa, gdzie stąpa.

Schyleni nisko ku ziemi, zatrzymywali się, by nasłuchiwać, po czym znów wspinali się między kaktusami po kamienistej ziemi. Benteen oparł ciężar ciała na rękach, delikatnie stawiając każdy palec buta; położył dłoń na kłującym ciele ropuchy rogatej i szarpiąc się, omal nie stracił równowagi. Jakaś sosna stała nad nim w górze, mgliście rysując się na tle błyszczącego gwiazdami nieba. Od czasu do czasu widział, jak siedzenie Ala Hazela unosi się i opada. W ten właśnie sposób, stopa za stopą, pokonali ostatni odcinek drogi do góry; w końcu dotarli do korony wzgórza, zatrzymali się i położyli obok siebie, wtuleni w teren, z głowami schowanymi za niewielkim zwałem ziemi.

Obóz Indian leżał nieco poniżej nich, na naturalnej polanie, sto stóp dalej. Pośrodku polany żarzyły się czerwonym blaskiem resztki żaru ogniska. Wokół niego leżały porozrzucane sylwetki śpiących ludzi oraz zarysy indiańskich sprzętów obozowych i pakunków na konie. Konie stały w tuż obok siebie, za ogniskiem, rozpoznawalne po sporadycznych parsknięciach i rżeniach. Jedna z postaci wsunęła się z ciemności, przykucnęła na chwilę nad ogniem i złożyła dłonie, jakby coś jadła. Kiedy to robiła, od strony wszystkich zwiniętych ludzkich kształtów dobiegł głos, głośny, na wpół zrozpaczony i na wpół zbuntowany głos białego mężczyzny:

— Gdybym miał choćby jedną rękę wolną, ty przeklęty czerwony wilku, na pewno zaryzykowałbym ucieczkę.

Benteen poderwał głowę i usłyszał zaskoczone sapnięcie Ala Hazela. Indianin przy ognisku nie odwrócił się, nie zwrócił na niego uwagi. W tym samym czasie inny Indianin przeszedł przez polanę i podszedł do ogniska. Zatrzymał się, kopnął z całej siły nogą jedną z leżących postaci - postać odzywającego się białego człowieka - i ponownie wyszedł ze światła ogniska, kierując się prosto w stronę wzniesienia, na którym leżał Benteen.

Rozdział XV

Gdy tylko McSween wrócił z oddziałem do Grant, major Warren posłał po kapitana Harrisona.

— Oba oddziały przygotują się do wyruszenia dziś wieczorem, z racjami żywnościowymi na tydzień i taborem do przewozu zapasowej amunicji. Po wyruszeniu kolumny pan Lankerwell oddzieli się z dwudziestoma ludźmi z K i pojedzie prosto na północ, okrążając Mescale. Chcę, aby cały sprzęt i konie zostały dokładnie sprawdzone. Nie zostawiamy nikogo poza szkieletową strażą. Zabierzemy wszystkich oficerów. Sierżant Oldbuck pozostanie na posterunku do powrotu pana Forda z Apache. Wyruszamy o zmroku.

Kapitan Harrison wyszedł i wkrótce długi, gorący spokój posterunku ustąpił miejsca ożywionej aktywności. Żołnierze naprawiali buty i pasy, uzupełniali manierki, pobierali racje żywnościowe na drogę i w wielu przypadkach pisali długo odkładane listy do domu. Niektórzy z nich, zgodnie z powszechnym zwyczajem, sporządzali ustne testamenty, przekazując swoje rzeczy temu lub innemu koledze z sąsiedniej pryczy - i organizując transport innych drobiazgów i kosztowności do domu - na wypadek śmierci. Wszystko to było częścią rutyny poprzedzającej wymarsz do kraju Indian, ponieważ wszyscy wiedzieli, że major Warren zamierza doprowadzić do walki, jeśli tylko będzie to możliwe, a także wiedzieli, dzięki powracającemu McSweenowi, że Benteen wytropił Antone. Żołnierze pokładali ogromną wiarę w Benteenie. Jeśli zauważył Antone i planował go obserwować do czasu przybycia Warrena, był to całkiem niezły dowód na to, że walka jest na wyciągnięcie ręki.

Wracając ze stajni w środku popołudnia, Harry Jackson zastał van Rhyna siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na sąsiedniej pryczy, porządkującego swoje rzeczy osobiste - kilka starych listów, zdjęcie wycięte z czasopisma, kilka wycinków z gazety, cynotyp małej dziewczynki i złotą obrączkę. Złożył je w chusteczkę, a teraz skręcił jej końce razem. Zwrócił uwagę Harry'ego Jacksona na chusteczkę, wsuwając ją pod wezgłowie słomianego materaca.

— Harry — powiedział — jeśli nie wrócę, weź to zawiniątko i wyślij je dla mnie pocztą.

— Gdzie jest adres?

Van Rhyn postukał w kieszeń koszuli.

— Znajdziesz go tutaj.

— Wrócisz — pocieszał go Harry Jackson.

— Każdego z nas czeka jego koniec — odpowiedział łagodnie van Rhyn. — Z tego czy innego powodu, mój jest już niedaleki.

Harry Jackson usiadł na krawędzi łóżka. Machnął ręką.

— Do diabła, Van, nie ma się czego bać.

Van Rhyn uśmiechnął się spokojnie:

— Nic nie wspominałem o strachu, Harry. Strach jest dla ludzi młodych, którzy za bardzo kochają życie. Kiedy byłem młodszy, bałem się śmierci. Leżałem nie mogąc zasnąć, myśląc o niej. Wybiegałem umysłem do przodu, próbując wyprzedzić moment, w którym nadejdzie śmierć, próbując odkryć, jak będę się w jej obliczu zachowywał i jak będę się czuł - i to było coś kompletnie złego. Ale nie ma się czego obawiać, Harry. Stopniowo, gdy człowiek się starzeje, staje się bardziej odporny, jego zmysły robią się przytępione, a błędy i bolączki spowalniają jego tempo, i radość życia zanika. Po pewnym czasie przestaje mu zależeć, przestaje walczyć, przestaje czuć. Potem pozostaje już tylko czekać. Będę szczęśliwy, mogąc odejść.

— Nie powinieneś tak mówić — pocieszał go Harry Jackson.

— Jesteś młody i masz wszystko, o czym możesz zamarzyć. To jednak robi różnicę. Nigdy za bardzo nie filozofuj, Harry. Nigdy nie staraj się grać bezpiecznie, gdy serce podpowiada ci, że powinieneś zaryzykować. Życie to głównie kwestia przeklętych, godnych pogardy konwencji, hipokryzji, oszukańczych narzędzi i przyjemnych fikcji skrywających brutalny system naszego świata. Jedna lub dwie, a może trzy rzeczy, mają znaczenie dla człowieka. To według nich powinieneś żyć i dla nich powinieneś żyć. Wszystko inne to bzdury. Ten świat rządzi się prawami stada. Stado ustala zasady i karze człowieka, który nie chce żyć zgodnie z tymi zasadami - tak jak stado wilków zabija lub przepędza samotników, którzy nie chcą podporządkować się zasadom. Nigdy nie pozwól, by stado rządziło twoim życiem. Rób to, co podpowiada ci sumienie, podążaj za własną gwiazdą i bądź swoim własnym panem.

Harry Jackson wpatrywał się w starszego mężczyznę, nie do końca go rozumiejąc. Van Rhyn, zwykle tak cichy i tak daleki od szorstkich rozmów i rozrywek w koszarach, pokazał mu parę jasnych, zgorzkniałych oczu. W tym człowieku palił się ostatni płomień dawnej witalności, ostatni blask ognia, który kiedyś był bardzo silny. Harry Jackson spytał:

— Jakie dwie lub trzy rzeczy mają znaczenie, Van?

— Sam musisz się tego dowiedzieć, Harry. Kiedy się dowiesz, będziesz starym człowiekiem, tak jak ja teraz. Jeśli żyłeś dobrze, ta wiedza będzie dla ciebie pociechą. Jeśli nie, swoje ostatnie dni spędzisz w czyśćcu, który Dante stworzył z nicości.

— Skąd człowiek miałby wiedzieć? — mruknął Harry Jackson.

Uśmiech Van Rhyna był łagodny i wyrozumiały; jego niechęć zniknęła.

— Ach, chciałbym móc ci powiedzieć. Przeczytałem wszystkich filozofów, ale oni nie potrafili mi tego wyjaśnić. Sam sobie odpowiedz, Harry. Nie bądź innym winien niczego. Kompletnie niczego. — Ponownie postukał się w kieszeń piersi. — Tutaj jest trzysta dolarów. Kiedy wyjmiesz adres, weź też pieniądze. Są twoje.

— Na co? — zapytał Harry Jackson, kompletnie zdumiony.

Van Rhyn otarł pot z czoła. Jego twarz była napięta i zmęczona; wyglądał staro.

— Na drinka, na pokera, na kobiety, na początek kariery. Na cokolwiek, Harry, co wyciśnie jeszcze jedną kroplę smaku ze skórki pomarańczy, która w najlepszym razie jest całkiem bez smaku. Pewnego dnia zrozumiesz.

Żołnierze przechodzili i przechodzili przez plac apelowy. Ludzie prowadzili konie wokół zagrody, uważając na posiniaczone kopyta i chore ścięgna; dźwięk młota kowalskiego rozbrzmiewał w upale dnia metalicznym brzękiem; oddział przekroczył Aravaipę, aby przyprowadzić świeże wierzchowce z pobliskiej zagrody, a Indianie z obozu Nachee zaczęli zbierać się w cieniu ramad. Ray Lankerwell przybył do sztabu posterunku, aby złożyć raport majorowi Warrenowi. Warren powiedział:

— Jak tylko dzisiaj wyjdziemy, odłączycie się i pojedziecie prosto na północ, mijając Mescale. Skręcicie na wschód w stronę Pinali, mniej więcej w tym punkcie mapy. Macie nie wszczynać walki, ale raczej przeprowadzić pokaz sił, które odepchną Antone, gdyby miał zamiar udać się na północ. Jeśli nic nie zobaczycie przed sobą i nie znajdziecie żadnych nowych śladów, zbliżcie się na południe w stronę tego miejsca. — Wskazał je kciukiem. — Ja będę gdzieś w pobliżu. Pete George pojedzie jako wasz przewodnik. Jeśli zobaczycie dowody obecności tam dużych sił, wyślijcie do mnie posłańca. Jeśli nic was nie zatrzyma, spodziewam się, że dołączycie do mnie jak najszybciej.

Wokół placu apelowego Camp Grant rozbrzmiewały wezwania na kolację, a słońce znajdowało się w połowie zachodniego horyzontu, gdy Lily Marr wyszła z domu Warrena i udała się do więzienia. Strażnik właśnie przyniósł mu puszkę jedzenia z jadalni. Lily Marr stała z tyłu, podczas gdy żołnierz otworzył drzwi celi, wsunął blaszaną tacę do wnętrza celi i ponownie zamknął drzwi. Poczekała, aż strażnik odłoży klucz na wysoki narożnik muru i odwróciła się.

Jack Bean stał z twarzą przy kratach. Położył dłonie na prętach, jego palce powoli i mocno zamykały się oraz otwierały. Blond włosy opadały mu na czoło, niemal na oczy. Spędził w celi tydzień, przemierzając jej ciasną przestrzeń, znosząc jej zapierający dech w piersiach upał. Skutki tego były na nim wyraźnie widoczne, wciskając środki jego policzków i malując ponure barwy w jego oczach. Nie golił się i nie spał dużo, a wszystko to wyczerpało go i wychudziło, tak że wyglądał jak wilk w klatce, powoli umierający z braku apetytu i świeżego powietrza. Wpatrywał się w Lily Marr, za bardzo rozgoryczony, by mówić, podczas gdy ona okazywała mu swój stary, nieubłagany spokój.

— Posłaniec — powiedziała — pojechał do Summertona i powiedział im o pieniądzach. Pewnie już wyruszyli do Tucson, żeby je odebrać. Szeryf nie przyjedzie jeszcze przez tydzień. Ale kiedy już tu się pojawi, zabierze cię z powrotem z oddziałem żołnierzy. Bill Hanley nic ci w tej sytuacji nie pomoże. Jesteś prawie na końcu sznura.

— Lily — oznajmił zapalczywie — ucieknę. Na Boga, zrobię to. I odpłacę ci za wszystko – odpłacę też kapitanowi. Odpłacę wam wszystkim.

— Nie — powiedziała; z tym samym upartym, natarczywym spokojem — nigdy ci się to nie uda. Tym razem koło ruletki zatrzymało się na twoim numerze i zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś.

Jego pytanie zaskoczyło ją.

— A co ja takiego zrobiłem?

— Może lepiej zacznij o tym myśleć. Nigdy wcześniej nie miałeś czasu, żeby się nad tym zastanawiać, ale teraz masz go aż dużo. Lepiej pomyśl o tych spalonych wozach i Meksykaninie umierającym z krzykiem, kiedy trafiła go kula. Pamiętasz, jak krzyczał, Jack? Ja tak.

— Meksykanin — parsknął Jack Bean, — to przecież tylko Meksykanin.

— Może więc pomyśl o Billu Goffie.

Odparł na to szybko.

— Bill wiedział, że go ścigam. Nigdy nie poluję na człowieka bez broni. Widział, że się zbliżam, i miał broń.

— Może pomyśl o Charleyu Brewertonie.

— Wygłaszał głupie uwagi na mój temat, Lily. Kiedy ktoś wygłasza jakieś uwagi, musi ponosić tego konsekwencje. Szedłem środkiem ulicy w jego stronę i czekałem, aż sięgnie po broń.

— Może więc pomyśl o żonie Charleya Brewertona, która musi prać cudze rzeczy, żeby przeżyć. Albo o małej córeczce Billa Goffa, która nie ma już rodziców.

Uniósł podbródek.

— To coś, o czym ci panowie powinni byli pomyśleć, zanim wbili się w nadmierną dumę. Ja przyznaję się do swoich błędów; oni powinni przyznać się do swoich.

— A więc, teraz przyznaj się do swoich — powiedziała Lily Marr. — Zginiesz za nie.

— Lily — oznajmił Jack Bean — kiedy ktoś kwestionuje moje słowa, będę zawsze mu odpowiadał, dopóki piekło nie zamarznie. Nie zabieram niczego nikomu.

— Nieprawda — powiedziała Lily Marr. — Zabierasz ludziom wszystko, co mają, bydło, pieniądze czy konie. Charley Brewerton powiedział, że jesteś złodziejem. Dlatego go zastrzeliłaś. Ale nadal pozostajesz złodziejem, Jack.

— Posłuchaj, dziewczyno — błagał ją Jack Bean wściekłym głosem — są różne punkty widzenia na to…

— Są tylko dwa punkty widzenia. Uczciwy i złodziejski.

Bean obrzucił Lily Marr stekiem przekleństw i odsunął się od drzwi. Usłyszała, jak kopie piętami w podłogę. Usłyszała, jak uderza pięściami w ścianę z cegieł adobe; usłyszała sapanie wciąganego przez niego i wypuszczanego oddechu. Słońce zaszło, nagle zapadł zmierzch i żołnierze zaczęli wychodzić z koszar. Trębacze przeszli przez plac apelowy, by stanąć przy posterunku numer jeden, z którego rozbrzmiewały wszystkie sygnały trąbki. Głos Lily Marr, bezlitosny i bezbarwny jak los, wpadał za Jackiem Beanem do wnętrza więzienia.

— Zawsze dużo mówiłeś o swoich prawach. Teraz może lepiej pomyśl o prawach innych ludzi. Nigdy nie podobało ci się, że jakiś człowiek mógłby być tak samo szybki jak ty, w posługiwaniu się bronią. Zawsze musiałeś kogoś takiego zastrzelić, żeby dowiedzieć się, czy tak naprawdę jest. Nie mogłeś znieść myśli, że ktokolwiek mógłby być lepszy od ciebie. Jeśli ktoś już był lepszy, chciałeś go zabić. Lecz w Arizonie jest wielu ludzie lepszych

niż ty kiedykolwiek będziesz. Nigdy nie pomyślałeś, że może istnieć coś wystarczająco silnego, by utrzymać cię w jakimś miejscu. No więc jednak istnieje, Jack.

Odparł z głębi więzienia:

— Uwolnię się, na Boga.

— Nikt o tobie nie będzie pamiętał, kiedy umrzesz. Nikt nie będzie pamiętał, gdzie zostałeś pochowany, ponieważ w całym tym kraju nie masz ani jednego przyjaciela, który by się przejmował tobą na tyle, żeby postawić tablicę, która oznaczyłaby twój grób. Pewnego dnia, za parę lat, ktoś spyta: „Kim był Jack Bean?" A ktoś inny odpowie: „Był kiedyś taki drobny cwaniaczek, który wymachiwał na prawo i lewo bronią, udając, że jest wielki". Chyba to tyle. Po prostu cwaniaczek, który nigdy nie miał dosyć rozumu, żeby zatrzymać się i pomyśleć. Z czego to niby miałbyś być taki dumny?

Czekała, aż odpowie, ale nie odpowiedział i nie wrócił do drzwi. Zmierzch zapadł wokół posterunku i nagle trębacze zatrąbili szybkie, stanowcze wezwanie „Do koni", a żołnierze zaczęli formować się na placu apelowym. Lily Marr wróciła do kwatery Warrena i stanęła koło niej.

Kilka minut wcześniej Phil Castleton przyszedł pożegnać się z Eleanor. Teraz stali w cieniu piekarni, w milczeniu słuchając dźwięków trąbek. Eleanor patrzyła, jak twarz Castletona ożywa jego starą, porywczą gorliwością; nawet w mroku widziała, jak jego dawny temperament wybucha i wiedziała, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, postawiłby całą swoją przyszłą karierę, przyjaźń kolegów i samo swoje życie, na szalę w ostatniej grze. Ta myśl ją niepokoiła; przygnębiała ją i czyniła tę chwilę nieprzyjemną. Powiedziała bardzo cicho „Phil", ale on się odwrócił i patrzył przez plac apelowy na formujące się oddziały, a jego myśli odeszły od niej; a potem zrodziło się w niej jeszcze jedno zimne, wstrząsające podejrzenie: w jego duszy tkwiło tak silne pragnienie, że na nic innego nie było już miejsca, być może nawet na miłość, przynajmniej tak jak ona miłość rozumiała.

Powiedziała:

— Phil, życzę ci szczęścia.

To przyciągnęło jego uwagę. Uśmiechał się, a cała jego twarz zmieniła się pod wpływem podniecenia. Powiedział szybkim głosem:

— Myślę, że tym razem dogonimy Antone.

— Niezależnie od tego, czy to zrobisz, czy nie, Phil, ja będę tutaj, kiedy wrócisz.

— Przywiozę ci z powrotem jego skalp. Albo lepiej. Zaliczę na nim bohaterski czyn. Dotknę ręką go i powiem, jak mówią Indianie: „Teraz twój duch stał się moim i jestem wielkim wojownikiem".

— Będę tutaj, Phil — cierpliwie go zachęcała.

Roześmiał się głośno, przyciągnął ją do siebie i pocałował; w tej chwili nie było w nim żadnego śladu łagodności, żadnego śladu troski, żadnego śladu tej niewielkiej i lekko smutnej niepewności mężczyzny, który odchodzi od czegoś pożądanego, być może na zawsze. Pocałował ją i puścił, a potem wciąż uśmiechnięty podszedł szybkim, długim krokiem do swojego oddziału. W mroku rozległy się, odbijające się echem, odgłosy

apelu, trzaski i szczęk wyposażenia, tupot koni i poruszających się ludzi; wszystko to nasiliło się do znacznego poziomu, który poruszył obóz. George Mixler podbiegł do niej, uścisnął jej dłoń i popatrzył jej w oczy z bardzo bliska.

— Kiedyś w przyszłości, chciałbym, żebyś napisała do Harriet liścik. Przekaż jej, iż uważasz, że postąpiła słusznie. To ją ucieszy i sprawi, że wszystko inne stanie się dla niej trochę łatwiejsze.

— George, dlaczego tak mówisz?

— Mam pewne przeczucia co do tej wyprawy. To oczywiście nie ma żadnego znaczenia. Cieszę się, że jedziemy. Składam ci wyrazy miłości, Eleanor, i do widzenia.

Pobiegł w mrok. Żołnierze odliczali się, a potem sierżanci oddziałów K oraz I obrócili się precyzyjnie na piętach, meldując oddziały gotowe do drogi. Eleanor zobaczyła, jak jej ojciec przesuwa się w siodle i słuchała jego spokojnego głosu wykrzykującego komendy. Następnie miało miejsce zamieszanie tego całego mnóstwa ludzi, wsiadanie na koń, klepanie nóg o siodła, parskanie wierzchowców; i to, dla niej, było częścią wspomnienia, które ciągnęło się aż do czasów jej dzieciństwa, ta sama rutyna, te same dźwięki i ten sam szybki napływ podniecenia i zapału - i napływ dumy przebiegającej przez nią, gdy widziała, jak jej ojciec zawraca koniem, gdy słyszała, jak wykrzykuje rozkaz wymarszu. Długi szereg żołnierzy rozpadł się i zamienił w kolumnę dwójkową; skręciła ona na wschód przez bramę strażniczą, minęła ją i zagrzechotała końskimi kopytami na kamieniach Aravaipa Creek; a po tym, długo po tym, zatonęła w głębokiej ciszy wzgórz.

Po chwili posterunek zmienił się w martwy rząd budynków stojących pod błyszczącym niebem Arizony. Eleanor stała z ramionami opartymi o ścianę piekarni, słysząc szuranie wartowników, a następnie powoli wyrzucając strach ze swego umysłu. Czekanie zawsze było najtrudniejszą częścią jej życia, ale to była armia i to było całe znaczenie życia w armii — ta chwila, gdy wojska wychodziły, zmierzając na bitwę. Gdzieś w głębi jej umysłu powracał obraz Castletona; spoczywał on teraz pod pokładami innych myśli, niejasno poruszając się, niejasno drażniąc. Pozwoliła mu tak spoczywać, bojąc się go wydobyć na wierzch i zobaczyć, czego on dotyczy.

W ostatniej chwili przed wymarszem wydarzyła się jeszcze jedna scenka. Stojąc przy koniu, czekając na rozkaz aby go dosiąść, Harry Jackson zobaczył Rose Smith wychodzącą zza ściany koszar i zatrzymującą się przy Canreenie. Miała coś w ręku. Wsunęła to do kieszeni Canreena, a następnie powiedziała:

— Uważaj na siebie, Mitch.

Mitch roześmiał się, zapewniając ją.

— Nie przejmuj się, Rose, przywiozę ci parę mokasynów…

Rozkaz aby dosiąść konia, uspokoił go. Siedząc w siodle, Harry Jackson odwrócił się, by przyjrzeć się twarzy Rose Smith. Była skierowana w jego stronę, biała i nieruchoma w mroku. Rozkaz majora Warrena ustawił oddziały w szyku i ruszyli w stronę bramy strażniczej. Rose Smith szybko podeszła do przodu, idąc obok konia Harry'ego Jacksona. Powiedziała cichym głosem:

— Uważaj na siebie, Harry.
Potem Harry Jackson przejechał przez bramę i już jej nie widział.

W Camp Apache, tej samej nocy, Harriet Mixler stała przy otwartym oknie swojego pokoju, wpatrując się w południowy zachód, gdzie leżał Grant. Tego samego ranka przybyła na posterunek, a żona majora McClure'a, patrząc na jej bladą twarz i zaniepokojona kompletnie wyczerpanym tonem jej głosu, natychmiast zabrała jej dziecko. Stała więc teraz sama w pokoju, ubrana do łóżka i głęboko wdychała chłodne powietrze wysokich wzgórz — pierwszy orzeźwiający powiew, jaki pamiętała od wielu miesięcy. To był raj w porównaniu z Grant, ponurą podróż miała już za sobą, zaś dziecko znalazło się pod dobrą opieką. Było już po capstrzyku, a posterunek spał. Obok jej pokoju znajdował się pokój młodego porucznika Kesslera i jego żony. Słyszała, jak rozmawiają, słyszała śmiech Kesslera i stłumioną odpowiedź kobiety; a potem zamykająca się wokół niej cisza pozostawiła ją zupełnie samotną, bez przyjaciół i jakoś ponurą. Położyła rękę na parapecie, obserwując czarny, krzywy zarys południowo-zachodniej linii horyzontu i zapadła w swoją własną pustkę myśli.

Rozdział XVI

Benteen obserwował niespokojnego Apacza przechodzącego przez obóz i powoli wspinającego się na zbocze. Al Hazel leżał koło Benteena, tak blisko, że oficer słyszał wyraźnie tykanie ogromnego zegarka przewodnika. W panującej ciszy ten dźwięk wydawał się wystarczająco głośny, by ostrzec idącego Indianina, który znajdował się jakieś czterdzieści stóp od nich i podchodził coraz bliżej, cicho jak kot. W miarę jak się zbliżał, kształty jego szczupłego ciała rysowały się coraz silniej w rubinowym blasku żarzącego się za nim ogniska. Głowę miał spuszczoną i machał nią z boku na bok, jakby zbierał informacje z powietrza, przy pomocy uszu i nosa. Po pokonaniu dwudziestu stóp, wzrost wysokości zbocza spowodował, że jego ramiona znalazły się w jednej linii z oczami Benteena, przez cały czas szedł prosto na oficera.

Al Hazel wciąż leżał bez ruchu; Nachee zniknął gdzieś w ciemnościach. Benteen, zdając sobie sprawę z tego, że ta następna chwila niesie ze sobą ogromne ryzyko, naprężył mocno mięśnie ramion, leżąc kompletnie nieruchomo w mroku nocy. Była jeszcze szansa uniknięcia wykrycia; i szansa ta wkrótce zrealizowała się.

Biały człowiek w obozie Apaczów nagle zaczął wyć. Nic nie mówił, nie wypowiadał żadnych zrozumiałych słów; tylko wrzeszczał, a potok dźwięków wylewał się z jego płuc i niósł się po okolicznych wzgórzach.

Indianin kucający przy ogniu nie zadał sobie nawet trudu, żeby się ruszyć, ale ten, który obecnie był już co najwyżej trzy kroki od Benteena, zatrzymał się, odwrócił i zawołał coś do mężczyzny przy ognisku. Tamten coś mu odpowiedział, wciąż nie ruszając się, po czym Indianin stojący koło Benteena, szybko zszedł w dół zbocza.

Leżące na ziemi ludzkie kształty zaczęły się poruszać, obudzone nieustającym wrzaskiem białego człowieka. Dwie kolejne postacie nadeszły z dalszego krańca kotliny. Benteen zdał sobie sprawę, że biały człowiek oszalał od myślenia o tym, co go czeka. Indianin, który zszedł ze zbocza, doszedł teraz do białego człowieka i stanął nad nim na chwilę, chrząkając coś w języku Apaczów, lecz biały człowiek, ze związanymi rękami i nogami, najwyraźniej toczył się po ziemi, a jego krzyk stawał się coraz cichszy, wyższy i bardziej szalony. Nagle Indianin odwrócił się, chwycił leżącą na ziemi broń i dwa razy uderzył kolbą w głowę białego człowieka, zabijając go na miejscu.

Głuchy odgłos uderzenia kolbą o kość czaszki rozniósł się po zboczu i sprawił, że Benteen wbił palce w ziemię; przetoczył się przez niego powoli jak fala mdlącego, miękkiego uczucia. Indianin stanął nad białym mężczyzną i ponownie walnął go w głowę.

Podszedł w pobliżu poświaty ogniska, powoli się odwracając, jakby chciał ruszyć z powrotem w górę zbocza, i w tym momencie łokieć Ala Hazela wbił się w bok Benteena i obaj delikatnie wycofali się ze szczytu grzbietu. Czekali pod sosnami, rozglądając się za Nachee. Al Hazel mruknął:

— To był Ben Stevens, panie poruczniku. I mądrze zrobił.

— Oszalał — zasugerował Benteen.

— Nie on — odparował Hazel. — Wiedział, co go czeka, więc ich wkurzył i załatwił to szybko.

Kiedy przybył Nachee, zrobił to tak cicho, że nie zauważyli go, dopóki nie szepnął do Hazela. Al Hazel mruknął:

— Mówi, że to główny obóz Antone. Antone jest w tej grupie. Nachee uważa, że jest jeszcze jeden obóz, dalej wzdłuż grzbietu.

Benteen szepnął:

— Ilu ich tam jest, na górze?

— Może dwudziestu pięciu lub trzydziestu. Dlatego Nachee uważa, że musi być jeszcze jeden obóz. Antone ma silną grupę na tych wzgórzach.

Benteen przykucnął u podstawy pnia sosny, licząc czas. Była prawie trzecia, gwiazdy leciutko zbladły, a niebo odrobinę zmieniło odcień, z metalicznie czarnego na nieco mniej czarne. Za godzinę lub trochę więcej nadejdzie dzień. Cisza zawisła nad wzgórzami, głębsza niż jakakolwiek cisza na świecie, cisza bezruchu, cisza tej godziny, kiedy nawet buszujące w mrokach nocy zwierzęta już posnęły, a brzęczące, ukradkowe odgłosy ziemskich owadów ucichły. Była to chłodna godzina, pełna zapachów sosen i woni aromatycznej roślinności, unoszących się w powietrzu; i była to godzina krytyczna, kiedy umysł człowieka robił się otępiały, jego nadzieje topniały, a witalność się wyczerpywała. Po dniu i nocy nieustannej jazdy Benteen czuł to wyraźnie. Nie było w nim niczego co byłoby w stanie go zmotywować.

Oznajmił bezdźwięcznym pomrukiem:

— Wycofujemy się stąd. Powiedz Nachee, żeby wybrał jakieś wysokie miejsce po drugiej stronie kanionu, skąd będziemy mogli obserwować okolicę i mieć oko na Antone, gdyby się stąd ruszył.

Ramię Ala Hazela uderzyło Benteena w szybkim ostrzeżeniu; Hazel dosłownie rozpłynął się na tle pnia sosny, zlewając się z jego rozciągającym się w górę i w dół czarnym cieniem. Nachee także zniknął. Z oddali słychać było słabe szuranie stóp w mokasynach. Jeden z wojowników Antone doszedł do krawędzi otaczającej obóz i teraz wciąż się zbliżał.

Drzewa rozsiewały po ziemi rozproszone cienie, a skalne pagórki tu i ówdzie tworzyły głębsze plamy mroku; trudno więc było uchwycić zarys poruszającej się postaci. Benteen dostrzegł go najpierw jako słaby ruch, czterdzieści stóp dalej. Apacz zbliżył się, zniknął za kamiennym kopcem i pojawił się ponownie cztery kroki od miejsca, w którym stał Benteen. Była to najmniejsza odległość, jaka ich dzieliła, bo w tej samej chwili Indianin zrobił ćwierć obrotu i prześlizgnął się koło drzew z szybkim, niemal bezgłośnym szmerem, kierując się na zachód w stronę kanionu. Oraz, jak nagle zdał sobie sprawę Benteen, w kierunku ich koni.

Nadal widoczny był jako ciemniejszy kształt w mrokach nocy, gdy ze skał wynurzyła się i zbliżyła do niego postać Nachee. Te dwa kształty natychmiast gwałtownie się zwarły i nastąpiła fala ostrych szmerów, „tump” noża wbijanego w ciało, a potem cichy, wydłużony szelest ciała bezwładnie upadającego na kamienistą ziemię. Jeden cień wrócił truchtem, był to Nachee. Mruknął coś do Hazela, a następnie wszyscy trzej podeszli do koni i wrócili, tą samą drogą, którą tu przybyli, do kanionu.

Gdy dotarli na dno kanionu przykryła ich kompletna ciemność, przedostali się strumieniem jakąś milę lub więcej na południe; kiedy wyjechali z niego, tym razem na zachodnim brzegu, nisko na wschodnim niebie pojawiła się szara wstążka. Nachee poprowadził ich pewnie w wyżej położone i bardziej pofałdowane tereny. Pokonali skaliste wąwozy, które całkowicie ich skrywały przed blaskiem orzeźwiającej porannej zorzy, przedarli się przez sosnowe równiny, między masami kocich pazurów i mesquite; i wreszcie, o pierwszej w pełni słonecznej godzinie dnia, dotarli na wzniesienie o płaskim, potrzaskanym wierzchołku, górujące nad wąską przełęczą, która nieregularnym zarysem przecinała wzgórza na wschód i zachód od nich.

Było tutaj trochę głazów dających schronienie i dobry widok na wszystkie strony. Patrząc na otaczające ich z trzech stron morze skał, Benteen zobaczył, jak trudny jest to teren i zdał sobie sprawę, dlaczego tak łatwo Antone był w stanie uniknąć każdego wysłanego za nim oddziału.

W żadnym kierunku nie było widać jakiegokolwiek wyraźnego szlaku; niczego poza najeżonymi skałami grzbietami górskimi, przerywanymi głębokimi wąwozami i nagłymi skokami ścian kanionów oraz zboczami, na których potrzaskane kamienie leżały czarnym gruzem w coraz silniejszym świetle słonecznym. Benteen zbadał otaczający teren wzrokiem, nie widząc niczego, co by się poruszało. Na zachodzie, na krańcu przełęczy, znajdował się szczyt, na który dotarł z oddziałem, dzień wcześniej. Było to około sześciu mil stąd.

Al Hazel już rozgarnął sobie miejsce na ziemi i położył głowę na ramieniu, biorąc się za szybki odpoczynek. Nachee kucnął pośrodku małej przestrzeni; ręce trzymał na kolanach, głowę miał uniesioną do góry i patrzył w niebo z beznamiętną, nieruchomą uwagą, jakby czekał, aż niebo mu coś powie.

Al Hazel wycedził:

— Rozmawia z duchami. To jego religia, panie poruczniku. Niebo, ziemia - i woda. Nie jestem wykształconym człowiekiem, ale zauważyłem, że religia człowieka zwykle ogranicza się do tego, czego najbardziej potrzebuje. Indianiec żyje blisko z ziemią. Kiedy się modli, tak jak pan i ja, to o to, żeby wystarczyło mu wody, żeby fasola mesquite była w dużej obfitości i żeby słońce było łaskawe. To nie jest zła religia. Czego więcej mógłby pragnąć człowiek? Nachee w tej chwili widzi na niebie rzeczy, których pan i ja nigdy byśmy nie zobaczyli.

Nachee odezwał się do Ala Hazela, który przekazał:

— Mamy dwie-trzy godziny snu. Nachee obejmie pierwszą wartę.

Benteen rozłożył się na ziemi, wypchnął w ziemi dziurę na biodra i ramiona, po czym naciągnął na twarz kapelusz. Przez głowę przebiegła mu zbłąkana myśl, która nigdy nie dotarła do zakończenia, gdyż natychmiast zapadł w luksus kompletnego, bezkresnego snu.

Palące słońce na skórze, obudziło go w środku kolejnego upalnego poranka. Al Hazel nadal spał, chrapiąc nieprzerwanie przez otwarte usta. Nachee leżał przy szczelinie między dwoma odłamkami skał, obserwując przełęcz i teren na wschód od przełęczy, gdzie znajdował się obóz Antone. Benteen wziął łyk nieświeżej wody z manierki i wstał, by pobudzić się do życia. Nachee odwrócił głowę na wywołany tym szmer, po czym wskazał Benteenowi na ziemię.

— Lepiej spać — mruknął Nachee i wrócił do swoich obserwacji.

Ale powiedział jeszcze coś przez ramię, co przyciągnęło Benteena do niego. Wciskając się w skały, tak by jego głowa nie wystawała ponad ich krawędzie, Benteen skierował wzrok na wschodni kraniec przełęczy. Słońce padało na ziemię pod dużym kątem, zmieniając jej kolor na szarości i brązy, i w tym świetle nie widział niczego, dopóki w oddali nie mignął mu błysk metalowego przedmiotu. Skupiając wzrok na tym miejscu, w końcu zobaczył szereg Indian przechodzących przez przełęcz; opuszczali obóz z poprzedniej nocy i szli na wzniesienie po południowej stronie przełęczy.

Al Hazel zakrztusił się swoim własnym chrapaniem i usiadł. Kiedy zobaczył Benteena wciśniętego w skały, podszedł, żeby również się przyjrzeć i od razu zlokalizował Indian. Powiedział coś do Nachee i wysłuchał odpowiedzi.

— Nachee mówi, że to sami mężczyźni. Żadnych kobiet ani dzieci. Więc Antone po prostu się rozgląda, nie zmienia położenia obozu

— Zataczając krąg w stronę Grant — stwierdził Benteen. — Tak to robił już wcześniej.

Al Hazel siedział na ziemi i rozcierał ramiona.

— Znowu ten reumatyzm. Zawsze go dostaję na wzgórzach. Dziesięć lat temu wyciąłem sobie z tego ramienia strzałę i nadal czuję to cholerstwo.

Wyglądał jak obszarpaniec, długie usta miał ściągnięte, jakby poczuł coś kwaśnego. Krótka broda zakrywała większość jego twarzy; pod oczami skóra mu nabrzmiała, nadając mu wyraz zarówno przebiegłości, jak i utracjusza. Kiedy zdjął kapelusz, okrągła łysina zaczęła świecić w słońcu. Benteen wiedział, że ma nie więcej niż czterdzieści lat, ale ciężkie, aktywne i czasami niezwykle brutalne życie, przedwcześnie go postarzyło. Przepłukał sobie usta łykiem wody i odświeżył się prymką tytoniu. Smak tytoniu od razu rozjaśnił mu głowę.

W międzyczasie Benteen przeszedł na północną stronę skał i zaczął obserwować teren, który przemierzyli w ciemności. W tym kierunku okolica pokryta była prawdziwym gąszczem przecinających się wąwozów, przez które wojownicy Antone mogliby podkraść się w zupełnym ukryciu,

dopóki by nie dotarli do skalnej ściany otaczającej ten niewielki szczyt. Wspomniał o tym Alowi Hazelowi.

— Myślę, że już są gdzieś tam w dole — zgodził się Hazel. — Po prostu pytanie, ile czasu zajmie im znalezienie naszego szlaku z kanionu. Jak tylko zauważą ślady dwu podkutych koni i jednego z gołymi kopytami, będą wiedzieli, kto tu jest.

Długi poranek trwał. Około południa Benteen rozdał suchary z sakw. Rozkruszył swój kawałek do blaszanego kubka i namoczył go w wodzie. Nachee wsunął swoją rację do kieszeni koszuli. Al Hazel nawet nie udawał, że je.

— Sądzę, że wolałbym głodować, panie poruczniku, dopóki nie zdobędę mięsa.

O drugiej Al Hazel dostrzegł grupę Indian przechodzących przez przełęcz kilka mil na zachód.

— To Antone, robi koło — powiedział. — Przygląda się śladom oddziału, który odesłał pan do domu. A teraz będzie podążał naszym tropem, z drugiego końca.

Podczas długich, gorących godzin środkowego popołudnia Benteen zobaczył wojownika wyłaniającego się z wąwozu u wschodniej podstawy szczytu na którym byli i spoglądającego przez dłuższy czas w górę. Natychmiast zniknął z pola widzenia. Chwilę później dwóch z nich pojawiło się ponownie, dosiedli koni i ruszyli w górę zbocza, robiąc szeroki objazd. Byli w zasięgu wzroku lecz poza zasięgiem karabinu. Benteen i Al Hazel - którzy przyszli popatrzeć - zobaczyli, jak dwójka dotarła do najwyższego punktu i zniknęła na zachodzie; gdzieś w tamtym kierunku jechała teraz większa grupa Indian.

Al Hazel przyjrzał się słońcu. Wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek, powiedział „czwarta trzydzieści" i zamknął swą myśliwską torbę.

— Cztery godziny do zmroku, panie poruczniku.

Słońce prażyło niemiłosiernie w tym pozbawionym cienia miejscu, a skały zaczęły się nagrzewać, zatrzymując i gromadząc ciepło. Benteen zawiązał chustę wokół szyi. Na grzbiecie dłoni pojawiły się mu pęcherze, skóra wokół uszu pulsowała, gdy tylko chusta ją potarła; krew zbierała się w gałkach ocznych, powiększając je i zakłócając zdolność widzenia.

Na sąsiednich wyższych terenach na północy, z wąwozu wzbijała się kula pyłu, zdradzając czyjś przejazd. Benteen odgadł, że to będzie większa grupa Antone, która się zbliża. Dwaj Apacze prawdopodobnie dogonili Antone i sprowadzili go z powrotem. Nachee powiedział: „Nantan", prowadząc Benteena i Hazel na boczną stronę wierzchołka, która leżała naprzeciwko niskiej przełęczy. Inna grupa powoli przekraczała przełęcz, podążając tą samą ścieżką, którą podążała rano grupa wojowników. Linia ludzi była długa i rozciągnięta, oraz wzbijała wysokie tumany kurzu. Nachee powiedział coś do Ala Hazela, który przetłumaczył.

— Kobiety i dzieci, jak mówi. Squaw przenoszą obóz. Mówi, że rozbiją nowy obóz na tych wyższych terenach.

— Skąd to wie?

— Przenoszą się późno w ciągu dnia. A tam w górze jest woda. Nachee zna ten kraj.

— Znów skręcają w kierunku Grant.

Al Hazel powiedział:

— Oddalają się od białego człowieka, którego zarżnęli.

Benteen wrócił na północną stronę, teraz widząc kurz unoszący się z bliższych arroyos. Na tle nieba na horyzoncie pojawił się Indianin, na koniu i w pełnym wyposażeniu, oraz stał w tym miejscu wystarczająco długo, aby pokazać swoje zainteresowanie i brak strachu. Hazel powiedział:

— Proszę spojrzeć w dół zbocza – tam skąd przyszliśmy wczoraj w nocy.

Głowy pojawiły się wzdłuż krawędzi niskich skał na wschodzie, w odległości pięciuset jardów od pozycji Benteena. Było ich cztery lub pięć, wszystkie stale pojawiały się i znikały za nierównymi załomami skalnymi. Nachee wrócił ze swojego miejsca naprzeciwko Benteena i Hazela, podniósł rękę i zatoczył nią wokół siebie; był to powolny i obrazowy gest, który obejmował wszystko dookoła. Al Hazel mruknął:

— Założę się, że jesteśmy otoczeni.

Do tej pory nie okazywał prawie żadnego zainteresowania, prezentując pewną siebie małomówność typową dla wszystkich pionierów; teraz też nie okazywał żadnego szczególnego niepokoju, lecz podszedł do konia, wyciągnął karabin, napełnił kieszenie nabojami z sakwy i wrócił do Benteena.

Okolica roiła się od ludzi Antone. Chowając się za skałami, w miarę jak trudny, gorący dzień ciągnął się i ciągnął, Benteen widział przesuwanie się czarnych głów między skałami i stopniowe zbliżanie się Indian do ich kryjówki. Na północy, w otaczającym ich surowym terenie, kurz nadal przesuwał się z miejsca na miejsce, wisząc w powietrzu długo po tym, jak został wzbity; i na podstawie tych charakterystycznych smug Benteen mógł prześledzić trasę głównej grupy, gdy zmierzała z zachodu i wiła się krętymi nitkami wąwozów.

Po południowej stronie mieli naturalną ochronę szybko opadającego zbocza, aż do przełęczy. Na wschodzie i zachodzie potrzaskane szczyty rozciągały prosto w stronę dającej im schronienie góry, a po wschodniej stronie mniejsza grupa Apaczów obecnie cierpliwie wspinała się coraz wyżej. Na północy, gdzie manewrowali konni Indianie, jakieś szczęśliwie uformowane obniżenie terenu, tworzyło pusty obszar o długości około dwustu stóp, między ich szczytem a następnym wzgórzem zbudowanym z potrzaskanych skał. Tamto wzniesienie było równie wysokie jak ich szczyt, i dawało osłonę jeźdźcom Antone, dopóki nie dotrą oni do pustego terenu. Od tego miejsca dalej musieliby się znaleźć na otwartej przestrzeni, gdyby zdecydowali się na szarżę konno.

Nagle Nachee pochylił się w piasku, poklepał dłonią o ziemię i zaczął śpiewać bezdźwięczną pieśń, która wydobywała się z jego gardła

— Ahhhhh - eeeeeeah - Ahhhh.

Było już po szóstej. Słońce prawie dotykało wschodniego obrzeża wzgórz. Al Hazel załadował naboje do karabinu i zawiesił go na ramieniu, jak myśliwy. Benteen wziął rewolwer, sprawdził naboje w komorach bębenka i położył broń na skale przed sobą. I wtedy długi szereg luźno

rozproszonych ludzi z większej grupy Antone wyskoczył zza osłony, wyjeżdżając na szczyt pobliskiego wzgórza.

W większości byli rozebrani do przepasek biodrowych, legginsów i kilku plam farby, choć niektórzy nosili koszule, których poły zwisały im na udach. Część z nich miała włócznie i łuki; część zaś nosiła broń równie dobrą, jak uzbrojenie używane przez amerykańską kawalerię. Ich nogi opinały boki pozbawionych siodeł koni, z palcami zwisającymi w powietrzu, a z tej odległości, nie przekraczającej siedemdziesięciu jardów, Benteen dostrzegł naramienniki amerykańskiego kapitana przypięte do rękawów koszuli jednego z wojowników — pozostałość po jakiejś dawnej bitwie. Chłód przebiegł przez mięśnie Benteena; poczuł szybsze bicie serca i suchość w gardle. Prezentujący się na tle nieba, tworzyli zdumiewający, barbarzyński widok; byli najtwardszymi, najsprytniejszymi, najbardziej bezlitosnymi wojownikami na świecie. To właśnie, pomyślał zanim zamknął umysł przed tego rodzaju myślami, spoczywało gdzieś w głębi umysłu każdego żołnierza na pograniczu - ten niosący śmierć widok. I oto był.

Al Hazel wycedził przez zęby:

— Niech pan spojrzy na tego małego faceta pośrodku, z twarzą jak stary, wysuszony ziemniak. Tego z naramiennikami na koszuli. To pański przyjaciel Antone, panie poruczniku. To ten Indianin, którego ścigał pan przez całe lato. Oto on.

Antone pchnął swojego konia do przodu, przed szeroko rozciągniętą linię bitewną i zatoczył nim koło, w jakimś bezczelnym zaproszeniu; w czymś w rodzaju zwodniczej sugestii. Ale Benteen cały czas pamiętając o Indianach skradających się przez skały na wschodzie, kątem oka zobaczył jakiś kształt i odwrócił się ku niemu w samą porę, by zobaczyć, jak Apacz wykonuje długi skok ze skały na skałę, nie dalej niż trzydzieści stóp od wierzchołka. Benteen poderwał rewolwer, strzelił błyskawicznie, bez celowania, i złapał Apacza w trakcie skoku. Antone krzyknął przez pustą przestrzeń, i konie zaczęły się spinać, gotowe do rzucenia się galopem. Karabin Ala Hazela ryknął tuż przy uchu Benteena. Wojownik znajdujący się obok Antone osunął się, złapał jeszcze za grzywę mustanga, ale spadł na ziemię. Drugi pocisk Hazela zabił konia. Antone zawrócił koniem i wyprowadził swoją grupę za krawędź skał, poza zasięg widoczności.

Grupa Apaczów, która spędziła całe to gorące popołudnie, skradając się po wschodnim zboczu, nagle poderwała się zza skał i rzuciła do przodu, przemykając od osłony do osłony, schyleni, uskakując na boki i wyjąc w niebogłosy. Benteen oparł ramię, uważnie strzelając. Al Hazel doskoczył do jego boku, jego karabin słał potężne echa w ostatnich resztkach światła dziennego. Jakiś pocisk uderzył w powierzchnię skały i wypełnił wizgiem okoliczne wzgórza, odbijając się od niej rykoszetem. Jeden z Apaczów rzucił się biegiem naprzód, skręcając raz za razem, wyskoczywszy z jakiejś dającej mu osłonę dziury, prosto w stronę ich skalnego parapetu. Muszka rewolweru Benteena wycelowała ze śmiertelną pewnością w jego pierś, ale gdy jego palec naciskał spust, Indianin zniknął z pola widzenia. Znajdował się po drugiej stronie tej samej skały, za którą krył się Benteen, dzieliła ich tylko jej gruba i wysoka masa; karabin Al Hazela

powalił na głazy kolejnego Apacza; reszta zniknęła. Benteen nagle przetoczył się na brzuchu po skale, jego głowa zawisła po przeciwnej stronie, zaś oczy wpatrywały się prosto w oczy Apacza, znajdującego się nie dalej niż stopę od niego. Indianin wyciągnął rękę, złapał Benteena za szyję i próbował ściągnąć go do przodu. Benteen, prawie że spadając, wyciągnął broń, wepchnął ją prosto w twarz Apacza - i zobaczył, jak twarz Indianina znika po wystrzale. Hazel chwycił go za stopy i wciągnął z powrotem; spadł na Hazela, krew kapała mu z otartego o skałę boku szczęki.

Słońce nagle zniknęło, i purpurowe cienie zaczęły spływać wzdłuż zboczy wzgórz, przelewając się przez przełęcz do wszystkich kieszeni, barykad i wąwozów tego zniszczonego kraju. Główna grupa Antone zniknęła za szczytem wzgórza na północy, ale kurz nadal tam się unosił, a co jakiś czas na szczyt wychodził wojownik i truchtem wykonywał przed obserwującą go trójką białych krótki pokaz manewrów, jakby kusząc ich, aby wyszli zza osłony.

Al Hazel uważnie obserwował te popisy.

— Niewielki pokaz, żeby nas zabawić. Mają nadzieję, że nas to zajmie, podczas gdy reszta tej grupy będzie okrążać to miejsce i skradać się po zboczach. Co właśnie teraz robią. To miejsce nie byłoby zbyt dobrym celem ataku dla inwalidów, panie poruczniku.

Benteen przeszedł niewielkie zagłębienie na szczycie i wcisnął się w przerwę w skałach, spoglądając w dół na przełęcz. Ta prawie ściana skalna opadała pod dużym kątem jakieś trzysta lub czterysta stóp, zanim zrównywała się z linią przełęczy. Sama przełęcz miała zaledwie sto jardów szerokości; a jej przeciwległa strona wznosiła się na wzgórza pod mniej wymagającym kątem. Benteen pomyślał, że oryginalnym problemem będzie sprowadzenie z tej stromizny koni.

Prześledził wzrokiem zygzakowatą trasę, próbując zapamiętać układ zbocza, zanim szybko opadające ciemności go przesłonią. Księżyc zaczął już rzucać swój blady blask i nawet w całkowitej ciemności częściowo oświetlałby drogę - zaleta jeśli chodzi o trzymanie się szlaku, ale wada, jeśli chodzi o uwolnienie się od Antone. Na razie na przełęczy nie było żadnych Indian; albo wydawało się, że ich nie ma. Ta droga była więc otwarta, jeśli tylko zdołaliby się tam dostać wystarczająco szybko.

— Panie poruczniku — wymamrotał Al Hazel w swym niespiesznym stylu, — lepiej zachowajmy czujność. Za kolejnych dziesięć minut trudno będzie odróżnić Indianina od skały.

— Jak tylko zrobi się dostatecznie ciemno — powiedział Benteen, — zaryzykujemy zjazd po zboczu na przełęcz.

Zajął miejsce Ala Hazela przy barykadzie, podczas gdy przewodnik podszedł, żeby się rozejrzeć. Po chwili Hazel zawołał Nachee, który cały czas stał przy wschodniej krawędzi skał, cierpliwy jak los; podbiegł do Hazela i rozmawiali przez chwilę, Hazel wskazał na przełęcz.

Hazel zawołał:

— Lepiej schodźmy tam jak najszybciej, panie poruczniku. Kiedy się stąd wymkniemy, będą tuż za nami.

Benteen wpatrywał się w skały za niewielkim pustym obszarem, dzielącym ich od Apaczów. W pogłębiającym się mroku nie było słychać żadnych dźwięków ani widać żadnych ruchów. Wszystkie cienie zaczęły się zlewać, aż nie potrafił odróżnić głazu od poruszającego się kształtu. Zawołał przez ramię:

— Kiedy się stąd wymkniemy, możemy się rozdzielić. Powiedz Nachee, żeby pojechał sam i znalazł majora Warrena. Niech powie Warrenowi, żeby zaczekał na nasze przybycie na umówionym wzgórzu. My będziemy mieli oko na Antone. Będziemy również obserwować wzgórze - i podejdziemy do niego, jak tylko zobaczymy wojsko.

Przeszedł na zachodnią stronę, słysząc Ala Hazela tłumaczącego Nachee instrukcje głosem, który robił się coraz bardziej pośpieszny i tracił swą opanowaną intonację, tak jakby w końcu również i przewodnika naszło jakieś uczucie bliskie podniecenia. Sytuacja, pomyślał Benteen, musiała być zła, skoro zdołała wytrącić przewodnika z jego zwyczajowego spokoju. Kształty skał bezpośrednio za tym niewielkim pustym terenem, w końcu całkowicie się rozmyły i poczuł, że nachyla się w napięciu do przodu, rewolwer trzymał przed sobą i w połowie uniósł; poczuł, że nogi mu stwardniały, a wszystkie mięśnie naprężyły się. Te cienie były podstępne. Poruszały się, pulsowały, wyglądały jakby kłębiła się w nich jakaś dziwna masa, która dryfowała w jego stronę; i nagle wydobyły się z nich odgłosy szurania. Al Hazel krzyknął: „Uważaj!” Jego karabin rozdarł narastającą ciszę. Cienie przed Benteenem przestały być cieniami i stały się poruszającymi się postaciami ludzkimi majaczącymi się niejasno przed nim. Skierował w ich kierunku swoje strzały, widząc jeden upadający cień i drugi… aż wszystkie upadły. Indianie nie znosili takiego ognia, nie lubili ataku przeciwko twardej obronie: więc padli na ziemię i w tej niewidocznej pozycji czołgali się do przodu, głęboko wciskając się w skały. Broń Ala Hazela znów rozbłysła w nocnych ciemnościach.

Benteen odwrócił się od osłaniającego ich skalnego parapetu. Powiedział:

— Al, idziemy — i stanął koło swojego konia.

Poczekał chwilę, aż Hazel i Nachee do niego dotrą, aż będą gotowi wskoczyć na siodło i uciekać. Zapadła ciemność, nieznacznie rozrzedzana przez czerwonawą plamę księżycowego światła. Al Hazel mruknął:

— Lepiej zróbmy to szybko, panie poruczniku. Będą skradać się między nami a przełęczą.

Benteen powiedział:

— Nachee jedzie pierwszy — i słuchał, jak Al Hazel powtarza to Indianinowi. Potem dodał: — Ja będę na końcu. Jedziemy.

Był już w siodle. Oddał strzał za siebie, jako dywersję, która choć na chwilę zatrzyma ludzi Antone przytulonych nisko do skał. Nachee zniknął przez wąską szczelinę między głazami, od strony przełęczy, a Al Hazel właśnie przez nią przejeżdżał, obaj tym samym zniknęli z Benteenowi z oczu.

Kiedy podążył za nimi i wydostał się poza skały, zobaczył obydwu przed sobą, zjeżdżających zygzakiem po stromym zboczu, wywołując ogromny hałas na kamienistym gruncie. Za nim rozlegał się narastający

krzyk ludzi Antone i chwila przerwy, podczas której, popychając konia na łeb na szyję w dół, czekał na pierwszy strzał. Ta przerwa robiła się coraz dłuższa i coraz trudniejsza do zniesienia, stając się wręcz bolesna. Słyszał, jak jego koń chrząka przy lądowaniu po każdym skoku w dół; widział, jak Nachee i Al Hazel skręcają w prawo i w lewo, rozpędzają się, zatrzymują, skręcają i rozpędzają ponownie. Nisko skulony w siodle, poczuł podmuch powietrza pierwszego przelatującego obok niego strzału. Potem ludzie Antone zaczęli regularnie szukać go na stoku strzałami swych karabinów. Kule uderzały w skały. Fragmenty rozłupanych kamieni drasnęły go w twarz i jechał w gęstym obłoku pyłu.

Był w połowie zbocza, gdy jego koń, źle oceniając stopień nachylenia, potknął się i wyrzucił go do przodu z siodła; wylądował na płask na karku wałacha i dzięki temu złapał równowagę, chwytając za grzywę zwierzęcia, by z niego nie spaść; w ten sposób walczył o utrzymanie się na koniu przez ostatnie sto stóp stoku i w końcu dotarł na dół; nagłe szarpnięcie konia na równym terenie, zrzuciło go zupełnie. Ukląkł, trzymając się ręką strzemienia. Al Hazel przygalopował z powrotem z ciemności, wołając:

— W porządku… Tom?

Koń zatrzymał się w chwili, gdy ciężar spadł z jego grzbietu. Kule rozcinały ziemię, a gdy Benteen wstał, wciąż trzymając się strzemienia, rzucił jedno spojrzenie do tyłu i w górę, widząc tańczące świetliki wystrzałów z luf, na skałach nad sobą. Wskoczył na siodło i pognał na południe przez przełęcz z Al Hazelem u boku. Strzelanina ucichła.

— Gdzie jest Nachee?

— Zmył się. Wszystko w porządku - rano spotka się z Warrenem.

Za nimi słychać było teraz stukot kamieni i klekot kopyt koni ludzi Antone na zboczu wzgórza; Apacze podążali w dół po zboczu. Po drugiej stronie przełęczy Benteen znów się odwrócił i dostrzegł za sobą kłąb cieni, ale Al Hazel śmiał się w ciemności, zadowolony ze swojego szczęścia.

— Myślę, że to było na tyle blisko, żeby było się czym przechwalać, panie poruczniku.

Wysunął się na prowadzenie, znajdując jakąś otwartą drogę na zbocze wzgórza, rozmawiając ze swoim koniem, gdy popychał go do przodu:

— Dalej, Star! Na Boga, lepiej, żebyś zarobił na swoje śniadanie. Czujesz przecież Indiańców.

Byli już w połowie stromego podjazdu, a ludzie Antone pozostali gdzieś w dole na przełęczy, kompletnie rozproszeni w ciemnościach. Odwróciwszy się, Benteen dostrzegał te splątane postaci ludzkie i miał ochotę zaryzykować strzał, ale tego nie zrobił. Na szczycie wzgórza Al Hazel skręcił w lewo, pognał do przodu pod niebezpiecznym kątem i wpadł do wąwozu. Pojechali nim do jego ślepego końca, wydostali się z niego i skręcili w prawo. W ten sposób, przerzucając się z jednego kierunku na drugi, przejechali milę lub więcej, zanim zjechali w dół. Nie słyszeli za sobą zupełnie niczego.

— Chyba ich strząsnęliśmy z siebie, przynajmniej na chwilę — zdecydował Al Hazel. — Uciekając tak nocą, zrobiliśmy najlepsze co było możliwe, chociaż będą nas tropić po zapachu pyłu. Więc jedziemy powoli.

Koń Benteena odczuwał skutki biegu. Kulał coraz bardziej w trakcie jazdy; biegł z głową spuszczoną do dołu, uszła z niego cała energia, krok miał niepewny z trudem łapiąc oddech, serce szarpało się mu w wielkiej piersi i wysyłało twarde wibracje wzdłuż całego ciała. Zmierzali lekko pod górę po płaskim stoku wzgórza, przejeżdżając przez gęsty sosnowy las, w którym iglaste podłoże nie pozostawiało obłoków pyłu. Kierowali się na zachód, delikatnie wznosząc się wraz z wysokością wzgórz. Wreszcie, po dwu godzinach lub więcej, od czasu ich spotkania z Antone, Al Hazel zatrzymał się i zsiadł z konia.

To była jakaś polana w porośniętym sosnowym lasem wąwozie. Al Hazel poinformował go:

— Stara kopalnia Castle’a and Butlera — i ruszył naprzód, prowadząc konia.

Benteen podążał za nim, widząc wyłaniający się z mroku kwadratowy kształt domu z bali. Hazel odciągnął drzwi, których zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały w ciszy, i zatrzymał się w progu, nasłuchując i wąchając. Wrzucił do środka parę kamieni.

— Chyba nie ma żadnych węży ani skunksów — stwierdził i wprowadził konia do środka.

Benteen, poluzowawszy popręg siodła, również przepędził konia przez drzwi. Al Hazel wrócił na zewnątrz, zamknął drzwi i poprowadził Benteena przez pozostałości starych ruin, obok zniszczonego szkieletu młyna i dalej w lekko chłodniejsze powietrze przed wejściem do kopalni. Tutaj również Al Hazel ostrożnie pogrzebał butem w ziemi, znalazł ze dwa kamienie i wrzucił je do tunelu.

— Nigdy nie chodź spać z wężem, chyba że do wyboru masz gorsze rzeczy — powiedział i wszedł do tunelu, natychmiast padając z hurgotem na ziemię. — Na Boga, poruczniku, jestem już wystarczająco mocno zmęczony, żeby przyznać, że jestem starym człowiekiem.

Benteen usłyszał, jak łapczywie pociąga wodę z manierki, chrząkając z ulgą przy każdym łyku. Podłoga tunelu była z litej skały, pokrytej porozrzucanymi luźnymi kamieniami. Benteen niechętnie rozgarnął je wokół siebie, zanim się uspokoił, wziął także łyk z manierki i nie poczuł ulgi po wypiciu starej wody. Położył się, z obolałym każdym stawem i tak zmęczony, że gdy pomyślał o powiedzeniu Al Hazelowi czegoś o trzymaniu na zmianę wart, słowa okazały się zbyt ciężkie dla jego gardła. Byli w trudnej sytuacji, ale zmęczenie przeważyło nad wszystkim innym, nawet nad potrzebą bezpieczeństwa; więc natychmiast zasnął, obojętny na cały świat.

Rozdział XVII

Benteen obudził się o pierwszej szarości poranka i zastał Ala Hazela wracającego ze zwiadu. Hazel przyniósł ze sobą puszkę wody i kilka sosnowych gałęzi; rozpalił mały ogień w tunelu i zagotował kawę. W blasku ognia Benteen dostrzegł zmęczoną, milczącą twarz przewodnika. Al Hazel stwierdził zrzędliwym głosem:

— Trochę to ryzykowne, ale, na Boga, muszę napić się kawy.

Wypili zaparzoną w puszce gorącą, mocną i czarną kawę, a następnie usmażyli na ognisku boczek i zagasili ogień. Było to pierwsze podejście do posiłku, od czasu tego jaki Benteen zjadł w południe dwa dni temu, a jego efekt był jak uderzenie whisky. Podłoga kopalni odcisnęła się na każdym mięśniu jego ciała, a stawy mocno go bolały, ale znów poczuł się radośnie, i wesoło stawił czoła perłowoszaremu światłu u wylotu tunelu.

Al Hazel powiedział:

— W górę zbocza jest źródło. Napoiłem konie i odprowadziłem je z powrotem do szopy. Pański koń mocno kuleje, panie poruczniku. Obie przednie nogi, co jest skutkiem zjazdu wczorajszej nocy z tego piekielnie stromego zbocza. Co chce pan teraz zrobić?

— Wspiąć się na najbliższy grzbiet i rozejrzeć się.

— Obóz Antone nie będzie dalej niż trzy-cztery mile na wschód. Ale musimy być sprytni. Te wzgórza są pełne przeklętych Apaczów, a najbliżej będą Tonto.

— Jak to? — spytał Benteen.

— Widzieli mnie wczoraj na skałach, panie poruczniku, a dla Tonto to jak reklama Czwartego Lipca. To plemię pragnie moich włosów od prawie piętnastu lat. Przeczołgaliby się na brzuchach przez czterdzieści mil kaktusów, żeby mnie dorwać. Z pewnością miałem z nimi kilka trudnych spotkań.

— Myślisz, że to kolejne trudne spotkanie, Al? — powiedział Benteen.

Przewodnik trzymał puszkę z kawą w dłoniach i pociągnął długi łyk. Kawa ściekała mu po wąsach. Strzepnął ją grzbietem dłoni i popatrzył na Benteena; jego oczy miały czarne obwódki.

— Jedno z trudniejszych, panie poruczniku. Były czasy, kiedy taka sytuacja wywoływała uśmiech na mojej twarzy. Dopóki byłem młody, nigdy nie miałem problemu, by dorównać Indiańcom w przebieraniu nogami, spoglądaniu przez muszkę karabinu czy ruszaniu głową. Ale kiedy człowiek przekroczy czterdziestkę, ta zabawa staje się już bardzo trudna. To piekło dla człowieka takiego jak ja, budzić się z poczuciem, jakby ktoś mnie odurzył końską dawką narkotyków. W takiej chwili człowiek zdaje

sobie naprawdę sprawę z tego, że nie jest już młody. No cóż, lepiej miejmy to już za sobą.

— Major Warren powinien być już blisko umówionego wzgórza — zastanawiał się Benteen. — Jak tylko rozejrzymy się po okolicy, udamy się w tamtą stronę.

Podszedł do wylotu tunelu, a za nim rozległ się ostrzegawczy głos Ala Hazela:

— Zaczekaj chwilę, Tom.

Czarne cienie odrywały się od zbocza wzgórza, od drzew sosnowego lasu, od kamienistych załamań terenu. Między nimi przebijała się perłowo-świetlista jasność poranka. Gra cieni sprawiała wrażenie nieustannego ruchu i przesuwania się po ziemi. Gruzowisko ciągnęło się od tunelu na co najmniej na pięćdziesiąt stóp i urywało się na opadającym zboczu; na polanie stała jedna chata, a na ziemi widać było resztki śladów innych budynków. Wzgórze po drugiej stronie wąwozu porastały sosny, zaś za nim wznosiło się podobne wzniesienie, zwieńczone płaskim kamienisto-skalistym szczytem. We wszystkich kierunkach za wąwozem drzewa tworzyły rozproszoną zasłonę.

Al Hazel stał obok niego, przyglądając się drzewom z niepokojem. Potem wzruszył ramionami.

— Nigdy nie wiadomo — mruknął. — Teraz nie mogą być już daleko.

Odwrócili się i wspięli się po zboczu. Przed nimi w powietrze wzbiła się sroka, wyglądała jak smuga powietrza z długim ogonem, jaśniejąca w coraz silniejszym świetle. Al Hazel chrząknął, stopy obsunęły mu się po ziemi. W połowie zbocza Benteen usłyszał coraz cięższy oddech przewodnika i zdał sobie sprawę, że ostatnie czterdzieści godzin znacznie nadwątliło siły Hazela. Na szczycie wzgórza jego płaski grzbiet rozciągał się na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt jardów na wschód i znów opadał. Z tego miejsca Benteen widział, jak ziemia na północ, wschód i południe stąd, faluje grzbietami wzgórz, poprzecinanych arroyo i kępami sosnowych lasów oraz krzyżujących się z innymi, poprzecznymi grzbietami. Ze wschodu nadciągał ciągle jeszcze bezsłoneczny poranek, tak czysty i przejrzysty, że wszystko zdawało się być bliższe, jak przez teleskop. Widział wyraźną kreskę przełęczy, zakończoną po drugiej stronie skalistą barierą. Był to szczyt, z którego wymknęli się poprzedniej nocy, co potwierdziło jego wyczucie kierunku. Góra, na której mieli spotkać Warrena, znajdowała się około czterech mil za nimi. Światło na wschodzie robiło się coraz jaśniejsze, a z pobliskiego szczytu unosił się ku niebu kłąb dymu.

Al Hazel skinął ku niemu głową.

— Tam jest obóz Indiańców, Tom.

— W porządku — zdecydował Benteen, — to właśnie chciałem zobaczyć. Teraz pojedziemy poszukać majora Warrena. — Był zadowolony ze sposobu, w jaki to wszystko się potoczyło i stwierdził. — Wyprawa była trochę trudna, Al, ale udało nam się namierzyć Antone.

— Być może — mruknął Al Hazel. — Indiańcy to cienie, Tom. Kobiety i dzieci są tam i część wojowników. Ale nie wszyscy. Reszta jest znacznie

bliżej nas, mógłbym się o to założyć. Antone to przebiegły diabeł, a ci Tonto właśnie mnie szukają.

Był z czegoś niezadowolony, omiatał spojrzeniem najbliższą okolicę; stał przy pniu drzewa, z kapeluszem zsuniętym z okrągłego czoła. Jego oczy błyszczały czarno pod brodą, a wargi zrobiły się wąskie od natłoku myśli. Kamizelka opadała mu luźno wokół masywnej klatki piersiowej, a łańcuszek zegarka kołysał się delikatnie, gdy się obracał. Ramiona miał wyraźnie ciężkie i Benteen ponownie wyczuł ogromne zmęczenie, w nich, a także w sposobie, w jaki rozstawił nogi. Hazel powiedział:

— Cholernie fajny kraj, panie poruczniku. Dobrze się w nim bawiłam. Może wy go ucywilizujecie, a wtedy się zapełni ludźmi. — Pokręcił głową, nie podobała mu się ta myśl. — Wolałbym, żeby wszystko zostało tak, jak jest. To jedyne miejsce na świecie, gdzie człowiek może robić, co mu się żywnie podoba.

— Jeszcze długo tak będzie — zauważył Benteen.

Al Hazel wskazał na sygnał dymny.

— Pewnego dnia nie będzie już ich widać na tle nieba. Wtedy będzie to już zupełnie inny kraj. Nie podoba mi się ta pańska cywilizacja, Tom. Jeśli umieści się kogoś w mieście, w domu, da mu stałą pracę i pozwoli mu się martwić o wypłatę - to nie będzie on już człowiekiem żyjącym zgodnie z naturą. Pan nigdy by nie chciał, byśmy żyli w taki sposób.

Przeszli z powrotem przez równy teren na szczycie i zeszli w dół zbocza wąwozu. Pierwsze promienie słońca przebiły się przez niebo, rozjaśniając leżącą w dole starą polanę. Urobek z kopalnianego gruzowiska tworzył żółtawą szramę na otaczającej ziemi, a ślady fundamentów budynków wciąż odcinały się od rosnącej dokoła trawy i kaktusów. Kiedy Benteen ześlizgiwał się po pochyłości, wokół czubków jego butów wzbijał się pył; kilka luźnych kamieni odbijając się, poleciało w dół. Al Hazel zatrzymał się na gruzowisku, podczas gdy Benteen wyprowadził konie z małej chaty. Przyprowadził je do Hazela, zauważając, jak bardzo milczący jest stary przewodnik; jego oczy, coraz węższe i jaśniejsze, nieustannie przeszukiwały gęstwinę drzew. Wziął swojego konia, schodząc z nim razem z Benteenem. Podwójne zmarszczki przecięły mu czoło i wzruszył ramionami w geście niezadowolenia.

— Wynośmy się stąd.

Wsiedli na konie i przejechali przez gruzowisko i wydostali się na dno wąwozu, jadąc w górę wzdłuż jego płytkiego koryta. Kierowali się na północ, w stronę przełęczy. Teren pod nimi zaczął się ostrzej wznosić, zmieniając się w zbocze wzgórza. Pojechali trawersem po zboczu, wzdłuż czoła sosnowego lasu. Koń Benteena wciąż oszczędzał prawą przednią nogę; poruszał się sztywnym, zmęczonym krokiem.

— jedźmy po lewej stronie tego wzniesienia — powiedział Al Hazel, — dzięki temu…

Benteen, odwracając się, by spojrzeć na Ala Hazela, wychwycił ruch na drzewach za nimi. Jeszcze zanim upewnił się, że na pewno go widzi, z całej siły rozsunął pięty. Al Hazel również to dostrzegł.

— Na Boga — warknął — uciekaj stąd, Tom! Pod górę, uciekaj pod górę!

Benteen uderzył konia piętami tak mocno, że wałach chrząknął i przyśpieszył kroku. Oficer odwrócił głowę i zobaczył, jak czterech Apaczów wyłania się z lasu w pełnym galopie, kierując się w dół zbocza, aby ich przechwycić. Cisza poranka odbiła się echem ich nagłych krzyków, a także pośpiesznego wystrzału Ala Hazela. Hazel krzyknął:

— Nie zatrzymuj się, Tom! — i wystrzelił ponownie.

Benteen skręcił na zboczu, pędząc w stronę najbliższych drzew. Przez cały czas robiło się coraz wyżej; czuł ciężar podjazdu dla wałacha. Tempo zwierzęcia spadło, więc ponownie użył ostróg, popędzając je przez górny wylot wąwozu i wydostając się na równy teren. Przed nim rosły rozproszone sosny i widać było pomarszczone zwały zniszczonej ziemi. Obejrzawszy się za siebie, zauważył, że Al Hazel pozostał z tyłu, więc natychmiast zwolnił kroku i wyciągnął rewolwer.

Hazel spróbował kolejnego strzału z siodła. Trafił w konia, zrzucając jednego z czterech Apaczów. Pozostali trzej nie ustawiali w pościgu, nisko pochyleni na mustangach, wyjąc bez przerwy. Benteen wystrzelił i zawołał:

— Chodź, Al....

Rzucił spojrzeniem do przodu i gwałtownie ściągnął wodze wałacha, na wpół go zawracając. W tej bowiem chwili pół tuzina wojowników wyłoniło się z niewielkich zagłębień porośniętych sosnowym lasem i rzuciło się prosto na niego, wszyscy byli bez koni.

Wrzasnął:

— Al!

Odpowiedź Ala Hazela dotarła do niego z pełną mocą. Potem nie miał już czasu się rozglądać. Apacze przed nim upadli na ziemię; brali go na cel, podczas gdy jeden z wojowników pędził aby skoczyć prosto na głowę wałacha. Benteen ponownie skręcił, strzelił nie celując i powalił Apacza. Znalazł się bokiem do pozostałych, stanowiąc łatwy cel. Nagle zdał sobie sprawę, że to zgubna taktyka, i skręcił, aby na nich zaszarżować. Znajdowali się trzydzieści stóp od niego, ich brązowe postacie leżały na ziemi. Widział, jak karabiny Indian unoszą się w jego stronę, i wpadając niemalże na nich, zaobserwował, jak lufy karabinów odsuwają się w bok, aby uniknąć kopyt wałacha. Koń odchylił się w bok, by nie nadepnąć na najbliższego z leżących Apaczów. Karabin Indianina, uniesiony prosto do góry, ryknął mu w twarz, potem zaś minął szereg wrogów, oddalając się od niego. Wykręciwszy się w siodle, aby osłonić tyły, zobaczył, że rozbiegają się, aby go okrążyć; lecz z tyłu za nimi zobaczył coś, co zmusiło go do zawrócenia.

Koń Ala Hazela leżał na ziemi. Al stał oparty plecami o sosnę, celując z karabinu do trzech Apaczów na koniach, którzy ruszyli na niego z pełnym impetem. Al Hazel wystrzelił i zabił najbliższego z nich, a następnie, unosząc obie ręce, rzucił bronią w dwóch pozostałych. Rozległa się seria coraz głośniejszych wrzasków i para Apaczów zeskoczyła z koni, odwróciła się i pobiegła w stronę Hazela. Benteen zawrócił konia, strzelając do blokujących mu drogę Apaczów. Krzyknął:

— Al.... schowaj się za drzewem!

Było już jednak za późno. Kula trafiła Hazela i obróciła go tak, że stanął twarzą do drzewa. Złapał się kory, boleśnie próbując odwrócić się z powrotem, i kiedy to robił, powoli odpychając się od pnia, jeden z biegnących pieszo Apaczów dopadł go i zamachnął się lufą karabinu, miażdżąc Hazelowi głowę.

Benteen krzyknął:

— Al! — strzelając prosto w nadbiegających wojowników.

Al Hazel padł martwy u podnóża drzewa, a odgłosy kolejnych wystrzałów zaczęły wstrząsać porankiem i w cieniu sosen kurz zamigotały wzbijane przez kule obłoczki pyłu - ponadto z wąwozu, w którym znajdował się obóz górniczy, wyłoniło się czoło kolejnej kolumny ludzi Antone i ruszyło do przodu. Benteenowi nie pozostało nic innego, jak uciekać, więc przedzierał się przez sosny, słysząc za plecami palbę karabinów i słaby świst ołowiu wokół siebie. Przed nim znajdowało się kolejne zapadlisko. Pomknął do niego, kryjąc się przed ogniem Indian, i wydostał się po jego drugiej stronie, galopując coraz głębiej w las.

Znalazł się poza skutecznym zasięgiem ich strzałów, pot zalewał mu twarz. Wielki koń gnał, walcząc o oddech i powoli tracąc prędkość; jedno spojrzenie za siebie pokazało mu migoczące sylwetki Apaczów przemykających między drzewami i rozpraszających się w miarę podążania za nim.

Ucieczka poniosła go na północ i teraz od czasu do czasu przez drzewa widział przełęcz oraz otwarty teren na niej. W niewielkiej odległości znajdował się pagórek dający dosyć skuteczne schronienie, jeśli koń będzie w stanie do niego dotrzeć; w przeciwnym razie pozostanie mu tylko ucieczka pod osłoną drzew oraz możliwość wskoczenia do jakiegoś płytkiego dołu i podjęcia walki.

Nad tym właśnie debatował w czasie kolejnych stu metrów ucieczki na łeb na szyję, po czym podjął decyzję i natychmiast skierował się w stronę przełęczy. Kolejne sto metrów doprowadziło go do krawędzi ostrzej opadającego stoku, a sosny pozostały za nim. Zbocze opadało stromo w stronę przełęczy, a gdy niemalże już je pokonał, uniósł wzrok i zobaczył wznoszący się na jej końcu masyw, przypominający blanki murów warownego zamku. Zobaczył też coś jeszcze i był to widok, którego nie zapomni do końca swego życia.

Na przełęczy, jadąc w dwóch kolumnach, pojawił się oddział dowodzony przez majora Warrena. Kurz wzbijał się wokół koni; sylwetki żołnierzy odznaczały się na tle ciemnej ziemi, metal błyskał w słońcu, a proporce oddziałów łopotały na lekkim wietrze wywoływanym przez ruch kolumny.

Znajdowali się nie dalej niż milę od niego. Zobaczył ich i podniósł rękę - i został dostrzeżony natychmiast, kiedy jeszcze pędził w dół zbocza. Kolumna skręciła w jego kierunku, kurz wzbił się gęstymi chmurami, a proporce zatrzepotały mocniej, wskazując na szybszy ruch oddziału. Benteen zjechał z ostatniego skalnego stopnia i zatrzymał się, by obejrzeć się w górę zbocza; jeden Indianin stał wysoko na krawędzi zbocza, wpatrując się w zbliżających się żołnierzy; chwilę później zniknął z pola widzenia.

Wielkie ciało Warrena szarpnęło się do tyłu w siodle, kiedy zatrzymał konia przed Benteenem. Benteen zobaczył, jak szorstka maska na twarzy majora załamuje się ekspresyjnie. Warren krzyknął:

— Gdzie, panie Benteen?

Benteen zsunął się z konia. Warren zauważył:

— To zwierzę jest prawie martwe. Hannevy, proszę dać panu Benteenowi swojego konia i pozostać w tyle, z taborem mułów.

Hannevy pchnął konia ostrogą, podjechał i zsiadł z siodła, odbiegając do tyłu, z koniem Benteena. Kolumna stała cicha i niecierpliwa w jasnym, gorącym słońcu. Benteen dosiadł konia Hannevy'ego, składając meldunek:

— Na krawędzi szczytu, za mną, jest część bandy Antone. Będą się wycofywać do głównego obozu. To trzy lub cztery mile wzdłuż tej przełęczy, na tym pofałdowanym terenie po prawej stronie.

— Ilu jest przed nami?

— Około dwudziestu. Ale zbliżają się kolejni.

Warren zawołał:

— Harrison, proszę poprowadzić pluton na to zbocze. Naciśnijcie na nich! Będziemy posuwać się równolegle do pana i włączymy się do walki.

Harrison wykrzyczał kilka słów. Jeden z plutonów oddziału I odłączył się od kolumny i ruszył za kapitanem Harrisonem w górę zbocza. Warren machnął ręką nad głową i reszta kolumny ruszyła jednostajnym galopem wzdłuż otwartego terenu łuku przełęczy. Benteen powiedział:

— Będą się wycofywać równolegle do przełęczy. Jakąś milę dalej znajduje się stara kopalnia i polana, przez którą myszą przejść w czasie odwrotu.

— Mamy jeszcze jakichś na północnej stronie przełęczy, panie Benteen? — spytał Warren.

— Antone rozbił tam obóz zeszłej nocy. Dziś rano przeniósł się na południe.

Warren stwierdził:

— Pan Lankerwell powinien wkrótce przybyć. Gdzie znajduje się główny obóz Antone?

Benteen wskazał ręką okrągły, czarny szczyt wzgórza na południowym wschodzie, odległy o jakieś cztery mile w linii prostej. Warren, ciężko zmuszając konia do dłuższego kroku, przyglądał się przez dłuższą chwilę wskazanemu szczytowi. Następnie zawołał:

— Panie Castleton! — i zaczekał, aż Castleton podjedzie do niego.

Następnie polecił mu:

— Weźmie pan piętnastu ludzi ze swojego oddziału, z sierżantem Hanną, i ruszycie dalej przełęczą, kiedy my z niej zjedziemy. Jedźcie tak długo, aż znajdziecie się mniej więcej na wprost tego szczytu, a potem wjedźcie na wzgórza i zbliżcie się do niego. Macie blokować jakikolwiek odwrót z tego kierunku, dopóki my nie podejdziemy. Zrozumiano - nie wolno panu atakować. Jeśli zobaczy pan pana Lankerwella nadciągającego z północy, proszę wysłać posłańca, aby go sprowadził.

Castleton wrócił do kolumny. Przez stukot kopyt i szczęk jazdy kolumny, przedarła się stłumiona palba wystrzałów, gdzieś na szczycie

grzbietu. Na jego krawędzi pojawił się żołnierz i pomknął w dół po zboczu, wykonując długi, skośny zjazd. Pośpieszył do majora Warrena:

— Kapitan Harrison składa wyrazy szacunku, panie majorze. Indianie ustępują przed nami, ale niezbyt szybko. Gromadzą się w lesie. Około trzydziestu. Kolejni napływają z południowego zachodu.

Benteen skomentował meldunek.

— W takim razie z obozu przybyła reszta wojowników. Będzie ich pięćdziesięciu. Może nawet więcej.

Pot spływał mocno po poczerwieniałej twarzy majora; zaczął plamić jego koszulę. Przekręcił się w siodle, krzycząc do tyłu:

— Panie Castleton - anuluję poprzedni rozkaz!

Jego niebieskie oczy rozbłysły jasnym blaskiem.

— Na Boga, to wygląda na bitwę. Jeśli Antone nie ustępuje w szybkim tempie, czeka na okazję do ataku.

Szybki pęd kolumny zaniósł ją spory kawałek wzdłuż przełęczy. Major Warren przestudiował wzrokiem zbocze, pod którym się poruszali, i wskazał ręką na nieregularne załamanie jego krawędzi.

— Dogodne miejsce. Jesteśmy już dosyć daleko za nimi. Skręcamy!

Kolumna zakręciła na przełęczy, ruszając prosto na wzniesienie. Major Warren chrząknął, gdy jego koń wjechał na zbocze i ruszył pod górę; jechali w tempie wspinaczkowym, zygzakując wzdłuż konturów stoku. Benteen pchnął konia do przodu, wspinając się prosto pod górę, dzięki czemu jako pierwszy dotarł do górnej krawędzi stoku. Przed nim rozciągał się pofalowany teren porośnięty sosnami, a za długim, nieregularnym uskokiem widać było bliznę po kopalni. Wszędzie dookoła w powietrzu unosił się pył, wzbity przez niedawny przejazd koni. Od czasu do czasu z zachodu, gdzie znajdował się Harrison, rozlegały się strzały sygnalizujące walkę pomiędzy jego żołnierzami a Apaczami. Warren wspiął się na górę, a za nim nadjechała cała kolumna i zatrzymała się na dany przez niego sygnał. Major głęboko oddychał, zaś czubki jego białych wąsów opadły, zlane potem. Nadstawił jednak ucha na zachód, nasłuchując strzałów i podejmując decyzję.

— Ustępują pod naporem Harrisona. Przesuwają się w tę stronę. Skąd ten pył na tej polanie?

— Wojownicy Antone przez cały czas nadciągają ze wschodu, by dołączyć do walki. Od świtu było ich tu pełno.

Warren ponownie poprowadził kolumnę do przodu, podążając korytem wąwozu nieregularnie opadającego w kierunku gruzowiska górniczego.

— Chcę się dostać na to wzgórze nad kopalnią.

Wyszli z wąwozu, oddalili się od żlebu kopalni i ruszyli na wzgórze w bardziej zalesionej części terenu, wspinając się na nie ciężkimi odcinkami.

— Żałuję, na Boga — stwierdził z goryczą major Warren, — że ze mnie jest taki obżartuch. To prawdziwe piekło dźwigać ciężar dwóch ludzi na jednym tyłku. Gdzie jest Hazel?

— Nie żyje — odparł Benteen.

— Ach — westchnął Warren.

Kolumna wspinała się, pokonując ostatnie skaliste fałdy zbocza, konie ślizgały się i szorowały po luźnych warstwach kruszącego się kamienia.

Zapach potu stawał się coraz bardziej intensywny. Mixler na tyłach kolumny nawoływał swoich ludzi do zwarcia szeregów. Gruby irlandzki głos sierżanta Hanny przeklinał trębacza Patcha.

— Ty przeklęty smarkaczu - jedź dalej - jedź dalej!

Dotarli do porośniętego krzewami równego terenu na szczycie wzgórza i kłusowali wzdłuż niego, aż w końcu dotarli do miejsca bezpośrednio nad gruzowiskiem. Tutaj Warren zatrzymał kolumnę, by przyjrzeć się dnu kanionu i grzbietowi położonego za nim wzgórza. Strzelanina nasiliła się tam i znacznie się zbliżyła. Major Warren pozwolił, by chwile mijały, a on rozważał wszystko w myślach, po czym rozkazał:

— Panie Castleton, weźmie pan sześciu ludzi i uda się w lewo, wzdłuż grzbietu. Wydaje się, że zakręca on w stronę tego lasu. Proszę dokonać zwiadu w lesie. Jeśli zobaczy pan coś w tamtym kierunku, proszę dać znać - ale ma pan nie podejmować walki i żadnych szarż między drzewami. Hanna, jedź ze zwiadem.

Castleton wykręcił koniem i oddalił się ze swoim oddziałem. Mixler podszedł i uścisnął dłoń Benteena.

— Wygląda na to, że aktywnie spędziłeś czas.

Obaj oficerowie stali obok, podczas gdy Warren po cichu mówił, co myśli.

— Strzelanina nie jest specjalnie ostra, więc myślę, że Harrison nie ma jeszcze kłopotów. Moglibyśmy włączyć się do tej walki, ale to spowodowałoby, że Apacze rozproszą się. Jeśli wycofują się pod naporem Harrisona, prawdopodobnie dotrą na ten czysty teren. W takim przypadku przyjmiemy walkę pieszo. Jeśli jednak ominą polanę to spróbują nas okrążyć, musimy więc trzymać się blisko koni. To tak jak z połowem ryb – trzeba znaleźć kierunek, w którym ryba chce płynąć, bo inaczej nie złapie się niczego poza wodą. Poczekamy jeszcze chwilę lub dwie.

Palba karabinowa odbijała się długim echem w lesie po drugiej stronie wąwozu. Słońce rzucało swój żółty blask na oczekującą kolumnę, parząc wszędzie tam, gdzie miało dostęp. Żołnierze uformowani byli w dwuszeregu, ze spokojem czekając na stanowiskach, ale z zaciśniętymi szczękami i błyskiem podniecenia w podkrążonych oczach. Benteen przyglądał się im uważnie, zauważając, jak spokojnie zachowują się starzy wyjadacze, tacy jak McSween czy Conrad Reicherts. Trębacz Patch nigdy wcześniej nie brał udziału w bitwie; przewracał oczami, obserwując swoich towarzyszy, jakby szukał w nich pocieszenia, jakby próbował odkryć w nich część swojej własnej niepewności. Benteen rozumiał, co się działo w głowie chłopaka. Przypomniał sobie swoje pierwsze starcia, znów poczuł szybciej krążącą w żyłach krew, dreszcze gwałtownego strachu i jeszcze większy strach przed okazaniem strachu. Przez to samo przechodził teraz trębacz Patch i Harry Jackson, który siedział w siodle ze spuszczoną głową, wpatrując się w kostki swoich dłoni. W oddziale panowała cisza, lecz za tą ciszą krył się natłok nadziei i obaw oraz sięgających wstecz wspomnień. Mixler zatrzymał konia, by stanąć obok Benteena. Benteen uśmiechnął się do niego, a Mixler skinął głową i skierował wzrok na sosny na przeciwległym grzbiecie.

Nagle strzały tam nasiliły się i zaczął się unosić pył. Benteen mruknął:

— Wychodzą między drzewami.

Rozdział XVIII

Major Warren oznajmił konwersacyjnym tonem:

— Będziemy walczyć pieszo — i wykonał gest ręką.

Żołnierze ruszyli na linię walki bez dalszego rozkazu; ludzie zeskoczyli z koni, przemykając się pod ich głowami, każdych trzech kawalerzystów podawało wodze czwartemu, który był koniowodnym.

Koniowodni, z kapralem Oldbuckiem jako dowodzącym, odbiegli truchtem z linii tyraliery.

Warren rozkazał:

— Pan weźmie prawą stronę, panie Benteen. Panie Mixler, pan lewą.

Żołnierze rozproszyli się rzadko wzdłuż grzbietu krawędzi, kucając wśród skał, kładąc się za pniami sosen. McSween przeszedł wzdłuż linii, mrucząc:

— Nie ma się do czego śpieszyć. I uważajcie na rozkazy. Obetnę uszy każdemu, kto wystrzeli, zanim mu każą.

Benteen przeszedł na prawą stronę linii, zajmując pozycję za drzewem. Z tego miejsca popatrzył przez wąwóz na przeciwległy brzeg i zobaczył, jak banda Antone wydostaje się z lasu i wbiega na otwarty teren; nadchodzili w rozproszonej, niekarnej fali, a gdy spoglądał, jak wylewają się na pustą przestrzeń, zdał sobie sprawę, że mają przed sobą całą siłę wojowników Antone. Indian było tu więcej niż żołnierzy.

Warren rozkazał, wciąż spokojnym głosem:

— Wziąć na cel konie.

Tymczasem Phil Castleton, poruszający się wzdłuż grzbietu wzgórza, dotarł do miejsca, w którym grzbiet ten zakręcał na zachód i łączył się z drugim wzgórzem opasującym wąwóz z obozem górniczym. Drzewa tutaj gęstniały, a skrzyżowanie wzgórz tworzyło poszarpany, nierówny, pełen dziur i wykrotów obszar, który uniemożliwiał jakikolwiek wyraźny widok do przodu. Jedyne, co widział dobrze, to krawędź wąwozu po prawej stronie. Gdzieś przed nim tliła się nieustanna palba karabinowa, odgłosy wystrzałów oddziału Harrisona napierającego na Apaczów. Hanna jechał obok niego, a pozostałych sześciu żołnierzy podążało za nimi. Byli to Van Rhyn, Canreen, Lefferts, Hollander oraz dwaj nierozłączni partnerzy z oddziału I, Gordon i Maris.

Skręcili wzdłuż trudnego terenu, trzymając się z dala od jego dziur i wykrotów, tak bardzo jak to możliwe. Pierwszym namacalnym widokiem walki, jaki dostrzegł Castleton, był podobny do dymu kłąb kurzu między drzewami, oznaczający szybko poruszających się jeźdźców, i, jak ocenił,

była to nowa grupa ludzi Antone nadciągająca z południa, aby dołączyć do głównej bandy. Wiedział już, że to poważna bitwa, ponieważ Apacze nie mieli w zwyczaju zbierać się w duże grupy i rzucać się do walki z kawalerią, jeśli nie byli absolutnie pewni swojej przewagi terenowej. Przypomniał sobie rozmowy starych wyjadaczy na posterunku. Mówili oni, że Antone będzie znikał jak cień, dopóki konieczność zachowania prestiżu nie zmusi go do walki lub dopóki z okolicznych wzgórz, nie nadejdzie odpowiednio duże wsparcie, aby do niego dołączyć. Obecnie wyglądało, że tak właśnie się stało.

Rozważał wysłanie z powrotem posłańca, aby poinformować majora Warrena o nowych Indianach, którzy napłynęli; ale odrzucił ten pomysł, nie chcąc redukować liczebności swojego oddziału. W związku z tym przeżył trudny moment, zdając sobie sprawę, że nie bierze udziału w głównej bitwie. Warren umieścił go tutaj, aby działał jedynie jako ochrona flanki. Zrozumiawszy, że stoi z boku, podczas gdy wokół niego toczy się walka, oraz że poszedł w odstawkę, z goryczą pożałował, nie ma za plecami chociaż ze dwudziestu ludzi.

Nie miał wątpliwości, że mając tylu ludzi byłby w stanie zagłębić się w las i odepchnąć Apaczów z powrotem w stronę Harrisona lub wrzucić ich na łeb na szyję do wąwozu, aby Warren mógł się z nimi łatwo uporać.

Kurz gęstniał, w miarę jak przemieszczał się dalej, a strzelanina znalazła się dość blisko, tak blisko, że jakaś zbłąkana kula ucięła wysoko rosnącą gałąź sosny, bezpośrednio przed nim. Wtedy, wpatrując się w poszarpaną, górzystą ziemię, zobaczył Apaczów poruszających się przez las. Natychmiast wyrzucił ramiona na zewnątrz jako sygnał do rozstawienia oddziału. To spowodowało, że jego ludzie uformowali się w szereg, po jego bokach. Zatrzymał się więc na chwilę w tym miejscu, stając w strzemionach z ciałem wychylonym do przodu i cała jego szalona nadgorliwość uderzyła mu do głowy.

Hanna mruknął:

— Przemieszczają się w naszą stronę.

Apacze skręcili się w stronę Castletona; byli luźno rozproszeni między drzewami i nie spieszyli się. Od czasu do czasu niektórzy z nich zawracali i znikali, jakby sprawdzali siłę oddziału Harrisona, jakby podstępnie wciągali jego ludzi głębiej w las. Tumany kurzu robiły się coraz większe i gęstsze, a echa wystrzałów rozbrzmiewały coraz mocniej.

Wydawało mu się, że dalej na północy, w pobliżu przełęczy, ma miejsce jakaś wzmożona aktywność; główne walki zdawały się toczyć właśnie tam. Ci Indianie przed nim, stanowili lotną flankę bandy Antone. W tumanach kurzu, dostrzegał ich tylko siedmiu lub ośmiu.

Popatrzył w dół, na swoje zaciśnięte pięści, głęboko wciągnął powietrze i usadowił się mocniej w siodle. Popatrzył w obie strony, jego policzki były mocno napięte, a mięśnie długiego podbródka stwardniały. Oczy czarnego starego żołnierza Hanny niewiele mówiły, ale wiedział, co Hanna myśli; nawet gdy powiedział:

— Za mną!

Rzucił się do przodu, unosząc rewolwer. Hanna pchnął konia ostrogą, aby być koło niego, wyciągając karabin, zaś wszyscy inni wjeżdżali na

górę i zjeżdżali, wraz ze fałdami i wykrotami terenu. Wyjechał z pełnego dziur pustego terenu, zagłębiając się w las, prosto w tumany kurzu, prosto w to całe mroczne zamieszanie. Apacze przesuwali się przed nim, a on zaczął strzelać do przemykających kształtów i wołać:

— Za mną - za mną!

Nagle wokół niego rozległ się huk karabinów żołnierzy.

Ze wszystkich stron otaczały go drzewa. Zobaczył spadającego z siodła Apacza, a po chwili innego, który przeciął mu drogę, jadąc z ogromną szybkością, strzelając z pędzącego mustanga. Koń oraz Indianin rozpłynęli się gdzieś przed nim. Kiedy przedzierał się dalej przez sosny, czuł się tak, jakby wyciągnął rękę po pewny chwyt na czymś i zacisnął palce na pustym powietrzu. Ale Apacze byli wokół niego. Czuł chłostanie ich ołowiu, bliskie i silne; i natychmiast, zaplątany gęstwinie drzew, stał się celem ich szybkiego ataku. Zbliżali się do niego gęściej, niż kiedykolwiek myślał, że to możliwe. W cieniu drzew byli mniejszymi cieniami, ich ogień rozdzierał go ze wszystkich stron.

Rzucił się do przodu, strzelając do tych cieni i wołając:

— Za mną - trzymać się razem - za mną!

Gałąź sosny chlasnęła go w twarz; zabierając jego kapelusz i na chwilę go oślepiając. Usłyszał, jak koń Hanny chrząknął i upadł; usłyszał krzyk Canreena:

— Ach…!

Był przed swoimi ludźmi, za daleko z przodu, a w chmurach pyłu nie było widać żadnych celów, do których mógłby strzelać. Odwracając się, zobaczył Hannę stojącego nad swym martwym koniem, wysokiego, stojącego w rozkroku, strzelającego, przeklinającego oraz strzelającego ponownie. Canreen czołgał się do przodu na rękach, z głową opuszczoną w dół. Lefferts zeskoczył z siodła i rzucił się do drzewa, szukając na nim schronienia. Hanna wrzasnął:

— Złaź na dół - złaź na dół - to kolejna pułapka!

Gordon potykając się pobiegł na piechotę do przodu, przedostając się przez zwalone drzewo i padając za nim. Maris podążył jego śladem. Van Rhyn ruszył na koniu prosto do tego schronienia, ale nagle jego koń zatoczył się do tyłu. Na próżno chwytając się za wybrzuszenie siodła; spadł z niego, natychmiast znikając z widoku.

Castleton pozostał na swoim koniu. Obracał go ciągle w koło, posyłał kule w stronę rozmytych cieni Apaczów, którzy go otaczali. Wyglądali jak niematerialne wizje ze snu, nieosiągalne, a jednak stale gęstniejące. Ludzie Antone ze wszystkich stron śpieszyli w to miejsce, by ich zabić. Hanna popatrzył na niego, jego czarne, mądre oczy były pełne słów, których nie mógł wypowiedzieć. Zawołał tylko:

— Lepiej niech pan zejdzie z tego konia - chwilę tu zostaniemy.

Ostrzał nasilał się, kule uderzały wszędzie dokoła; na głowę Castletona sypał się deszcz sosnowych igieł.

Ze wschodniego grzbietu Benteen obserwował Apaczów schodzących z dalekiego zbocza do wąwozu kopalni, wciąż nieświadomych obecności przed sobą żołnierzy. Benteen wyszeptał:

— Celować w konie i czekać na rozkaz do strzału.

Ludzie Harrisona wywierali stałą presję na grupę Antone, zmuszając ich do wyjścia z lasu. Lecz na południowym zachodzie rozległ się coraz głośniejszy odgłos ognia karabinowego. Centrum walki przesunęło się w tamtą stronę, szybko robiąc się zaskakująco głośne. Benteen odwrócił się do Warrena, widząc, że twarz majora skierowała się w tą samą stronę. Z lasu wyskoczył konno jakiś Apacz i krzyknął coś do wojowników, którzy byli w wąwozie, po czym część grupy zawróciła na stok wąwozu. Nagle Warren krzyknął:

— To Castleton walczy! Cholera jasna! Benteen, zabierz tam swoich ludzi!

Benteen rzucił się do koni, za nim cała prawa połowa linii. Koniowodni zerwali się na nogi. Warren krzyknął do swojej sekcji:

— W porządku - ognia!

Zalali deszczem kul konnych wojowników w wąwozie. Już z siodła, galopując wzdłuż grzbietu, Benteen dostrzegł jeszcze, jak konie Apaczów padają na ziemię, zobaczył Indian pędzących z powrotem w osłonięte miejsca, widział, jak niektórzy kładą się nisko na swoich mustangach i rozbiegają się we wszystkich kierunkach.

Dotarł na skrzyżowanie grzbietów, jego ludzie deptali mu po piętach, popędził przez nierówny teren, pełen dziur wypełnionych ruchomymi piaskami, i usłyszał przed sobą silną bitwę. Spomiędzy drzew unosiły się dym i kurz; Apacze wyli tam na cały głos. Widział, jak kawalerzyści przedzierają się przez las i zdawało mu się, że widzi jednego żołnierza wciąż w siodle.

— Z koni!

Był już na ziemi, a McSween truchtał koło niego. Żołnierze rozproszyli się w tyralierę, wjeżdżając i wyjeżdżając z piaszczystych dziur, zsiadając z koni. Wpadli między drzewa, ruszyli przez las, kryjąc się za nimi, strzelając i znów prześlizgując się do przodu. Kłęby dymu i kurzu unosiły się pod gałęziami sosen, a konie Apaczów rzucały się we wszystkie strony, zdezorientowane tym co się dzieje. Benteen zobaczył, jak Castleton zawraca konia i rzuca się głębiej między sosny, na oślep, szalony i bezmyślny. Krzyknął na niego. Żołnierze ruszyli na Apaczów. Konie Indian wpadały na pnie sosen. Jakiś niewielki wojownik, leżący płasko na gołym grzbiecie mustanga, przemknął przed Benteenem, próbując do niego strzelić. Benteen strącił go z konia jednym strzałem. Gordon i Maris unieśli głowy nad zwalonym drzewem, zobaczyli zbliżającego się Benteena, i poderwali się, by dołączyć do szeregu. Gordon krzyknął:

— Teraz kolej na was, wy czerwone sucze syny!

Benteen przeskoczył przez powalone drzewo i potknął się o małą sylwetkę van Rhyna, leżącego na ziemi. Canreen siedział oparty plecami o drzewo; trzymał rękę na brzuchu i wpatrywał się w Benteena, kręcąc głową. Sierżant Hanna leżał zwinięty na igłach sosnowych, a w jednej wielkiej pięści wciąż ściskał rewolwer. Miał otwarte oczy, ale był martwy.

Ludzie Harrisona zbliżali się, naciskając na Apaczów z drugiej strony. Benteen usłyszał chrapliwy głos Harrisona; i zobaczył konie Apaczów zawracające w stronę wąwozu kopalni. To był błyskawiczny zwrot w bitwie i natychmiast zawołał do swoich ludzi, prowadząc ich w stronę wąwozu.

— Wszyscy za mną!

McSween trzymał się go, cienka tyraliera żołnierzy kłębiła się pośpiesznie dookoła. McSween warknął:

— Niech pan trzyma się ze mną, panie poruczniku! Proszę nie wysuwać się tak cholernie daleko do przodu!

Apacze przemknęli przed nimi, pędząc w stronę pustej przestrzeni. Ale z tamtego kierunku huczała gwałtowna strzelanina, prowadzona przez część oddziału K dowodzoną przez majora Warrena, powstrzymującą odwrót Antone; zaś Harrison wciąż naciskał z północnego zachodu. Wzięci w ten sposób w kleszcze Apacze cofnęli się w górę wąwozu i między drzewa, zbliżając się mocno do Benteena. Benteen wycelował rewolwer w sylwetkę żylastego Tonto, który wyszedł pieszo z wąwozu. Zostawił Tonto i odwrócił się, by dać znak swoim ludziom, aby ruszyli naprzód. Byli w samym środku, w samym sercu tej kłębiącej się dokoła walki. McSween pobiegł z powrotem, widząc, jak Conrad Reichert traci konia. Wrzasnął:

— Uważaj, ty przeklęty Holendrze!

Harry Jackson przebiegł przez pełne dziur pagórki, reszta oddziału deptała mu po piętach. Stojąc za sosnami lub klęcząc na miękkiej murawie, spotkali się z cofającymi się wojownikami Antone i odepchnęli ich z powrotem do wąwozu. Z lasu wyłonił się Harrison, z policzkami umazanymi potem i kurzem, szeroko rozchylonymi ustami łapiąc suche, gorące powietrze. Oddział K wypadł z sosen tuż za nim, dotarł do wąwozu kopalniani i ruszył do niego, krzycząc.

Benteen krzyknął:

— Konie!

Koniowodni koni podbiegli ze zwierzętami, oddział wskoczył na siodła. Benteen ruszył za Harrisonem do krawędzi wąwozu i zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć w dół. Na dole leżały martwe indiańskie mustangi, a Apacze, zarówno piesi, jak i konni, cofali się pod gradem ognia. Warren schodził ze swoimi ludźmi po stromym przeciwległym zboczu, a Harrison zepchnął ostatnie rozproszone resztki oddziału Antone z grzbietu, spędzając ich na dno wąwozu. Kilku wojowników, unikając manewru okrążającego, pobiegło do górnego ujścia wąwozu, z determinacją starając się dotrzeć do pełnego dziur zbocza, na którym wpadł w pułapkę Castleton. Benteen wskazał na nich, a karabiny przeszyły ogniem powietrze, zrzucając kilku z mustangów. Reszta uciekających Apaczów pośpieszyła dalej, znikając w oddali.

Strzały ucichły. Banda Antone została rozbita, jego ludzie zalegali martwi na wzgórzach i w wąwozie, uciekli przez wąwóz, albo stali teraz na jego dnie, ponurzy i rezygnując z dalszej walki. Benteen zobaczył żołnierzy zbierających się pod nim i poprowadził swoich ludzi w dół. Warren stał na końcu gruzowiska kopalnianego, przyglądając się wszystkiemu, kompletnie przesiąknięty własnym potem. Kilka ostatnich strzałów rozległo się echem na końcu wąwozu. Spieszeni kawalerzyści ściągali ze wszystkich

stron, a jeźdźcy zjechali ze wzgórza. Castleton wyjechał z lasu, bez kapelusza i ze smugą krwi na twarzy.

Trzech żołnierzy przenosiło przez skały George'a Mixlera. Mixler odwrócił się lekko w ich ramionach i uniósł rękę, przesłaniając oczy. Benteen podszedł, by go pozdrowić.

— Co się stało, George?

Mixler był szarobiały i wyraźnie odczuwał ból. Pokręcił głową.

— Nie wiem. Gdzieś dostałem.

Wąwozem nadszedł Sziraz. Żołnierze położyli Mixlera na ziemi, ustawiając się tak, by zasłonić słońce. Sziraz rozpiął koszulę Mixlera i pochylił się, naciskając palcami na jego klatkę piersiową. Nagle Benteen się odwrócił. Z przeciwległego zbocza zawołał Manuel Dura:

— Hej, to Antone — i wskazał na ziemię.

Żołnierze podbiegli do Dury, a Benteen poszedł za nimi, spoglądając w dół na małą, pomarszczoną twarz Apacza, który przez tak długi czas siał postrach na Terytorium. Był już w wieku powyżej średniego, żylasty i skurczony, z surowym, nieprzejednanym wyrazem na twarzy, nawet teraz. Miał na sobie rozpiętą koszulę, z kapitańskimi epoletami przypiętymi do rękawa, zaś jego szyję oplatał sznur, na którym wisiał mosiężny medal z wizerunkiem Waszyngtona, medal za jakiś traktat pokojowy, wręczony mu przez któregoś ze starszych wojowników. Benteen wyciągnął rękę i zerwał mu z koszuli kapitańskie epolety.

Oddziały wspinały się po zboczu, by poznosić martwych żołnierzy. Ktoś powiedział:

— Hej Jackson, Canreen chce cię widzieć.

Benteen ruszył z powrotem do Warrena, ale zatrzymał się, ponieważ przed Warrenem stał Castleton, a czerwona twarz majora była pełna gniewu. Trzech żołnierzy wniosło George'a Mixlera do chaty górniczej, Shiraz podążał za nimi. Benteen wziął łyk wody z manierki i nagle przykucnął na ziemi, oszołomiony upałem, głodem i wyczerpaniem ostatnich czterech dni.

Podszedł do niego Manuel Dura, a zaraz za nim pojawił się McSween. Sierżant powiedział:

— Proszę podać mi rękę, zabiorę pana z tego słońca.

— Manuelu — powiedział Benteen, — tam na górze jest Al Hazel. Po prawej stronie, zaraz po tym, jak dotrzesz na szczyt zbocza.

Dura od razu odszedł, mrucząc pod nosem.

McSween szarpnięciem za rękę postawił Benteena na nogi i wsunął ramię pod łokieć Benteena.

— Do diabła, panie poruczniku, byłoby teraz źle widzieć pana na ziemi. Każdego innego człowieka, ale nie pana.

Harrison podszedł od strony wziętych do niewoli Apaczów. Popatrzył ostro na Benteena. Wziął Benteena pod drugie ramię.

— Nie dziwię się, Tom.

Warren zawołał ich obu i poszli na gruzowisko. Zebrała się tam czwórka oficerów — Warren, Castleton, Harrison i Benteen. Policzki Castletona były sztywne. Nie spuszczał wzroku z Warrena, wpatrywał się w niego niemal niewidzącym wzrokiem. Warren oznajmił:

— Rozbijemy tu obóz. Nie ma potrzeby iść dalej. Antone nie żyje, co oznacza koniec tej konkretnej wyprawy i koniec kłopotów w naszym okręgu. Pan Lankerwell powinien tu się niedługo pojawić — wysłałem posłańca, żeby do niego dotarł. Kiedy przyjedzie, wyślę go do obozu Antone. Zabierzemy kobiety i dzieci do Grant. — Przerwał, przenosząc ciężar ciała ze stopy na stopę, z irytacją ocierając pot z oczu. Potem dodał: — Pan Castleton jest aresztowany i nie będzie sprawował dowództwa przez resztę podróży. To wszystko.

Benteen zszedł ze zbocza w stronę chaty, mięśnie pleców ledwo go podtrzymywały. Wszedł do chaty i przykucnął obok Mixlera. Shiraz skończył pracę nad porucznikiem i pokręcił głową w stronę Benteena.

— Niezbyt miły widok. To będzie dla niego trudna podróż powrotna. Lepiej zostań tutaj, Tom. Wyglądasz na kompletnie wycieńczonego. Przyniosę ci trochę później kieliszek whisky.

Mixler rzucił chrapliwym głosem:

— Jeden dla nas obu. — Jęknął lekko i poruszył głową z boku na bok. Ale udało mu się uśmiechnąć, gdy spojrzał na Benteena. — Okazałeś się całkiem dobrym żołnierzem, stary. Przez ostatnie dni nie chciałbym być na twoim miejscu.

Benteen mruknął:

— Część gry, George. Dla nas obu.

— Jasne — jęknął Mixler. — Dla nas obu. Ja chyba dostanę swoją w drodze powrotnej. Mimo wszystko, w pewnym sensie jest to pocieszające, wiedzieć, co zrobisz pod ostrzałem. Nigdy wcześniej nie byłem w takiej bitwie. Zawsze człowiek ma trochę wątpliwości. Kiedyś ci zazdrościłem, bo już wiedziałeś, co potrafisz. Teraz i ja wiem, na co mnie stać. Całkiem dobre uczucie.

Harry Jackson przedostał się przez zwalone drzewo, w środku lasu i znalazł Gordona i Marisa klęczących przy Canreenie. Canreen odchodził; widać było to w rozluźnieniu jego dużych ust, w zbliżającym się cieniu w jego oczach. Ale kiedy podszedł Harry Jackson, lekko poruszył ręką i powiedział:

— Weź mój zegarek, mały, i daj go Rose. I posłuchaj. Przeszedłem przez młyn i patrzę na kobiety inaczej niż ty. Jesteś dosyć młody i masz pewne surowe poglądy. Ale ta dziewczyna, Rose, jest w porządku. Nie miałbym nic przeciwko niej, za sposób, w jaki ułożyła sobie życie. Nigdy nie miej tego za złe żadnej kobiecie, mały. Kiedy trochę podrośniesz, zrozumiesz, co mam na myśli. Byłeś na mnie zły, ale ty też jesteś w porządku.

Maris powiedział:

— Musimy cię zabrać z powrotem do obozu.

— Jasne — odparł Canreen. — Ale poczekaj jeszcze chwilę, wtedy nie będę już tego czuł. Ten cmentarz w Camp Grant to piekielnie suche miejsce dla człowieka, który był tak spragniony jak ja. — Zamknął oczy, jego duże usta delikatnie się wywróciły.

Harry Jackson spytał:

— Co do Rose. Myślisz…

— Daj sobie spokój, Harry — przerwał mu Maris, — on cię już nie słyszy.

Rozdział XIX

Nie było żadnego powodu, by wstawać na pobudkę, ale gdy rozległ się sygnał, Harriet Mixler natychmiast się ubrała i obserwowała słońce przebijające przez wysokie skalne wały za Camp Apache. Spacerując w jasnym, cudnym jak wino chłodzie poranka, spoglądała na szczegóły życia posterunku wyrozumiałym spojrzeniem i była nieco zaskoczona, że tak się stało. Wszystko toczyło się wokół niej w bezcelowej regularności - musztra i zaprawa poranna oddziałów, ordynans komendanta sztywno maszerujący po chodniku, konie w corralu, wóz z wodą podróżujący tam i z powrotem, kolejka chorych przed drzwiami doktora Panzera, Indianie przykucnięci w cieniu budynku kwatermistrzostwa.

Był to dokładnie wzorzec wyznaczający godziny jej życia. Pobudka, apel, prace w stajniach, posiłek w mesie, ćwiczenia i zbiórki; długie popołudnie, i znów ostry sygnał muzyki oraz sztywny szpaler żołnierzy ustawionych naprzeciw słabego światła słonecznego, gdy trąbki grały na zakończenie dnia pracy, a flaga opadała; zaś nocą, w ciemnym bezruchu, wartownicy chodzili od posterunku do posterunku, podczas gdy przygotowanie do capstrzyku rozlegało się w ciemności i płynęło falami w stronę wzgórz, w końcu zamierając, i capstrzyk - koniec wzorca na jeszcze jeden dzień.

Nigdy nie sądziła, że takie życie może wywrzeć na niej jeszcze jakiekolwiek wrażenie. Kiedy już się od niego oderwała, czuła, że szybko o nim zapomni, tak jak zapomina się o nieprzyjemnym śnie. A jednak to wsłuchiwanie się w rytm znajomych rzeczy, to lekkie oczekiwanie, które pojawiało się, gdy trębacze szli na swoje posterunki przy wartowni i dmuchali niepewnie na swoje instrumenty tuż przed wysłaniem ich sygnałów przez obóz, ta kompletna zgodność z rutyną, to lekkie poruszenie czegoś głęboko w sercu, gdy żołnierze, sztywno maszerując frontem plutonów, przechodzili na placu apelowym przed majorem McClure - to wszystko mówiło jej coś, o niej samej.

Camp Grant znajdował się daleko na nizinach, spowity pustynnym upałem. Siedząc cicho w tle wesołej grupy w domu majora McClure'a, myślała o tym upale z kurczącym się uczuciem. Upał i wszystko, co się z nim wiązało. Powiedziała sobie, że był to tragiczny okres w jej życiu. Nic przedtem nie było takie jak wtedy i nic już nigdy nie będzie takie jak wtedy. Z tego oderwanego punktu widzenia spoglądała wstecz dość wyraźnie, aby uświadomić sobie jedną przejmującą prawdę. W Grant umarła jej dziewczęcość; były rzeczy, w które już nigdy nie będzie mogła uwierzyć, były rzeczy, których już nigdy nie będzie mogła poczuć.

Było już dosyć późno wieczorem, major McClure opowiedział swoją historię o niedźwiedziu, a pani McClure przyniosła kawę i bardzo wyszukany pudding. Czterech innych oficerów z posterunku zebrało się tutaj ze swymi żonami, prowadząc ożywioną i wesołą rozmowę. Tak właśnie odpoczywali wojskowi. Byli zdrowi, głodni i mieli cudowną zdolność do zrzucania z siebie trudów dnia, kiedy ten się już skończył, i do rozluźniania się i rozleniwiania. Usiadła w pewnej odległości od całej grupy, obserwując ich, a w szczególności młodego porucznika Kesslera.

Miał ładną i nieco prowokującą żonę, a od czasu do czasu jego oczy unosiły się na nią i coś między nimi przechodziło, ciepłe, pilne i zaborcze.

McClure zapytał:

— Jak tam dziecko?

Harriet uśmiechnęła się.

— Śpi i jest całkiem zadowolone.

— Apache to dobre miejsce — stwierdził McClure. — Ten przeklęty Grant to piekielna dziura. Współczuję każdej kobiecie, która musi tam żyć. Powinniśmy sprowadzić na jakiś czas Eleanor.

— Eleanor — powiedziała pani McClure — nie opuściłaby oddziału K. W każdym razie ma inne, równie interesujące powody, by lubić Grant.

— Tak? Kto?

— Mężczyźni są tacy ślepi. Młody Castleton.

McClure popatrzył na nią.

— Ach — mruknął. — Castleton, tak?

Krótki sposób, w jaki wypowiedział to nazwisko, sposób, w jaki szybko odszedł od tematu, powiedział Harriet wszystko o jego nastawieniu. Nagle w głębi serca wystraszyła się o Eleanor. Ocena człowieka przez innych ludzi była pouczającą informacją, a żaden z oficerów otaczających Castletona, nie lubił go. Tymczasem McClure, ponownie częstując się puddingiem, rzucił uprzejme spojrzenie Harriet.

— Byłoby bardzo miło, gdyby stary George tu był. Dopełniłby wieczór.

Pani McClure rzuciła mężowi zdziwione i zatroskane spojrzenie żony; zapadła cisza. McClure nagle zdał sobie sprawę ze swojej wpadki. Podniósł rękę i zakaszlał.

— Cholera, Madge — mruknął — nie zrobiłaś wystarczająco dużo sosu, żeby choćby przykryć ten pudding.

Harriet siedziała cicho na krześle, słuchając ich rozmowy, która miała zatuszować gafę. Oczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Pułk był zżytą rodziną, w której nic przez dłuższy czas nie dało się utrzymać w tajemnicy, a ona nagle poczuła się poza tą rodziną, odseparowana od niej i nie dzieląca już jej bliskości. Byli dla niej mili, ale była pewna różnica w sposobie traktowania. Różnica tkwiła w samej życzliwości, jakby ich myśli zawierały pewne zastrzeżenia i osądy.

— Po południu przybył posłaniec z Grant — poinformował McClure. — Benteen udał się na dłuższy zwiad i zlokalizował Antone. Warren zabrał wszystkie swoje siły. Spodziewam się, że może dojść do starcia z Antone. Będę szczęśliwy, jeśli Warrenowi uda się rozbić Apaczów. To znacznie odciążyłoby kampanię. Rano wysyłam oddział do Grant, po płatnika.

Harriet wstała, mówiąc:

— Chyba pójdę zobaczyć co z synkiem — i wyszła z pokoju.

W tym momencie na placu apelowym rozległ się capstrzyk. Zawirowało jej w głowie, oddech stał się głębszy i wyprostowała się z zaciśniętymi dłońmi. Wsłuchiwała się w głos trąbki z uroczystą uwagą, słysząc w jego przeciągłych nutach coś ponadczasowego i wiernego. Był w nim smutek, który uczynił ją nieco bardziej pokorną, była w nim siła, która wzięła ją w posiadanie i przywiązała do tego placu apelowego i do świateł świecących z koszar, do kroków stóp wartowników na twardej ziemi, do zapachu kurzu, do uczucia lekkiego wiatru spływającego ze wzgórz. Wyprostowała się, a jej oczy wpatrywały się w gwiazdy, takie jasne i takie wysokie na południowo-zachodnim niebie, gdzie znajdował się Camp Grant.

Major Warren w południe wprowadził swój oddział do Camp Grant. Z ramady domu komendanta Eleanor obserwowała, jak kolumna wojska wjeżdża przez bramę. Stała nieruchomo, ogarnięta strachem, który zawsze towarzyszył powrotowi żołnierzy. Ludzie byli zmordowani, spoceni, brodaci, wysuszeni i spieczeni przez słońce, mieli zaokrąglone ramiona, wskutek zmęczenia do szpiku kości. Polegli przyjechali owinięci kocami w poprzek siodeł i na tych postaciach skupił się jej wzrok. George Mixler leżał w zaimprowizowanych noszach między dwoma mułami, jej ojciec siedział z trudem na koniu, wyglądając na twardego, starego i niemalże upieczonego przez słońce. Jej oczy przeczesywały kolumnę, mężczyzna za mężczyzną. Hanna nie jechał jako pierwszy w oddziale K, i po tym poznała nazwisko jednego z okrytych kocem kształtów i zamknęła oczy, mrugając szybko aby strząsnąć łzy. Kiedy otworzyła je ponownie, zobaczyła Castletona. Wyrwał jej się długi oddech ulgi, lecz jej uwaga nadal koncentrowała się na bramie. Obserwowała jak wjeżdżają do środka, a jej strach był tak samo realny i dławiący jak wcześniej, dopóki nie zobaczyła Benteena. Wtedy cały strach z niej gdzieś spłynął i opuściła głowę, bojąc się w takiej chwili spojrzeć na jego wysoką, swobodnie siedzącą w siodle postać. Żona Ala Hazela stała przy budynku kwatermistrza, wołając coś po hiszpańsku. Wzięci do niewoli Indianie, mężczyźni, kobiety i dzieci, tłoczyli się w rogu placu apelowego. Oddziały I oraz K, ustawiły się w szeregu, poczekały na rozkaz rozejścia się i ruszyły w kierunku stajni, Eleanor natychmiast udała się w stronę George'a Mixlera. Shiraz i dwaj żołnierze podnosili go z noszy, a gdy zobaczyła twarz Mixlera, od razu wiedziała, że został ciężko ranny. Zanieśli go do kwatery Shiraza.

Podszedł do niej kapitan Harrison, uśmiechając się lekko przez popękane usta:

— Mamy Antone, Eleanor — powiedział i ruszył w stronę swojego adobe wyraźnie utykając.

Castleton rzucił wodze swojemu ordynansowi, przeciął plac apelowy i natychmiast zniknął w swojej kwaterze. Nie spojrzał na nią. Eleanor pomyślała: „Coś się stało” i spoglądała, jak podchodzi ku niej Benteen.

Od razu zauważyła poszarpany ślad na jego policzku, który był wynikiem walki z Apaczami na skałach nad przełęczą. Twarz mu wyszczuplała, był wysuszony do ostatniej nitki, pozostały z niego tylko

mięśnie i kości. Miało to na nią mocny wpływ; rzeczywisty efekt fizyczny. Dotknęła jego ramienia i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnął się, a po wyrazie jego twarzy poznała, że był zadowolony z dotyku jej palców. To było uczucie, które od razu ogarnęło ich oboje. Ale jego twarz miała w sobie coś z dawnej rezerwy, coś skrywała.

Powiedziała cicho:

— Modliłam się za… ciebie, Tom.

— Kiedyś — powiedział, uważnie dobierając słowa — chciałbym… z tobą porozmawiać, Eleanor.

Spuściła wzrok, zaniepokojona.

— Czy to jest coś, o czym w ogóle powinieneś mówić, Tom?

— Będziemy mieszkać w tym samym obozie przez długi czas.

— Czy to będzie dla ciebie trudne?

— Nie sądzę — zaczął. Ale pokręcił głową. — Najpierw jednak muszę się trochę przespać.

Żona Ala Hazela siedziała w pisaku pod ścianą budynku kwatermistrzostwa. Płakała, kołysząc powoli ramionami na boki. Eleanor wykrztusiła:

— Gdzie jest Al?

— Zginął — odpowiedział Benteen. — Mieliśmy niezłą przeprawę z Antone, Eleanor.

Ruszył dalej, skręcając do kwatery Shiraza, by zobaczyć się z Mixlerem.

Płacz żony Ala Hazela zmienił się w jednostajny szloch, w gorącym, bezwietrznym powietrzu. Eleanor podeszła do niej i przykucnęła w gęstym piachu. Żona Ala Hazela wpatrywała się w nią zaczerwienionymi oczami. Położyła głowę na ramieniu Eleanor, płacząc i mówiąc coś po hiszpańsku. Eleanor przytuliła kobietę, nie odzywając się.

Zgromadzonych wewnątrz fortu Indian otoczył oddział żołnierzy, jej ojciec przeszedł przez plac apelowy do swojej kwatery, a Benteen opuścił dom Shiraza i ruszył do swojego. Schylił się przy drzwiach i oparł dłoń o ścianę, jakby starając się opanować. Kwatera Castletona znajdowała się dokładnie naprzeciwko niej; siedział na skraju pryczy, ramiona miał przygarbione, a ręce oparte na kolanach. Palił papierosa, głowę miał spuszczoną. Wkrótce żona Ala Hazela podniosła się. Powiedziała „Ach", rozłożyła ręce i odeszła wzdłuż budynku kwatermistrzostwa. Eleanor natychmiast udała się do pokoju Castletona i po raz pierwszy w życiu weszła nieproszona do kwatery oficera.

— Phil.

Nie spojrzał na nią. Mięśnie jego długiej szczęki były twarde, a głos brzmiał szorstko:

— Odejdź, Eleanor. Nie teraz, nie teraz.

— Phil… co się stało?

To pytanie uniosło mu głowę, odwrócił się i pokazał jej pełne gniewu oczy. Bolało ją, że widzi w nich tyle bezdusznych, bezmyślnych uczuć. Wpatrywał się w nią, jakby nie miał do niej zaufania.

— Ojciec ci nie powiedział?

— Nie widziałam się z nim, Phil.

— Więc skąd wiesz, że coś jest nie tak? Może pan Benteen przekazał ci szczegóły?

— Nie — odparła — myślisz, że on by to zrobił?

— Ach — sapnął Castleton — pan Benteen jest oficerem i dżentelmenem, i nie zniżyłby się do pospolitych plotek - czy tak o nim myślisz?

Nienawidziła tego dominującego w jego głosie sarkazmu, a mimo to zdawała sobie sprawę, jak bardzo został urażony i jak bardzo zmieniła go wściekłość. Odezwała się więc dosyć łagodnie.

— Czy musisz mnie ranić, Phil?

Oświadczył kamiennym, płaskim głosem:

— Jestem aresztowany za przekroczenie litery rozkazów twojego ojca.

Złapał długi oddech i wiedziała, że chciał coś jeszcze dodać do tego stwierdzenia. Czekała, obawiając się, co to mogłoby być. Chciała, żeby był wobec niej szczery. Ponad wszystko chciała, by nie użalał się nad sobą ani nie unikał odpowiedzi. Takim zachowaniem gardziła. Dla niej były to kardynalne grzechy oficera. Nagle, nie do końca pewna tego, co chciał powiedzieć, wtrąciła:

— Możemy przeżyć każdy uczciwy błąd, Phil. Możemy iść dalej, możemy spróbować - możemy pokonać każdą złą passę - jeśli spojrzymy wszystkiemu prosto w oczy.

— My? — spytał wysokim, pozbawionym tolerancji głosem.

Spojrzała na niego przeciągle.

— Czyż nie jestem częścią twojego życia, Phil?

Miała nadzieję, że to złamie jego gniew. Stała tam, rozpaczliwie czekając, aż wstanie, podejdzie do niej i włączy ją w swoje nieszczęście, okaże jej trochę łagodności i zrozumienia. On jednak tego nie zrobił. Powiedział tylko suchym monotonnym głosem:

— Wygląda na to, że w tym oddziale nie ma miejsca dla oficera, który kieruje się własnym osądem. Najwyraźniej mamy być tylko małymi marionetkami pociąganymi za sznurki.

Kiedy ktoś ją głęboko uraził, potrafiła natychmiast okazać swój własny temperament; a teraz on obraził jej poczucie sprawiedliwości, jej nadzieję na przyszłość i jej od dawna pokładaną w nim wiarę.

— Przestań zachowywać się jak głupiec, Phil! Przestań się usprawiedliwiać i użalać nad sobą. Powinieneś umieć lepiej zareagować - twoje wyszkolenie powinno cię tego nauczyć. Nie ma sensu udawać młodego bohatera na koniu, prowadzącego desperackie szarże. Wstyd mi za ciebie!

Powiedział, poczerwieniały od gardła po czoło i wyraźnie wstrząśnięty swoją urazą:

— Naprawdę? Doprawdy? Być może, Eleonor, byłoby lepiej, gdybyś nie próbowała kierować moim życiem. Nie będę chować się za damską spódnicą.

Otworzyła usta i zamknęła je mocno na swoich uczuciach; przyglądała się mu przez długą, długą chwilę, w końcu mówiąc:

— Myślę, że lepiej będzie poczekać, aż oboje będziemy mniej zdenerwowani.

Wyszła i wróciła do swojej kwatery. Jej ojciec siedział na wpół skręcony w fotelu.

— Córeczko — jęknął — zobacz, czy dasz radę zdjąć te przeklęte buty.

Przyklękła koło niego i spytała ze spuszczoną głową.

— Dlaczego Phil został aresztowany, tato?

Oznajmił:

— Nie wtrącaj się, córko.

— Nie mam takiego zamiaru — odpowiedziała mu z pokorą. — Ale to mężczyzna, za którego wychodzę za mąż. Nie powinieneś mi powiedzieć?

— Wydałam panu Castletonowi rozkaz, by przeprowadził zwiad i nie wdawał się w walkę. Jego waleczny charakter zaprowadził go prosto w kłopoty.

Zdjęła jeden z jego butów i wciąż klęcząc, spytała cicho:

— Czy Hanna był razem z nim, tato?

— Hanna, van Rhyn i Canreen. Nie pytaj mnie o nic więcej.

— Nie — odparła. — Ani słowa więcej. — Wstała. Major Warren obserwował ją teraz bystrym spojrzeniem, nie widział wyrazu jej twarzy i nie słyszał żadnego tonu w jej głosie: — Przygotuję dla ciebie lemoniadę, tato.

Poszła do kuchni i była już w środku, gdy usłyszała, jak mówi z zadowoleniem:

— To był niezły widok, gdy Benteen pędził ze wzgórza na spotkanie z nami. Apacze prawie go osaczyli. Byli na szczycie grzbietu. To było tak blisko alleluja, jak tylko jakiś młody człowiek może się go znaleźć. Wspomnę o nim w moim raporcie dla Crooka.

Wracając ze stajni, młody Harry Jackson zastał Rose Smith koło rogu koszar, zwróconą w jego stronę, jakby na niego czekała. Podszedł do niej, zakłopotany i speszony wiadomością, którą miał jej do przekazania. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął złoty zegarek Canreena i podał go jej.

— Powiedział, żebym ci go dał.

— On nie żyje, prawda?

Młody Harry Jackson skinął głową, wciąż trzymając zegarek w ręku. Nie wzięła go. Patrzyła na niego, blask słońca tańczył w jej spokojnych, czarnych oczach, a on czuł, że coś w nim wzbiera, coś co jeszcze niedawno uważał za całkowicie martwe. To zdjęło z niego brzemię, uczyniło ją taką, jaką była wcześniej - pożądaną kobietą. Zaskoczyło go trochę, gdy usłyszał swój własny głos.

— Rose, nie jestem aż takim cholernym żółtodziobem. Jak już ci mówiłem, mój zaciąg kończy się w przyszłym roku i proponuję ci byśmy osiedlili się w Prescott. To byłoby dobre miejsce na start. Dla nas obojga.

Jej usta, miękkie i elastyczne, zmieniły się i zacisnęły. Po jej twarzy przemknął cień, a przynajmniej tak się wydawało.

— Jest coś, o czym musiałbyś zapomnieć, Harry.

Oznajmił bardzo poważnie:

— Zapomniałbym.

Oczy dziewczyny zalśniły w swych głębiach, a nagła słodycz odmłodziła i upiększyła jej twarz. Jej usta poruszyły się, miłe, czerwone i mocne. Nie zauważył wcześniej, jak ciemne miała włosy, ani jak gładką miała skórę; wszystko to dotarło do niego obecnie, bardzo szybko, i sprawiło, że poczuł się podekscytowany i zadowolony z tej chwili i rzeczy, które były przed nim. Lecz ona pokręciła przecząco głową.

— Zachowaj ten zegarek, Harry. Canreen był dobrym człowiekiem, na swój sposób. Zachowaj ten zegarek, myśl o nim i może od czasu do czasu pomyśl także i o mnie. Nigdy byś nie zapomniał, Harry. To by wróciło. Zawsze by wracało.

Podeszła bliżej, musnęła wargami jego policzek i odeszła szybko w stronę linii wart, i dalej w stronę rancza na równinie. Harry Jackson nie odwrócił się, by patrzeć, jak odchodzi. Stał z zegarkiem w ręku i chciało mu się płakać.

Popołudniowy upał napierał na posterunek, jedną niewidoczną falą po drugiej. Ziemia na placu apelowym błyszczała w jaskrawym świetle słońca, zaś pył wzbijał się w górę chmurami, za każdym gdy dotknęła jej stopa człowieka. Orszak pogrzebowy zaniósł poległych żołnierzy na mały cmentarz za posterunkiem, gdzie oddziały K oraz I stały w jednym szeregu wokół świeżych grobów, słuchając, jak Warren recytuje słowa modlitwy:

— Człowiek zrodzony z niewiasty...

To było wszystko, to oraz huk karabinów, trębacze wygrywający ostatnie pożegnanie i przemarsz z powrotem. Lily Marr szła z Eleanor aż do wartowni i zatrzymała się przy niej, podczas gdy Eleanor udała się dalej. Lily popatrzyła na okratowane drzwi i Jacka Beana, który wyglądał z więziennej celi.

Spoglądał na nią, ani z nienawiścią, ani z sympatią, ale teraz już czegoś się o nim dowiedziała. Każdego dnia w ciągu minionego tygodnia, przychodząc przed jego oblicze, obserwowała jego oczy, a teraz wreszcie zobaczyła w nich to, czego pragnęła! Ten człowiek zawsze był bardziej dziki niż wiatr, nie znosił żadnych ograniczeń. Nigdy nie zaznał spokoju, nigdy nie czuł niczego równie silnego jak jego własna wola. Obserwowała go, spokojna i pewna, nie okazując mu żadnych uczuć.

— Domyślam się, że widziałeś powrót porucznika Benteena — powiedziała do niego. — Chciałbyś zobaczyć go martwego. Ale on żyje. Będzie nadal żył, kiedy ciebie powieszą. Sierżant Hanna został zabity. Był lepszym człowiekiem niż ty, Jack. Dlaczego to nie ty byłeś na jego miejscu? Co takiego zrobiłeś, by warto cię tu zatrzymać, skoro ktoś lepszy musi odejść?

Położył dłonie na kratach.

— Lily, już chyba wiem, czym jest piekło. To miejsce, w którym kobieta zabija mężczyznę, utrzymując go przy życiu. Apacz nie mógłby zrobić tego, co ty robisz mnie. Idź sobie.

— Szeryf będzie tu w tym tygodniu.

Jack Bean wzruszył ramionami, nic nie odpowiadając, a Lily Marr wiedziała, że już o to nie dba. Zbliżyła się do krat i odezwała się niskim, łagodnym głosem.

— Kiedy się ściemni, podejdę do tych drzwi, wyciągnę klucz i wrzucę ci go do środka. Strażnik cię zabije, jeśli przyłapie cię na ucieczce. Nie będzie żadnego konia, na którym mógłbyś przemierzyć pustynię, nie będzie też wody. Może uda ci się dotrzeć do Tucson.

W odpowiedzi wychrypiał:

— Nic bym od ciebie nie wziął, nawet gdybym miał przez to umrzeć.

Ale ona niemalże się uśmiechnęła.

— Weźmiesz, weźmiesz. Zrobisz wszystko, by żyć. I może uda ci się dotrzeć do Tucson. Ale nie zapomnisz, że zawdzięczasz mi życie i nie zapomnisz, że przez tydzień siedziałeś w więzieniu, a całe Terytorium śmiało się z twardziela, który wcale nie był taki twardy. Nie jesteś tym samym człowiekiem, który wszedł do tego miejsca, Jack.

Pokręcił głową.

— Nie od ciebie, Lily. Niczego od ciebie nie chcę.

Wciąż była bliska uśmiechu, gdy odwróciła się i przeszła do adobe, w którym leżał George Mixler; przy drzwiach odwróciła się, obserwując ostatnie słabe promienie słońca z łagodnym, na wpół zadowolonym wyrazem twarzy.

Kolacja i zakończenie dnia, trąbki rozbrzmiewające podczas opuszczania flagi i kolejny nagły zmierzch przechodzący w ciemność. Eleanor stała pod ramadą budynku sztabu, obserwując Toma Benteena przechodzącego z mesy oficerskiej do stajni. Nie spuszczała z niego oczu, dopóki nie skręcił za róg koszar; potem oparła rękę o słup ramady, czekając. Przez żwir San Pedro przejechali jacyś jeźdźcy, a wartownik natychmiast rzucił im obwołanie:

— Stać - kto tam?

— Oficer i oddział z Fort Apache.

— Stać, oficer i oddział. Dowódca wart, na posterunek numer jeden!

Doktor Shiraz wyszedł ze swojego adobe, zatrzymał się przed nim na tyle długo, by zaczerpnąć powietrza i wrócił do środka. Przez całe popołudnie był w budynku z George'em Mixlerem. Jej ojciec wyszedł z biura sztabu, zatrzymał się przed drzwiami Shiraza i ruszył dalej. Zawołał w ciemność:

— Ordynans! — i zatrzymał się obok Eleanor, z ponurymi policzkami. — Nie sądzę, żeby George przeżył.

Ordynans odszedł, stukając butami o deski chodnika. Na plac apelowy wjechał oddział z Apache, sześć koni i wóz ambulansu. Odwróciwszy się, Eleanor zobaczyła Harriet Mixler szybko zeskakującą z siedzenia. Warren obrócił się na pięcie i wszedł do domu.

Harriet zbliżyła się do Eleanor z białą, pociągłą twarzą, niewyraźnie majaczącą w świetle księżyca.

— Zostawiłam dziecko w Apache. Czy George tu jest? Myślisz, że zobaczy się ze mną? Myślisz...?

Eleanor westchnęła:
— Harriet… Harriet… — Chwyciła Harriet za ramię. Niemal szeptała. — Znajdziesz go u doktora Shiraza. On…
Harriet powiedziała:
— Och — i uniosła rękoma spódnicę, pędząc chodnikiem. Zawołała — George!
Jej głos, cienki i wysoki jak głos dziecka, odbijał się żałosnym i słabnącym echem w nocnym powietrzu. Castleton, wychodząc ze swojego adobe, nagle odsunął się na bok, by uniknąć jej biegnącej postaci. Odwrócił się i spoglądał, jak Harriet wbiega do domu Shiraza. Potem ruszył przed siebie, stąpając ciężko po deskach. Miał uniesioną głowę, a jego twarz, oświetlona blaskiem księżyca, była wyraźnie ponura. Eleanor powiedziała:
— Phil…
Zobaczył ją, zrobił szybki unik i wszedł do domu Warrena.
Eleanor ponownie założyła ręce na piersi, mocno je ściskając. Szybko oddaliła się od szeregu kwater oficerskich, wyszła na plac apelowy, poza zasięg słuchu, i szła dalej ze spuszczoną głową, mijając koszary, piekarnię, mijając blask świateł sklepu dla żołnierzy. Przy wartowni dostrzegła, jak Lily Marr nagle skrywa się w cieniu, znikając widoku, ale jej myśli były tak zdezorientowane i zmartwione, że nie zwróciła na to uwagi. W ten sposób, wciąż idąc, natknęła się na nieruchomą postać sierżanta McSweena.
Stał koło narożnika koszar, przy adobe doktora Shiraza. McSween opierał się ramieniem o ścianę adobe i zdawał się nasłuchiwać. Wyprostował się.
— Przepraszam, panno Eleanor — i zrobił jej miejsce aby mogła przejść.
— W porządku, McSween.
— Jest wiele rzeczy, które nie są w porządku — mruknął. — Chyba zbyt wiele oczekuję od tego cholernie zabawnego życia. Brakuje mi Hanny. Cholernie mocno tęsknię za tym Irlandczykiem. Teraz jeszcze porucznik Mixler. Co jest smutne, kiedy jest tylu innych, którzy nie są warci by żyć, a zdają się nie umierać.
Usłyszeli, jak Harriet Mixler wykrzykuje jakieś słowa. McSween powiedział:
— Teraz to już w ogóle nie powinno mnie tu być — i odszedł. Eleanor szła dalej.

Harriet weszła do pokoju i znalazła George'a leżącego na łóżku. Shiraz wstał z krzesła i odsunął się, odwracając się całkowicie, aby tego nie widzieć. Harriet uklękła przy łóżku, a senne oczy George'a Mixlera otworzyły się i przybrały barwę mętnego, zdziwionego błękitu. Powiedział przez opuchnięte usta:
— Skąd się o tym dowiedziałaś?
— Nie wiedziałam. Zostawiłam synka w Apache. Przyjechałam.
— Chciałaś wrócić, Harriet? — wymamrotał.

— Tak, George. Ale jak… co się stało?

Zdawał się nie słyszeć jej. Przekręcił głowę z boku na bok na poduszce, przejechał językiem po wargach i niewyraźnie ułożył na nich słowa.

— Dobrze wiedzieć, że zmieniłeś zdanie. Moja młoda żona, moja piękna żona. Chciałbym znów zobaczyć chłopca. Nie pozwól mu całkowicie o mnie zapomnieć. — Odetchnął nagle i boleśnie, a ona usłyszała gasnący, zdyszany ton: — Moja miłość, cała… tak jak była zawsze … jest dla ciebie.

Widziała, jak się rozluźnia; słyszała, jak znów wzdycha. Był uśmiechnięty i jakby spał, ale nie poruszał się. Harriet odwróciła głowę do Shiraza. Jej duże, okrągłe oczy, tak ciemne i przerażone, błagały go, a na jej twarzy malował się strach, jaki maluje się na twarzy dziecka, gdy jego najgłębsza wiara zostaje złamana. Tak właśnie na niego patrzyła. Shiraz położył George’owi dłoń na ustach, by nie widziała, jak się zmieniają, i pokręcił przecząco głową.

Rozdział XX

Gdy tylko Castleton wyszedł z domu jej ojca, Eleanor przeszła przez plac apelowy, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na ramieniu. Światło wylewało się przez drzwi, oświetlając ich, i wiedziała, że dostrzegłby na jej twarzy troskę i lojalność, gdyby tylko na nią popatrzył, gdyby wyrwał się z tego ogromnego zaabsorbowania samym sobą. Znów kierowała nim ta stara postawa - nieufność wobec innych, wszechobecna wiara w siebie, pełna goryczy złość na to, jak potoczył się jego los. W tej chwili miała w głowie dosyć jasny jego obraz i widziała w nim tak niewiele złych rzeczy, że mogła go nadal kochać.

Przeszyła ją szybka i nagła myśl, która nią wręcz wstrząsnęła: Widziała tak niewiele, że mogła kochać. Przez te wszystkie chwile kiedy spacerowała po placu apelowym, walcząc ze swymi niewesołymi myślami, zbudziło się w niej dziwne niezadowolenie, ogromne rozczarowanie. Nie była w stanie tego nazwać, ale czuła się tak, jakby coś leżało bardzo blisko niej, coś czego nie mogła dosięgnąć, jakby próbowała się przedrzeć przez jakiś mglisty zamęt przesłaniający obietnicę pełnej satysfakcji i szczęścia, znajdujących się tuż pod ręką, i nie mogła do nich dotrzeć. W tej chwili widziała tylko urażone z uporem rysy twarzy Phila. Rozmowa z ojcem bardzo go dotknęła.

— Phil — powiedziała, — pójdź ze mną, przejdziemy się.

Ale on stał na swoim miejscu, nieugięty.

— Eleanor — oznajmił — w tym regimencie nie ma dla mnie nadziei.

Szepnęła:

— Jesteś pewien?

— Wszystko jest absolutnie jasne — odparł z suchym sarkazmem.

— Myślisz o przeniesieniu?

Zauważyła, że mięśnie na jego podbródku są bardzo naprężone. Wydłużało to jego twarz i zaburzało jej równowagę. Zdjął kapelusz, a jego czarne włosy zalśniły w świetle padającym z wnętrza domu; na swój niesforny, nadąsany sposób, był bardzo przystojny. Usprawiedliwiała go wielokrotnie, pomyślała; teraz ciężko było patrzeć, jak jej usprawiedliwienia rozpadają się na kawałki. Sposób, w jaki pracował jej umysł, rozbierając go na kawałki, był doprawdy okrutny.

— Nie — odparł — w armii nie ma miejsca dla ambitnego człowieka. To tylko ponury młyn, przełykający ludzi. Składam rezygnację.

— Phil!

Popatrzył na nią:

— Eleanor, to nawet może być odrobinę zajmujące. Jeśli pojedziemy do Tucson, możemy tam się pobrać, złapać pociąg do San Diego i statek do San Francisco, a potem wrócić na wschód koleją Pacific.

Nie odpowiedziała. W jego oczach pojawił się chłodny, roziskrzony blask. Jego własna gadanina zaczęła go zmieniać i sprawiła, że zapragnął opuścić ten kraj. Znów wybiegał wzrokiem w przyszłość, był porywczy i dziarski; bliski uśmiechu.

— Po Grant, będzie to niemalże jak raj.

— Nie — wyszeptała — nie, Phil — i poczuła, że na jej sercu osiada ciężar.

To go wzburzyło. Był pewien gest, który zawsze wykonywał, gdy był poirytowany. Uniósł lekko podbródek, obserwując ją z coraz większą rezerwą.

— Nie rozumiem.

— Ja nie mogłabym.

— Myślałem, że jeśli kobieta kocha mężczyznę — stwierdził z sarkazmem w głosie — to za nim podąża.

Wzięła długi oddech.

— Jeśli kobieta kocha mężczyznę, przypuszczam, że tak jest.

— A więc, co było między nami? — zaczął się dopytywać.

— Cokolwiek to było - a kiedyś cię kochałam, Phil - teraz to już nie jest miłość.

Nie cierpiał oporu i okazywał to zaciskając usta. Wyraz jego twarzy robił się wówczas niemal brutalny. Ta nagła refleksja wstrząsnęła nią i pozostawiła w jej umyśle jasność, tak że jego słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

— Czy armia jest dla ciebie religią, Eleanor?

Wtedy już wiedziała. Wiedziała, co tak długo tkwiło w jej umyśle i sercu. To była ogromna ulga, jak łyk chłodnego powietrza po nieznośnym upale; przepełniło ją poczucie wolności, której nie czuła od bardzo, bardzo dawna. Stojąc przed nim, mogła na niego patrzeć i nie czuć żalu. Po raz pierwszy od lat, odkąd go znała, nie czuła chęci jego bliskości, nie czuła natychmiastowego uniesienia, na jego widok. Odparła zupełnie spokojnie.

— Tylko jedna osoba na świecie zawsze będzie miała dla ciebie znaczenie, Phil. Tą osobą jest Phil Castleton. Odchodzisz z wojska, bo nie potrafisz stawić czoła prawdzie. Uciekasz. I zawsze będziesz uciekał. Nigdy nie nadejdzie taki czas, kiedy nauczysz się tolerancji, albo dowiesz się czym jest miłość, albo czym jest sprawiedliwość. No cóż, życzę ci powodzenia. Naprawdę ci życzę.

Czekała, aż wyleje się z niego gniew, albo zranione uczucia, albo błaganie – czy też cokolwiek. Ale nic takiego nie miało miejsca i zdała sobie sprawę, że nawet w tej chwili patrzył tylko na siebie, nie na nią; był kompletnie otulony tą swoją rozmyślną dumą i pełnym samouwielbienia egoizmem.

— Ach — wymamrotał jednym suchym, szybkim tchem, obrócił się na pięcie, niemal pędząc przez plac apelowy.

Przyglądała się, jak odchodzi. Na placu apelowym kładły się już ciężkie cienie, w które niemal fizycznie wniknął i zatonął w nich. A potem, w

sposób, który na zawsze ją zaskoczył, zniknął również z jej serca i sumienia; nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, ani pustki w miejscu gdzie był. Tak się działo, gdy czyjaś lojalność była zbyt mocno nadużywana i zbyt nadszarpnięta. Nadeszła chwila, kiedy, tak jak obecnie, zupełnie się rozpadła. Tak wyglądały jej myśli. Uwolniła się od niego, patrzyła wstecz, widząc go takim, jakim go kochała, a potem, w tym nowym, jasnym świetle, zobaczyła go takim, jakim się stał. Uwolniła się od niego — i zdała sobie sprawę, jak wysoki był poziom jej napięcia, samooszukiwania się i pełnych niepokoju nadziei.

Nagle podniósł się krzyk wartownika koło piekarni posterunku.

— Dowódca warty - więzień się uwolnił!

Eleanor pobiegła w tamtą stronę. Na rogu czworoboku koszarowego zaszurały kroki, a ze stajni przybiegł Benteen, machając trzymaną w dłoni latarnią. Nadszedł jej ojciec, przeklinając luźne kamienie pod bosymi stopami. Drzwi wartowni były szeroko otwarte, a Benteen, podnosząc latarnię wysoko do góry, spytał:

— Jak on się wydostał?

Wartownik zameldował:

— Było zamknięte, kiedy ostatnio przechodziłem obok, panie poruczniku. Kiedy zrobiłem w tył zwrot i doszedłem z powrotem, było otwarte. Upłynęła może minuta.

Major Warren powiedział:

— Kto ma klucz?

Benteen wyjaśnił:

— Zazwyczaj klucz wisi na końcu tego wystającego kawałka drewna, panie majorze. Ktoś rzucił go Beanowi.

— Kto zrobiłby coś takiego? — mruknął Warren. — No cóż, już go tu nie ma, ale będzie miał piekielnie trudną drogę, żeby dotrzeć do Tucson lub gdziekolwiek indziej. Nie będziemy próbowali go gonić. Nie warto. Od tej pory chcę, żeby ten klucz był w osobistym posiadaniu dowódcy warty. Duża niechlujność. Duża.

Pokuśtykał z powrotem do domu, mrucząc głośno:

— Klucz do wartowni wisi sobie na zewnątrz! Jak klucz do żeńskiego seminarium. O Boże.

Wartownicy zniknęli w ciemności, pozostawiając Eleanor i Benteena stojących razem przy otwartych drzwiach. Benteen odwrócił się w jej stronę. Uśmiechał się lekko. Przespał się i ogolił, a z jego oczu zniknęło wyczerpanie. Miał w sobie, pomyślała z powolnym, głębokim podziwem, takiego rodzaju witalność, że potrafiła ona strząsnąć z siebie każdy trud. Stała przed nim, zadowolona z jego uśmiechu, nie chcąc żeby odchodził, i próbowała mu to jakoś okazać.

— Lily, oczywiście — wyszeptał.

— Też tak myślę.

— Droga węża, orła lub kobiety — mruknął pod nosem.

Stojąc tak blisko niego, wyczulona na cienie jego twarzy, na sposób, w jaki wyginały się jego usta i sposób, w jaki jego piaskowo-czerwone włosy układały się na brązowym czole, odkryła w jego szarych oczach głębokie zrozumienie. Miał w sobie wnikliwość i tolerancję; miał dar patrzenia ze

zrozumieniem na innych. To przywiązywało do niego ludzi, do najbardziej niepokornego żołnierza w dowództwie, ale także oficerów; kobiety na posterunku — i przywiązało do niego ją. Uświadomiła to sobie w jednym szybkim, pełnym zdziwienia błysku i czekała, aż się odezwie.

— Ona go złamała, Eleanor. Wsadziła go do tej gorącej dziury i wyssała z niego soki, A potem go wypuściła. — Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać. — To trochę dziwne.

— Każda zakochana kobieta — wyszeptała, — jest dziwna, Tom. Widzą tak wiele - i tak mało.

— Ona zasługuje na kogoś lepszego. W tej dziewczynie coś jest…

W ciemności zaszeleściły kroki. Lily Marr powiedziała swoim opanowanym głosem:

— Panie Benteen…

Weszła w blask latarni i stanęła twarzą w twarz z Benteenem, zdecydowanie napinając swoje małe ramiona. Łagodność kontrolowała jej twarz, czyniąc ją ładną i delikatnie podnieconą. Usta miała zadowolone. Ale to sposób, w jaki patrzyła na Benteena, zwrócił uwagę Eleanor i spowodował, że oddaliła się od tych dwojga; sposób, w jaki spoglądały oczy Lily Marr, był słodki i smutny zarazem, a przede wszystkim pozbawiony wszelkiej nadziei.

Dziewczyna była zakochana w Benteenie.

Benteen zapytał:

— Dlaczego, Lily?

Zbyła to pytanie.

— Chcę pojechać do Tucson z następnym oddziałem, panie Benteen. I dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Spytał:

— Myśli pani, że on tam będzie, Lily?

— Jeśli przedostanie się przez Catalinas, to tam będzie.

— A co, jeśli nie?

Miała taki charakterystyczny sposób unoszenia ramion, sposób na zachowanie spokoju na twarzy. Wyrażały one wszystko, była to reakcja silnego, dzielnego ducha, który znał znaczenie słowa kłopoty i mógł patrzeć na każdą katastrofę bez płaczu.

— Jeśli nie, panie Benteen, to chyba trochę porozpaczam - i będę żyć dalej.

— A co on powie, kiedy się zobaczycie?

Zachowywała względny spokój.

— Był człowiekiem, który nigdy dwa razy nie zastanawiał się nad tym, co robi, i ani razu nad innymi ludźmi. Ale teraz, już będzie. I będzie raczej zadowolony, z tego że mnie widzi. To jest coś, na co nic nie może poradzić.

Martwił się o nią. Pokazał to:

— Zasługuje pani na coś lepszego, Lily

Odparła bardzo cicho:

— Nie, istnieje właściwe miejsce dla każdego z nas, panie Benteen. I myślę, że moje miejsce jest u boku Jacka Beana. Myślę — powiedziała, chłodno planując każde słowo z wyprzedzeniem, — że pojedziemy do

Nowego Meksyku. Tam niewiele o nim wiedzą. Nie będzie już taki dziki. On jest lepszym człowiekiem, niż pan myśli. — Potem zrobiła pauzę i dodała powoli, po namyśle. — Myślę, że znam go całkiem dobrze, to co w nim jest złe i dobre.

— Życzę pani powodzenia.

— Myślę, że większości ludzi życzy pan powodzenia — mruknęła. — Myślę, że zna pan ludzi lepiej niż większość innych. Ją wyjadę, ale będę pana bardzo dobrze wspominać. Bardzo dobrze. — Światło ukazało jej silną sylwetkę na tle nocy i okrągłą ciemność jej oczu, gdy uniosła je w jego stronę i przykuła jego uwagę. Krótkie uczucie przemknęło przez jej długie usta; to był cień, który poruszył jej rysy i zaraz ponownie je uspokoił. To była tylko chwila, potem odwróciła się i odeszła w ciemność.

Z ramady domu swojego ojca Eleanor widziała całą tę scenę. Zauważyła, jak Benteen się odwrócił, stając twarzą w jej kierunku, jakby miał zamiar podejść. Stał tak przez dość długi czas, lecz w końcu odwrócił się i, z latarnią kołyszącą szybkim łukiem w ciemnościach, skierował się do stajni. Eleanor zaczerpnęła głęboki, rozczarowany oddech - i nadal czekała.

Skręcając za róg ściany koszar, Benteen odkrył stojącą w ciemności ludzką postać i poświecił latarnią, aż w jej bladym blasku zidentyfikował sierżanta McSweena. Pomarszczone oblicze starego żołnierza nie okazywało niczego poza zwyczajową melancholią; więc Benteen wszedł do stajni, zgasił latarnię i zawiesił ją na kołku. Kolejna latarnia kołysała się nad drzwiami stajni, rozpraszając nieco czerń nocy wachlarzowatymi snopami światła. Konie kręciły się na mocno ubitej ziemi, ich zęby chrupały ziarna owsa, linki wiązadeł delikatnie szurały po skrzyniach z paszą. Zapach stajni stanowił mieszaninę potu, skóry, końskiego nawozu i siana; był silny i przyjemny dla nozdrzy kawalerzysty. Na terenie przy stajnią zaszurały ludzkie kroki. Benteen, spodziewając się wejścia McSweena, odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył, że stoi tam Phil Castleton.

W oczach przybysza widać było ognisty blask, a jego skóra od skroni do szyi zrobiła się zupełnie biała; widząc to Benteen zrozumiał, że Castleton znajduje się w stanie ogromnej furii. Poczuł przeszywający wstrząs. Było to coś w rodzaju momentalnego błysku, który uderzył w każdy jego nerw i wzbudził w nim chłód, pomimo wszechogarniającego gorąca tej letniej nocy. Wciąż żywy, w głowie impuls ten natychmiast zmienił się w odwieczną, gwałtowną zapalczywość. Wiedział, co zamierza zrobić Castleton. Odbierał to tak jak zapach, jak dźwięk, bezpośrednio na poziomie zmysłowym. Ściany jego żołądka zacisnęły się. Poczuł miarowe, łomoczące bicie serca wzdłuż podstawy uszu, wzdłuż boku szczęki. Przyspieszało ono swój rytm; i z nieznanego mu powodu, zapach stajni stawał się coraz bardziej ostry.

Castleton oznajmił coraz bardziej unoszącym się, zdecydowanym głosem:

— Przejdźmy do rzeczy, Benteeen… rozwiążmy to — i nie czekając na odpowiedź, wyrzucił swoje wielkie ciało prosto w stronę Benteena.

Stęknął, wybijając się z ziemi, i stęknął ponownie, wyrzucając prawą rękę prosto w szczękę Benteena.

Głowa Benteena uchyliła się do dołu, kostki dłoni Castletona prześlizgnęły się po włosach jego przeciwnika. Benteen uniósł dłonie, zbijając prawą rękę Castletona, gdy ta zadawała cios; ale ciężar Castletona odrzucił go do tyłu, a następny cios napastnika, przebijając się przez łokieć i gardę, trzasnął go w bok podbródka. Barki Benteena uderzyły o ścianę stajni, a jego głowa walnęła w mur z cegieł adobe, echo tego odgłosu zadudniło mu w uszach; i przez chwilę widział, snop krystalicznie czystych iskier blasku latarni, twarz Castletona o długiej szczęce oraz młyn jego rąk, jedynie jako rozmazane plamy. Wyrzucił rękę, by przyjąć na nią ciosy, ale były to uderzenia, które go ogłuszały, równie dotkliwe jakby ktoś okładał go z pełnego zamachu obuchem topora. Nadal zasłaniał się rękoma; oparł nogę o ścianę stajni, i odepchnął się od niej, rzucając się nisko i szybko na Castletona, przyjmując na siebie wstrząs gotowych do uderzenia pięści Castletona, gdy leciał w jego stronę. Chwycił na chwilę swojego przeciwnika, spychając go z powrotem w stronę boksów, trzymał go w klinczu, zadając kolejne sierpowe i okładając skroń Castletona. Castleton, już blisko boksów, zachwiał się w bok i poleciał do tyłu, a długie ramiona Benteena uderzyły go dwa razy w usta.

Castleton cofnął się, pracując nogami, jego oddech przecinał ponurą ciszę stajni. Stali pod latarnią: powoli krążyli wokół siebie, unosząc ramiona w podwójnej gardzie; zadawali szybkie ciosy i blokowali je. Benteen trzymał głowę nisko, usta na kostkach chroniącej je pięści. Krew kapała mu z nosa na dłonie; czuł jej smak w ustach i zapach w nozdrzach. Castleton wykonał unik, cofnął się, a następnie ruszył do akcji. Zwarli się na krótkim dystansie, pięści machały mocno i szybko, echa plaśnięć w ciało rozbrzmiewały po całej stajni. To był twardy i okrutny pojedynek, szaleńczo skuteczny; po czym znów zaczęli krążyć wokół siebie. Benteen wydyszał przez zęby:

— No dalej, plebejuszu, chodź i walcz.

Ze swego miejsca koło narożnika ściany koszar, sierżant McSween widział to wszystko, przeżywał i czuł. Odsunął się od muru, jego mięśnie pracowały, a oddech sapał wdechami i wydechami. Westchnął „Ach", kiedy rozpędzony Castleton uderzył Benteena w twarz. McSween usłyszał trzask uderzenia i zobaczył, jak głowa Benteena oskoczyła; a potem obaj, z nisko opuszczonymi głowami, znów krążyli i czekali, rzucali się na siebie i uderzali, po czym cofali się. Ktoś przebiegł przez plac apelowy, zmierzając w stronę McSweena. McSween wyciągnął rękę…

— Stój tam gdzie jesteś — i odwrócił się, by zobaczyć obok siebie Eleanor Warren. Doznał szoku. Wykrztusił: — Ach, na miłość boską, panno Eleanor, proszę na to nie patrzeć - nie! Jeśli porucznik Castleton go pokona, zabiję go, obiecuję! Proszę wracać!

Głowa Benteena ciężko opadała. Powierzchnia jego pięści była czerwona od krwi i lekko ześlizgnęła się po policzku Castletona, chybiając celu. Castleton uderzył go dwa razy; poczuł wstrząs uderzeń, ale nie ból; zdolność odczuwania ostrego bólu już zanikła. Przed oczami pojawiła mu się szarość. Za tą szarością Castleton poruszał się do przodu i do tyłu, a

usta Castletona zmieniły się w dłuższą i grubszą plamę na jego twarzy. Castleton zrobił krok w jego stronę, odsunął się i znowu wykonał krok do przodu. Benteen rzucił się na niego, przyjmując uderzenia jak poprzednio, ale odtrącił ramiona Castletona i poczuł, jak zęby Castletona łamią się na jego pięści. Zepchnął Castletona do tyłu. Na desce przegrody najbliższego boksu znajdował się ostry kołek do uzdy; wrzucił Castletona na niego i zobaczył, jak twarz Castletona skręca się w jakiś szalonym grymasie. Ramiona Castletona opadły i nagle zaczął się zataczać w niekontrolowany sposób. Benteen uderzył go w grzbiet nosa; i uderzył go jeszcze raz, solidnie i mocno w tę długą, okrwawioną szczękę. Usta Castletona otworzyły się szeroko, a jego oczy obracały się z boku na bok, bez celu. Benteen złapał go za szyję, rzucił nim, obracając się wokół siebie, i pchnął go mocno, kierując go na ścianę. Leżała tam bela siana, nogi Castletona potknął się o nią i usiadł na niej, przez chwilę pozostawał bez ruchu; potem pochylił się, jego ramiona prawie dotknęły podłogi, a oddech bulgotał mu i jęczał w płucach.

Ze swojego miejsca na zewnątrz stajni Eleanor zobaczyła, jak Benteen podchodzi do przegrody boksu i przytrzymuje się jej rękoma. Oparł się w taki sposób, z szeroko rozstawionymi i roztrzęsionymi nogami. Opuścił głowę na przegrodę, stojąc nieruchomo przez długi, bardzo długi moment. Westchnęła:

— McSween… chodźmy mu pomóc!

Lecz McSween wyszeptał:

— My niczego nie widzieliśmy. Kompletnie niczego nie widzieliśmy.

Stała bez ruchu, patrząc, jak Benteen odpycha się od przegrody. Przesunął wnętrzem dłoni po twarzy, ocierając pot i krew z oczu. Potrząsnął głową. Na podłodze leżał pusty worek jutowy; podniósł go, choć był brudny, i wytarł nim twarz. Koszula wisiała na nim szeroko rozpięta, wszystkie guziki były pourywane.

— Phil — wydyszał, — skończyłeś?

Eleanor, wytężając słuch, nie usłyszała żadnej natychmiastowej odpowiedzi. Benteen ponownie otarł twarz workiem. Powtórzył pytanie.

— Skończyłeś?

Usłyszała jęk Castletona:

— O mój Boże, co za bałagan!

To było wszystko. Przemknęła przez plac apelowy i zatrzymała się pod ramadą, żeby zajrzeć do domu. Jej ojciec siedział w wygodnym fotelu, paląc cicho i zawzięcie cygaro. Odwróciła się i zobaczyła Castletona powoli przechodzącego przez plac apelowy. Chwilę później podążył za nim Benteen, udając się do kwatery doktora Shiraza.

Jej ojciec spytał:

— Eleanor, jesteś tam?

Tak — powiedziała. — Tak.

Wciąż była pod ramadą, długie pół godziny później, kiedy Benteen wszedł do środka. Wkroczył w snop światła lampy i zauważyła, że wymył się do czysta i posmarował skaleczenia na twarzy jakimś środkiem dezynfekcyjnym; na policzku miał długą czerwoną ranę, a jego usta były

lekko porozbijane w kącikach. Popatrzył na nią, walka wciąż płonęła mrocznym blaskiem w jego oczach.

— Eleanor, dałaś mi złą radę — oznajmił bardzo powoli. — Może faktycznie mężczyzna nie powinien nosić w głowie wspomnienia dziewczyny - kiedy ta dziewczyna znajduje się poza jego zasięgiem. Ale to lepsze niż inne możliwości.

— Jakie inne możliwości, Tom?

— Myślę — odparł, — że chyba wiesz.

— Tak — wyszeptała, — wiedziałam o tym już w Tucson. Miło było to wiedzieć.

— Nie będę mógł żyć z tobą w tym samym regimencie. To właśnie chciałam ci powiedzieć dzisiaj po południu.

— Phil — wyrzuciła z siebie na jednym szybkim oddechu — odchodzi z armii, a ja za niego nie wyjdę.

Był zmęczony, zdezorientowany, albo głęboko poruszony tą myślą. Opuścił głowę i trzymał ją w dole tak długo, że prawie wyciągnęła do niego rękę. Kiedy znowu ją podniósł, zobaczyła najdziwniejszy wyraz, jaki kiedykolwiek widziała na twarzy mężczyzny — tak bliski uśmiechu, tak bliski smutku. Powiedział tylko „Eleanor" i przyciągnął ją do siebie swymi długimi ramionami.

To, pomyślała, unosząc ku niemu usta, jest jak Tucson - tak samo głęboko satysfakcjonujące, tak samo bogate. Tylko że było nieco odmiennie, dla niej była to odpowiedź, która uciszyła jej umysł i pozwoliła z pokorą myśleć o nadchodzących latach. Przyszła jej do głowy jedna mała, niepokojąca myśl i sprawiła, że się odsunęła:

— Tom, ona ma jakąś część ciebie. Nigdy nie będę miała tej części, prawda? Czy reszta mi wystarczy — albo czy ty kiedykolwiek nie będziesz żałować?

— Nie — powiedział. — Żadnego żalu. Może wspomnienie, dla mnie — tak jak ty masz przecież swoje. Życie nie jest proste i nie ma pewnej odpowiedzi dla żadnego z nas, jak sądzę. Ale żadnego żalu.

Na rogu placu apelowego trębacz przygotowywał swój instrument, gotów do capstrzyku. Włożyła rękę pod jego łokieć, wiedząc, co miał na myśli.

Harriet Mixler siedziała przed mężem i patrzyła, jak powoli odchodzi poza jej łzy i nadzieje. Świeża ziemia na cmentarzu wyznaczała miejsca końca dobrych i dzielnych ludzi. To była armia, to było pogranicze, a Lily Marr czekała na następny oddział, który miał ją zabrać do Tucson do Jacka Beana i do tego wszystkiego, co oznaczało dla niej życie z nim. Żona Ala Hazela siedziała gdzieś sama ze swoją tragedią, a żołnierze z oddziałów I oraz K, na wpół śpiąc na swoich łóżkach, cicho rozmawiali o dniu wczorajszym i przyjemnie marzyli o jutrze. Martwi byli martwi, a żywi patrzyli w przyszłość.

W gorącym powietrzu czuć było ostry zapach pyłu, gwiazdy świeciły jasno w oddali, a dźwięki trąbki, długie, głębokie, przeciągłe, płynęły w ciemnościach nocy, obiecując koniec kolejnego dnia, obiecując sen. Jutro ponownie wzejdzie słońce i zabrzmi pobudka, pył znów zacznie wzbijać się z corrali, a żelazny głos sierżanta McSweena będzie niósł się wzdłuż placu

apelowego. Cienka niebieska linia żołnierzy pojawi się na równinach San Pedro, zaś Tom Benteen odjedzie razem z nimi, wysoki i pogodny, z tym swoim półuśmiechem w oczach. I tak będzie, aż do końca, jaki ich kiedyś czeka. Zacisnęła mocniej dłoń na jego ramieniu, rozmarzona, jednocześnie smutna i radosna.

— To najlepsze chwile — powiedział Benteen — dla nich, gdziekolwiek by nie byli. I dla nas. To piękne życie, Eleanor. Będziemy mieli kłopoty i będziemy się dobrze bawić – ale bez obaw.

Długa, opadająca melodia capstrzyku rozpłynęła się w głębokiej ciszy pustyni; światła wzdłuż czworoboku koszarowego zgasły.

— Żadnego żalu i nigdy żadnych obaw — powiedział i pocałował ją.

KONIEC